

AUTORKA ŚWIATOWYCH BESTSELLERÓW

NORA ROBERTS

jako
J. D. Robb

Cienie i śmierć

Eve Dallas – ostra
jak brzytwa, seksowna
jak sam diabeł.

STEPHEN KING

Powieści J.D. Robb
to przyjemność, której
nie wolno sobie odmówić.

HARLAN COBEN

Świat Książki

NORA ROBERTS

jako
J. D. Robb

Cienie i śmierć

Z angielskiego przełożyła
Bogumiła Nawrot


Świat Książki
wydawnictwo

Spis treści

[Strona tytułowa](#)
[Karta redakcyjna](#)
[Cytaty](#)

[Rozdział 1](#)
[Rozdział 2](#)
[Rozdział 3](#)
[Rozdział 4](#)
[Rozdział 5](#)
[Rozdział 6](#)
[Rozdział 7](#)
[Rozdział 8](#)
[Rozdział 9](#)
[Rozdział 10](#)
[Rozdział 11](#)
[Rozdział 12](#)
[Rozdział 13](#)
[Rozdział 14](#)
[Rozdział 15](#)
[Rozdział 16](#)
[Rozdział 17](#)
[Rozdział 18](#)
[Rozdział 19](#)
[Rozdział 20](#)
[Rozdział 21](#)
[Epilog](#)

Tytuł oryginału: *Shadows in Death*

Wydawca: *Urszula Ruzik-Kulińska*
Redaktor prowadzący: *Iwona Denkiewicz*
Redakcja: *Magdalena Hildebrand*
Korekta: *Jadwiga Piller, Marzenna Kłos*

Copyright © 2020 by Nora Roberts
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Bogumiła Nawrot, 2023

ISBN 978-83-828-9039-6
Warszawa 2023

Wydawnictwo Świat Książki
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Dystrybucja:
Dressler Dublin Sp. z o.o.
05-850 Ożarów Mazowiecki ul. Poznańska 91
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
tel. +48 22 733 50 31/32
www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

*Cienie, tak krótkie, gdy słońce w zenicie,
O zmroku podłużne i groźne przyjmują oblicze.*

Nathaniel Lee

Nie krew i ciało, ale serce wiąże synów i ojców.

Fryderyk Schiller
tłum. Michał Budzyński

Jak to się często zdarzało, odkąd poślubił policjantkę, morderstwo oderwało ich od przyjemniejszego zajęcia. Chociaż z drugiej strony, pomyślał Roarke, kobieta leżąca w kałuży własnej krwi pod łukiem w Washington Square Park mogła mieć znacznie większe pretensje do losu.

Ostatecznie, jako były przestępca (nigdy nieskazany), wiedział, w co się pakuje, kiedy się zakochał w policjantce. Ale kobieta w modnym sportowym stroju nie mogła przypuszczać, że zakończy ten ładny wiosenny wieczór z rozprutym brzuchem.

On i jego policjantka stracili ostatnią scenę zabawnej sztuki, ona – resztę życia.

I tak oto podczas ciepłego majowego wieczoru wiosną dwa tysiące sześćdziesiątego pierwszego roku przyglądał się innemu spektaklowi.

W centrum uwagi znajdowały się jego policjantka i ofiara, oświetlone mocnymi policyjnymi reflektorami. Ich sylwetki widoczne były za cienką zasłoną, mającą odgradzić śmierć od spojrzeń wścibskich gapiów.

Mundurowi rozstawili barierki, żeby odseparować widzów. Uliczni sprzedawcy i zakochani, spacerowicze i turyści, grajkowie i opiekunowie czworonogów, którzy wyprowadzili swych podopiecznych na spacer, z wybaluszonymi oczami gapili się na śmierć.

Trzymał się z boku, kiedy porucznik Eve Dallas, kierująca dochodzeniem, wykonywała swoje obowiązki w tej opowieści o moralności i śmierci.

Przykucnęła obok zwłok, szczupła twardzielka w skórzanej kurtce i botkach, jej krótkie, brązowe włosy lśniły w świetle reflektorów. Obok niej leżał otwarty zestaw podręczny.

– Ofiarą jest Galla Modesto, lat trzydzieści trzy, zamieszkała przy Prince.

– Galla Modesto.

Kiedy Roarke się odezwał, Eve uniosła głowę, zmrużyła brązowe, przenikliwie oczy policjantki.

– Znasz ją?

– Nie. Trochę jej brata. Wina i Alkohole Modesto. Należy do grona spadkobierców. Zdaje się, że to już trzecie pokolenie. Międzynarodowa rodzinna firma z siedzibą w Toskanii.

– Ciekawe. Od sześciu lat żona Jorge Tweena. Jedno dziecko, czteroletni syn. – Wyjęła miernik. – Czas zgonu: dwudziesta druga osiemnaście. Przyczyną śmierci, z tego, co mogę stwierdzić, jest dwudziestocentymetrowej długości rana cięta wzdłuż brzucha.

Założywszy mikrogogle, nachyliła się, by bliżej przyjrzeć się otwartej ranie.

– Wygląda, jakby ktoś wbił jej nóż głęboko w podbrzusze, a następnie przeciągnął nim w górę, żeby ją rozplątać. Do potwierdzenia przez lekarza sądowego.

Ciągle kucając, zmieniła nieco pozycję.

– Nie widać, żeby się broniła. Brak również innych obrażeń. Nie znaleziono torebki, ale ofiara jest tak ubrana, jakby wybrała się pobięgać lub poćwiczyć. Na lewym ręku ma pierścionek ze sporym brylantem, otoczonym mniejszymi brylantkami, w uszach brylantowe kolczyki – dwa w lewym, jeden w prawym. I sportowy zegarek na rękę.

– Brak dowodów, że to bandycki napad.

Eve rozpięła zapiętą na zamek błyskawiczny kieszonkę bluzki treningowej, którą miała na sobie kobieta.

– Komórka. – Umieściła ją w torbie na dowody, sięgnęła do kieszeni spodni do biegania. – Dokument tożsamości.

Wyprostowała się i zrobiła kilka kroków, żeby znaleźć się po drugiej stronie zwłok, następnie rozpięła drugą kieszeń.

– Alarm osobisty. Najwyraźniej nie uruchomiła go w porę.

– A oto i nasza Peabody – odezwał się Roarke. – Z McNabem.

Partnerka Eve szybkim krokiem podeszła do zapór, towarzyszył jej narzeczony, detektyw Ian McNab z wydziału informatyki śledczej.

Ponieważ Peabody miała pod różowym płaszczem sukienkę w różowe tulipany, a McNab wystrzył się w workowate, różowe spodnie, tak wściekle zielone buty, że były po oczach, i koszulę w esy-floresy w obu tych kolorach, Roarke się domyślił, że otrzymali wezwanie, kiedy byli na jakiejś imprezie.

Oboje machnęli mundurowym swoimi odznakami i weszli na odgradzony teren. Peabody, z odświeżeniem ułożonymi ciemnymi włosami, w których połyskiwały czerwone pasemka, podeszła prosto do Eve i zwłok.

– Sorki, Dallas, byliśmy w klubie w East Side, dotarcie tutaj zajęło nam trochę czasu.

Eve krótko obrzuciła wzrokiem strój Peabody, łącznie z jej wyjściowymi szpilkami.

– Funkcjonariusze Frist i Nadir byli pierwsi na miejscu przestępstwa. Porozmawiaj z nimi, zacznij przesłuchiwać potencjalnych świadków. – Obejrzała się za siebie. – McNab, skoro już tu jesteś, sprawdź nagrania z kamer monitorujących.

– Tak jest.

– Peabody, zabezpiecz się i pomóż mi ją przekręcić na brzuch. Ofiara to Galla Modesto – zaczęła wyjaśniać i nie przerywając pracy, przekazała swojej partnerce to, co już zdążyła ustalić.

Po odwróceniu zwłok Eve nie stwierdziła żadnych innych ran ani obrażeń, ale zobaczyła małą kieszonkę z tyłu spodni do biegania.

– Karta magnetyczna – powiedziała do mikrofonu. – Body and Mind Fitness Center – odczytała, po czym umieściła kartę w torbie na dowody.

Zamknęła zestaw podręczny, wyjęła komunikator, żeby skontaktować się z technikami i kostnicą.

Kiedy się odwróciła, Roarke podał jej kubek czarnej kawy.

– Skąd to masz?

– Od przedsiębiorczego sprzedawcy. Mam nadzieję, że okaże się znośna.

Napiła się i wzruszyła ramionami.

– Da się przełknąć. Dzięki. Powinieneś wrócić do domu. Muszę porozmawiać ze świadkami, zawiadomić męża ofiary, wstąpić do siłowni, z której usług korzystała.

– Wydam polecenie, żeby podstawiono tu swój wóz, i załatwię transport dla siebie.

Napiła się jeszcze trochę ledwo znośnej kawy i spojrzała na niego.

Ta twarz. Ta twarz. Jeden z prawdziwych cudów natury, który na dodatek trafił się jej. Patrzył na nią tymi swoimi intensywnie niebieskimi oczami, ocienionymi rzęsami równie jedwabistymi jak sięgające mu prawie do ramion czarne włosy. Miał usta wyrzeźbione przez wyjątkowo szczodre anioły. Zmysłowe rysy twarzy, które mógł wymyślić tylko romantyczny poeta. Jeśli dodać do tego śpiewne irlandzkie tony w jego głosie, otrzymywało się wyjątkowy pakiet.

– Zawsze użyteczny.

Rozciągnął w uśmiechu swoje perfekcyjne usta.

– Wszyscy robimy to, co do nas należy. Będę pod ręką, póki nie pojawi się twój wóz. – Obrzucił roztargnionym wzrokiem tłum za barierkami. – McNab powinien wkrótce wrócić z nagraniami z kamer monitorujących, więc...

Zauważyła, że zmrużył oczy, pojawiło się w nich coś mrocznego.

– O co chodzi? – Natychmiast się odwróciła, żeby spojrzeć w tym samym kierunku. – Co takiego zobaczyłeś?

– Kogoś, kogo kiedyś znałem.

Nim zdążyła znów się odezwać, oddalił się szybko, ale spokojnie.

– Kurde. – Skinęła na mundurowego, żeby popilnował zwłok, i ruszyła za Roarkiem, lecz akurat wtedy pojawiła się przed nią Peabody.

– Mamy kilku świadków, którzy widzieli, jak upadała, i jednego, który tego nie widział, ale twierdzi, że przyszła tu, by się z nim spotkać. Jest zdruzgotany, więc przypuszczam, że coś ich łączyło.

– Przesłuchajmy go w pierwszej kolejności.

Co, u diabła, robi Roarke?, zastanawiała się.

Przecisnął się przez tłum. Potrafił szybko się przemieszczać w ludzkiej ciżbie. Kiedyś po takim spacerku miałby kieszonkę pełną tego, co wyciągnąłby niczego niepodważającym frajerom.

Ale chociaż szedł szybko, czujnie się rozglądając, nie dostrzegł więcej tamtej twarzy.

Przeklęty cień z przeszłości, pomyślał Roarke, spoglądając w mrok, gdzie nie było tłumów, skrzyża się fontanna, stały puste ławki. Rozmyślnie mu się pokazał.

Drwina. Coś w rodzaju pokazania środkowego palca, bo – znów rozmyślnie – znajdował się wystarczająco daleko, żeby z łatwością rozpląnąć się w ciemnościach i znów zniknąć.

No cóż, jeśli ten pieprzony łajdak chce się ujawnić i z nim poigrać, bardzo chętnie weźmie udział w tej grze.

– Jesteśmy teraz daleko od zaułków Dublina, chłoptasiu – mruknął i zawrócił.

Świadek, Marlon Stowe, dygotał, łzy płynęły mu po twarzy, więc Eve zaprowadziła go do jednej z ławek.

Po trzydzieście, oceniła, prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, gęste, jasne włosy, brązowe oczy, szczeciasta kozia bródka.

– Umówił się pan tu z panią Modesto?

– Tak, koło fontanny. Powiedziała, że postara się przyjść kwadrans po dziesiątej, najpóźniej o wpół do jedenastej.

Ponieważ miał na sobie czarne spodnie, cienki czarny sweter i czarne buty za kostkę, uznała, że nie planowali wspólnego biegania.

– Dlaczego się państwo umówili?

Przesunął ręką po twarzy. Na kciuku miał smugę niebieskiej farby.

– Mieliśmy romans. Poznaliśmy się zeszłego lata. Galla kupiła jeden z moich obrazów. Wystawiałem swoje prace na ulicy, spodobał jej się obraz, który namalowałem w Toskanii. Jest... Znaczy się, jej rodzina pochodzi z Toskanii, Galla powiedziała, że ten obraz budzi w niej miłe wspomnienia. Wpadła kilka razy do galerii i... Zakochaliśmy się.

– Pozostawał pan w uczuciowym i intymnym związku z panią Modesto.

– Zakochaliśmy się – powtórzył. – Czasami umawialiśmy się tutaj, by posiedzieć i porozmawiać. Czasami szliśmy do mnie. Wiedziałem, że jest mężatką, wyznała mi to. Nigdy się nie okłamywaliśmy. Ma małego synka. Chciała odejść od męża, lecz z uwagi na synka... Chciała odejść od męża, nawet rozmawiała ze swoim prawnikiem, lecz...

Ukrył twarz w dłoniach.

– Podczas naszego ostatniego spotkania oświadczyła, że to koniec. Oboje wiedzieliśmy... Od samego początku oboje wiedzieliśmy, że to nie będzie trwało wiecznie. Przede wszystkim musiała myśleć o synku. Musiała spróbować ratować swoje małżeństwo.

– Ale zgodziła się spotkać tu z panem dziś wieczorem.

– Poprosiłem ją o to. Nie, żeby być razem. Tylko żeby się pożegnać. Chciałem jej coś dać.

– To znaczy co?

Otworzył torbę, którą miał przy sobie, wyjął z niej pakunek, zawinięty w gruby, brązowy papier.

– Obraz. Stanowi dopełnienie tego, który kiedyś kupiła. Pomyślałem sobie: tamten był pierwszy, ten będzie ostatni.

– Musiał się pan zuć zraniony. I odczuwać złość.

Pokręcił głową i do oczu znow napłynęły mu łzy.

– Kochałem ją. Wiedziałem, że jest mężatką, ma dziecko. Nigdy mnie nie okłamywała. Nigdy mi niczego nie obiecywała. I... – wziął głęboki oddech – wiedziałem, że mnie kocha. Nie mogła ze mną być, ale mnie kochała. Gdybym jej nie poprosił dziś wieczorem o spotkanie tutaj...

Załała się, więc Eve spojrzała na Peabody, pocieszycielkę.

– Marlonie. – Peabody usiadła obok niego. – Nie możesz winić siebie, ale może uda ci się nam pomóc. Czy ktoś wiedział, że dziś wieczorem miałeś się tu spotkać z Gallą?

– Nie. Byliśmy ostrożni. Utrzymywaliśmy naszą znajomość w tajemnicy. To była... – Nasadą dłoni wytarł twarz. – To była nasza prywatna sprawa. Galla miała poinformować męża, że idzie poćwiczyć na siłowni. Na krótko, sama. Czasami tak robiła, więc nie byłoby to nic podejrzanego. Nie powiedziałałaby nikomu, że tu przyjdzie. Ja nikomu tego nie zdradziłem.

– W jaki sposób się porozumiewaliście?

– Pisaliśmy SMS-y.

– Kiedy zakomunikowała panu, że chce zakończyć waszą znajomość?

– W zeszłym tygodniu. Przyszła do mnie i mi powiedziała. Kochaliśmy się ostatni raz. Dziś ukończyłem obraz, więc wysłałem jej SMS i poprosiłem, żeby tu przyszła, bym mógł jej go подарować. By łatwiej było mi się z nią pożegnać.

– Kiedy się tu spotykaliście, czy kiedykolwiek zauważył pan, by ktoś zwracał uwagę na nią, na państwa?

– Nie. To takie dobre miejsce. Zawsze czuliśmy się tu bezpiecznie.

– A kiedy odwiedzała pana? – Eve znow skupiła jego uwagę na sobie. – Czy kiedykolwiek zauważył pan kogoś na ulicy, kogoś, kto sprawiał, że poczuł się pan nieswojo?

– Nie. Mieszkam w Village w małym lofcie nad galerią. Pracuję tam, zarządzam wystawy, udzielam lekcji. Mogła mnie odwiedzać tylko raz w tygodniu, czasami dwa razy. Ale zwykle mogła się wyrwać z domu raz w tygodniu, kiedy jej synek był na spacerze z opiekunką albo na przyjęciu dla dzieci. Mieliśmy dla siebie tylko godzinę, może dwie. Staraliśmy się maksymalnie wykorzystać ten czas. Wiedzieliśmy, że nie będziemy go mieli wiele.

– Czy kiedykolwiek powiedziała panu, że czuje się zagrożona albo że ktoś jej groził?

– Nie, nie. Na Boga, nie.

– Czy kłóciła się z mężem?

Niemal machinalnie potarł palcami powieki.

– Właściwie nie, nigdy o tym nie mówiła. Bardziej pochłaniała go praca i zachowywanie pozorów. No wie pani, jak się razem prezentują, kiedy gdzieś się pojawiają. Chciała wrócić do Toskanii, zabrać ze sobą synka. Żebyśmy mogli tam zamieszkać. Marzyliśmy o tym, chociaż wiedzieliśmy, że to tylko marzenie.

Wcisnął Eve obraz.

– Weźmie go pani? Nie mogę na niego patrzeć. Nie chcę go. To zbyt bolesne.

– Peabody, wypisz panu Stowe'owi pokwitowanie na obraz. Na razie to jeden z dowodów.

– Nie chcę go. – Znów zaczął płakać. – Nie mogę go sprzedać. Proszę go zatrzymać.

– Nie wolno nam tego zrobić. Ale coś wymyślimy. Detektyw Peabody da panu pokwitowanie i zapíše pańskie dane kontaktowe.

Eve dostrzegła Roarke'a i przekazała obraz Peabody.

– Nie będziemy pana dłużej zatrzymywać. Czy podwiezie pana?

– Nie, nie. Pójdę piechotą.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia, panie Stowe. Może się pan skontaktować ze mną albo detektyw Peabody, jeśli przypomni pan sobie coś, co mogłoby pomóc w dochodzeniu.

Wstała, pospiesznie podeszła do Roarke'a.

– O co chodzi? – spytała go. – Jesteś wkurzony. Groźny Roarke wkurzony?

Ujął ją pod ramię.

– Przejdźmy się.

– Nie mogę ot tak...

– Chodź ze mną. – Ujął ją mocniej i zabrał z miejsca przestępstwa. – Lorcan Cobbe – powiedział. – Sprawdź go. Jest z Dublina. Trzy, cztery, może pięć lat starszy ode mnie.

– To jeden z twoich dawnych przyjaciół?

– Wprost przeciwnie. – Zaprowadził ją tam, gdzie nie docierało światło reflektorów, więc stali w mroku. – Pracował dla mojego ojca, a ponieważ nie miał smykałki do kradzieży, a wyróżniał się brutalnością, zajmował się wymuszaniem, zastraszaniem, pomagał przy ściąganiu haraczy za „ochronę”. Możemy porozmawiać o tym później, jeśli zechcesz, ale przyjrzyj mu się. I zachowaj ostrożność.

Położył dłonie na jej ramionach.

– Wyjątkową ostrożność, Eve.

– Dlaczego?

– Gdyby mógł, ugodziłby mnie prosto w serce, ale jeszcze większą przyjemność sprawiłoby mu odebranie życia tym, na których mi zależy. Jest i zawsze był zabójcą.

– I zauważyłeś go na miejscu przestępstwa.

– Widziałem go. Upewnił się, że go zobaczyłem. O tak, już się o to postarał, przekłety drań.

Znów rozejrzał się po parku, chociaż wiedział, że nie ujrzy jego twarzy ponownie. Nie dzisiejszego wieczoru.

– Uwierz mi, że nie musiałem widzieć, jak wbija nóż tej kobiecie, by mieć pewność, że to jego dzieło. To twój sprawca.

– Dlaczego zabił akurat ją? Nie mógł wiedzieć, że tu będziesz.

– Tak się akurat dla niego szczęśliwie złożyło. Zabija dla przyjemności i zysku, Eve. Działa głównie w Europie, ale to raczej nie pierwsza jego robota w Stanach. Nie słyszałem, by wcześniej przejeżdżał do Nowego Jorku, przynajmniej nie służbowo, a sądzę, że wiedziałbym o tym. Ale teraz tu jest.

Zaniepokoiło ją to, co powiedział. Rzadko widziała go tak poruszonego, więcej niż zagniewanego. Dlatego zastanowiła się nad tym i potraktowała jego słowa poważnie.

– Opisz mi go. Opisz, jak dziś wyglądał.

– Ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, mocnej budowy ciała, szeroki w barach, jasnobrązowe włosy związane na czubku głowy. Jasna karnacja, gładko ogolony. Miał na sobie czarne spodnie, koszulę i czerwoną kurtkę. Wyszedł z tłumu, żeby go zobaczyć, patrzył mi prosto w twarz. Uśmiechał się.

Przesunął dłońmi w dół i w górę jej ramion.

– Zorientuj się, ile dla mnie znaczysz. Jeśli jeszcze tego nie wie, postara się dowiedzieć.

– Dlaczego tak bardzo cię nienawidzi?

– Dlaczego? Twierdzi, że jest synem Patricka Roarke'a, a ponieważ jest starszy ode mnie, więc jego pierworodnym.

– A jest?

– To mało prawdopodobne, chociaż przypuszczam, że nie można tego wykluczyć. Mało prawdopodobne, bo stary lubił go o wiele bardziej niż mnie, a gdyby w jego żyłach płynęła krew mojego ojca,

przygarnąby go. Ale w tej chwili to nie ma znaczenia. Z całą pewnością nie znalazł się w parku przypadkiem, kiedy kobiecie – bogatej kobiecie – rozplątano brzuch. A patroszenie, podcinanie gardel, wypruwanie wnętrzości to ulubione zajęcia Lorcana Cobbe’a.

– No dobrze, sprawdzę go. Wydam polecenie, żeby go odszukano.

Ujął jej twarz w obie dłonie, zanim mogła się sprzeciwić.

– I bądź ostrożna. Wyjątkowo ostrożna.

– Dobrze – powiedziała, wiedząc, że Roarke chce to usłyszeć. – Ty też.

– Nie będzie mnie próbował dorwać od razu, bo to żadna frajda. Muszę się skontaktować z kilkoma osobami.

– Będziemy musieli o tym porozmawiać bardziej szczegółowo.

– I porozmawiamy. Twój wóz już tu jest. – Wskazał w stronę łuku. – Do zobaczenia w domu.

Spoglądając z nim, uświadomiła sobie, że czuje niepokój, ponieważ Roarke jest zaniepokojony.

Małżeństwo, pomyślała. Potrafi zupełnie człowiekowi spięprzyć życie.

– Pani porucznik. – McNab zbliżył się tanecznym krokiem, długie, jasne włosy związane w kucyk poruszały się w rytm jego kroków. – Mam dyski z kamer monitorujących. Już obejrzałem nagranie zabójstwa.

– Mamy nagranie zabójstwa?

– Tak i nie. Śmiem twierdzić, że zabójca wiedział, gdzie są rozmieszczone kamery, i nie pokazał twarzy. Ale widać, jak pojawia się ofiara, a po chwili przecina jej drogę najprawdopodobniej mężczyzna, jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu, z dziewięćdziesiąt kilo wagi, w czarnych spodniach, w czarnej bluzie z kapturem. Widać go z tyłu, więc nie można ze stuprocentową pewnością określić wieku, rasy ani nawet płci.

McNab obejrzał się za siebie, kiedy ekipa z kostnicy umieszczała zwłoki w worku. Kilka kolorowych kół załśniło w jego uchu.

– Ręce trzymał w kieszeni, głowę miał spuszczoną, szedł prosto na nią. Zatrzymała się. Widać, jak gwałtownie uniosł prawą rękę, a potem się cofnął. Poszedł dalej, a kobieta się zatoczyła. Jeszcze zanim upadła, pojawiło się mnóstwo krwi. Potem widać dwoje ludzi, biegnących w jej stronę. Jeden z nich odwrócił ją i zaczął krzyczeć. Ale wtedy sprawca był już poza zasięgiem kamery.

– Weź dyski i przeanalizuj nagrania. Potrzebne mi będą kopie. Ze wszystkich kamer.

– Jasne. Sądząc po tym, jak do niej podszedł, musiał na nią czekać, Dallas. Nie było w tym nic przypadkowego. Zrobił to celowo. Takie odnosi się wrażenie.

Może McNab ubiera się jak cyrkowy kłown, ale Eve wiedziała, że świetny z niego gliniarz.

– Nie, nie sądzę, że to było przypadkowe. Peabody – zwróciła się do swojej partnerki, kiedy ta do nich dołączyła.

– Rozmawiałam z kilkoma osobami i z dwójką gliniarzy, którzy przesłuchali świadków. Większość niczego nie widziała ani niczego nie zauważyła, póki ofiara nie upadła, ale dwoje zeznało, że widziało mężczyznę w czarnej bluzie z kapturem, oddalającego się z miejsca, gdzie leżała kobieta. Nie potrafiały powiedzieć nic więcej poza tym, że miał na sobie znoszoną bluzę i przypuszczają, że to mężczyzna.

– To się zgadza z nagraniem z kamery. McNab, przeglądając dyski, szukał mężczyzny wzrostu i budowy, jakie opisałeś, białego, trzydziesto-, czterdziestoletniego, z jasnobrązowymi włosami związanymi na czubku głowy, w czerwonej kurtce. Oznacz wszystkie nagrania, na których go wypatrzysz.

– Dobra. Czy to nasz podejrzany?

– To wielce prawdopodobne. Nazywa się Lorcan Cobbe, pochodzi z Dublina. Roarke dostrzegł go w tłumie i rozpoznał. To zawodowiec.

– Mogę tu zostać i zacząć oglądać nagrania na przenośnym sprzęcie – powiedział McNab.

– Świetnie. W takim razie do roboty. Peabody, sprawdź męża ofiary, Jorge Tweena. I trzeba go poinformować, co się stało.

– Jeśli ktoś wynajął zabójcę... – zaczęła Peabody.

– Mążonek jest podejrzanym numer jeden – dokończyła Eve.

Jej wóz czekał przy krawężniku, zgodnie ze słowami Roarke’a. Wsiadła i pomyślała chwilę.

– Cobbe’a też sprawdzimy, roześlij komunikat, że jest poszukiwany, ale najpierw przekonajmy się, z kim teraz porozmawiamy.

Peabody zajęła miejsce w fotelu dla pasażera i niezbyt dyskretnie uwolniła stopy od czółenek, McNab usiadł z tyłu.

– Tween ma czterdzieści dwa lata, jest wiceprezesem Modesto odpowiedzialnym za dystrybucję. Pracuje dla nich od szesnastu lat. Ma czystą kartotekę. Poślubił Gallę Modesto sześć lat temu. Wcześniej nie był żonaty, ani ona zamężna. Mają czteroletniego syna Angelo.

Eve uruchomiła silnik i ruszyła do znajdującej się w pobliżu rezydencji Modesto i Tweena.

– Kupili ten dom pięć lat temu. Tween urzęduje w centrali firmy w Nowym Jorku. Jego majątek wyceniany jest na prawie dziewięć milionów.

– Ona ma ponad dziesięć razy tyle – przypomniała sobie Eve. – To doskonały motyw, jeśli dodać do tego, że miała romans.

– Ale go zakończyła – zwróciła jej uwagę Peabody, lecz Eve tylko pokręciła głową.

– Miała romans, a co więcej, jeśli Stowe nie kłamie, zakochała się w nim. Zlecenie zabójstwa wymaga trochę czasu. I czy rezygnujesz z usług płatnego zabójcy, ponieważ żona zakończyła romans? Czy można mieć pewność, że to zrobiła? Czy wszystko wyznała? Wątpię. Poza tym co mogłoby ją powstrzymać przed zmianą decyzji, powrotem do kochanka malarza, zabranie należącej do niej góry pieniędzy i przeprowadzką do Włoch?

Kiedy Eve wcisnęła się w niewielką lukę przy krawężniku, Peabody z ociąganiem z powrotem wsunęła stopy w czółenka.

– Zostanę w wozie – powiedział McNab z tylnego siedzenia. – Szczególnie, jeśli mi pozwolisz wziąć z lodówki jakiś napój gazowany.

– Nie krępuj się.

Uśmiechnął się czarująco.

– Może znajdują się też czipsy.

– Nie mam pojęcia, co jest w autokucharzu. – Eve wysiadła, zostawiając sprawdzenie tego McNabowi.

Peabody nawet nie ukryła grymasu, kiedy ruszyły chodnikiem.

– Dlaczego włożyłaś te kretyńskie czółenka?

– Bo są ładne. Wybraliśmy się na tańce. Kiedy idziesz potańczyć, musisz mieć ładne pantofle. Nie wiedziałam, że będę musiała w nich paradować na służbie.

Jęknęła cicho.

– Są piekielnie niewygodne.

– Zaciśnij zęby.

– Już je zacisnęłam. Czyli Roarke zna tego Cobbe'a z Irlandii?

– Poznał go w Dublinie, kiedy był dzieckiem. Później poznam więcej szczegółów, na razie wiem, że Cobbe chciał, by Roarke go zobaczył. Postarał się o to. Według Roarke'a to urodzony morderca. A zabicie to jego zawód. Później poznam więcej szczegółów – powtórzyła i zatrzymała się przed budynkiem, żeby mu się przyjrzeć.

Liczył trzy kondygnacje, wzniesiono go z pobielonych cegieł, był elegancki i miał nieodparty urok. Dioda alarmu świeciła bladozielono, ale lampy po obu stronach drzwi frontowych były zgaszone.

Lampy, które powinny witać przybyszy.

W oknach było ciemno, czyli nikt nie czekał na kobietę, która już nigdy nie wróci do domu. Kwiaty wysypywały się z malowanych pojemników w oknach po obu stronach wejścia.

Poczuła ich delikatną, słodką woń, kiedy weszła po stopniach i nacisnęła guzik dzwonka.

Mieszkańcy domu udali się na nocny spoczynek. Proszę zostawić nazwisko i dane kontaktowe. Jeśli sprawa jest pilna...

– Policja – przerwała Eve komputerowi, pokazała odznakę. – Poinformuj Jorge Tweena, że policja nowojorska musi z nim porozmawiać.

Proszę określić charakter sprawy.

– Twoje obwody będą wymagały pilnej naprawy, jeśli nie poinformujesz pana Tweena, że policja nowojorska stoi na progu jego domu. Przeskanuj odznakę i wykonaj polecenie.

Promień skanera przesunął się po odznace.

Zweryfikowano tożsamość porucznik Eve Dallas. Proszę zaczekać.

– Nienawidzę tych przeklętych urządzeń.

– Sama masz zainstalowane te przeklęte urządzenia. No wiesz, w bramie i w...

– To nie znaczy, że nie mogę ich nienawidzić. Wszystkie światła w domu są zgaszone – zauważyła Eve. – Twoja żona idzie na siłownię, nie wraca, powiedzmy, po godzinie. A ty gasisz wszystkie światła i kładziesz się spać?

– Coś mi tu nie gra – zgodziła się z nią Peabody. – Nawet gdy jesteście na siebie wkurzeni, tak się nie postępuje. Jeśli ktoś jest poza domem, powinny się palić przynajmniej lampy przy wejściu. Kto postępuje inaczej?

– Ktoś, kto się nikogo nie spodziewa. To drobiazg. To zupełny drobiazg.

W środku zapaliło się światło, które zaalało falą kolorowe kwiaty w oknach. Szczęknęły zamki.

W otwartych drzwiach ujrzały pięćdziesięcioletnią kobietę w ciemnoniebieskim szlafroku. Ciemne włosy wylały się wokół jej twarzy. W brązowych oczach malowały się strach i niepokój.

– Panie są z policji?

– Zgadza się, proszę pani. – Eve znów uniosła swoją odznakę. – Musimy porozmawiać z panem Tweenem.

– Och! Obudził mnie alarm. Jestem gospodynią. Proszę wejść.

Mówiła z włoskim akcentem, paznokcie u nóg miała pomalowane na jaskrawoczerwony kolor.

Po obu stronach wejścia stały wąskie stoliki, na nich umieszczono długie, fioletowe kwiaty w wysokich, smukłych wazonach, odbijających się w wysokich lustrach. Podłoga wyłożona była płytkami ceramicznymi koloru złotego piasku.

– Proszę, mogą pani usiąść w salonie. – Ruszyła przodem, wskazując im drogę. – Napiją się panie kawy? Herbaty?

– Nie, dziękujemy. Czy mogłaby pani podać nam swoje nazwisko?

– Naturalnie. Elena Rinaldi, gospodyni. Proszę usiąść. Zawiadomię pana Tweena. On i pani Modesto już śpią. Jest bardzo późno.

– Pani Rinaldi, kiedy ostatni raz widziała pani pana Tweena albo panią Modesto lub rozmawiała pani z nimi?

– Ach... Chyba o dziewiątej wieczorem. Tak, koło dziewiątej, nim udałam się na noc do swoich pokoi. Proszę usiąść – powtórzyła i wyszła.

– Zanim Modesto opuściła dom – mruknęła Peabody.

– Taa. – Eve rozejrzała się po salonie.

Dużo kwiatów – ktoś ma do nich słabość. I dość oficjalny wystrój: kremowe kanapy, niebieskie fotele, stoliki z lekkim złotawym połyskiem. Złota, bogato zdobiona rama dużego, owalnego lustra nad kominkiem z białego marmuru, do którego wstawiono świece i wiosenne kwiaty.

Obrazy przedstawiały włoskie pejzaże. Dachy pokryte czerwoną dachówką, mury ozdobione stiukami, wielkie kopuły katedr. Wzgórza i wiejskie domy. Rozpoznała Toskanię, bo tam była. I Hiszpańskie Schody w Rzymie.

Podeszła do jednego obrazu, przedstawiającego Toskanię – wzgórze, wysokie, smukłe drzewa, winnice ze zwisającymi fioletowymi kiściami winogron, krętą drogę, prowadzącą do bladoróżowego domu w kwiatkach mieniących się wszystkimi kolorami tęczy.

A w rogu podpis artysty.

M. Stowe.

– Całkiem niezły – stwierdziła Peabody. – Drugi wysłałam do komendy, nie rozpakowując go. Byłaś tam, prawda?

– Taa.

– Czy naprawdę tak tam jest?

– Owszem. To jej pokój.

– Dlaczego tak uważasz?

– Jest urządzony oficjalnie, a zarazem elegancko. Kwiaty, obrazy – szczególnie ten. Parę zdjęć. – Eve wskazała ręką fotografie. – Dzieciaka, jej z dzieciakiem, ale nie jej męża. Najprawdopodobniej jej krewnych, ale bez niego. Te bibeloty są bardzo kobiece.

Peabody się rozejrzała, zmarszczywszy czoło.

– Masz rację. To wszystko jest kobiece. Nie nazbyt ozdobne, ale kobiece.

– Ten tablet na stoliku obok krzesła naprzeciwko obrazu Marlona Stowe'a? – Eve wskazała go ręką. – Mogła przy nim przesiadywać, czytać, pracować i spoglądać na obraz. Myśleć o swoim kochanku. Myśleć o domu rodzinnym.

– To salon, gdzie przyjmują gości – dodała Eve. – Ale przede wszystkim jej pokój.

Eve, czekając na spotkanie z Jorge Tweenem, odwróciła się, kiedy usłyszała kroki.

2

Średniego wzrostu i przeciętnej budowy ciała, stwierdziła Eve. Jasnoblond włosy zaczesane do tyłu odsłaniały przystojną twarz pokrytą złotą opalenizną, raczej o miękkich niż ostrych rysach, z głęboko osadzonymi, sennymi, niebieskimi oczami.

Był ubrany w czarne dresowe spodnie z lekkim połyskiem, biały pulower i czarne domowe pantofle.

Na jego twarzy malowała się pręcej irytacja niż niepokój.

– Ponieważ pierwszy raz zostałem obudzony w środku nocy przez policję, chciałbym sprawdzić tożsamość pań.

Spokojny, łagodny głos, pasujący do wyglądu mężczyzny, uznała Eve, kiedy razem z Peabody pokazały swoje odznaki.

– Porucznik Dallas, detektyw Peabody – powiedziała. – Panie Tween, mamy do przekazania przykrą wiadomość. Z zalem informujemy, że pańska żona, Galla Modesto, nie żyje. Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

– Cóż za absurd – odparł, pstrykając palcami. – Moja żona śpi na górze.

– Czy sprawdził pan to przed zejściem tutaj?

– Nie muszę sprawdzać tego, co wiem. To pomyłka.

– Panie Tween, czy pańska żona wychodziła dziś wieczorem?

– Nie wiem, dlaczego to panie interesuje, ale owszem, poszła na siłownię, jak to czasami robi wieczorem przed snem. Twierdzi, że ćwiczenia pomagają jej usnąć.

– O której godzinie wróciła?

– Nie wiem. Bolała mnie głowa, wzięłem tabletkę i położyłem się do łóżka. Czasami cierpię na migrenę. Wiedząc o tym, Galla po powrocie z siłowni skorzystała z jednego z pokoi gościennych.

– Czyli nie widział pan żony, odkąd opuściła dom? Która to była godzina?

– Nie wiem. – W jego głosie dało się słyszeć czystą irytację, bez śladu niepokoju czy obawy. – Koło dziesiątej.

– O dwudziestej drugiej osiemnastcie Galla Modesto zmarła w Washington Square Park w wyniku dźgnięcia nożem w brzuch. Jej zwłoki zostały oficjalnie zidentyfikowane.

– To niemożliwe – oświadczył, kiedy Eve wyjmowała swoją komórkę.

Wyświetliła zdjęcie ofiary, zrobione na miejscu zbrodni, i pokazała mu je.

– Czy to pańska żona?

Wpatrywał się w zdjęcie przez dłuższą chwilę, nim się odwrócił, podszedł do fotela, usiadł.

– Jak mogło do tego dojść? – Przyłożył dłoń do czoła, osłaniając twarz, spuścił wzrok. – Ktoś... Ktoś napadł na Gallę?

Eve postanowiła nie czekać na pozwolenie i usiadła, dając znak Peabody, by uczyniła to samo.

– Czy zna pan kogoś, kto chciałby ją skrzywdzić?

– Czemu ktokolwiek miałby chcieć ją skrzywdzić? Nie rozumiem, to bardzo bezpieczne okolice. Miała do przejścia tylko kilka przecznic. Zawsze nosi przy sobie alarm osobisty. Kto jej to zrobił? Kto?

Opuścił rękę. Nie udało mu się zmusić do płaczu, ale całkiem udanie okazał rozpacz.

– Jeszcze nie zidentyfikowano napastnika. Analizujemy nagrania z kamer. Nie wiedział pan, że żona zamierzała pójść do parku?

– Do parku? – Odwrócił wzrok. – Powiedziała, że idzie na siłownię. Nie wiem, dlaczego poszła do parku. Przypuszczam, że chciała zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie wiem.

– Nie wiedział pan, że zamierzała udać się do parku, żeby się tam z kimś spotkać?

– Spotkać z kimś? Z kim? Czy to on ją zabił?

– Nie, osoba, z którą się umówiła, nie jest podejrzana. Panie Tween, czy wiedział pan, że pańska żona miała romans?

– Jak można twierdzić coś tak obrzydliwego! – Wściekłość sprawiła, że poczerwieniał na twarzy, zniknęły z niej drobne oznaki rozpacz. – Obrażacie moją żonę, matkę mojego dziecka.

– Dysponujemy bezspornym dowodem. Twierdzi pan, że o niczym pan nie wiedział?

– Ma pani czelność siedzieć tu po tym, jak powiadomiła mnie pani, że ktoś zamordował moją żonę, i nazywać ją dziwką?

– Panie Tween, przykro mi, że użył pan określenia, które nie padło z moich ust. – Ale, pomyślała Eve, załóżę się, że właśnie tak o niej myślisz. – Jak opisały pan wasze małżeństwo?

– Nie będę z panią rozmawiał o swoim małżeństwie. – Wstał. – Chcę, żeby panie opuściły mój dom.

– Wiem, że jest panu ciężko, ale to rutynowe postępowanie. Zadawane przez nas pytania pomogą nam znaleźć osobę, która odebrała życie pańskiej żonie i matce pańskiego dziecka.

– Czy przynieść panu trochę wody? – Peabody przemówiła głosem pełnym współczucia, spojrzawszy maślanym wzrokiem. – Przeżył pan wielki szok. Czy chce pan, żebyśmy się z kimś skontaktowały?

– Nie. Nie. Muszę pobyć sam. Potrzebuję czasu, żeby się z tym uporać. Proszę mnie zostawić.

– Naturalnie. – Peabody wstała, gładko wracając do roli dobrego, pełnego zrozumienia gliniarza. – Ale zanim to zrobimy, bardzo by nam pomogło, gdybyśmy dostały kopię nagrania z kamery, by móc dokładnie ustalić, kiedy pani Modesto wyszła z domu dziś wieczorem. Każda, nawet najdrobniejsza informacja, pomoże nam znaleźć sprawcę.

– Dobrze już, dobrze. – Wyciągnął z kieszeni komórkę, wstukał kod. – Uruchomiłem androida. Pokaże paniom centralkę, zajmie się wszystkim. A potem odprowadzi do wyjścia.

– Dziękujemy za pomoc – powiedziała Eve. – I jeszcze raz proszę przyjąć wyrazy współczucia. Gdyby przypomniał pan sobie coś, co mogłoby się okazać pomocne w naszym dochodzeniu, proszę się z nami skontaktować.

Mówiąc to, Eve od niechcenia rozejrzała się po pokoju.

– Ma pan piękny dom, panie Tween, widać tu miłość pańskiej żony do jej stron rodzinnych. Jaki cudowny obraz.

Podszła do dzieła Marlona Stowe'a i dostrzegła w oczach Tweena nie wściekłość, nie zazdrość, tylko satysfakcję.

*

Natychmiast po powrocie do domu Roarke sprawdził, co robi Summerset. Podszedł prosto do domowego skanera.

– Gdzie jest Summerset?

Dobry wieczór, Roarke. Summerset jest u siebie.

Zadowolony z informacji, wcześniej w drodze do domu skontaktowawszy się z tymi, z którymi uznał, że powinien się skontaktować, udał się na górę.

Minął gabinet swój i Eve, skierował się do swojego prywatnego gabinetu.

Wykorzystał odcisk dłoni i identyfikację głosem, by otworzyć drzwi.

– Włączyć światło – polecił i nalał sobie whisky. Za oknem rozciągał się widok miasta.

Potrzebował krótkiej chwili na ochłonięcie.

Eve sobie poradzi. Chociaż...

Ale teraz nie mógł się skupiać na takich rozważaniach.

Summerset jest bezpieczny u siebie, rano z nim porozmawia.

Zlecił kilku najlepszym ochroniarzom pilnowanie swoich krewnych w Irlandii.

Jeśli Cobbe wcześniej nic o nich nie wiedział, teraz z całą pewnością się nimi zainteresuje.

Rano skontaktuje się z innymi ważnymi dla siebie osobami, ale teraz musi trochę pokopać.

Podszedł do centrum dowodzenia swoim niezarejestrowanym sprzętem, o którego istnieniu nie wiedziała Straż Komputerowa. Położył dłoń na czytniku.

– Roarke. Uruchoić sprzęt.

Błysnęły diody, świecąc jak klejnoty na czarnym pulpicie kontrolnym.

Sprzęt uruchomiony...

Usiadł ze szklaneczką whisky.

– Otworzyć i wyświetlić na ekranie ściennym wszystkie pliki o Lorcanie Cobbie.

Potwierdzam. Otwieram. Wyświetlam...

Nie tracił ich z oczu. Człowiek przezorny i posiadający możliwości nie tracił z oczu swoich wrogów. Roarke mógł być przekonany, że Cobbe jest zbyt przezorny, by w tej chwili z nim zdrzeć. Jeśli źle ocenił sytuację, z pewnością teraz to naprawi.

Przewijał dane i czytał je, odświeżając znajomość faktów, które sam zebrał albo pozyskał ze źródeł Interpolu, CIA, MI6, NCA, irlandzkiego CSB i innych agencji.

Policja na całym świecie miała dane o Cobbie, wiedziała, że jest zabójcą działającym na zlecenie, albo podejrzewała go o to.

Jeszcze jako nastolatek zaliczył kilkanaście miesięcy odsiadki, bo okazał się na tyle głupi, by dać się złapać podczas obławy na nielegalną jaskinię hazardu – i za posiadanie bez zezwolenia kilku sztuk broni.

Roarke przypuszczał, że Cobbe dobrze wykorzystał te półtora roku, by nawiązać kontakty. Wkrótce po zwolnieniu Cobbe'a, człowieka, który poinformował policję o istnieniu jaskini hazardu, znaleziono w Sekwanie z podejrzanym gardłem.

Przyjemność, zysk, zemsta, pomyślał Roarke. Święta Trójca Cobbe'a.

Noże i inne ostre narzędzia pozostały jego ulubioną bronią – chociaż na początku nie stronił od kija baseballowego i zadawania kopniaków słabszym i bezbronnym ofiarom. Dla urozmaicenia stosował garotę.

Lubił zabijać z bliska, mieć bezpośredni kontakt z ofiarą. Brak było informacji, by kiedykolwiek posłużył się materiałami wybuchowymi albo jakąkolwiek bronią rażącą z daleka.

– Lubi krew – mruknął Roarke. – Lubi ją czuć na rękach, lubi jej zapach. Lubi patrzeć w oczy ofiar, kiedy ulatuje z nich życie. To go kręci.

– Komputer, wyświetl aktualny rysopis i nazwiska, pod jakimi występuje.

Potwierdzam. Otwieram. Wyświetlam... Lorcan Cobbe, urodzony 1 września 2020 roku w Dublinie, Irlandia. Włosy brązowe, oczy orzechowe, wzrost metr osiemdziesiąt trzy, waga 86 kilogramów. Brak stałego adresu zamieszkania. Konsultant.

– Konsultant, tak? Ładne określenie. Te dane są sprzed prawie roku. Poszukamy świeższych.

Roarke podwinął rękawy, wyjął z kieszeni rzemyk, związał nim włosy.

I wziął się do pracy.

*

Eve razem z Peabody wyszły z domu Tweena i skierowały się do wozu.

– Nie jest w tym zbyt dobry.

– Zgadzasz się. Nawet nie udało mu się uronić łzy. Nawet nie udawał, że je powstrzymuje. Niektórzy zachowują stoicki spokój, prawda? – powiedziała Peabody. – Ale to nie był stoicyzm.

– Nie był – zgodziła się z nią Eve. – Ani radość znajdująca się na drugim końcu skali. Tylko zadowolenie, że sprawa została załatwiona. Nie spytał, gdzie była jego żona, kiedy może ją zobaczyć, czy cierpiała. Zwyczajnie przestała dla niego istnieć. Trzeba będzie porozmawiać z gospodynią.

– Skontaktuję się z nią z samego rana.

– Nie wspomniał też ani słowem o krewnych ofiary. – Eve spojrzała na zegarek, pokręciła głową. – Powinno nam się udać utrzymać jej dane w tajemnicy do rana, więc porozmawiamy z nimi jutro.

– Mają mieszkanie tutaj – odczytała Peabody na swoim przenośnym komputerze. – Ale ich główna rezydencja jest we Florencji. Brat ofiary mieszka w Rzymie.

– Która godzina jest teraz we Włoszech?

– Hm.

– Nieważne. Zajmę się tym po powrocie do domu.

Otworzyła drzwi samochodu. McNab siedział z tyłu i siorbał napój gazowany.

– Dallas, mam dla ciebie kilka ujęć podejrzanego w czarnej bluzie z kapturem. Przesłałem je na twój domowy komputer. I w czerwonej kurtce. Zapisalem je dla ciebie. Kiedy jest w czerwonej kurtce, nawet nie próbuje ukryć twarzy.

Nachylił się i wyciągnął rękę, w której trzymał przenośny komputer, by pokazać na wyświetlaczu klatkę z nagrania.

Cobbe stał w tłumie, z kciukami zahaczonymi o kieszenie spodni. Uśmiechał się z wyższością.

– Pojawiał się w zasięgu kamer i znikał. Z całą pewnością wie, gdzie są rozmieszczone, i gdzie są martwe punkty. Wykorzystując jego twarz, a nawet sam opis kurtki, spodni, udało mi się go wypatrzeć, gdy był w zasięgu kamer. Ostatni raz namierzylem go o godzinie zero zero trzydzieści.

– Dobra robota. Podrzucę was do domu. Peabody, jeśli krewni ofiary są w Nowym Jorku, spotkamy się w ich mieszkaniu o ósmej. Dam ci znać. Jeśli przebywają we Włoszech, skontaktuję się z nimi telefonicznie. W takim wypadku spotkamy się w kostnicy. Rano zadzwoń do gospodyni, poproś, żeby stała się w komendzie. McNab, wyciśnij z komórki ofiary wszystko, co się da.

– Dallas, sprawdziłem pobieżnie tego Cobbe'a. Niezły z niego gagatek.

– Zapoznaj Peabody z tym, co ustaliłeś.

– Tween jest nie lepszy. – Peabody odwróciła się, żeby spojrzeć na McNaba. – To gagatek innego rodzaju, ale gagatek.

– Zapoznaj McNaba z tym, czego się dowiedziałaś.

W pobliżu ich mieszkania zjechała do krawężnika.

– Wynocha. Peabody, staw się punktualnie o ósmej tam, gdzie ci powiem.

– Tak jest.

– Och, masz w swoim autokucharzu osiem rodzajów chipsów – poinformował McNab Eve, wysiadając.

– Świetnie. No, już was nie ma.

W chwili, kiedy zatrzasnęły się drzwi, odjechała od krawężnika. Spojrzała w lusterko wsteczne, zobaczyła, jak idą, trzymając się za ręce.

W samochodzie unosił się zapach soli i cukru. Opuściła szybę, żeby wywietrzyć wóz, doszła do wniosku, że przyda jej się dawka energii. Zamówiła puszkę pepsi w samochodowym autokucharzu i postanowiła posłuchać, co wiadomo o Lorcianie Cobbie.

W taki sposób wykorzystywała czas przejazdu do centrum. Facet działał pod imponującą liczbą fałszywych nazwisk i podejrzany był o liczne czyny kryminalne popełnione w ciągu ostatnich trzydziestu lat.

Zaczął młodo, sondując mroczne wody, od napaści, włamań, rozbojów, znęcania się nad zwierzętami – najgorsze z najgorszych. Trafiał do poprawczaków, póki nie nabrał wprawy w przestępczym procedurze.

Wiedziała, że w Dublinie były to ciężkie czasy po okresie wojen miejskich, a korupcja w szeregach policji była powszechna.

Parę łągodnych wyroków – półtora roku za nielegalne posiadanie broni, kilka zatrzymań na czterdzieści osiem godzin – ale nie znalazła żadnego przypadku nadzoru sądowego. Żadnych badań psychologicznych ani obowiązkowej terapii.

Jego matka, Morna Cobbe, też zaliczyła odsiadki, głównie za uprawianie nierządu i posiadanie substancji zabronionych. Brak informacji o ojcu. Ale poczesne miejsce na liście znanych współników zajmował niejaki Patrick Roarke.

Cobbe znalazł swoje miejsce, kiedy był pod trzydziestkę, od tej pory lista znacznie się wydłużyła, chociaż były na niej luki. Podejrzany, niewystarczające dowody, świadkowie odwołujący zeznania. Bądź zmarli.

Albo znacznie się wyćwiczył w złodziejskim fachu, albo z niego zrezygnował, by skupić się na zabianiu.

Według zgodnej opinii licznych organów ścigania, Cobbe dość szybko został płatnym mordercą.

Teraz wkroczył na jej teren. Co więcej, mógł próbować wyrównać rachunki – prawdziwe albo wymaginowane – z jej mężem.

Przejechała przez bramę i ruszyła podjazdem do eleganckiej fortecy, wzniesionej przez byłego dublińskiego ulicznika.

Wieże i wieżyczki, gzymsy i kamienne mury składały się na baśniową budowlę majaczącą na tle nocnego nieba. Ale najlepsze było to, że w kilkunastu oknach paliły się światła, zapraszając do środka.

Miłość, która według niej czyniła z człowieka głupca, sprawiła, że Eve zapragnęła, by udało jej się zatrzymać Roarke'a w tej baśniowej fortecy do czasu, aż wytropi Cobbe'a i go aresztuje.

A miłość, oznaczająca pełną znajomość człowieka, z którym postanowiło się dzielić życie, no i darzenie go szacunkiem, sprawiała, że Eve rozumiała, iż Roarke nie tylko się nie ukryje, ale będzie aktywnie działał, by Cobbe trafił za kratki.

Jej osobistego eksperta i cywilnego konsultanta czekało sporo pracy.

Zaparkowała i złapała torbę z dokumentami. Przed pójściem spać musi wypisać na tablicy dotychczasowe ustalenia i założyć książkę sprawy. No i porozmawiać z Roarkiem.

Weszła do domu panowały w nim cisza i spokój. Summerset nie wślizgnął się do holu niczym opar. Eve przypuszczała, że z nim też trzeba będzie porozmawiać, ale zamierzała pozostawić to Roarke'owi.

Skierowała się na górę, wiedząc, że upłynie jeszcze parę godzin, nim będzie mogła się zdrzemnąć. Lecz kiedy weszła do swojego gabinetu, stwierdziła, że jest w nim cicho, a w przylegającym gabinecie Roarke'a – ciemno.

Prawdopodobieństwo, że udał się na nocny spoczynek, było bliskie zeru. W pierwszej chwili ogarnęła ją prawdziwa panika i znalazł ją zimny pot, kiedy wyobraziła sobie, jak Cobbe przyciął się, zastawivszy pułapkę na Roarke'a. Szybko skierowała się do domowego skanera. Akurat wtedy, gdy do niego dobiegła, wszedł Roarke.

– Kurde. – Może nie jest fizycznie możliwe, by serce odwróciło się górą do dołu, ale teraz wiedziała, jakie by to było uczucie. – Jezuu.

By odreagować, ujęła jego twarz w obie dłonie i pocałowała go mocno.

– Ja też cię witam. – Przesunął dłońią po jej włosach, nim dotknął czołem jej czoła. – Cieszę się, że jesteś w domu.

– Ja też. Muszę się napić kawy.

– Mógłbym ci zwrócić uwagę, że jest bardzo późno, ale co by to dało? Rozmawiałaś z mężem ofiary?

– Taa. – Podeszła do swojego centrum dowodzenia, odłożyła torbę z dokumentami. I włączyła auto-kucharza, by zaparzył kawę. – Niezbyt często ktoś, kto jest winny, bo tak ci podpowiada przeczucie, od samego początku wygląda na winnego i zachowuje się jak winny.

Z kawą w rękę zaczęła chodzić po gabinecie.

– Wszystkie światła w domu pogaszone, nawet te koło drzwi wejściowych. Twierdził, że bolała go głowa, łyknął tabletkę i położył się do łóżka zaraz po tym, jak żona wyszła na siłownię. Potem upierał się, że zwariowałyśmy, bo żona śpi na górze. W jednym z pokoi gościnnych, ponieważ nie chciała mu zakłócać spokoju, wiedząc, że boli go głowa.

– Ten dupek nawet się nie zdobył na to, by udać szok i rozpacz – ciągnęła. – Sądzę, że próbował, ale bez skutku. Poczul się znieważony, kiedy go poinformowałyśmy o romansie żony, i kazał nam się wynosić. Nie spytał, jak dokładnie zmarła, gdzie była, kiedy może ją zobaczyć. Nie wspomniał, że trzeba będzie powiadzić o tym ich synowi, jej krewnym.

Oparła się o konsolę.

– Facet, z którym się pieprzyła, to malarz. Jeden z jego obrazów powiesiła w salonie. Jedyną prawdziwą reakcją, jaką zobaczyłam, była satysfakcja Tweena – w okamgnieniu – kiedy pochwaliliam obraz. Mogę się założyć, że gdybym teraz weszła do tamtego pokoju, obrazu już by nie było.

– Zapłacił Cobbe'owi za jej zabicie. Teraz muszę to udowodnić. – Napiła się kawy, przyglądając się Roarke'owi. – Pomoże mi w tym to, co wiesz.

– Chciałbym, żeby tak było. Mimo późnej pory chcesz rozmieścić informacje na tablicy i założyć książkę sprawy. Pozwól mi zająć się tablicą – już wiem, jak to zrobić – i wysłuchaj tego, co mogę ci powiedzieć o Cobbie.

– Dobrze. – Uruchomiła swój komputer.

Ponieważ wiedział, że Eve woli mieć wszystko na papierze niż na monitorze, usiadł przy drugim komputerze, by wydrukować zdjęcia.

– Jeśli są na świecie jakieś organy ścigania albo agencje wywiadowcze, które nie mają pojęcia o istnieniu Lorcana Cobbe'a, nie słyszałem o nich. Głównie działa w Europie, ale kilka razy zapuścił się dalej. Nie ma stałego adresu zamieszkania, przynajmniej nikt go nie zna. Ma swoje kryjówki, gdzie się chowa pomiędzy zleceniami, i z pewnością są one okazałe. Zawsze chciał prowadzić beztrudne życie, a uwzględniając honoraria, jakie inkasuje, stać go na luksusy.

Spojrzała na niego.

– Dotarłeś do jego honorariów?

– Jeszcze nie. Ale mogę cię zapewnić, że uwzględniając zabójstwa, o które jest podejrzewany w ciągu ostatnich piętnastu lat, wszystkie mają związek z osobami majątymi i prominentnymi. Nikt za marne grosze nie podciąłby gardła ciężarnej przyjaciółce wiceprezydenta Grecji, człowieka bogatego i o sporych ambicjach.

Zmrużyła oczy.

– Nie natrafiłam na tę sprawę, kiedy szukałam informacji o Cobbie. A powinno coś o tym być w jego aktach.

– Skorzystałem z niezarejestrowanego sprzętu. Polityk jest wystarczająco bogaty i wpływowy, by zatuszować tę sprawę w Grecji, ale Interpol jest bardzo docieklivy. Może nie będziesz mogła wykorzystać części faktów, które znajduję, ale powinnaś o nich wiedzieć.

Eve pomyślała, że będzie kroczyła po wąskiej linii, więc musi zachować ostrożność.

– Uda ci się znaleźć konta bankowe Cobbe'a?

– Jasne.

– Sądzisz, że przyjął to zlecenie w Nowym Jorku, ponieważ tu mieszkasz?

– Nie, bo wtedy w taki czy inny sposób próbowałby mnie dorwać, nie zdradzając swojej obecności.

– Ale pokazał ci się.

Oderwał wzrok od tablicy, którą przygotowywał.

– Racja. I teraz robię to, co chciał, żebym robił. Myślę o nim i niepokoję się o tych, którzy są dla mnie ważni. Lecz koniec końców to on przegra.

– Już się o to postaram.

Uśmiechnął się, ale jego spojrzenie pozostało poważne.

– W takim razie powiem ci, jak to widzę. Nie wątpię, że masz rację, jeśli chodzi o Tweena, co znaczy, że Tween zna kogoś, kto mógł go skontaktować z Cobbe'em. Kiedy zaczął się ten romans?

– Zeszłego lata.

– Aż nadto dużo czasu. Osoby, które wdają się w romanse, uważają się za sprytnie i ostrożne, ale rzadko kiedy takie są. Tween dowiedział się o romansie żony i najprawdopodobniej odkryjesz, że wynajęła kogoś, by mieć na to dowód. Nie mógł ryzykować, że żona się z nim rozwiedzie, bo to ona ma pieniądze, a taki krok mógłby zaszkodzić jego pozycji w rodzinnym interesie. Więc należało ją usunąć.

– Tak, to podobne do Tweena. Też tak to widzę. Na dodatek... Znieważyła go. Nie będzie sobie zadawała pytania, dlaczego go zdradziła. Nie złamało mu to serca. Ale to zniewaga. I jakby tego było mało, zdradziła go z jakimś malarzem.

– Włochy – powiedziała i się zamyśliła. – Mówisz, że Cobbe działa głównie w Europie, więc przypuszczalnie kontakt jest we Włoszech.

– Przypuszczalnie. W przypadku takiego zlecenia, prostego i rutynowego dla zawodowego zabójcy, klient odziedziczy spory majątek i Cobbe prawdopodobnie to uwzględnił, ustalając honorarium. Nie wydaje mi się, by zgodził się na taką robotę w Nowym Jorku za mniej niż milion. Przynajmniej połowa z tej kwoty płatna z góry. Plus wydatki.

– Godziła się z nim, bo była tego samego zdania. Chociaż...

– To dlaczego nie ulotnił się po wykonaniu zlecenia i zainkasowaniu należności? Dlaczego wciąż był w parku, kiedy tam dotarliśmy?

Roarke machinalnie ściągnął rzynek i wsunął go do kieszeni. I natrafił na mały, szary guzik należący do Eve, z którym się nie rozstawał przez sentyment i który uważał za talizman przynoszący szczęście.

– Poznałem go, gdy był wyrostkiem, i od tamtej pory nie spuszczałem go z oka. Już wtedy uważał gliniarzy, szczególnie tych nieskorumpowanych, za idiotów. Nie, żeby w owych czasach w Dublinie można było znaleźć wielu uczciwych policjantów. W przypadku Cobbe'a często potwierdzało się przekonanie w powrót sprawy na miejsce zbrodni. Lubił obserwować gliniarzy i uśmiechać się z wyższością. Jeśli zdarzyło się, że został przyskrzyniony, zawsze była to wina kogoś innego.

– Na przykład twoja?

– Tak, i to nie raz. – W oczach Roarke'a pojawiły się wesołe iskielki. – I nie raz miał rację. Dawno temu znalazłem pewnego chłopaka. Nie był moim kumplem, znałem go z widzenia. Był ulicznym grajkiem. niewiele posiadał, ale miał psa. Małego psiaka, brudnego kundla, który wykonywał parę sztuczek, dzięki czemu kilka monet więcej wpadało do czapki chłopaka. Raz Cobbe połasił się na te drobne, a psiak pogryzł go i przepędził.

– Dobry piesek.

– Póki Cobbe go nie dopadł i nie pokroił na kawałki. Przechwalał się tym, przechwalał się, że zabił psiaka, który ważył nie więcej niż trzy kilogramy i to tylko wtedy, kiedy zmókł na deszczu. A mój stary uznał to za świetny żart.

– Zakablowałeś go.

– Tak. Chłopak i pies stanowili stały element ulicy, byli lubiani nawet przez Gardę. Więc gliniarze – tacy, którzy nie byli zupełnie zubożeni – dopadli Cobbe'a. Zabrał ucho psa jako trofeum, więc źle się to dla niego skończyło.

Wzruszył ramionami.

– Co nie ma nic do rzeczy.

– Mylisz się.

– Tak czy owak Cobbe lubi ostre narzędzia, zawsze je lubił, i prawdopodobnie sprawia mu przyjemność obserwowanie gliniarzy zajmujących się jego ofiarami. Rozumiem, że chcesz wiedzieć nie tylko to, co wiem, ale również to, co myślę. A myślę, że czekał na gliniarzy, by mieć frajdę. No i pojawiła się ty, a razem z tobą ja. Nie mógł się powstrzymać, żeby mi się nie pokazać.

Znów musiała się z nim zgodzić.

– I nie sądzisz, że zainkasuje honorarium i wyjedzie?

– Widzisz, on rozpoczął tę grę. – Podszedł do Eve i usiadł naprzeciwko niej. – Dla niego to coś więcej niż gra, bo przez całe życie marzył o tym, żeby ujrzeć mnie martwego. Już raz próbował mnie dopaść – nie mówię o czasach, kiedy byłem mały, bo wtedy próbował wielokrotnie. Budowałem ten dom i rozkręcałem biznes w Nowym Jorku. Dużo podróżowałem, żeby... Powiedzmy rozszerzyć swoje interesy.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Powiedzmy.

– Byłem na południu Francji, nazwijmy to, że w sprawie dzieł sztuki. I tak się akurat złożyło, że tego samego wieczoru, kiedy sfinalizowałem sprawę, wpadliśmy na siebie. Trzeba dodać, że było to kilka godzin po tym, jak nestora prominentnej rodziny znaleziono na jego własnym jachcie z poderżniętym gardłem.

Wstał, wziął puszkę wody, usiadł, otworzył ją.

– Było to w zatłoczonym barze, gdzie dopiąłem ostatnie szczegóły. Siedziałem przy drinku. Nagle zobaczyłem, jak wchodzi Cobbe. Przezorność wymaga, żeby obserwować wchodzących i wychodzących nawet po sfinalizowaniu transakcji.

– Może szczególnie wtedy.

Znów się uśmiechnął.

– Może szczególnie wtedy. Podszedł do mnie i usiadł, jakbyśmy byli najlepszymi kumplami. Słyszał, że dobrze mi się wiedzie, więc czemu nie miałbym postawić staremu druhowi drinka?

– Domyślam się, że nie byłeś w nastroju do wspomnień.

– Powiedziałem mu, żeby spływał. Nie przyjął tego życzliwie. Miał mi do zakomunikowania kilka niemiłych wiadomości. Zakończył słowami, że chociaż mi się poszczęściło, zawsze byłem mięczakiem, a on jest prawdziwym synem Patricka Roarke'a. A skoro jesteśmy przyrodni braćmi, nie wypruję mi flaków nożem, który trzyma pod stołem – dla podkreślenia prawdziwości swoich słów dziabnął mnie nim lekko – jeśli mi zapłacę pięćset tysięcy funtów szterlingów, przyznam, że on jest prawdziwym synem Patricka Roarke'a i jego spadkobiercą, oraz zrzeknę się jego nazwiska.

– Tylko tyle? – spytała Eve. – I co zrobiłeś?

– Powiedziałem, że to bardzo ciekawa propozycja, ale muszę ją odrzucić. I jeśli jeszcze kiedykolwiek spróbuję znów mnie dopaść, gorzko tego pożałuje. Miałem przy sobie paralizator, zostawiłem Cobbe'a podrygującego na podłodze baru. Żałuję, że nie włączyłem go na pełną moc i nie uwolniłem świata od niego, ale dopiero co sfinalizowałem pewną sprawę i za wszelką cenę chciałem uniknąć spotkania z miejscową policją.

– Jasne – mruknęła Eve.

– Usłyszałem o morderstwie dopiero, kiedy wróciłem do hotelu. Dodałem dwa do dwóch, wykonałem anonimowy telefon, przekazałem jego nazwisko i rysopis. Nie udało im się go przyskrzynić, ale powiedziano mi, że spędził sporo czasu we francuskim areszcie, gdzie był przesłuchiwany.

– I od tamtej pory nic?

– Od tamtego wieczoru miałem go na oku. Przypuszczam, że niezbyt skrupulatnie śledziłem jego losy, ale rzadko zaprzętałem sobie nim głowę. I owszem, trzymał się z dala ode mnie. Zabija dla pieniędzy albo jeśli uzna kogoś za mięczaka. Mnie za takiego uważa.

– Nigdy nie byłeś mięczakiem. – Kiedy na nią spojrzał, pokręciła głową. – Nie jestem twoją słabą stroną, Roarke. Jestem twoją cholerną bronią.

– Najdroższa Eve, jesteś jednym i drugim, i nie tylko. – Ujął jej dłoń. – Nie poproszę cię, żebyś gdzieś się zaszyla, podobnie jak ty mnie o to nie poprosisz. Możemy tego chcieć, ale zbyt dobrze znamy siebie nawzajem, żeby tego zażądać. I wiemy, że musimy się z tym uporać.

– Nie mogę pozwolić, żebyś go zabił.

– Przepuściłem okazję w tamtym zatłoczonym barze na Lazurowym Wybrzeżu. Mogę obiecać ci jedno: jeśli zginie z mojej ręki, nie zabiję go z zimną krwią, jak mógłbym to zrobić, nim poznałem ciebie. Wołę, żeby trafił za kratki, wołę, żeby zamknęli go w betonowej klatce daleko od tego, co kocham. Wołę sobie wyobrażać, jak spędza długie lata w więzieniu, wiedząc, że znalazł się w nim dzięki mnie i mojej policjantce.

Mocno ścisnęła jego dłoń.

- To uczciwie. Nie pozwolę, żeby mnie wykorzystał, by sprawić ci ból. Musisz mi zaufać.
- Będzie myślał, że związałem się z tobą, by mieć wygodną przykrywkę. Nie zrozumie, kim dla mnie jesteś, ale to go nie powstrzyma przed próbą zabicia cię.
- Już popełnił błąd. Nie powinien dopuścić do tego, żebyś go zobaczył. I tak bym ustaliła, i to cholernie szybko, że Tween wynajął płatnego zabójcę, ale Cobbe mógł i powinien już rozplynąć się w powietrzu. Jest teraz na naszym terenie, Roarke. I zapłaci za to, co zrobił Galli Modesto, bo teraz należy do mnie. Do nas – poprawiła się.
- Do nas. – Ścisnął jej dłoń. – Jak sobie poradziłem z tablicą?
- Całkiem dobry z siebie pomocnik. Nie mam zastrzeżeń.
- To czy teraz uznasz, że dość na dziś, i trochę się prześpisz? Chętnie udam się na spoczynek z moją żoną. I z kotem, który zapewne już się rozwalił na naszym łóżku.
- Która godzina jest teraz we Włoszech?
- Spojrzała na zegarek.
- Wpół do ósmej rano.
- Świetnie. Muszę namierzyć rodziców ofiary. Jeśli są we Włoszech, chcę ich poinformować o tym, co się stało, i zorientować się, co i jak.
- Są we Florencji. Ustaliłem to, kiedy sprawdzałem inne rzeczy.
- Zaoszczędzi nam to trochę czasu. Skontaktuję się z nimi, potem wyślę SMS do Peabody i na tym zakończę na dziś.
- Dobrze. Mam parę spraw, którymi się zajmę w moim gabinecie. Zaczekam na ciebie.
- Patrzyła za nim, jak wychodzi, a potem wzięła komórkę.
- Dość kawy na dzisiejszy wieczór – zawołał.
- Poczuła, że przestało ją ścisnąć w żołądku. Jeśli wciąż suszy jej głowę, że pije za dużo kawy, to znaczy, że odzyskał spokój.

3

Eve obudził zapach kawy. Otworzyła jedno oko i dostrzegła Roarke'a. Stał obok autokucharza w sypialni, w słabym świetle poranka, z ręcznikiem owiniętym wokół pasa.

Pomyślała, że to całkiem miły widok na dzień dobry. Całkiem, całkiem.

– Nie jesteś spóźniony na jakąś telekonferencję w sprawie zakupu półkuli południowej?

Bez zmrużenia oka zaprogramował drugą kawę.

– Przełożyłem ją na później.

Podszedł do niej z filiżanką kawy, a grube kocisko, leżące na wysokości jej krzyża, leniwie się przewróciło na wznak i przeciągnęło.

Uznała, że pólnagi mąż, podający kawę do łóżka, to wielki plus małżeństwa. Usiadła, wzięła od niego kawę.

– Dobrze spałeś?

– Tak. – Przesunął dłonią po jej włosach, po czym podszedł do szafy.

Eve spojrzała przeciągle na Galahada.

– Dobrze to rzecz względna – mruknęła i wstała, by wziąć prysznic.

Najlepsze – i właściwie jedyne, co mogła zrobić – to ostro się zabrać do pracy, by wyciągnąć ten cień z boku Roarke'a.

Cień, akurat, poprawiła się, kiedy strumienie gorącej wody w pełni ją rozbudziły. Już prędzej majcher.

Wysłucha, co lekarz sądowy ma jej do powiedzenia o śmierci Modesto, a czego jeszcze nie wiedziała, uważniej przyrzy się nagraniom z kamer i skontaktuje się w tej sprawie z McNabem.

Krewni Modesto – rodzice, brat, bratowa – zamierzali dziś rano przylecieć do Nowego Jorku. Porozmawia z nimi, postara się wyciągnąć z nich, co wiedzą na temat jej małżeństwa z Tweenem.

A potem przesłucha gospodynię.

Eve wyszła spod prysznica i jak zwykle postanowiła szybko i dokładnie osuszyć się w kabinie suszącej.

Z własnego doświadczenia (Summerset!) wiedziała, że służący doskonale się orientują, co się dzieje w domu.

Wyskoczyła z kabiny suszącej, złapała szlafrok wiszący na drzwiach łazienki.

Musiąca poznać wszystko, co wiadomo o Cobbie, może będzie jej potrzebna do tego pomoc komendanta. I chciała się skonsultować z Mirą, chciała, żeby czołowa profilerka i psycholożka policyjna przyjrzała się zarówno Cobbe'owi, jak i Tweenowi.

A prawdę mówiąc – pomyślała – skorzysta z pomocy wszystkich, żeby dorwać Cobbe'a i wsadzić go za kratki.

Kiedy wróciła do sypialni, Roarke, już w garniturze króla świata wielkich interesów, zawiązywał jeden z kolekcji wymyślnych krawatów w fantazyjny węzeł.

– Zapowiadają na dziś ładną pogodę – poinformował ją. – Galahad już wciągnął poranną porcję suchej karmy.

Zamierzała postępować profesjonalnie i pragmatycznie, ale zamiast tego poszła za głosem serca, a nie rozsądku. Zbliżyła się do Roarke'a i ujęła jego twarz w obie dłonie.

– Dorwę go.

– Nie mam co do tego cienia wątpliwości.

– To dobrze.

Skierowała się do swojej szafy, sięgnęła po pierwszą z brzegu parę spodni. Włożyła je i sportowy stanik, przypomniała sobie, że ma być ładna pogoda, więc złapała koszulkę z krótkimi rękawami i marynarkę.

Kiedy wkładała koszulkę, Roarke stanął obok jej otwartej szafy.

– Robisz to specjalnie, żeby mnie zirytować?

– Co? – Sięgnęła po pasek.

– Zestawiając tę marynarkę z tymi spodniami. I odłóż ten pasek z powrotem.

– Dlaczego? Spodnie są czarne, marynarka jest czarna, pasek jest czarny.
Wziął marynarkę, odwiesił ją.
– Spodnie są w kolorze indygo.
Przewróciła oczami za jego plecami, kiedy wybierał inną marynarkę.
– Możesz przewracać oczami, ile chcesz – powiedział, nie odwracając się. – Jeśli zamierzasz włożyć coś w kolorze indygo, czyli nie czarnym, tylko ciemnogrnatowym, wpadającym nieco w seledyn...
– Seledyn? Czy to zaraźliwe?
– To zielony z domieszką szarego. Jak ta marynarka. – Zdjął jedną z wieszaka. – Z guzikami w kolorze indygo. I zdejmij tę koszulkę.
– Nie mam czasu na seks w szafie, kolego.
Sam ściągnął jej koszulkę przez głowę, a potem przyciągnął Eve do siebie i ją objął.
– Wielka szkoda.
Też się do niego przytuliła.
– Ja również żałuję.
– Skoro seks w szafie nie wchodzi w grę, wykorzystajmy ją do jej zwykłych celów. – Odsunął się od Eve i wybrał inną koszulkę. – Biel doda świeżości.
– Przecież włożyłam białą koszulkę.
Z miną cierpliwego nauczyciela, tłumaczącego coś mało pojętnemu uczniowi, uniósł w górę pierwszą koszulkę.
– Ta jest kremowa. A ta? – Uniósł w górę drugą. – Biała. A ten pasek? – Rzucił Eve białą koszulkę, wybrał pasek. – Jest w kolorze indygo, jak spodnie. Szkoda, że nie zgodzisz się włożyć do pracy seledynowych botków, bo idealnie pasują do tego stroju. Ale... – Podszedł do półek wypełniających całą ścianę, na których stała absurdalna według Eve liczba butów należących do niej.
– Te też się nadają i według ciebie są odpowiednie.
Wzięła je od niego.
– Indygo?
– Brawo.
Dał jej całusa, stanowiącego ekwiwalent klepięcia po głowie, i zostawił ją, żeby mogła się ubrać.
Wcale nie zrobiłam tego celowo, myślała Eve, wkładając białą koszulkę i pasek w kolorze indygo. Ale wybieranie dla mnie stroju nieco poprawiło mu nastrój.
Włożyła botki – nowy nabytek – i złapała marynarkę.
Znow stał przed autokucharzem i zamawiał śniadanie. Miała nadzieję, że ładny dzień oznacza, iż nie będzie owsianki. Przypasała broń. I myśląc o międzynarodowych zamachowcach, sięgnęła również po pistolet i kaburę na kostkę.
Ponieważ już postawił na stole dzbanek z kawą, nalała im jej obojgu.
Przyniósł dwa talerze z pokrywkami trzymającymi ciepło. Kot spojrzął na nie łapczywie, nie przerywając mycia.
Czyli nie owsianka, pomyślała Eve, ciesząc się w duchu. Jakieś owoce, omlęt i – najlepsze ze wszystkim – boczek.
– Biorąc prysznic, obmyśliłaś strategię na dziś. Opowiedz mi o niej.
Eve przekroiła omlęt. W środku zobaczyła coś zielonego. Powinna była się domyślić.
– Najpierw kostnica. Chcę się skonsultować i z Whitneyem, i z Mirą. Whitney może mi pomóc z literkami, Mira przedstawi jasny obraz Cobbe'a i Tweena.
– Z literkami?
– FBI, CIA, NCA, CSB i tak dalej. Już ci mówiłam wczoraj po rozmowie z krewnymi Modesto, że przylatują do Nowego Jorku. O ile nie zgłoszą sprzeciwu, chcę się z nimi spotkać w komendzie.
To coś zielonego okazało się szparagami i...
– Groszek?
– Mamy wiosnę – powiedział, jakby to wszystko tłumaczyło.
Nie tłumaczyło, ale co racja, to racja.
– Nie powiedziałas mi, jak krewni Gallo przyjęli wiadomość o jej śmierci.
– Znacznie gorzej niż Tween. – Wciąż słyszała słowa pełne bólu, szoku, rozpacz. – Rozmawiałam tylko z jej ojcem. Kiedy się trochę uspokoił, powiedział, że przylecą wszyscy, łącznie z jego synem i synową. Pojawią się w komplecie, żeby ją zobaczyć, zorganizować pogrzeb, porozmawiać ze mną.
– Wspomniał o Tweenie?
– Spytał, czy powinien się z nim skontaktować, spytał też o wnuka. Poprosiłam ich, żeby się wstrzymali z telefonem do Tweena do czasu, aż znajdą się w Nowym Jorku. I że mam nadzieję, że zgodzą się

przysięć i porozmawiać ze mną. Obiecałam, że powiem im wszystko, co mi wolno na tym etapie śledztwa.

Roarke skinął głową.

– Zdaje mi się, że są bardzo zżytą rodziną. Jak już wspomniałem, trochę znam Stefano, brata ofiary. Obrótowy z niego biznesmen, zna się na rzeczy. O ile dobrze sobie przypominam, lubi tenis, gra z poświęceniem. Tak poznał swoją żonę. Była zawodową tenisistką, zrezygnowała z kariery sportowej po urodzeniu drugiego dziecka. Teraz jest trenerką.

Każdy szczegół może okazać się pomocny.

– Jest coś, co powinnam wiedzieć o rodzicach, czego nie znajdę w oficjalnych źródłach?

– Nic takiego nie przychodzi mi do głowy, ale mogę poszperać i zrobić to.

– Na razie chcę porozmawiać z gospodynią – bez świadków. Nie zeszła na dół po tym, kiedy udała się na górę po Tweena. Według mnie świadczy to o tym, że odesłał ją do jej pokoju, nie chcąc, bym zobaczyła jej reakcję na wiadomość o śmierci pracodawczyni.

Zjadła trochę boczkui i obserwowała, jak Roarke rzuca zimne, ostrzegawcze spojrzenie skradającemu się ukradkiem Galahadowi.

Galahad uznał, że musi się znów umyć.

– A jakie ty masz plany?

– Chcę się zająć sprawami, których nie mogę odwołać ani przesunąć na później, i pokopać w źródłach, do których mam dostęp. A także porozmawiać z Brianem.

Brian Kelly, przypomniała sobie Eve, stary przyjaciel Roarke'a i właściciel Skarbonki, dublińskiego pubu.

– Brian musiał znać Cobbe'a.

– Z pewnością go znał. Nie przepadali za sobą, ale też nie mieli żadnych wspólnych interesów wartych wzmianki. Nie zaszkodzi jednak, jak Brian nadstawi ucha. I wysłałem kilka osób do Clare, żeby miały oko na moich krewnych.

– Na twoich krewnych? – Głośno odłożyła widelec. – Jezu Chryste, Roarke, myślisz, że Cobbe może im coś zrobić?

– Wolę nie ryzykować, więc wysłałem tam swoich ludzi. Jest wielce prawdopodobne, że przez kilka ostatnich lat Cobbe nie interesował się mną zbytnio. No bo w jakim celu? Przypuszczalnie nawet nie wie, że mam jakichś krewnych, w końcu ja sam przez lata tego nie wiedziałem. Ale zapewniam cię, że szybko się o nich dowie, teraz to sprawdź.

– Mogę porozmawiać z miejscową policją – zaproponowała Eve.

– Wstrzymaj się z tym na razie. Wolałbym oszczędzić swoim krewnym tego zmartwienia. I wolę nie ryzykować, że jakiś miejscowy glina wygada się, że się o nich niepokoję. Wierz mi, że Cobbe właśnie tego pragnie.

– Wierzę ci. – Ale to się jej nie podobało. Postanowiła dyskretnie sprawdzić miejscowych gliniarzy. Kiedyś już korzystała raz z ich pomocy, miała swoje zdanie na ich temat.

– No i jest jeszcze szkoła. Wkrótce otwarcie An Didean, nie chcę, żeby cokolwiek nam w tym przeszkodziło.

– Zlecę kilku gliniarzom, żeby mieli na nią oko. I na Dochas – dodała, mając na myśli schronisko dla kobiet. – Wiem, komu mogę zaufać – dodała, nim zgłosił swój sprzeciw.

– Jasne, że wiesz. I doceniam to, bo Cobbe może namącić dla zwykłej hecy albo kogoś skrzywdzić dla czystej przyjemności.

– Czyli ustalono. Nie obchodzi mnie, skąd czerpiesz informacje, ani w jakim stopniu dotyczą mojego śledztwa, ale muszę wiedzieć wszystko, do czego się dokopiesz.

– I będziesz wiedziała. Możesz być o to spokojna. Znam cię, moja pani porucznik, wiem, jaka jesteś dobra w tym, co robisz. – Patrząc na nią, przesunął palcem po małym dołeczku w jej brodzie. – Ale proszę cię, żebyś była szczególnie ostrożna, żebyś nie narażała na własne niebezpieczeństwo kobiety, którą kocham. Cobbe'owi sprawiłoby ogromną radość odebranie mi ciebie.

– Zapewniam cię, że nie będzie mu do śmiechu, kiedy z nim skończymy.

Wstała, wzięła swoją komórkę, komunikator i resztę drobiazgów. Zastanowiła się chwilę i sięgnęła do szuflady po sztylet i pochwę na nadgarstek. Odwróciła się do Roarke'a, nacisnęła guzik, który wysuwał zabójcze ostrze.

Uśmiechnął się do niej.

– Dziękuję.

– Jako funkcjonariuszka nowojorskiej policji i wydziału bezpieczeństwa nie mogę ci poradzić, żebyś podobnie się uzbroił. Jako kobieta, która cię kocha, proszę cię o to.

– Możesz być spokojna, jeśli o to chodzi.

Włożyła marynarkę, podeszła do niego, by go pocałować na do widzenia.

– Seledyn i indygo?

Przyciągnął ją do siebie, żeby jeszcze raz ją pocałować.

– Całkiem ci w nich do twarzy. Troszcz się o moją policjantkę.

– Tak jest.

– Nie mógłbym bez niej żyć – mruknął, kiedy wyszła. Wstał, wziął na ręce ciężkiego kocura i podeszedł do windy.

Nim zajmie się innymi sprawami, musi usiąść i porozmawiać z Summersetem.

Mężczyznę, który przez większość jego życia był mu ojcem, zastał siedzącego w kuchni. Miał na sobie jeden ze swoich czarnych garniturów, popijał kawę i czytał wiadomości na tablecie.

Kiedy wszedł Roarke, uniósł na niego wzrok. Roarke postawił kota na podłodze, a ten natychmiast podeszedł do Summerseta i otarł się o jego nogę.

– Nie daj mi się oszukać. Już jadł śniadanie.

Summerset nachylił się i długimi, kościstymi palcami podrapał kota między uszami.

– Podobnie jak ty, jak rozumiem. Kawy?

– Nie, dziękuję, wypilem dość. – Podeszedł do Summerseta, usiadł naprzeciwko niego i powiedział jedyńcnie: – Lorcan Cobbe.

– Przykro mi znów słyszeć to nazwisko. Co się stało?

– Jest w Nowym Jorku. Wczoraj wieczorem zabił kobietę. Śledztwo prowadzi Eve.

Summerset utkwził w Roarke’u spokojne spojrzenie ciemnych, przenikliwych oczu.

– Skąd wiesz, że to był Cobbe?

– Bo go widziałem. Bo postaral się, żebym go zobaczył.

Podczas gdy Roarke dodawał kolejne szczegóły, Summerset pozwolił Galahadowi wskoczyć sobie na kolana i głąaskał go, słuchając Roarke’a.

– Pani porucznik jest prawie pewna, że Cobbe’a wynajął mąż ofiary. – Zastanowiwszy się nad tym, co usłyszał, Summerset pokiwał głową. – I zamierza dopaść Cobbe’a, wykorzystując ten fakt.

– Krótko mówiąc, tak.

– Wątpię, czy Cobbe okaże się tak łatwym orzechem do zgryzienia, jak mąż ofiary.

– Słusznie.

– Zebrałeś dane i podzieliłeś się nimi z nią?

– Naturalnie.

– Doskonale. Wciąż utrzymuję kontakty z pewnymi grupami i agencjami. To dla mnie nic trudnego zwrócić się do starych przyjaciół i ziomków, przekonać się, czy uda mi się dowiedzieć czegoś więcej.

– Z agencjami? Eve nazywa je literkami.

Summerset się uśmiechnął.

– Urzędnicy lubią skrótownice.

– Masz na myśli nie tylko oficjalne organizacje rządowe.

Uśmiech nie zniknął z twarzy Summerseta.

– Nie tylko. Jeśli mi pozwolisz, mogę się też zwrócić do Ivanny. Też ma swoje kontakty.

Roarke zastanowił się nad wieloletnią przyjaciółką Summerseta, jego obecną... Uznał, że najbezpieczniej nazwać ją „towarzyszka”. Trudno dopuścić mężczyźninie myśl, że ten, kogo uważa za swojego ojca, ma kochankę.

– Tak, uważam, że w tym przypadku wskazane jest skorzystanie ze wszystkich dostępnych źródeł informacji.

– Jeszcze dziś rano rozmawiam z nią i z innymi.

– Byłbym spokojniejszy, gdybyś dziś i przez kilka najbliższych dni nie opuszczał domu.

Summerset uniósł brwi.

– Muszę zrobić zakupy i załatwić kilka spraw. – Podniósł rękę, nie dopuszczając Roarke’a do głosu.

– Chłopcze, uważasz, że jestem za stary, by zadbać o własne bezpieczeństwo albo poradzić sobie ze zbirem w rodzaju Cobbe’a?

– Jest zawodowym zabójcą, do tego dobrym – przypomniał mu Roarke. – Nie chodzi o to, że jesteś za stary, tylko co ja zrobię, jeśli coś ci się stanie.

Summerset wciągnął powietrze przez długi, wąski nos i usiadł prosto.

– Muszę przyznać, że zgrabnie to ująłeś. Ale nie mam zamiaru się ukrywać ani dać się zamordować na ulicy. Podobnie jak ty. Chyba że zamierzasz mnie poinformować, że razem z panią porucznik zostajesz w domu. Wtedy we trójkę pogramy w remika.

Mimo nagłego znużenia, które poczuł, Roarke się uśmiechnął.

– Zawsze wygrywam.

- Bo oszukujesz.
- Mówisz tak, ale nigdy mi tego nie udowodniłeś. Bądź ostrożny.
- Dobrze. Ty też.

Teraz Summerset się nachylił i utkwił w nim swoje ciemne oczy.

– Nie zna cię, mój chłopcze. Sądzi, że cię zna, ale nie zna cię i nigdy cię nie znał. Teraz bacznie ci się przygląda, lecz wciąż widzi tylko to, co na zewnątrz. Zazdrości ci pieniędzy i sławy, tej dobrej i tej złej. I wolności, bo życie, jakie wybrał, nie pozwala mu na prawdziwą wolność. Ale nigdy nie zobaczy, kim jesteś, nigdy nie zrozumie, z jakiej jesteś ulepiony gliny. Dlatego masz nad nim przewagę. Między innymi.

– Widziałem go. Wiem, z jakiej on jest ulepiony gliny.

– To prawda. Nietrudno go rozgryźć. Nie wątpię, że do tej pory pani porucznik też go poznała. Jest niebezpieczną kobietą, kiedy zna tego, kogo chce dopaść.

– Zgadza się. Mam do załatwienia kilka spraw. – Roarke wstał, położył dłoń na ramieniu Summerseta. – Pamiętaj, kim dla mnie jesteś, i bądź ostrożny.

– Ty też.

Summerset został sam, siedział jeszcze przez chwilę, głaszcząc kota.

– No, mój przyjacielu, zróbmy to, co trzeba, żeby nasze dzieci były bezpieczne.

*

Eve, jadąc do centrum, słuchała informacji o Cobbie, zebranych przez Roarke'a.

Summerset miał rację. Nim dotarła do kostnicy, już dużo wiedziała o tym, kogo zamierzała dopaść.

Szła długim, białym tunelem, w którym umieszczono filtry powietrza, by usunąć zapach śmierci, ale okazały się nieskuteczne. Kierowała się do pokoju głównego lekarza sądowego, kiedy usłyszała za sobą głośny tupot.

Peabody związała ciemne włosy z czerwonymi pasemkami w krótki kucyk. Stukała butami w różowo-białe paski, które wybrała prawdopodobnie dlatego, że nogi wciąż ją bolały po wczorajszych tańcach. Pod różowym płaszczem miała brązowe spodnie i brązową marynarkę z różową lamówką. I koszulę, która według Eve była kremowa.

Powstrzymała ziewnięcie.

– McNab pojechał prosto do komendy, żeby skończyć opracowywać nagrania z kamer i zbadać komórkę ofiary.

– Dobrze. Już wystąpiłam o nakaz zajęcia sprzętu elektronicznego w ich domu – również należącego do Tweena.

– To mu się nie spodoba.

– Co od samego rana wprawiło mnie w doskonały humor.

Eve pchnęła drzwi.

Morris stał obok zwłok, które właśnie rozciął.

Peabody lekko zzieleniała – a może zrobiła się seledynowa? – i odwróciwszy głowę, utkwiała wzrok w ścianie.

– Skoro świt – zauważył Morris i wydał polecenie ściszenia muzyki. Eve pomyślała, że może to włoska opera.

Pod ochronnym kitem miał elegancki, jaskrawoniebieski garnitur, jasnożółtą koszulę i krawat w prążki w obu tych kolorach. Długi warkocz opadał mu na kitel, w czarne włosy wplótł żółty rzemyk.

Fachowo otworzył klatkę piersiową Modesto, Peabody się lekko zakrztusiła.

– Śliczna, młoda kobieta – odezwał się Morris, kiedy Eve podeszła do stołu. – Idealnie jędrne mięśnie. Brak widocznych śladów operacji plastycznych. Wysłałem do laboratorium próbki krwi i tkanek, by je zbadać pod kątem obecności toksyn, ale nie dostrzegam śladów nałogowego zażywania narkotyków.

– Co mi możesz powiedzieć o ranie?

– Zadana szybko i brutalnie. Ostrze wbite tutaj, w podbrzusze, głęboko. – Odwrócił się, żeby wziąć z tacki miernik.

Eve mogła zobaczyć na monitorze, jak miernik zagłębia się w ranie, ale nachyliła się razem z Morrisem nad zwłokami.

– Głębokość szesnastce centymetrów, szerokość... Czterdzieści milimetrów. – Wziął mikrogogle i znów się nachylił. – Ostro zakończony, według mnie posłużono się czymś w rodzaju sztyletu. Po wbiściu ostrza zabójca przeciągnął nim w kierunku pepka. Czyli zwyczajnie ją rozplatał.

Wyprostował się.

– W brzuchu znajdują się liczne narządy wewnętrzne. Ich uszkodzenie, szok, utrata krwi spowodowały zgon po minucie, dwóch, ale już wcześniej, dzięki Bogu, straciła przytomność.

– W miejscu wbicia noża widać lekkie zasinienie. Od rękojęści?

– Tak jest. Czyli ostrze mierzyło szesnastocentymetrów długości.

Chociaż na monitorze było widać zwłoki i ranę w powiększeniu, Morris, uzbrojony w gogle, nachylił się nad Modesto.

– Wbił jej nóż po samą rękojęść. Jeśli znajdziesz narzędzie zbrodni, stwierdzisz, że to sprężynowiec. Sprawca przyłożył rękojęść do brzucha ofiary, zwolnił blokadę, by wbić jej ostrze, a potem przeciągnął nim w górę.

– Skuteczne – stwierdziła Eve.

– Tak, brutalnie skuteczne. Dwie sekundy i po robocie.

– Dupek, którego poślubiła, wiedział, kiedy i gdzie będzie jego żona. – Eve odeszła od stołu i zaczęła chodzić wokół niego. – W jej komórce znajdziemy wiadomości wymienione z mężczyzną, z którym zamierzała się spotkać. Mąż wiedział o romansie żony. Wiedział, że go zakończyła, ale nie miało to dla niego znaczenia. Wynajął płatnego zabójcę, przekazał mu informacje.

Spojrziała na zwłoki.

– Zabójca przyszedł wcześniej, zczekał, dostrzegł ją, jak idzie. Skierował się w jej stronę. Gdyby ktoś coś zobaczył, wyglądało to, jakby szedł pod łukiem, wpadł na nią i poszedł dalej, nie zatrzymując się. Ale w ciągu tych dwóch sekund, kiedy się z nią zderzył, wbił jej nóż, rozciął brzuch. Zrobiła jeszcze dwa kroki, zachwiała się. Kiedy upadła, uwaga wszystkich skupiła się na niej, nie na nim.

– Przeszedł pod łukiem. – Chociaż właściwie już doszła do siebie, Peabody starała się trzymać w pewnej odległości od stołu. – McNab wypatrzył go parę razy, wciąż miał na sobie czarną bluzę z kapturem. Wrócił na miejsce zbrodni przed pojawieniem się pierwszych funkcjonariuszy. Ale wtedy był już w czerwonej kurtce. Nie zbliżył się do zwłok, szedł, nie zatrzymując się, okrążył fontannę.

– Już go zidentyfikowaliście?

– Tak. – Eve zwróciła się w stronę Morrisa. – Wiemy, kim jest. To zawodowiec. Musimy go tylko dopaść. I jego szesnastocentymetrowy sztylet. Albo coś w tym rodzaju.

Nacisnęła sprężynę i obróciła prawą rękę w nadgarstku, by pokazać nóż, który miała przy sobie.

Morris zrobił okrągłe oczy, ale podszedł do niej, żeby mu się przyjrzeć.

– Tak, coś w tym rodzaju. Czy to nowe wyposażenie śledczych?

– W tej sprawie tak. – Schowała ostrze. – Jej mąż, Jorge Tween, może się z tobą skontaktować, domagać się, żeby pozwolono mu zobaczyć żonę, domagać się wydania zwłok, żeby kryć własną dupę.

– Rozumiem.

– Skontaktuj się też z tobą jej krewni – rodzice, brat. Powinni niebawem dotrzeć do Nowego Jorku.

– Doprowadzę ją do porządku

– Dziękuję. – Skierowała się do wyjścia, ale zatrzymała się. – Jeśli zadzwoni do ciebie niejaki Marlon Stowe, możesz mu pozwolić ją zobaczyć. Tylko z zachowaniem dyskrecji.

– Kochanek. Czyli nie uważasz go za winnego.

– Są kochankowie i jest miłość. Zdrada to zawsze zdrada, lecz nikt nie zasługuje na śmierć z tego powodu. Ale nie powtórz Roarke'owi tego, co ci powiedziałam.

– Będę milczał jak grób.

Kiedy wracały tunelem, Peabody nieufnie spojrziała na prawą rękę Eve.

– Nie muszę chodzić z czymś takim, prawda?

– Decyzja należy do ciebie.

– Wiem, jak się posługiwać nożem w walce, ale nie lubię noży. Nie lubię wbijać ostrza w ciało. Przywodzi mi to na myśl Morrisa, rozcinającego zwłoki.

– Nóż to coś osobistego. To jak przedłużenie ręki osoby, która się nim posługuje.

– Chyba tak.

– Ale do czasu zakończenia tego śledztwa noś przy sobie pistolet.

– Dobrze.

Wsiadły do samochodu, ale Eve nie ruszyła od razu.

– Powiem ci, co wiem o Cobbie. Część wiadomości pochodzi ze źródeł, do których nie powinnam mieć jeszcze dostępu. Zamierzam porozmawiać z Whitneyem i wyrzucić na nim presję, by dopuścił mnie do niektórych z tych źródeł, ale nie chcę, żeby moja partnerka nie wiedziała wszystkiego, co ma związek z tym dochodzeniem.

Peabody tylko skinęła głową.

– Czyli powiesz mi, co wiesz, ale póki nie uzyskamy tych informacji drogą oficjalną, nie zdradzimy się z nimi.

– Zgadza się. Jeśli Whitneyowi nie uda się załatwić nam dostępu do tych informacji i tak je wykorzystamy, ale nie wspomnimy o nich w aktach sprawy. Nie przeszkadza ci to?

– Nigdy nie prosiłaś mnie, żebym zrobiła coś, co nie jest słuszne. Czasami jest różnica między tym, co słuszne, a tym, na co pozwalają procedury. Dlatego procedury się zmieniają, ale to, co słuszne, nie.

I to, Eve uświadomiła sobie, mogło stanowić wyłomaczenie, dlaczego wybrała sobie Peabody na partnerkę.

– No dobrze. Kiedy dotrzemy na komendę, skontaktuj się z gospodynią. Niejaką Rinaldi. Niech się do nas zgłosi. Powinniśmy też wcześniej czy później porozmawiać z opiekunką dziecka. Umów mnie z Mirą, gdy tylko będzie miała wolną chwilę. Ja załatwię spotkanie z Whitneyem.

Uruchomiła silnik i powiedziała swojej partnerce wszystko, co powinna wiedzieć o Cobbie.

Kiedy Eve wjechała do garażu pod budynkiem komendy, Peabody oświadczyła:

– Mamy więc dopaść zawodowego zabójcę, którego nie udało się przyskrzynić całej masie organów ścigania i agencji wywiadowczych na całym świecie.

– Zgadza się.

– Rozumiem. – Wsiadły z samochodu i skierowały się ku windzie. – Na dodatek ten bandzior chowa urazę do Roarke’a. A może to coś w rodzaju fiksacji na jego punkcie.

– Też się zgadza.

– Nie ma sensu pytać, czy Roarke przystanie na policyjną ochronę, kiedy będziemy ścigać tego bandziora.

Eve tylko rzuciła jej ponure spojrzenie.

– Najmniejszego.

– Rozumiem. Ale może porozmawiałyby z Mirą? Wiem, że powiedział ci ze szczegółami wszystko, co wie, a ty skonsultujesz się z Mirą. Ale to będzie oznaczało, że te fakty zostaną przekazane przez ciebie, prawda? Gdyby porozmawiał z nią twarzą w twarz, byłoby to bez twojego pośrednictwa.

Eve już miała jej odpowiedzieć tak samo, jak w sprawie policyjnej ochrony, ale zmieniła zdanie.

– Słuszna uwaga. Cholerne słuszna uwaga. – Sądziła tak zarówno z powodów osobistych, jak i zawodowych. – Zobaczę, czy uda mi się to załatwić.

– Nie pozwolimy temu bandzirowi zdrwić z kogoś z nas – oświadczyła Peabody, kiedy wsiadły do windy. – To nie ulega wątpliwości.

– Najmniejszych wątpliwości.

Martwiła się jednak, i to tak bardzo, że nie przepchnęła się do wyjścia z windy, by skorzystać z ruchomych schodów, jak to miała w zwyczaju, kiedy w kabinie robiło się tłoczno.

– Umówię cię z Whitneyem, Mirą i gospodynią – powiedziała Peabody. – Kiedy skontaktują się z tobą krewni ofiary, daj mi znać, żebym mogła również ich umówić.

– Dobrze. Świetnie. – Eve odetchnęła głęboko. – Dzięki.

– Nie damy mu się – dodała Peabody.

Eve w końcu docisnęła się do wyjścia z windy. Udała się prosto do swojego gabinetu. Zaprogramowała kawę w autokucharzu i wzięła się do pracy, by zagłuszyć niepokój.

Wypisała na tablicy to, czego się dowiedziała, założyła książkę sprawy. Uniosła wzrok, słysząc znajomy tupot butów Peabody.

– Gospodynini jest w drodze do nas.

– Łatwo poszło.

– Już do nas jechała, złapałam ją w taksówce. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

– No dobrze, porozmawiamy z nią w kantynie.

– Whitney ma spotkanie, ale za mniej więcej godzinę będzie wolny. Mira może ci poświęcić piętnaście-dwadzieścia minut o jedenastej.

Eve rozparła się na swoim fotelu.

– Jak ci się udało tak łatwo uporać z jej sekretarką?

– Jej sekretarka mnie lubi. Można tak powiedzieć. I nadmieniam, że sporządzenie tego portretu psychologicznego jest pilne, bo podejrzany może zaatakować pracownika organów ścigania albo osoby z nim związane. A Mira właśnie jest kimś takim.

– Chytrze. – Eve z aprobatą skinęła głową. – Nie do końca nieprawda i chytrze.

– Uczyłam się od najchytrzejszych. Sprawdzę, na jakim etapie pracy jest McNab, i poinformuję cię, kiedy pojawi się gospodynini. Och, i dla twojej informacji: Jenkinson i jego krawat już siedzą za biurkiem. Lepiej odwrócić wzrok.

– Ale oni przyciągają wzrok. Wzrok na tym cierpi, ale nie może się oprzeć.

Założyła książkę sprawy, potem zajęła się finansami Tweena. Ledwo zaczęła, gdy dostała wiadomość od Roarke’a:

Niewątpliwie zainteresuje cię, że Jorge Tween ma małe, prywatne konto – słabo zakamuflowane i w szarej strefie. Dwa tygodnie temu przelał z niego pięćset tysięcy euro na tajny rachunek w Andorze. Kolejne pięćset pięćnaście tysięcy euro przelał wczoraj o dwudziestej trzeciej zero zero. Niebawem będę miał dane konta w Andorze.

– Nie wątpię – mruknęła Eve.

Dopisała tę informację na tablicy i w książce sprawy.

Czyli wynajął Cobbe'a dwa tygodnie temu, doszła do wniosku, wstając, by dolać sobie kawy. Zapłacił pierwszą część należności. Cobbe wysłał mu dowód, że wykonał zlecenie – film lub zdjęcie – po powrocie do parku, gdy na miejscu przestępstwa pojawili się pierwsi funkcjonariusze. Tween zapłacił resztę plus pięćnaście tysięcy, prawdopodobnie na pokrycie wydatków.

I za milion z kawałkiem pozbył się niewiernej żony, przypuszczalnie odziedziczył pokaźną część jej majątku. Zostanie samotnym rodzicem i jedynym opiekunem jej syna, dla którego z pewnością już założono fundusz powierniczy. A kochający i bogaci dziadkowie będą bardzo hojni dla wdowca.

Doskonała inwestycja z punktu widzenia Tweena.

Podeszła do tablicy, przyjrzała się uważnie jego zdjęciu.

– Przysięgam na Boga, że do końca dnia będziesz już siedział za kratkami, ty draniu.

Zabrzączał jej interkom.

– Już przyszła pani Rinaldi, prowadzę ją do kantyny.

– Zaraz do was dołączę.

Eve wzięła ze sobą kubek z kawą. Kiedy przechodziła przez salę swojego wydziału, jej wzrok pobiegł w stronę biurka Jenkinsona.

I ucierpiał, bardzo ucierpiał od widoku zabójczego, zjadliwego oranżu krawata w wieloryby. Wyszczerezone, fioletowe wieloryby, które wyrzucały niebieskie fontanny po połknięciu ogromnych ilości plutonu.

– Przecież to jest pozbawione krztyny sensu – udało się powiedzieć Eve.

Gdy w końcu oderwała od niego oczy, ten obraz prześladował ją przez całą drogę do kantyny.

Zobaczyła Rinaldi przy jednym ze stolików, ręce miała zacisnięte. Peabody stała przy automacie z napojami. Eve podeszła do stolika, usiadła naprzeciwko Rinaldi.

– Pani jest tą panią porucznik – powitała ją Rinaldi, nim Eve zdołała otworzyć usta. – Pamiętam panią z wczorajszego wieczoru. Czy to możliwe, by zaszła pomyłka?

– Nie, to nie jest pomyłka. Jak dobrze znała pani panią Modesto?

Rozplotła palce, przycisnęła dłoń najpierw do ust, a potem do serca.

– Jestem zdruzgotana. Bardzo dobrze znałam Gallę – tak się do niej zwracałam, bo poznałam ją, kiedy miała pięćnaście lat, a ja zaczęłam pracę w domu jej rodziców. Była uroczą, rozumie pani? Uroczą, młoda kobieta. Gdy postanowiła zamieszkać w Nowym Jorku, spytała, czy zgodziłabym się pracować dla niej tutaj. Rozumie pani, chciała mieć obok siebie kogoś z rodzinnego domu.

– Rozumiem.

Peabody postawiła wodę przed Rinaldi, usiadła z puszką dietetycznej pepsi.

– Dziękuję. Nie byłam jej mamą ani siostrą, ale kimś w rodzaju cici. I miała kogoś z rodzinnych stron, za którymi tęskni. Kogoś, z kim mogła porozmawiać w ukochanym ojczyznym języku.

– Pan Tween nie mówi po włosku?

– Mówi... – Rinaldi uniosła dłoń i pokręciła nią w lewo i prawo. – Ale nalega, żeby w domu posługiwać się angielskim. Angelo, mądry i psotny chłopczyk, a do tego bardzo słodki, mówi po włosku lepiej od swojego taty. Ale to nieważne.

Wyciągnęła małą, białą chusteczkę obszytą koronką i otarła zapłakane oczy.

– Wszystko jest ważne, pani Rinaldi. Czy wiedziała pani, że pani Modesto miała romans?

Uniosła rękę do serca, a do oczu znów napłynęły jej łzy.

– Nie, nie wiedziałam o tym. Coś podejrzewałam, ale nie pytałam, bo to nie moja sprawa. Gdyby mi się zwierzyła, wysłuchałabym jej i coś doradziła.

– Dlaczego pani coś podejrzewała?

– Była nieszczęśliwa, potem szczęśliwa, potem znów nieszczęśliwa. Świadczyły o tym drobniaki, spojrzenia. Sądzę, że była zakochana, ale nie w *signore* Tweenie. Miłość do niego zaczęła blaknąć, kiedy Galla była w ciąży, a umarła po przeprowadzce tutaj.

– Znała ją pani. Czy wie pani, dlaczego jej małżeństwo zaczęło się psuć?

– Nie chciał, żeby pracowała, a przed ślubem, nim urodziło im się dziecko, mówił co innego. Kochała swoją pracę, była inteligentna i znała się na rzeczy, była bardzo zaangażowana. Ale tak bardzo narzekała, aż uległa. Zaczęła mniej pracować. Chciał, żeby była na każde jego skinienie, pokazywała się

z nim w towarzystwie. Chodziło mu o właściwy wizerunek. Zwierzyła mi się, że tylko na tym mu zależy.

– Czy zachowywał się wobec niej agresywnie?

– Chodzi o bicie? Nie, nie, myślę, że nie. Jestem przekonana, że nie zniosłaby czegoś takiego. Ale słownie chyba tak. Nie krzyczała, nic z tych rzeczy, mówił cicho i... To jak woda, która drąży skałę.

Wzięła puszkę, pociągnęła jeden łyk, drugi, nim ją odstawiała.

– Ma zimne serce, rozumie pani? Przed ślubem, nim zaszła w ciążę, nie wyglądała na człowieka o zimnym sercu. Przynosił kwiaty, sprawiał wrażenie szczęśliwego, że Galla tak dobrze sobie radzi w interesach, okazywał dumę i miłość. Ale według mnie udawał, bo z natury jest zimny.

Dziś rano, zanim jeszcze przystąpiłam do pracy i przypuszczałam, że Galla jest na gorze z Angelo, wezwał mnie do swojego gabinetu – ciągnęła. – Zakomunikował mi, że Galla nie żyje. Byłam wstrząśnięta, nie mogłam tego zrozumieć. Powiedział, że została zamordowana, że ktoś na nią napadł, gdy wyszła z domu wieczorem. A kiedy się rozplakałam, oświadczył, że moja pomoc w tym domu już nie będzie potrzebna.

– Zwolnił panią? – spytała Peabody.

– Obiecał, że zadba o to, bym dostała referencje, i zapłaci mi za trzy tygodnie, ale do jutra rana mam się wyprowadzić. Dał mi jeden dzień na spakowanie się i znalezienie jakiegoś mieszkania. Powiedział, że chce być sam ze swoim synem, pogrążony w żałobie. Ale w jego oczach nie widać rozpaczy. Moje obowiązki przejmie android, podobnie jak obowiązki opiekunki Angelo, która też ma odejść.

Chce odizolować syna, pomyślała Eve.

– Błagałam go, żeby pozwolił mi zostać, pomóc przy opiece nad małym chłopcem, który stracił matkę, ale oświadczył, że muszą odejść. A to nie jest w porządku, kochający mąż i ojciec nie zachowuje się w ten sposób w takiej chwili. Pomyślałam o pani, o tym, jak przyszła pani do naszego domu, i postanowiłam się tym wszystkim podzielić z panią.

– Doceniamy to.

– Może pani pomyśleć, że jestem zła, że chcę zaszkodzić panu Tweenowi, lecz to nieprawda. Przyjechałam do tego kraju dla Galli i zostałabym tu dla jej syna. Nie pragnę niczego więcej, jak tylko, żeby *signore* Tween był dobrym i kochającym ojcem. Ale sądząc po tym, jak mówił dziś rano, nie okazując miłości, rozpaczy, szoku, boję się, że... Może to on ją zabił. Boję się tego i boję się o Angelo.

– Sądzi pani, że mógłby skrzywdzić swojego syna? – spytała Peabody.

– Nigdy tak nie myślałam, ale nigdy też nie myślałam, że skrzywdzi Gallę. Teraz zmieniłam zdanie. To jeszcze mały chłopiec. Czy możecie go ochronić?

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy – zapewniła ją Eve. – Krewni pani Modesto są w drodze do Nowego Jorku.

Rinaldi zamknęła oczy, wymamrotała coś po włosku.

– Dziękuję Przenajświętszej Paniencie. Dziękuję, że wysłuchała mojej modlitwy. Miałam zapytać, czy mogę z nimi porozmawiać, ale pani z nimi porozmawia. Proszę im powiedzieć, żeby się z mną skontaktowali, jeśli uznają, że mogłabym im jakoś pomóc.

– Dobrze.

– Czy ma się pani gdzie zatrzymać?

Rinaldi spojrzała na Peabody.

– Zatrzymam się u swojej przyjaciółki. Muszę zdecydować, co robić dalej, zostać tu czy wrócić do kraju. Ale najpierw muszę wiedzieć, co z Angelo. Muszę mieć pewność, że jest bezpieczny. Galla by tego chciała.

– Proszę nam zostawić dane kontaktowe swojej przyjaciółki.

– Dobrze. Pomogę, jak tylko będę mogła. I podam wszystkie informacje o Sofii, opiekunce Angelo. Kocha Angelo i ma tak samo złamane serce, jak ja.

– Z góry dziękujemy. Spiszę dane i odprowadzę panią do wyjścia.

– Detektyw Peabody poda pani też telefony do nas – dodała Eve. – Jak sobie pani coś przypomni, proszę nas poinformować.

Eve wróciła do swojego gabinetu. Pora wciągnąć w sprawę zastępczynię prokuratora okręgowego Reo, pomyślała. Chciała mieć Tweena w pudle.

– Reo. Właśnie idę do sądu, Dallas.

– Ostatni raz, kiedy się z tobą kontaktowałam, potrafiłaś jednocześnie iść i rozmawiać.

Reo odgarnęła chmurę blond włosów.

– I nadal to umiem. Modesto, dżgnięta w Washington Square Park. Dostałaś tę sprawę. No i?

– Jej mąż wynajął zawodowego zabójcę.

– Skąd o tym wiesz?

- Bo wiem. Naoczny świadek rozpoznał zabójcę, niejakiego Lorcana Cobbe’a.
- Nie wiedziałam o tym.
- Teraz już wiesz. Sprawdź go.
- A nazwisko świadka?
- Roarke.

Ta informacja nieco zakłóciła miarowy krok Reo.

- To komplikuje sprawę. Skąd Roarke zna płatnego zabójcę?
- Poznał go w Dublinie, kiedy byli dziećmiakami.
- Byli kumplami? Wspólnikami?
- Nie. Można powiedzieć, że wprost przeciwnie.
- To trochę upraszcza sprawę.
- Opowiem ci w największym skrócie – powiedziała Eve i podała główne fakty, przekrzykując klaksony aut i gwizdy sterowców reklamowych.

– Postarał się, żeby Roarke go zobaczył. Ciekawe.

– Mam informację, że Tween przekazał ponad milion euro w dwóch ratach na ten sam rachunek. Pierwszą dwa tygodnie temu, drugą wczoraj wieczorem, jakieś czterdzieści minut po śmierci ofiary. Właśnie przesłuchałam gospodynię, którą Tween zwolnił z pracy dziś rano razem z opiekunką chłopca. Wszystko spiszę i ci dostarczę, ale zapewniam cię, że mamy wystarczające podstawy, żeby go zatrzymać.

– W takim razie zrób to. Jeśli chcesz, żebym przy tym była, to do drugiej jestem w sądzie. Więc niech to będzie po drugiej. Wstrzymajmy się z nakazem, póki go nieco nie przemaglujesz albo przynajmniej nie porozmawiasz z krewnymi ofiary. I póki się nie przekonasz, co Whitney może zrobić, byśmy zdobyły więcej informacji. Porozmawiam ze swoim szefem, a ty porozmawiaj ze swoim.

– Zgoda. – Eve spojrzała na zegarek. – Zaraz się do niego wybieram. O czternastej trzydzieści będę tu miała Tweena. Facet, który zapłacił milion za zabicie swojej żony, może wydać sporo na adwokatów.

Reo się uśmiechnęła i poprawiła włosy, wspinając się po stopniach do budynku sądu.

– Ciesz się, że obie jesteście tak cholernie dobre. Muszę kończyć.

Eve, zadowolona, rozłączyła się i obróciła się z fotelem, żeby spojrzeć na zdjęcie Tweena na tablicy.

– Koniec zabawy, dupku. – Gdy wstawała od biurka, akurat weszła Peabody.

– Spisz przebieg przesłuchania – poleciła jej Eve. – Dziś po południu odwiedzi nas Reo, ściągniemy Tweena o takiej porze, kiedy akurat tu będzie.

– Co za głupota zwolnić w taki sposób gospodynię i opiekunkę.

– To bardziej arogancja niż głupota, ale na jedno wychodzi. Skontaktuj się z opiekunką chłopca, może uda ci się ją namówić, żeby tu przyszła i złożyła oświadczenie.

– Tak jest. McNab mówi, że w komórce Modesto są SMS-y, które wysyłałi sobie Modesto i Stowe. Przedwczoraj po dwa. Prośba o spotkanie, zgoda, potwierdzenie miejsca i porę.

– Świetnie. Położył łapę na jej komórce albo włamał się do niej, kiedy miała romans. Odnutuj to w książce. Ja idę do Whitneya.

– Powodzenia.

Eve wjechała na górę schodami ruchomymi, chciała mieć czas, żeby zastanowić się, jak to rozegrać. Złamanie Tweena. Złamanie słabego, chciwego aroganta nie stanowiło wielkiego wyzwania. Zmusi go, żeby wydał Cobbe’a.

Ale o ile Cobbe nie okaże się skończonym idiotą – a musiała założyć, że nie jest głupi, skoro udaje mu się wymyślać śledczym na całym świecie – to, co Tween o nim wie, może okazać się niewystarczające.

A aresztowanie Cobbe’a było najważniejsze. Skorzysta z pomocy wszystkich, żeby go zamknąć.

Zadzwoiła jej komórka, na wyświetlaczu zobaczyła ojca Galli Modesto.

– Dallas. Dziękuję, że skontaktował się pan ze mną, panie Modesto.

*

Umówiła się na spotkanie z krewnymi ofiary, nim dotarła do sekretariatu Whitneya. Sekretarka dała jej znak, że może wejść do komendanta. Zapukała, otworzyła drzwi i weszła do gabinetu.

Whitney, barczysty mężczyzna o ciemnej karnacji, ciemnych oczach, z krótko ostrzyżonymi, szpakowatymi włosami, siedział za biurkiem.

Za nim rozciągało się miasto, któremu służył i które chronił, z wieżowcami błyszczącymi w słońcu.

Wyłączył ścienny monitor i całą uwagę skupił na Eve.

– Pani porucznik.
– Panie komendancie, dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas.
– Miałem spotkanie za spotkaniem, więc nie przeczytałem pani wstępnego raportu. Dźgnięcie nożem w Washington Square Park. O czym nie wiem?

– Galla Modesto, spadkobierczyni winiarzy.

– Ta od Wina i Alkohole Modesto?

– Tak, panie komendancie.

Skinął głową.

– Proszę kontynuować.

– Istnieją mocne poszlaki, że mąż Modesto, Jorge Tween, wynajął zawodowca, by zabił jego żonę, przynajmniej częściowo z powodu jej romansu. Kłamał podczas rozmowy po tym, jak poinformowaliśmy go o śmierci żony, ale niezbyt dobrze mu to wychodziło. Ma tajne konto, zlecił dwa przekazy. Pierwszy dwa tygodnie temu na pół miliona euro, drugi czterdzieści minut po stwierdzonej godzinie zgonu ofiary na nieco wyższą kwotę. Obie wpłaty trafiły na tajne konto w Andorze.

Urwała.

– Niebawem spodziewam się otrzymać szczegóły, dotyczące konta w Andorze, zatrudniłam Roarkę'a jako cywilnego eksperta-konsultanta w celu ich uzyskania.

– To spora kwota za pozbycie się niewiernej żony.

– Bogatej niewiernej żony. Jej majątek kilkakrotnie przewyższa jego stan posiadania, panie komendancie. Mają jedno dziecko, czteroletniego syna, Tween zostanie teraz jego jedynym rodzicem i opiekunem. Dziś rano zwolnił gospodynię i nianię. Peabody właśnie sporządza raport z przesłuchania gospodyni, która z własnej woli stawiała się w komendzie.

– A kochanek?

– Marlon Stowe, malarz. Chociaż Modesto zakończyła romans, zgodziła się z nim spotkać w parku wczoraj wieczorem. Namalował dla niej obraz, stanowiący jakby dopełnienie tego, który kupiła na początku ich znajomości. Zgłosił się do nas, opowiedział o romansie. Odniosłam wrażenie, że mówił prawdę, panie komendancie. Nigdy nie był notowany. Poza tym nie stać go na wynajęcie płatnego zabójcy.

– A ma pani pewność, że to był płatny zabójca?

– Stuprocentową. Lorcan Cobbe, rozpoznany przez naocznego świadka i widoczny na nagraniach kamer...

Whitney uniósł palec w górę.

– Znam to nazwisko. Skąd znam to nazwisko?

– Większość pracowników agencji wywiadowczych na całym świecie zna to nazwisko, panie komendancie. Jest podejrzany o liczne zabójstwa w różnych krajach. Działa głównie w Europie, jest obywatelem Irlandii. Roarke...

– Sukinsyn!

Przekleństwo i sposób, w jaki Whitney zerwał się z fotela, sprawiły, że Eve wyprężyła się i umilkła. Whitney rzadko tracił panowanie nad sobą, teraz z chmurną miną chodził tam i z powrotem wzdłuż przeszkłonej ściany, za którą błyszczały wieżowce.

– Znam to nazwisko. – Podeszedł do drzwi, otworzył je gwałtownie.

– Wezwij do mnie kapitana Feeneya. Natychmiast. – Zatrzasnęła drzwi.

– Włamanie do domu, trzy ofiary śmiertelne. Adam i Ellen Solomen oraz ich szesnastoletni syn, Thaddeus. Żona i syn mieli poderżnięte gardła. Solomena torturowano, potem rozplatanemu brzuchowi i pozostawiono, żeby się wykrwawił. Prowadziłem tę sprawę razem z Feeneyem.

– Pan i Feeney? Kiedy byliście partnerami?

– Nie, później. Jakies dwadzieścia lat temu. Feeney pracował w wydziale zabójstw, a ja zajmowałem się przeszkpcością zorganizowaną. Skaptowałem Solomena. Pracował dla Colina Boswella, zajmującego się handlem żywym towarem, narkotykami, wymuszaniem haraczy w Nowym Jorku, Londynie, Dublinie. Solomen był jego księgowym i moim tajnym informatorem. Prowadziłem śledztwo w sprawie wymuszania przez Boswella haraczy w Nowym Jorku. Współpracowałem wtedy z Feeneyem.

Trochę się uspokoił, podeszedł do lodówki i wyjął z niej dwie puszkę wody. Jedną rzucił Eve.

– Jeden z zabójców został ranny. Znaleźliśmy jego krew. Wejść! – krzyknął, słysząc pukanie.

Feeney wszedł, skinął Eve głową.

– Dallas. Panie komendancie.

– Pieprzony Lorcan Cobbe – powiedział Whitney i napił się wody.

Eve obserwowała, jak w oczach Feeneya, o powiekach opadających jak u basseta, pojawia się koncentracja. Podrapał się po głowie pokrytej gęstymi, rudymi włosami z pasmami siwizny.

Zobaczyła, jak wszystko sobie przypomniał.

– Napad z użyciem noża na Washington Square ostatniej nocy? McNab bada sprzęt elektroniczny, ale jeszcze nie znam szczegółów. To był Cobbe?

– Proszę mu powiedzieć, co już wiadomo – rozkazał Whitney, a potem wrócił do swojego biurka, zasiadł przed komputerem i przystąpił do pracy.

– Galla Modesto, dzieło zawodowego zabójcy – zaczęła Eve i powtórzyła szczegóły do miejsca, w którym Whitney jej przerwał.

Spojrzała na Whitneya, który z ponurą miną czytał coś na monitorze. Dał jej znak, żeby kontynuowała.

– Roarke pojechał razem ze mną na miejsce zbrodni. Akurat byliśmy na jakiejś sztuce, kiedy otrzymałam wezwanie. Rozpoznał Cobbe'a w tłumie. Cobbe się postarał, żeby Roarke go zobaczył, a potem zniknął. Roarke poznał go w Dublinie, kiedy obaj byli mali. Cobbe jest kilka lat od niego starszy i utrzymywał, że jest synem Patricka Roarke'a. O ile wiadomo Roarke'owi, Patrick Roarke nigdy tego nie potwierdził, ale Cobbe pracował dla jego... Organizacji. Można powiedzieć, że Cobbe nie przepadał za Roarkiem, bo był synem uznanym przez Patricka Roarke'a. Poza tym w następstwie pewnego incydentu, Roarke wydał go policji za pokrojenie psa na kawałki.

– Psa? – powtórzył Feeney.

– Tak, psa, należącego do ulicznego gajka. Pies rzucił się na Cobbe'a, kiedy ten próbował spuścić łomot chłopakowi i zabrać mu drobne, które miał w kieszeni. Roarke wspominał o jeszcze jednym spotkaniu z nim wiele lat później.

Feeney wsadził ręce do kieszeni zmiętej, brązowej marynarki.

– Przypuszczasz, że spróbuje dorwać twojego faceta?

– Myślę, że spróbuje. Nie jest głupi, ale w grę wchodzi zadawniona uraza. Darzył wielką czcią Patricka Roarke'a, który odtrącił go, a przynajmniej nie chciał przyznać, że jest jego ojcem. Wydaje mi się również, że będzie chciał wyrównać rachunki z mężczyzną, który stał się dla Roarke'a ojcem.

– Z Summersemem. – Feeney pokiwiał głową. – I z tobą.

– Taak, Roarke też tak sądzi. Chcesz odplacić wrogowi, zabij tych, których on kocha. Potem go wykończysz, ale najpierw będzie cierpiał. Jeszcze dziś mam spotkanie z Mirą w sprawie sporządzenia jego profilu, ale wszystko pasuje, jeśli uwzględnić to, czego się dowiedziałam do tej pory. Nie wiedziałam natomiast, że ty i komendant też macie z nim porachunki. Jeszcze nie cofnęłam się tak daleko.

– Ile to, dwadzieścia cholernych lat, prawda, Jack?

– Taa, dwadzieścia cholernych lat. Na czym skończyłem? – Whitney ucisnął grzbiet nosa. – Na jego wspólniku podczas napadu. Był nim niejaki Thomas Ivan.

– Duży Tom Ivan. Wielki jak brzoza, a głupi jak koza.

– I martwy jak głaz – dokończył Feeney. – Ustaliliśmy jego tożsamość na podstawie krwi, która została na miejscu zbrodni, i go dopadliśmy. Nie było to trudne, zaszył się w swojej melinie i konał od rany, w którą wdało się zakażenie.

Dał ręką znak Feeneyowi, żeby kontynuował.

– Zabraliśmy go do szpitala. Zrobili, co mogli, ale nie zwalczyli infekcji. Dupek wsadził do rany skarpetkę, którą urocował taśmą klejącą. Ale wyciągnęliśmy z niego nazwisko Cobbe'a. Zznał, że Cobbe zabił wszystkich i dziabnął go w wątrobę. Twierdził, że nieźle przyłożył za to Cobbe'owi, ale smarkacz – miał wtedy nie więcej niż dwadzieścia, dwadzieścia dwa lata – uciekł ze śmiechem.

– Policja pojawiła się w niepełna pół godziny po tym, jak Solomen zmarł – dodał Whitney. – Ktoś zadzwonił pod dziewięćset jedenastka. Przypuszczaliśmy, że Cobbe zmył się i miał nadzieję, że na miejscu zbrodni jeszcze zastaniemy Ivana. Ivan powiedział, że Cobbe dziabnął go nożem i okradł, bo zniknął jego portfel.

Feeney wskazał lodówkę.

– Jest tam coś słodkiego do picia?

– A znasz moją żonę?

– Ha. No tak. – Feeney usiadł, wziął puszkę wody Eve, napił się z niej trochę i ją oddał. – Cobbe był już wielokrotnie notowany w Irlandii, zwróciliśmy się o pomoc do irlandzkiej policji. Ale mieliśmy jedynie zeznania zmarłego faceta, który sam był notowany. Ivan albo nie wiedział, kto go wynajął do tej roboty, albo nie chciał wydać Boswella. To nie były dobre czasy w Dublinie, szerzyła się korupcja, masa gliniarzy była opłacana przez Boswella i jemu podobnych. Nie udało nam się uzyskać nakazu ekstradycji. Nie było dowodów, że Cobbe opuścił Irlandię, świadkowie przysięgali, że był z nimi w czasie, kiedy dokonano zabójstw.

– Wiedzieliśmy, że zabił trzy osoby, ale nie mogliśmy go aresztować. – Whitney utkwiał wzrok gdzieś przed sobą. Eve pomyślała, że wrócił pamięcią do tamtych czasów.

– Zmusiłem Solomena, żeby był moim kapusiem. Zapłacił za to. Jego żona i szesnastoletni syn też za to zapłacili. Podobnie jak Duży Tom Ivan. Cobbe’owi wszystko uszło na sucho.

– Robiełeś to, co do ciebie należało, Jack – przypomniał mu Feeney. – Solomen wiedział, co robi, kiedy zgodził się pracować dla takiego łobuza jak Boswell, a potem donosił na niego.

– Syn Solomenów grał w koszykówkę i chciał być astronomem. Miał w swoim pokoju teleskop, modełu Układu Słonecznego.

– Nie możesz tego wciąż rozpamiętywać – odezwał się Feeney.

– Zawsze to rozpamiętujemy, Ryanie. Nie byłibyśmy godni nosić odznaki, gdybyśmy tego nie robili. Nie próżnował przez ostatnie dwadzieścia lat. – Whitney postukał w ekran komputera. – A teraz znów pojawił się na naszym terenie. Czego potrzebujesz? – zwrócił się do Eve.

– Wszystkiego, co na niego mają agencje.

– Załatwię to.

– Pozwolenia na włączenie Roarke’a do śledztwa i wydanie mu broni.

Whitney uniósł brwi, Eve wyjaśniła:

– Oficjalnie, panie komendancie. Będzie celem i powinien mieć legalne środki obrony.

– Sądzę, że mu ich nie brakuje, ale wystąpię z takim wnioskiem.

Zwróciła się do Feeneya.

– Potrzebna mi twoja pomoc w jak najszerszym zakresie.

– Otrzymasz ją.

– Dziś po południu ściągnę Tweena do komendy, uzyskam nakaz, funkcjonariusze przeszukają jego dom, kiedy Tween będzie u nas. Trzeba sprawdzić cały sprzęt elektroniczny, ustalić, czy Tween i Cobbe kontaktowali się ze sobą, w jaki sposób dotarł do Cobbe’a. Wszystkie...

– Sądysz, że musisz mi mówić, czego mam szukać, dziecino?

– Nie. Ja tylko... – Rozległ się sygnał, że otrzymała SMS. – Przepraszam na chwilę.

Wyjęła komórkę, przeczytała wiadomość. Pokręciła głową.

– Arogancki i chciwy – mruknęła. – Roarke właśnie mnie poinformował, że Tween wystawił na sprzedaż obraz, który Modesto kupiła od Marlona Stowe’a. Wczoraj wieczorem, kiedy przyszedłem poinformować Tweena o śmierci żony, zrobiłam uwagę na temat obrazu. Wisiał na ścianie w pokoju. Tween wiedział, kto go namalował. Nie mógł znieść jego widoku we własnym domu. Ale go nie spalił. Postanowił na nim zarobić, żeby mu się zwróciło trochę pieniędzy za zabicie żony.

Schowała komórkę.

– W południe przyjdą krewni ofiary. Po naszej rozmowie będą mogli obejrzeć jej zwłoki. Tween jeszcze nie zadzwonił do kostnicy.

– Nawet nie udaje, że go to obchodzi – oświadczył Feeney. – Prześlij mi wszystko, co masz. Moi ludzie będą gotowi, kiedy dostaniesz nakaz.

– Dobrze. – Odwróciła się w stronę Whitneya. Pomyślała o brzemieniu, bo słusznie zauważył, że zawsze się go dźwiga. – Dopadniemy go, panie komendancie.

– Liczę na to.

Eve szybkim krokiem wróciła do siebie. Wpadła do sali ogólnej wydziału, warknęła „Peabody!” i skierowała się do swojego gabinetu.

I prawie jej się to udało.

Baxter podbiegł do niej.

– Przepraszam, pani porucznik, wiem, że nie ma pani teraz czasu, ale razem z młodym musimy zbaczyć trop.

– Więc zróbcie to.

– Musimy jechać do jakiejś pipidówki, gdzieś w rolniczej części Maryland. Proszę o podpisanie zgody na skorzystanie z wahałowca i wynajęcie samochodu, bo do tej pipidówki nic nie lata.

Sięgnęła po tablet, który jej podsunął, i palcem podpisała się na ekranie.

– Co to za sprawa?

– Jakiś gość dał się zakatować. Jego zwłoki wsadzono do komercyjnego recyklera na tyłach cholernie dobrej włoskiej restauracji w pobliżu Union Square. Świadkowie widzieli czerwone coupé Musclemann rocznik 2052, odjeżdżające z piskiem opon jakieś dziesięć minut po oficjalnym czasie zgonu wspomnianego gościa, zatłuczonego na śmierć, znanego również z zajmowania się wysyłką z Nowego Jorku nieuczciwie zdobytych towarów. Jeden z jego współników, niejaki Frankie Nalley, mieszka w tej pipidówce i ma czerwone coupé Musclemann rocznik 2052, zarejestrowane na swoje nazwisko.

– Jedźcie i dorwijcie go – poleciła Eve i poszła do siebie.

Peabody stała, trzymając dwa kubki kawy.

– Zaryzykowałam.

– Tym razem słusznie zrobiłaś. – Eve wzięła od niej kawę. – Usiądź w niewygodnym fotelu, bo nie mam czasu, żeby być miła. – Eve klapnęła za swoim biurkiem, a Peabody usiadła ostrożnie w fotelu dla gości, niemiłosiernie wpijającym się w tyłek.

– Dwadzieścia lat temu Whitney razem z Feeneyem prowadzili śledztwo w sprawie włamania i zabójstwa trzech osób. Adama, Ellen i Thaddeusa Solomenów. Wyciągnij akta tej sprawy, zapoznaj się z nimi. Cobbe wywinął się od odpowiedzialności.

– Cobbe? Serio?

– Serio. Muszę to wszystko uwzględnić, uaktualnić tablicę. Wyciągnij akta, zapoznaj się ze szczegółami. I prześlij kopię do Miry. Whitney zajmie się literkami, a ponieważ jest osobiście zainteresowany, dopnie swego. Na dodatek Tween zaferował na sprzedaż obraz Marlona Stowe’a wiszący w pokoju żony.

– Nie traci czasu.

– Rodzina Modesto przyjdzie w południe. Zarezerwuj salę konferencyjną.

– Ty też nie.

Nie ma czasu do stracenia, pomyślała – i uznała, że musi zadbać o dopieszczenie krewnych ofiary.

– Zanieś tam kawę.

– Tak jest!

– I herbatę, która nie smakuje jak siki. Mam w swoim autokucharzu trochę herbaty od Miry. Kiedy będę u Miry, skontaktuj się z Reo – jest w sądzie – i poinformuj ją, że mamy wystarczające podstawy, by aresztować Tweena i uzyskać nakaz rewizji oraz zarekwirowania wszystkich urządzeń elektronicznych. Weź swoją kawę i bierz się do roboty.

Peabody wstała z fotela równie ostrożnie, jak na nim usiadła.

– Wyślę ci SMS z numerem sali konferencyjnej na wypadek, gdybyś zasiedziała się u Miry.

– Dobrze. To całkiem możliwe, uwzględniając nowe fakty.

Eve spisała notatkę ze spotkania z szefem, wysłała jej kopię do Roarke’a. Potem wygrzebała stare akta, wydrukowała zdjęcia ofiar, miejsca zbrodni, Dużego Toma Ivana oraz Lorcana Cobbe’a w wieku dwudziestu lat.

Uważnie przyjrzała się młodemu Cobbe’owi i chociaż bardzo się starała zachować obiektywizm, nie znalazła podobieństwa między nim a Roarkiem. Uznała, że dwudziestoletni Cobbe był całkiem przy-

stojny i sympatyczny, gdyby nie oczy.

Albo było mu to obojętne, albo brakowało mu umiejętności, by ukryć malujące się w nich cechy zabójcy.

Przyczepiła wszystkie zdjęcia do tablicy.

Spojrzała na zegarek i odszukała informacje o Colinie Boswellu, ale kiedy przeczytała, że piętnaście lat temu zginął, zadżgany, załuczony, a następnie wrzucony do rzeki w Dublinie, postanowiła odłożyć dokładną lekturę na później.

Nie ulegało wątpliwości, że ktoś taki jak Boswell miał mnóstwo wrogów; ciekawa była, czy Cobbe postanowił go zlikwidować, widząc w tym możliwość awansu w swoim środowisku.

Rozważała wysłanie SMS-a do Roarke'a, ale ostatecznie zadzwoniła do niego. Gdyby raport trafił do poczty wideo...

– Pani porucznik.

Jego twarz pojawiła się na wyświetlaczu i Eve poczuła wyraźną ulgę. Jest bezpieczny. Jasne, że jest bezpieczny, ale nie zaskodzi tego sprawdzić.

– Wysłałam ci raport.

– Tak, widziałem, ale nie miałem jeszcze okazji się z nim zapoznać.

– Dwadzieścia lat temu Cobbe był w Nowym Jorku, prawdopodobnie działał na zlecenie niejakiego Colina Boswella.

– Sześć Boswell. Znam to nazwisko.

– Tak sobie pomyślałam. Razem z jakimś nowojorskim mafiosem, wymuszającym haracze, zabił księgowego Boswella, jego żonę i nastoletniego syna. Księgowy był również kapusiem Whitneya.

– Naprawdę? Wszędzie powiązania i cienie.

– Śledztwo prowadzili Whitney i Feeney. Przeczytaj moje notatki. Może będę potrzebowała więcej informacji o Boswellu – takich, których nie znajduję w oficjalnych aktach, takich, które tylko ty możesz znać. Zostaniesz przydzielony do śledztwa i otrzymasz broń.

Wybuchnął śmiechem.

– Chyba powstrzymam się od komentowania tego przez komórkę.

– Broń, którą od nas otrzymasz, będzie służyła do obrony – oświadczyła kategorycznie. – Jeszcze dziś po południu Tween trafi do aresztu.

– O której godzinie?

– Między czternastą a piętnastą. Reo jest do czternastej w sądzie, a chcę, żeby przy tym była. Śledź sprzedaż tego obrazu.

– Nie muszę. Już go kupiłem.

– Kupi...

– To dobry obraz – przerwał jej. – Uznałem, że nie powinien trafić do kogoś, kto nie rozumiałby jego wartości.

– Cóż za sentymentalne bzdury.

– Być może. Ale jak już mówiłem, trochę znam brata Galli. Kiedy to wszystko się skończy, może zechce go mieć, skoro coś dla niej znaczył.

Czasami trudno się spierać z sentymentalnymi bzdurami.

– Okej. Umówiłam się z Mirą. Sądzę, że byłoby dobrze, gdybyś ty też się z nią spotkał.

Przechylił głowę. Nie mogła twierdzić, że łatwo było odczytywać jego emocje, ale w tej chwili z jego twarzy wprost biła podejrzliwość.

– Po co?

– Żeby jej opisać Cobbe'a. Jaki jest według ciebie. Siedząc z nią twarzą w twarz, a nie za moim pośrednictwem. Roarke, mam na tablicy zdjęcia jeszcze trzech ofiar, w tym jednego nieletniego. Cała trójka zginęła dwadzieścia lat temu, ale zasługuje na sprawiedliwość. Może Mira wyłowi coś istotnego z tego, co od ciebie usłyszy. Ostatecznie właśnie tym się zajmuje.

– W takim razie zgoda.

– Muszę kończyć, w przeciwnym razie jej groźna sekretarka mnie zruga. Będę cię informować na bieżąco.

– Ja też.

Wcale nie skłamała, powiedziała sobie. Miała obiektywny powód, żeby nakłonić go do rozmowy z Mirą – zdjęcia czterech ofiar na tablicy.

Jeśli oprócz tego kierowała się jakimś osobistym powodem, nie pomniejszała to wagi powodu obiektywnego.

Nawet jeśli czuła się trochę winna, musi nad tym przejść do porządku dziennego.

Udała się prosto do gabinetu Miry i chociaż pojawiła się punktualnie, sekretarka Miry i tak obrzuciła ją groźnym spojrzeniem.

– Mogła mi pani powiedzieć, że rozmowa dotyczy nie tylko nowej sprawy, ale również jednego z dawnych śledztw komendanta.

– Nie wiedziałam tego, kiedy prosiłam o spotkanie.

– Pani doktor odwołała inne konsultacje. Będzie pani miała tyle czasu, ile będzie trzeba. – Sekretarka stuknęła w słuchawkę. – Przyszła porucznik Dallas.

– Proszę wejść – zwróciła się do Eve.

Mira siedziała za swoim biurkiem i ze ściągniętymi brwiami czytała coś na monitorze. Włosy, bujne i grube jak futro norek, okalały jej twarz falami.

Usta miała pomalowane różową pomadką. Może w hołdzie dla wiosny, pomyślała Eve, a może dla podkreślenia identycznego koloru bluzki, włożonej do białego (nie kremowego) kostiumu.

Spojrzała na Eve łagodnymi, ładnymi, niebieskimi oczami.

– Odświeżam sobie pamięć o sprawie Solomena. Przez dwadzieścia lat niektóre szczegóły mogą się zatrzeć.

– Nie spiesz się – powiedziała Eve, chociaż miała nadzieję, że Mira szybko sobie wszystko przypomnia.

– Pomagałam przy sporządzeniu profilu psychologicznego. Wtedy policyjnym profilerem był Clinton Jones, obecnie na emeryturze. Doskonały specjalista.

Wstała, podeszła do autokucharza. Miała na nogach śnieżnobiałe szpilki z noskami i obcasami w identycznym odcieniu różu, jak bluzka i szminka.

Eve zawsze zdumiewało, jak można przywiązywać do ubioru aż taką wagę.

Przypuszczała, że Mira zaprogramuje swoją ulubioną herbatę, pachnącą kwiatami, więc zdziwiła się, kiedy poczuła kawę. Dobrą kawę.

– Zaostrzyłam się w taką, jaką lubisz – wyjaśniła Mira. – Pomyślałam sobie, że obie chętnie się napijemy kawy.

– Nie odmówię.

– Usiądź. To będzie trudne dla komendanta. Pamiętam, jak bardzo przeżył śmierć tej trójki.

– Solomen był jego informatorem.

– Tak. – Mira przyniosła kawę w ładnych filiżankach, usiadła w niebieskim fotelu naprzeciwko Eve. – A teraz człowiek odpowiedzialny za ich śmierć wrócił i zamordował kolejną ofiarę.

Pociągnęła łyk kawy, skrzyżowała nogi.

– Zacznijmy od aktualnego śledztwa. Czytając twoje notatki, odniosłam wrażenie, że jesteś pewna, iż uda ci się złamać męża ofiary.

– Tak, nie mam cienia wątpliwości. Jest słaby, arogancki, egocentryczny. A poszlaki wyraźnie świadczą o jego winie.

– Jest egotystą. Żona znieważała go swoim romansem. Była to w większym stopniu zniewaga dla jego ego i męskości, niż zdrada jako taka. Mężczyzna, którego sobie wybrała, nie należał do tej samej warstwy społecznej, na dodatek nie dorównywał mu pod względem zamożności – kolejna zniewaga. Wybijałe ego jest dominującą cechą charakteru Tweena, a co za tym idzie – jego największą słabością.

– Nie będzie trudno szturchnąć jego ego, kiedy Tween trafi do aresztu.

Mira się uśmiechnęła.

– Nie, jesteś w tym dobra. Musisz też zrozumieć, że rozwód w jego mniemaniu nigdy nie wchodził w grę. Jej śmierć chroni jego ego i jego pozycję – a nawet ją umacnia. Wybaczenie żonie albo próba ratowania małżeństwa nie wchodziły w rachubę. Znieważała go, mogła nawet zakończyć to małżeństwo, gdyby chciała je ratować. Tamtym obrazem stale mu przypominała o tej zniewadze, o rozwiązaniu, które było nie do przyjęcia. Jaki miał wybór poza wyeliminowaniem jej?

– Jednocześnie jest zbyt słaby, by zdobyć się na konfrontację.

– Tak, jest słaby – zgodziła się z nią Mira. – Chociaż postrzeżę to jak strategię, nawet przebiegłość. To, że żona zakończyła romans, niczego nie zmieniło – dodała Mira, popijając kawę. – Wynajęcie zawodowego zabójcy uważał za rozwiązanie racjonalne i z całą pewnością opłacalne, ponieważ to on zgarnie wszystkie profity.

– Pieniądze żony, dziecko i pieniądze dziecka albo dysponowanie nimi. Wsparcie jej rodziny.

– Tak, wszystko to. Może się pozbyć gospodyni i niani, zyskać pełną kontrolę emocjonalną nad dzieckiem, wybrać nowych opiekunów, którzy będą odpowiadali jego potrzebom.

Mira uniosła dłoń i po chwili ją opuściła.

– Pozornie to przebiegłe, tylko słabo wykonane.

– Nie zapytał, jak dokładnie zginęła, gdzie była, kiedy będzie mógł ją zobaczyć, nie skontaktował się w tej sprawie z lekarzem sądowym. Nawet nie zadbał o to, by zostawić zapalone światło obok drzwi wejściowych pod pozorem, że spodziewa się jej powrotu do domu.

– Słabe wykonanie – powtórzyła Mira. – Skończył z nią, dalsza strata czasu i wysiłku nie leżą w jego naturze. Scedował troskę o nią na jej krewnych, pojawił się na pogrzebie, okazując żal, a potem przestał sobie tym zaprzętać głowę. Ślub z nią był środkiem do celu, podobnie jak dziecko. Jej śmierć tak samo.

– Wściekłość czy zazdrość nie mają tu nic do rzeczy. Nie dostrzegłam w nim tych emocji wczoraj wieczorem.

– Bo mu ich brak. Liczy się ego, awans. Jego ego zostało dopieszczane, a syn jest teraz kluczem do dalszego awansu.

Umilkła, żeby napić się kawy.

– Czy wiesz, w jaki sposób skontaktował się z Cobbe'em?

– Jeszcze nie. Pracuję nad tym.

– Cobbe – mruknęła Mira. – Lorcan Cobbe. Możesz przeczytać jego profil w aktach Solomena, więc przedstawię go tu tylko pokrótce. Dowody świadczą, że Ivan powiedział prawdę, jeśli chodzi o zabójstwa, bo ofiary zginęły od ran zadanych nożem. Ivan nie posługiwał się ostrymi narzędziami. Wymuszając haracz, uciekał się do pięści, czasem do tępych narzędzi. Chociaż zarówno żonę, jak i syna zabito, kiedy leżeli w swoich łóżkach, u obu ofiar było widać rany obronne na dłoniach. Żona dzieliła łóżko z Solomenem, może się obudziła, kiedy wtargnęli Cobbe i Ivan. Z raportu lekarza sądowego wynika, że miała siniaki wokół ust – ktoś zacisnął na nich rękę. Ona pierwsza poniosła śmierć.

– Unieszkodliwili dorosłego mężczyznę, stanowiącego największe zagrożenie, zadając mu cios w głowę – ciągnęła. – To dzieło Ivana. Gdyby działali racjonalnie, Cobbe powinien w tym samym czasie zabić żonę, nim się obudziła albo w pełni oprzytomniała. Ale wybrał inny scenariusz – pozwolił, żeby się obudziła i zaczęła krzyczeć, zanim odebrał jej życie.

– Chciał, żeby wiedziała.

– Zabicie śpiącej kobiety nie dałoby satysfakcji komuś, kto lubi zabijać. Uwzględniliśmy jego wiek, brak doświadczenia, ale bazując na tym, czego Whitney i Feeney dowiedzieli się o przeszłości Cobbe'a, Clinton uznał, że chodziło o satysfakcję. I zgadzam się z nim.

– Pokój syna był w drugim końcu domu, mało prawdopodobne, by cokolwiek usłyszał – ciągnęła Mira. – Lecz on też nie spał, kiedy poderżnięto mu gardło. Ale nie zmarł od razu, jak matka. Nie zadano mu jednej rany, tylko kilka. Nie miał lekkiej śmierci, rozmyślnie skazano go na cierpienia.

Eve ujrzała teraz ich twarze, widziała miejsce zbrodni.

Widziała wszystko tak dokładnie, jak Mirę w idealnie skrojonym białym kostiumie, popijającą kawę.

– Ivan miał mężczyzną pod kontrolą, kobieta nie żyła, więc Cobbe miał więcej czasu, by rozkoszować się odbieraniem życia chłopakowi.

– Tak. Solomena brutalnie bito przez blisko godzinę. Zadano mu też wiele ran kłutych. Żadna z nich nie była śmiertelna, dopiero ta ostatnia, w brzuch. Podobna do tej, jaką zadano twojej ofierze. Solomena związane i zakneblowano, nim przystąpiono do tortur. To świadczy, że nie chodziło o wyciągnięcie z niego żadnych informacji, tylko o ukaranie, zabicie jego i jego rodziny. Ponieważ Ivan był wieloletnim i lojalnym człowiekiem Colina Boswella, nic nie wskazuje na to, by Boswell kazał go zabić.

Eve przypomniała sobie zdjęcie młodego Cobbe'a, które umieściła na swojej tablicy.

I zobaczyła wszystko tak, jak to się odbyło.

– Cobbe go dźgnął, bo tego chciał. Cała ta krew, przyjemność, podniecenie. Czemu miałyby przestać? Ivan to dureń, on jest o niebo bystrzejszy. Zabrać mu portfel, bo Ivan prawdopodobnie jest na tyle głupi, by włożyć tam przynajmniej część zapłaty. I potem uciec – powiedziała Eve w zamyśleniu. – Bo nawet z dziurą w brzuchu Ivan jest silny. Więc najlepiej uciec, wrócić do Irlandii, z porządnym fachowo wykonanym zabójstwem na koncie.

Eve spojrzała na Mirę.

– Co o tym sądzisz?

– To bardzo w jego stylu. Nie kieruje nim ego, jak Tweenem, chociaż też odgrywa pewną rolę. W młodym wieku znalazł zajęcie, które mu się podoba i do którego ma wyjątkowy talent. Dorastał w czasach i miejscu, gdzie prawo było łamane, władze w dużym stopniu skorumpowane, przemoc na porządku dziennym. W swoim raporcie napisałaś, że wierzysz w to, że jest synem Patricka Roarke'a.

– Tak, prawdziwym synem. Chyba można powiedzieć, pierwotnym synem i prawowitym spadkobiercą. Nie kupuję tego.

Mira uniosła brwi.

– Dlaczego?

– Brak jakiegokolwiek podobieństwa fizycznego – ma jasnobrązowe włosy, orzechowe oczy, bardziej zwalistą budowę ciała, ciemniejszą karnację. Inne rysy twarzy. Nic nie pasuje.

– Zgadzam się, chociaż geny czasami płatają figle. W aktach Cobbe’a brak jego DNA.

– Gdyby Patrick Roarke wierzył w to, że ma drugiego syna, na dodatek takiego, który go podziwia, chce być taki jak on, uznałby go. Ego – powtórzyła Eve. – Ale istotne jest to, że Cobbe w to wierzy, uważa Roarke’a za przeskodę, kogoś, kim może gardzić. Przypuszczam, że fakt, iż ojciec systematycznie bił Roarke’a, nie tylko sprawiał Cobbe’owi satysfakcję, ale również stanowił dowód, że Roarke nie był synem Patricka. Lecz nawet kiedy Summerset przygarnął Roarke’a, Patrick Roarke nie uznał Cobbe’a za swojego syna ani nie przyjął go pod swój dach.

– Miał idealnego następcę – podsumowała Eve. – A jednak go nie przygarnął.

– Jeszcze jeden powód dla Cobbe’a, by kupić swoją nienawiść na Roarke’u.

– Roarke dostarczył mu paru więcej.

Opowiedziała Mirze o chłopaku i psie.

– Tylko w największym skrócie opowiem ci o drugim incydencie. Pominęłam go w swoim raporcie.

Mira jedynie skinęła głową, wcale nie zdziwiona.

– Dobrze. Uznamy, że jest to objęte tajemnicą zawodową. Ja też o tym nie wspomnę w swoim raporcie.

– No więc wiele lat później Roarke wpadł na Cobbe’a w pewnym barze we Francji. Cobbe dosiadł się do niego, dążył do konfrontacji. Przytknął mu nóż do żeber. Domagał się pieniędzy, i to sporych, ale przede wszystkim chciał, by Roarke przyznał, że Cobbe jest prawdziwym synem Patricka Roarke’a, i zrezygnował ze swojego nazwiska, żeby Cobbe mógł się nim posługiwać.

– Aha. Pieniądzy, bo domyślał się, że akurat wtedy Roarke zaczął się bogacić. Chociaż w gruncie rzeczy chodziło o nazwisko, przyznanie, że Cobbe jest synem Patricka Roarke’a. To fiksacja. – Mira nachyliła się, zmarszczywszy czoło. – Do tego niebezpieczna.

– Tak. Wszyscy jesteśmy zgodni w tym punkcie.

– Jaka była reakcja Roarke’a?

– Miał paralizator – nielegalnie. Znał Cobbe’a. Jak tylko go zobaczył, wyjął paralizator i trzymał pod stolikiem. Właściwie powiedział mu, żeby się odczepił, a potem posłużył się paralizatorem, zostawił Cobbe’a wijącego się w konwulsjach na podłodze i wyszedł. Wtedy ostatni raz Cobbe spotkał się z nim twarzą w twarz.

– Rozumiem. – Przyswajając sobie tę informację, Mira znów napiła się kawy.

– Czyli dwa razy, a przypuszczam, że w okresie dzieciństwa było więcej takich przypadków, kiedy Roarke okazał się lepszy od niego, upokorzył go. Dodam to do jego wcześniejszego profilu. Zdobył umiejętności i nawiązał kontakty, by odnieść spory sukces w swoim fachu. Zabija dla przyjemności i zysku. Dobrze mu się powodzi, podróżuje często i wygodnie. Nie ma przyjaciół, ale ma kontakty. Nie wie, co to lojalność, w jego życiu liczy się tylko praca. Mimo swoich umiejętności i dokonań, nigdy nie uda mu się odnieść takiego sukcesu, jak Roarke’owi. Cobbe musi trzymać się w cieniu, by pracować i przetrwać. Roarke żyje w pełnym świetle, ma rodzinę, przyjaciół. I wciąż pozostaje jedynym synem uznanym przez Patricka Roarke’a.

Spójny profil, który Eve już stworzyła sobie w głowie, nadal sprawiał, że czuła lód w trzewiach.

– To coś więcej niż zazdrość. To zazdrość połączona z obsesją, nienawiścią i urazą. Jeśli dodać do tego strach, bo z nim też mamy tu do czynienia, otrzymujemy śmiertelnie groźną mieszankę.

Mira skinęła głową.

– Uważam, że życiowym celem Cobbe’a było wyeliminowanie Roarke’a albo przynajmniej zaskoczenie mu. Dlaczego wrócił do Nowego Jorku? Działa z sukcesem w Europie, jest podejrzany o popełnienie zabójstw w Australii, Tokio, Indiach. A jednak podejmuje się zadania, które z całą pewnością nie wymaga jego umiejętności, w Nowym Jorku. Gdzie mieszka Roarke, gdzie ma swoją główną siedzibę.

Eve musiała przyznać w duchu, że nie pomyślała o tym. Może podświadomie nie chciała tego dopuścić do siebie.

– Sądzisz, że podjął się zabójstwa Modesto, bo dzięki temu mógł przylecieć do Nowego Jorku, być bliżej Roarke’a?

– To całkiem możliwe. Co się zmieniło w życiu Roarke’a w ciągu ostatnich trzech lat? Ożenił się, co początkowo Cobbe mógł uważać za sprytny wybieg. Poślubił policjantkę, do tego porucznik. Ale gdyby chociaż odrobinę głębiej pokopał, dowiedziałby się jeszcze czegoś. Roarke nie tylko ma żonę-policjantkę, ale kobietę, którą kocha. To coś, czego Cobbe nigdy nie będzie miał. Nie tylko stworzył tu prawdziwą rodzinę – a zaliczam do niej również Dennisa i siebie – ale odszukał również swoich krewnych w Irlandii.

– Roarke zadbał o ich bezpieczeństwo.

– Według mnie bardzo mądrze zrobił. W tej chwili Cobbe nie musi się zwracać w tamtą stronę, jednak nie można wykluczyć takiej ewentualności. Roarke nie tylko stworzył imperium, odnoszące oszałamiające sukcesy na Ziemi i poza nią, ale również działa charytatywnie. Cobbe wie o schronisku, chociaż nie rozgłasza w szumie wobec o jego istnieniu. Tak samo wie, że Roarke zamierza otworzyć szkołę dla dzieci w trudnym położeniu.

Eve odstawiła kawę, wstała i zaczęła chodzić po pokoju.

– Myślałam o tym, ale próbowałam nad tym zapanować. Nie zaprzętać sobie tym głowy i pracować. Kiedy się dowiedziałam, że Cobbe był tu dwadzieścia lat temu, lecz później, o ile nam wiadomo, nie odwiedzał Ameryki, nieco inaczej na to spojrzalam.

– Nie mógł wiedzieć ani przypuszczać, że wczoraj wieczorem Roarke pojawi się na miejscu zbrodni.

– Racja, jednak kiedy zobaczył Roarke'a, nie potrafił się powstrzymać.

– „Jestem tu” – powiedziała Mira, unosząc rękę. – „Ja to zrobiłem i godziwie mi za to zapłacono. A ciebie i wszystkich, na których ci zależy, załatwię za darmo”. Przez większość swego życia zabijał bezkarnie i dla zysku. Roarke mu się wymykał, ale teraz Cobbe wierzy, że uda mu się to zmienić, osiągnąć cel. Pozostanie w Nowym Jorku, póki go nie powstrzymacie.

– Powstrzymam go.

– A Roarke?

– Nie siedzi z założonymi rękami, przedsięwziął różne kroki. Lecz... – urwała, przestała krążyć po pokoju, przycisnęła palce do powiek. – Niepokoi się. Nie o siebie, nie z powodu swojego ego. Tylko o mnie i o innych.

– A ty martwisz się o niego, a nie o siebie. Ani o swoje ego.

Mira wstała, ujęła Eve lekko za ramiona.

– Oboje wiecie, że istnieje ryzyko, ale oboje wiecie też, jak sobie z nim poradzić. Jesteś fachowcem, Eve, masz do pomocy całą nowojorską policję. Roarke również zna się na rzeczy i dysponuje znacznymi środkami. Każde z was z osobna jest groźnym przeciwnikiem. Razem? Nigdy nie wystąpiłabym przeciwko wam.

– Doznał wstrząsu, kiedy wczoraj wieczorem zobaczył Cobbe'a. Nigdy o nim do końca nie zapomniał.

– Duch z przeszłości. Każdy by doznał wstrząsu.

– Whitneyem też to wstrząsnęło. – Odetchnęła głęboko i poczuła się lepiej, wypowiedziawszy to na głos. – Do diabła, ja też byłam w szkole, kiedy zobaczyłam dwóch najtwardszych facetów, jakich znam, do głębi poruszonych. Ale dość o tym.

Eve znów klapnęła w fotelu, przesunęła dłońmi po twarzy, po włosach.

– Trochę pograłam z Roarkiem w pewnej sprawie. Nie w pełni, bo jest w tym pewna doza słuszości, ale pograłam z nim, żeby się zgodził porozmawiać z tobą.

Mira usiadła prosto i skrzyżowała nogi.

– Bardzo dobrze zrobiłaś.

– Właściwie to był pomysł Peabody, by Roarke porozmawiał z tobą bezpośrednio, a nie żebym ja ci przekazała, co wie o Cobbie.

– Jest w tym sporo słuszości. I będzie wielce pomocne.

– Poza tym jest jeszcze druga sprawa, trochę delikatna. Bo chciałabym, żeby... Chciałabym, żebyś...

– Rozumiem. Może do niego zadzwonię? Jeśli mu to pasuje, mogę z nim porozmawiać dziś wczesnym wieczorem u was, tam czuje się swobodnie. Albo u mnie. To lepsze od spotkania tutaj.

– Tak. Dzięki. Wielkie dzięki. Muszę wracać do siebie. Przyjadą tu dziś krewni ofiary.

– Sporządzę profil Cobbe'a, roześlę do wszystkich zainteresowanych osób.

– Świetnie. – Eve wstała. – Dziękuję, że poświęciłaś mi tyle czasu. – Skierowała się do wyjścia, ale zatrzymała się. – Nie chcę, żebyście ty czy twój mąż ryzykowali. Mieście się na baczości. Chociaż nie przypuszczam, by Cobbe chciał wam coś zrobić. Nie zrozumie, że też jesteście naszą rodziną. To dla niego niepojęte.

– I właśnie to, że nie rozumie, że nie jest w stanie zrozumieć Roarke'a czy ciebie, pozwoli ci go powstrzymać.

Eve na to liczyła. Rozmyślała nad tym, wracając do wydziału zabójstw.

Tylko detektywi Carmichael i Santiago siedzieli za swoimi biurkami – Santiago robił coś na komputerze, Carmichael na swojej komórcie. Eve przypominała sobie, że Baxter i Trueheart wyjechali do Maryland, a Jenkinson i Reineke – jeśli wierzyć temu, co zapisano na tablicy – pracowała w terenie.

Peabody przygotowywała salę konferencyjną.

– Santiago, Carmichael... Oboje Carmichaelowie... Shelby, skontaktujcie się z wydziałem informatyki śledczej w sprawie przeszukania mieszkania i zarekwirowania sprzętu. Zaplanujcie to na czternastą

zero zero. Zabierzcie ze sobą grzebień z gęstymi ząbkami.

– Co to, u diabła, jest grzebień z gęstymi ząbkami?

– To taki grzebień, który ma bardzo cienkie i gęsto osadzone ząbki, żeby nic nie przeoczyć – wyjaśnił jej Santiago.

– Tak jest. Czyli zaopatrzenie się w nie i niczego nie przeoczyć. Chodzi o zabójstwo Modesto. Jej mąż około czternastej trzydzieści będzie się nieskutecznie próbował wykręcić od przyznania się do tego, że wynajął płatnego zabójcę, by pozbyć się żony.

– Czytałem akta.

Reszta tego, co miała do zakomunikowania swoim pracownikom, będzie musiała zaczekać, aż wszyscy będą obecni.

Poszła do swojego gabinetu, przygotowała materiały, które jej się przydadzą przy przesłuchaniu Tweena. Ponieważ dostała raport od McNaba, uwzględniła SMS -y. Oraz sprzedaż obrazu, tajny rachunek i przelew.

Zabrzączała jej komunikator.

– Właśnie przybyli krewni Modesto. Prowadzę ich do sali konferencyjnej numer dwa.

– Zaraz tam będę.

Wysłała SMS do Reo:

Ekipa poszukiwawcza przydzielona, będzie gotowa do wkroczenia o czternastej zero zero. I o tej godzinie wysłę funkcjonariuszy, by ściągnęli Tweena na przesłuchanie. Z pewnością zażąda obecności adwokata, więc będziesz miała masę czasu, by dotrzeć na komendę na przesłuchanie. Przygotuj nakazy.

Udała się do sali konferencyjnej. Kiedy weszła do środka, Peabody akurat proponowała gościom kawę lub herbatę.

Dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Starsza kobieta – bardzo podobna do ofiary – otwarcie płakała. Młodszy mężczyzna – ciemnowłosa, zielonooki – pocieszał ją, mówiąc coś do niej po włosku.

Starszy mężczyzna – siwowłosa, z długim nosem, twarzą jak wyrzeźbioną w kamieniu – siedział na pozór opanowany, ale mocno ścisnął dłoń młodszej kobiety. Synowa, domyśliła się Eve: blondynka, niebieskie oczy, prawdziwa piękność.

Właśnie ona odpowiadała Peabody.

– Bardzo pani miła. Proszę o herbatę dla mojej matki i dla mnie. Dla mojego męża kawa z odrobiną śmietanki. A dla ojca czarna kawa. Dziękuję.

Eve podeszła do stołu. Oczy wszystkich skierowały się w jej stronę.

– Jestem porucznik Dallas. Składamy wyrazy współczucia z powodu straty, którą państwo ponieśli. Wiem, że to bardzo trudne chwile dla wszystkich państwa i doceniamy to, że przyszli tu państwo, by z nami porozmawiać.

– Znajdziecie go? – spytała Anna Maria Modesto, nie przestając szlochać. – Czy znajdziecie tego potwora, który zrobił coś takiego mojemu dziecku?

– Moja partnerka i ja oraz cała policja nowojorska zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby znaleźć osobę, która odebrała życie państwa córce. Rozmowa z państwem pomoże nam w dochodzeniu.

– Angelo, nasz mały Angelo, został teraz bez matki.

– Ma ciebie. – Stefano przycisnął usta do skroni matki. – Ma Terezę. Nikt nie zastąpi mu Galli, ale wszyscy zaopiekujemy się Angelo.

– Cieszy się pani dobrą opinią. – Antonio utkwiał swoje ciemne oczy w Eve. Miał rozkazujący ton głosu. Mówił doskonałą angielszczyzną z ledwo wyczuwalnym obcym akcentem. – I ta dobra opinia świadczy według mnie, że zrobi pani wszystko, co trzeba, żeby znaleźć tego, kto odebrał Gallę nam, jej dziecku, jej mężowi. Światu. Ale jak pani tego dokona? Przecież zabił ją w mgnieniu oka i zniknął.

– Podążamy wszystkimi tropami, panie Modesto. Czy znają państwo kogoś, kto chciałby skrzywdzić państwa córkę?

– Nie, nie! – Wolną ręką z taką siłą uderzył w stół, że aż podskoczyły filiżanki z kawą i herbatą. – To była chwila, rozumie pani? Nie znał jej, zaatakował ją, ponieważ akurat tamtędy przechodziła. Nigdy nikogo nie skrzywdziła. Moja córka była kobietą dobrą i kochającą. Była dobrą żoną i matką. A on zabił ją bez zastanowienia.

Eve pomyślała chwilę. Jeśli mają jej pomóc, musi im dać powód.

– Uważamy, że nie było to zrobione bez zastanowienia. Uważamy, że państwa córka, państwa siostra była celem zabójcy.

– Ale dlaczego? – rozległo się w powietrzu pełne niedowierzania pytanie Stefano. – Mój ojciec ma rację. Galla była dobra. Była wspaniałą kobietą, nie przychodzi mi na myśl nikt, kto chciałby ją skrzywdzić. Powiedzielibyśmy pani bez wahania, gdyby był ktoś taki.

– Wierzę panu. Czy wiedział pan, że pańska siostra miała romans?

Antonio znów walnął dłonią w stół, jego twarz zrobiła się czerwona ze złości.

– Jak pani śmie mówić coś takiego?

– Panie Modesto, takie są fakty, które wyszły na jaw podczas śledztwa. – Mówiąc to, Eve nie spuszczała wzroku z twarzy Terezy. – Pani wiedziała.

– Ja...

– Proszę powiedzieć prawdę. Chce pani, żeby pani szwagierka doczekała się sprawiedliwości? Zależało pani na niej? Prawda jest narzędziem, które teraz może jej pomóc.

Tereza zamknęła oczy, a potem przycisnęła dłonie do twarzy.

– Przykro mi. Przykro mi. – Spojrzała na swojego męża, łzy płynęły jej z oczu, kiedy wyjaśniała coś w języku ojczystym.

Nagle wszyscy zaczęli mówić jednocześnie po włosku.

– Proszę mówić po angielsku! – Eve uniosła rękę w górę. – Musimy zrozumieć, co macie do powiedzenia. Wiedziała pani – powtórzyła Eve. – Galla się pani zwierzyła.

– Tak. Przykro mi. Tak. Była nieszczęśliwa. Błagam, musi ją pani zrozumieć.

– Moim zadaniem nie jest osądzanie jej, tylko szukanie dla niej sprawiedliwości. Proszę mi wszystko opowiedzieć.

6

– Przyleciałam do Nowego Jorku trochę w sprawach służbowych, trochę na zakupy i żeby moje dzieci mogły się spotkać z Angelo. Byłyśmy bardzo żywe z Gallą. Jak siostry. Nasze dzieci się lubiły.

– Kiedy pani przyleciała? – spytała Eve.

– Późną wiosną. Galla była bardzo nieszczęśliwa i chociaż próbowała to ukryć, nie dałam się zwieść. Widziałam to i nalegałam, żeby mi wszystko powiedziała.

Umilkła, na chwilę zamknęła oczy. Z racji dawnego zajęcia była kobietą o mocnych ramionach i sportowej sylwetce.

Chociaż łzy błyszczały w jej oczach, powstrzymała płacz.

– Wyznała mi, że nie czuje miłości ze strony męża. Chciała pracować zawodowo, ale się nie zgodził.

– Powiedziała... – Antonio zebrał się w sobie. – Powiedziała, że na jakiś czas chce zrezygnować z aktywności zawodowej, być tylko matką Angelo.

– Wiem. Sądzę... – Tereza dotknęła jego zaciśniętej w pięść dłoni. – Sądzę, że powiedziała tak, byśmy nie myśleli źle o Jorge. Ale brakowało jej pracy, tęskniła za rodziną i Włochami. A Jorge, wyznała mi, oddalił się od niej, stał się bardziej... despotyczny. Chciał, żeby była jedynie jego żoną, towarzyszyła mu podczas różnych imprez towarzyskich, służbowych kolacji.

Uśmiechnęła się do Eve.

– Była taka piękna, taka urocza, znała się na interesach. Dzięki temu stała się dla niego ważna i wydaje mi się, że czuła, iż do tego ogranicza się jej rola. Tylko tak ją postrzega. Jako cenny nabytek.

– Chciała zabrać Angelo do Toskanii, pokazać mu dom jego dziadków, ale Jorge się nie zgadzał – ciągnęła Tereza. – Bardzo dużo pracował, poświęcał jej niewiele czasu. Czuła się samotna, tęskniła za bliskimi, za domem. Nie miała prawdziwych przyjaciółek, bo Jorge chciał, żeby spotykała się jedynie z żonami klientów, chodziła z nimi na obiady albo wydawała przyjęcia.

– Dlaczego mi nic nie powiedziała? Jestem jej mamą.

Tereza zwróciła się do Anny Marii.

– Nie chciała cię rozczarować. Byłaś przeciwna temu, żeby tak młodo wyszła za męża, żeby tak się spieszyła z poślubieniem Jorge. Chociaż dałaś im swoje błogosławieństwo. Miałaś rację, mammo. Galla mi wyznała, że miałaś rację. Ale poślubiła go, urodził im się syn. Prosiła, bym jej obiecała, że nic nie powiem ani tobie, ani tacie. Nawet tobie, *mi amore*. Wybacz mi.

– Myślisz, że pogniewam się na ciebie za to, że dotrzymałaś słowa, danego mojej siostrze? Że ją pocieszałaś, gdy była nieszczęśliwa?

– Prosiłam, żeby wróciła za mną. Mówiłam, że pomogę jej sprowadzić dziecko do kraju, ale nie chciała się zgodzić. Powiedziała, że nie może odebrać swojemu mężowi ich syna. A potem...

Dotknęła dłonią serca.

– Czy mogę prosić o wodę?

– Zaraz pani podam. – Peabody wstała, podeszła do puszek z wodą. – Była prawdziwą szczęściarą, że miała panią. Że miała z kim porozmawiać.

– Dziękuję. Dziękuję. Upłynęło kilka tygodni. Po mojej wizycie częściej się kontaktowałyśmy. Staralam się codziennie z nią rozmawiać albo pisać do niej, kiedy tylko mogłam. Powiedziała, że poznała kogoś. Artystę malarza. Kupiła jeden z jego obrazów – przedstawiał dom. Galla chodziła na spacery albo biegała – to była jej odskocznica. Poznała go podczas pewnego spaceru. Zaprzyjaźnili się. A nawet było to coś więcej. Była szczęśliwa. Znalazła miłość. Wiedziała, że nie powinna łamać przysięgi małżeńskiej...

Jej krewni milczeli, kiedy urwała, by napić się wody.

– Rozważała rozwód, powrót do domu. Chciała się przekonać, czy jej serce nadal będzie biło dla malarza. Potem znów pomyślała o przysiędze małżeńskiej i o dziecku, które miała wspólnie z mężem. Chociaż była szczęśliwa, wiedziała, że nie może tak po prostu zakończyć małżeństwa, rozbić rodziny. Musiała spróbować wszystko naprawić. Mówiła mi o tym. Tydzień czy dwa tygodnie temu – chyba dwa – zakończyła swój romans. Powiedziała, że ona i jej ukochany płakali, a ja płakałam razem z nią.

Tereza zamknęła oczy.

– Płakałam razem z nią, ponieważ uważałam, że robi błąd, że powinna pójść za głosem serca. Nie powiedziałam jej tego, czego teraz żałuję.

Powstrzymała lzy, napiła się wody i zwróciła się do swojego teścia. Powiedziała do niego coś cicho po włosku. Pokręcił głową, przyciągnął ją do siebie i pocałował w skroń.

Potem usiadł prosto i utkwiał ciemne, płonące oczy w Eve.

– Sądzi pani, że zabił ją malarz dlatego, że zakończyła romans?

– Nie, proszę pana. Tamtego wieczoru poszła do parku, żeby się z nim spotkać. Poprosił ją o to. Ale... – Zobaczyła, że znów ogarnia go gniew. – Poprosił ją o spotkanie, by wręczyć jej prezent poże-gnalny. Obraz, stanowiący dopełnienie tego, który kupiła, kiedy się poznali. Zgłosił się do mnie, powie-dział to, co właśnie usłyszeliśmy od pana synowej. Miał przy sobie obraz. Uważam, że jego rozpacz była równie prawdziwa, jak państwa. Co więcej, dowody, którymi dysponujemy, świadczą, że nie był zamieszany w zabójstwo.

– Jorge. – Twarz Anny Marii stała się biała jak kreda. – Jest w nim chłód. Galla tego nie widziała. Była na to ślepa, ale jest w nim chłód.

– Nie mamy dowodów, że przebywał w parku w czasie, kiedy poniosła śmierć. Wszystko świadczy o tym, że był w domu, że tamtego wieczoru nigdzie nie wychodził. Jednak dokładnie go przesłuchamy.

– Panie Modesto?

– Si?

– Pańska synowa dotrzymuje słowa. A pan?

– Jeśli dam słowo, to go dotrzymuję.

– Wszyscy, którzy siedzą za tym stołem, niech mi dadzą słowo. Wszyscy tu obecni, którzy kochali Gallę, którzy chcą, żeby sprawiedliwości stało się zadość, muszą mi obiecać, że to, o czym będziemy teraz mówić, nie wyjdzie poza tę salę. Że nikt z tu obecnych nie podejmie żadnych działań, które mogłyby zaszkodzić śledztwu.

– Ma pani moje słowo. – Antonio spojrział na wszystkich przy stole. – Ma pani słowo rodziny Mode-sto. I dotrzymamy go.

– Peabody, umieść na ekranie zdjęcie Cobbe’a. Lorcan Cobbe – powiedziała Eve, kiedy Peabody wstała, żeby wykonać jej polecenie. – Czy to nazwisko jest znane komuś z państwa?

– Nie znam nikogo o takim nazwisku – oświadczył Antonio, a pozostali pokręcili głowami. – Czy to on zabił moją córkę?

– Tak.

– Dlaczego? Dlaczego ten człowiek zabił Gallę?

– Bo tym się zajmuje. Lorcan Cobbe. – Eve wskazała jego zdjęcie na ekranie. – Zawodowy zabójca. Mamy dowody, że był w parku. Mamy dowody, że wynajęto go, by zabił Gallę. Czy ktoś z państwa go rozpoznaje?

– Nigdy go nie widziałem – powiedział Stefano. – Zabija dla pieniędzy? Ale kto...

Urwał i zbladł jak jego matka.

– Coś sobie pan przypomniał? – spytała Eve.

– To nic, naprawdę nic. Chodzi o żart.

– Jaki żart?

– Jorge był w Rzymie na rozmowach, na prezentacji. Po wielu spotkaniach i długiej prezentacji zaprosiłem go na drinka. Zadał pytanie, które uznałem za kiepski żart: gdzie szukać mafii, kiedy jest potrzebna? Nasz konkurent stosuje dumpingowe ceny, zażartował, więc potrzebni nam – jak to ujął? – faceci w czarnej limuzynie, którzy na dobre się z nim rozprawią. W tym samym duchu – mieliśmy za sobą bardzo długi, bardzo ciężki dzień – odpowiedziałem mu żartobliwie, że wystarczy się skontaktować z Bellacorem, z Salvatore Bellacorem.

Kiedy jego ojciec z sykiem wypuścił powietrze z płuc, Stefano uniósł ręce.

– Wiem, tato, to bardzo kiepski żart.

– Co to za jeden, ten Bellacore?

– To stary mafioso – wyjaśnił Stefano. – Bardzo stary, od dawna na emeryturze, już nie siedzi w wię-zieniu, gdzie spędził wiele lat. Chodzą słuchy, że ma piękną willę na Sycylii. Chodzą też słuchy, o czym powiedziałem Jorge, że zna różnych bandziorów, wie, gdzie ich szukać, bo sam kiedyś był jed-nym z nich. Ludzie gadają, że na emeryturze zajmuje się pośrednictwem w takich sprawach. Powie-działem mu o tym. Czyżbym podsunął mu jakiś pomysł?

– Nie mam cienia wątpliwości, że już wcześniej sam wpadł na taki pomysł. Czy może mi pan powie-dzieć dokładnie, kiedy odbyła się ta rozmowa?

– W marcu. W trzecim tygodniu marca. Mogę sprawdzić, kiedy dokładnie.

– To mi wystarczy. Przepraszam na chwilę. Peabody, kontynuuj.

Eve wyszła z sali, zadzwoniła do Roarke'a.

– Sprawdź operację na koncie Tweena w marcu, poczynając od trzeciego tygodnia. Szukam transferu, czegoś w rodzaju honorarium za konsultację. Prawdopodobnie jest ukryty, ale przeznaczony był dla niejakiego Salvadore Bellacorego.

– Bellacore. Pośrednik. Sam powinienem być o nim pomyśleć, ale jeśli wciąż żyje, ma ze sto dziesięć lat. Zaczekaj chwilkę.

Eve zaczęła chodzić tam i z powrotem, przygotowana na dłuższe czekanie, ale po kilku sekundach w słuchawce rozległ się głos Roarke'a.

– Dwudziesty czwarty marca, przekaz na dziesięć tysięcy euro dla Bellacorego.

– Jezus, nawet nie próbował tego jako ukryć?

– To wpłata na konto farmy Bellacorego – pomarańcze, oliwki, cytryny. Gdybym miał trochę więcej czasu, sam bym się zorientował, że to przykrywa dla działalności pośredniczenia. Pomogło ci to?

– Możesz się założyć o swój zgrabny irlandzki tyłek. Przyślij mi szczegóły. Porozmawiamy później.

– Mam cię, draniu – mruknęła Eve, rozłączywszy się.

Kiedy wróciła na salę, Peabody akurat wypytywała o testament Galli.

– Rozmawiała ze mną na ten temat po tym, jak urodził się Angelo. – Stefano potarł oczy. – Chciała, żeby część firmy, należąca do niej, przypadła jej synowi w ramach funduszu powierniczego. Poprosiła, żebym zarządzał funduszem. Jej majątek, akcje, nieruchomości, miały być podzielone między jej męża i syna, uczyniła też pewne zapisy na rzecz rodziny, organizacji charytatywnych, Eleny Rinaldi, swojej gospodyni, a także Sofii Grinaldi, niani Angelo.

– Czy ustaliła opiekunów syna na wypadek, gdyby coś złego spotkało ją i jego ojca? – spytała Peabody.

– Tak, Terezę i mnie. Mamy dwoje dzieci, są kuzynami Angelo. Naturalnie chciała, żeby zaopiekowała się nim rodzina.

– Nie zostawimy mu dziecka – oświadczyła Anna Maria głosem zimnym jak stal. – Jeśli jest odpowiedzialny za to, co się stało, nie zostawimy mu dziecka.

– Oto co chcę, by państwo zrobili – odezwała się Eve. – Jedźcie zobaczyć swoją córkę i siostrę. Nie kontaktujcie się z Tweenem. Jeśli on spróbuje się z wami skontaktować, nie odbierajcie telefonów. Dobrze będzie, jak po zobaczeniu Galli wróciacie do swojego mieszkania. Odwiedzę tam państwa, jeśli będą miały coś więcej do zakomunikowania.

– Roarke załatwił dla nas apartament w Regent, bo nasze mieszkanie nie jest wystarczająco duże, by pomieścić nas wszystkich.

– Naprawdę?

– Znamy się – wyjaśnił jej Stefano. – Zadzwonił do mnie, żeby mi złożyć kondolencje, i zapewnić mnie, że mogę zaufać pani, pani partnerce, pani ludziom, że postaracie się, by oddać Galli sprawiedliwość.

– To prawda. Czy potrzebują państwo środka transportu?

– Nie, mamy własny.

Eve wstała.

– Detektyw Peabody odprowadzi państwa do wyjścia.

Antonio podniósł się z krzesła.

– Cieszę się, że jest pani taka dobra. Ale od tej pory nie zależy mi na tym, by była pani dobra. Chcę, żeby była pani bezwzględna.

– Mogę to panu obiecać. – Gdy wyszli, Eve przyjrzała się uważnie zdjęciu Cobbe'a na ekranie. – I tobie też.

Kiedy weszła do wydziału zabójstw, dała znak Peabody, żeby poszła za nią do jej gabinetu.

– To kochająca rodzina – zauważyła Peabody. – Dzieciakowi będzie u nich dobrze.

– O ile czegoś nie spieprzymy, trafi do nich jeszcze dziś wieczorem. Dwudziestego czwartego marca Tween zapłacił Salvadore Bellacoremu dziesięć tysięcy.

– A niech mnie! Nie chcę zapeszyć, ale wszystko idzie aż za łatwo.

– Cobbe to inna para butów.

– Inna para kaloszy.

– Jedno i drugie nie ma sensu. – Eve usiadła za biurkiem, przycisnęła dłonie do skroni.

– Dobrze się czujesz?

– Trochę boli mnie głowa. Gdyby któreś z nich postąpiło inaczej, nadal by żyła. Chociaż nie można tak mówić. Nawet gdyby któreś z nich postąpiło inaczej, i tak mogłaby nie żyć, bo przewróciłyby się, biorąc prysznic albo coś w tym rodzaju.

Peabody podeszła do autokucharza, nacisnęła menu, zamówiła coś, co jej pani porucznik zaakceptuje.

– Zjemy pizzę pepperoni, bo obie jesteśmy głodne, a musimy być bezwzględne i skupione, żeby załatwić tego dupka.

– Muszę wszystko spisać.

– Ja mogę to zrobić.

– Nie, ty skontaktuj się z opieką społeczną, dorwij kogoś sensownego i upewnij się, że uwinie się z pracą papierkową, byśmy mogli przekazać dziecko krewnym, kiedy aresztujemy drania.

– Dobrze. – Postawiła na biurku Eve puszkę pepsi, położyła kawałek pizzy. Spojrzała na fotel dla gości i postanowiła zjeść na stojąco.

– Możemy się zwrócić do Włochów, do Interpolu lub tych, którzy pracują najlepiej, żeby zajęli się Bellacorem. Dobra wymiana. – Eve sprawdziła, czy w poczcie przychodzącej jest coś od Whitneya.

Jeszcze nic.

Skończyła jeść pizzę i zastanawiała się nad drugim kawałkiem, gdy dostała wiadomość od Reo.

– Obrona poprosiła o przerwę do jutra do dziesiątej rano, sędzia wyraził zgodę. Przygotowuję nakazy i jestem w drodze do komendy.

– Przyjęłam – odpowiedziała Eve. – Nakaz aresztowania za współudział w przygotowaniu morderstwa i morderstwo z premedytacją.

– Masz poważne podstawy?

– Tak. Odprawa w moim gabinecie, jak tylko tu dotrzesz. Zaskoczmy go.

Prawie jej przeszedł ból głowy. Eve obróciła się z fotelem.

– Zleć paru policjantom, by go aresztowały i sprowadziły tu.

– Koniecznie mają być policjantki?

– Łobuz wykorzystał kobietę, żeby przyspieszyć swoją karierę, poprawić pozycję społeczną, napchać sobie kieszenie. Potem kazał ją zamordować. Policjantki uzna za większą zniewagę. To małostkowe, ale mam taki kaprys.

– Zaraz się do tego wezmę, ale najpierw muszę skończyć jeść. Jeśli wyjdę stąd chociażby z okruszkiem pizzy, może dojść do zamieszek. Z Tweenem idziemy na maksa?

– Tak, ponieważ zgodzimy się na złagodzenie wyroku.

Peabody aż się zakrztusiła i musiała się walnąć pięścią w piersi.

– Niemal się udławiłam ostatnim kawałkiem pizzy. Chcesz potraktować go łagodniej?

– Zaczniemy od kary podwójnego dożywocia, odbywanej kolejno w zakładzie karnym poza Ziemią. Damy Tweenowi możliwość domagania się zgody na jednoczesne odbywanie kary za oba przestępstwa z prawem do zwolnienia warunkowego po trzydziestu latach, jeśli nie tylko wyspie Cobbe'a, ale również ujawni informacje, które doprowadzą do jego aresztowania. To dupek, zasługuje na to, żeby zgnić w więzieniu. Jest również słaby, więc skusi go perspektywa wyjścia po trzydziestu latach, by móc jeszcze chociaż trochę normalnie pożyć. Albo dopadniemy Cobbe'a, albo Tween odsiedzi cały wyrok.

Eve napiła się pepsi.

– Pomijam dodatkowe zarzuty, które po trzydziestu latach postawią mu literki. Nie spędzi mi to snu z powiek.

Obróciła się z fotelem.

– Zmykaj.

Eve sporządziła raport, uwzględniając zapłatę dla pośrednika i kiedy ją zlecono, szczegóły testamentu, potwierdzenie istnienia romansu i fakt jego zakończenia.

Właśnie go wysyłała, gdy weszła Reo.

– Czuję pizzę. Dlaczego w drodze tutaj skusiłam się na hot doga z ulicznej budki? Ale mam jeszcze miejsce na porządną kawę.

– Rozumiem. Siadaj. Za biurkiem. – Eve wstała, żeby odstąpić jej swój fotel. Przypomniała sobie o napoczętej puszcze pepsi, zabrała ją.

Zapoznała Reo ze stanem śledztwa, przypięła na tablicy zdjęcie Bellacorego.

– No, no, no, nic a nic nie przesadziłaś, mówiąc, że masz niezbite dowody. Nie uda mu się wytłumażyć z tych transferów. Nie masz szczegółów tego tajnego konta w Andorze?

– Jeśli da się je ustalić, Roarke to zrobi. Daty tych trzech przelewów załatwią łobuza. Zapewniam cię, że ekipa śledcza znajdzie ich więcej. To arogancki gnojek. Jest święcie przekonany, że nikt nie będzie tego sprawdzał. Ostatecznie leżał w łóżku z bólem głowy. I jeszcze jedno mnie nie zdziwi: jak gdzieś po drodze natkniesz się na honoraria dla prywatnego detektywa. Mógł je ukryć na rachunku firmowym, obciążyć nimi Modesto. Roarke i bez tego ma dużo roboty, ale moi ludzie je znajdą, jeśli były zlecone. Złamię go. Potem ty zaproponujesz mu ugodę.

Reo strzepnęła niewidoczny pyłek ze swojej spódnicy w prążki.

– Chcesz, żebym zawarła z nim ugodę?

– Chcę Cobbe'a.

– Podobnie jak połowa organów ścigania na świecie – sprawdziłam to.

– Czyż nie będzie ci miło, gdy zastępczyni prokuratora okręgowego z Nowego Jorku przyczyni się do zatrzymania zabójcy działającego na całym świecie?

Reo napiła się kawy i się uśmiechnęła.

– Nie zraniłoby to moich uczuć. Prawo jednoczesnego odbywania kar, możliwość zwolnienia warunkowego po pięćdziesięciu latach.

– Po trzydziestu latach. Musi mieć jakiś bodziec, musi wierzyć, że jeszcze nacieszy się wolnością.

– To naprawdę ciekawe znaleźć się po drugiej stronie w tym sporze. Trzydzieści pięć lat. Dallas, on kazał zamordować w parku miejskim własną żonę, matkę ich małego synka. Nie mogę zejść niżej.

– Trzydzieści pięć lat – zgodziła się Eve. – I tak nie wyjdzie po trzydziestu pięciu latach. To dupek. Coś schrzani. I zapewniam cię, że po tych trzydziestu pięciu latach krewni Galli wystąpią na przesłuchaniu w sprawie zwolnienia warunkowego, o ile w ogóle do niego dojdzie. Odsiedzi czterdzieści lat, a potem jeszcze więcej, bo dojdą nowe oskarżenia. Wykorzystał międzynarodową sieć banków, żeby zatrudnić zawodowego zabójcę.

– No proszę, jaka jesteś cwana.

– Dlatego zarabiam takie nędzne grosze. Jeśli kiedykolwiek wyjdzie na wolność, będzie bankrutem bez perspektyw. Syna Galli wychowują jej krewni, dobrzy ludzie, w domu, który kochała. Dopadniemy Cobbe'a, sprawiedliwości stanie się zadość. A to nasz obowiązek.

– To nasz obowiązek. Pozwól, że tu trochę popracuję, weźmiemy go w obroty, jak zostanie aresztowany i dotrze tu jego adwokat.

– Możesz się rozgościć. Ja muszę zwołać odprawę ekipy śledczej.

Nie zdziwiła się, kiedy w sali swojego wydziału zastała szefa wydziału informatyki śledczej razem z McNabem.

– Whitney walczy z biurokracją – zakomunikował Feeney. – Jest w tym lepszy ode mnie. Powiedział, że pod koniec zmiany będzie miał dla ciebie jakieś informacje.

– To dobrze. Chcę, żebyś wspólnie z McNabem możliwie najdokładniej sprawdził sprzęt elektroniczny w rezydencji. Interesują mnie dane finansowe – mam nadzieję, że uda się znaleźć przekazy pieniężne dla prywatnego detektywa albo firmy detektywistycznej. Ma własny sejf – to w jego stylu. Otwórzcie go. Jeśli nie kontaktował się z Cobbe'em, korzystając ze swoich prywatnych komórek, w sejfie ma dodatkową, niezarejestrowaną. Kogo przydzieliłeś do sprawdzenia jego sprzętu elektronicznego w biurze?

– Callendar i Rosco.

– Upewnij się, że sprawdzą finanse i niezarejestrowane komórki. Santiago, oboje Carmichael, Shelby, od frontu i w środku.

Kiedy wydawała polecenia swoim ludziom, zadzwoniła jej komórka.

– Chwileczkę – powiedziała, kiedy sprawdziła na wyświetlaczu, kto to. – Dallas – rzuciła do słuchawki.

– Porucznik Dallas! Aresztowali *signore* Tweena! Policja przysłała do domu i...

– Wiem, pani Rinaldi. Ja ich tam wysłałam.

– Och! Co mam robić? Krzyczyc na mnie, każe mi zadzwonić do prawnika, pana Milтона Barkleya.

– Proszę to zrobić. Może pani powiedzieć prawnikowi, że pana Tweena zabrano do komendy głównej. Gdzie jest chłopiec... Angelo?

– Śpi na górze. Jest z nim niania. Nie rozumie, gdzie jest jego matka, dlaczego ja i jego niania musimy opuścić dom.

– Czy zna pani numer telefonu Stefano Modesto?

– Tak. Tak, naturalnie, ale...

– Proszę do niego zadzwonić, przedstawić mu sytuację. Może zabrać Angelo do hotelu, w którym się zatrzymał w Nowym Jorku.

– Och! *Grazie a Dio!*

– Pojawią się policjanci z nakazem rewizji. Proszę ich wpuścić. Kiedy dziecko trafi do opiekuna, pani i niania jesteście wolne.

– Powiem Sofii, niani. Spakujemy rzeczy Angelo. Bardzo pani dziękuję, porucznik Dallas.

– To moja praca. Skontaktuję się z panią. – Rozłączyła się. – Peabody, poinformuj opiekę społeczną, że Tween jest w areszcie, a małoletnie dziecko będzie z prawnym opiekunem. Jakies pytania? – zwróciła się do swoich ludzi.

– Wszystko jasne – powiedział jej Santiago.
– To do roboty.
Wróciła do gabinetu.
– Ma prawnika na swoje usługi – oznajmiła. – Niejakiego Milтона Barkleya.
– Daj mi minutkę. – Reo przełączyła się, żeby poszukać na palmtopie. – Hmm. Znacomity, ale zajmuje się prawem spółek, nie karnym. Co świadczy, że Tween nie ma lub nie zna adwokata, zajmującego się prawem karnym. Barkley pojawi się z kimś takim.
– Potrzebne mi moje biurko.
– I tak już prawie skończyłam. Mam zgodę na warunkowe zwolnienie po trzydziestu pięciu latach. Wiem, jak to rozegrać – dodała Reo. – I wiem, jak działać z tobą i Peabody. Spodziewam się, że rzucisz pod moim adresem kilka robiących wrażenie inwektyw o układaniu się z przestępcami.
– Znieważanie prawników przychodzi mi z łatwością.
Reo pogroziła jej palcem i wstała.
– Znajdę sobie miejsce w sali wydziału.
Eve usiadła za biurkiem i uzupełniła akta, które miała zabrać na przesłuchanie. Właśnie przeglądała ich zawartość, kiedy wszedł Roarke.
– Cześć. Nie spodziewałam się tu ciebie.
– Mam kilka spraw do załatwienia w pobliżu, ale chwilowo jestem wolny. – Podszedł do jej autokucharza. – Kawy?
– Czy to rzeczywiście pytanie?
Zaprogramował dwie.
– Galla Modesto posiadała wiejski dom w Chianti, w Toskanii. Kilka hektarów, ogrody, mała winnica, domek dozorczy, piękny widok. Wystawił to na sprzedaż.
– Naprawdę dupek z niego.
– Dał dozorczy trzy tygodnie na wyprowadzenie się.
Podszedł do małego okna i wyglądał przez nie, pijąc kawę.
– Podobnie zrobił z jej mieszkaniem we Florencji. Mieszka w nim teraz jej młoda kuzynka, studentka sztuki. Dał jej miesiąc na wyprowadzkę.
– Możemy to wszystko zablokować, i zrobimy to.
– Ty to zrobisz – mruknął, wciąż wyglądając przez okno. – O, tak, rozpaczywie pragnęłam mieć pieniądze i nieruchomości. Teraz to tylko interesy, i przyjemność, i gra. Ale kiedyś to była kwestia przetrwania i rozpaczywa potrzeba. Jest jednak różnica między potrzebą a chciwością, prawda?
– Tak. – Wstała, podeszła do niego, objęła go od tyłu. Bardzo tego potrzebował. – Dopadnę go, Roarke. Zaufaj mi.
– Och, ufam ci. – Położył rękę na jej dłoniach.
– I dopadnę Cobbe'a. Razem go dopadniemy – poprawiła się.
– Dla niego to też interesy, przyjemność i gra.
Czuła, że jest spięty, zły, przygnębiony.
– Co wcale nie znaczy, że jest taki jak ty.
– Dorastaliśmy w tych samych zaułkach i slumsach, ten sam człowiek dominował w naszym życiu, kiedy byliśmy dziećmi. I przez jakiś czas nasze ścieżki bieły równoległe.
– Bzdura. Czy kiedykolwiek zabiłeś dla pieniędzy?
– Nie. Przyznaję, że przynajmniej to nigdy mnie nie pociągało.
Odwrocił się, przycisnął usta do jej czoła, nim odsunął się nieco od niej.
– Mogę potwierdzić, że Cobbe był w Amsterdamie trzy tygodnie temu. Biznesmen, mający udziały w luksusowym burdelu, popularnym seksklubie i innych przedsiębiorstwach tego typu, zginął w wyniku nieudolnego włamania, jak ustaliła policja. Głównym podejrzanym jest Cobbe.
– Dlaczego?
– Pechowemu biznesmenowi ktoś zmasakrował twarz, zadał mu też liczne rany klute. Ale najpierw podciął mu gardło. Śledczy są przeświadczeni, że po dokonaniu zabójstwa sfingowano nieudane włamanie. Godzinę później Cobbe pojawił się w burdelu, posługując się jedną z przepustek dla VIP-ów, jakie ofiara często dawała w prezencie przyjaciołom lub klientom. Skorzystał z usług dwóch zatrudnionych tam panienek i wychylił butelkę Cristal.
– Bezczelny sukinsyn.
– Zawsze taki był. Muszą jeszcze ustalić, jak przybył do miasta i jak je opuścił.
– Jeszcze jedna cegiełka w murze. Potrzebne mi nazwisko kierującego tamtym śledztwem.
– Dostaniesz je.

– Aresztowaliśmy Tweena za współudział w przygotowaniu morderstwa i morderstwo. Przesłucham go, jak tylko naradzi się ze swoim prawnikiem czy prawnikami.

– Szybka robota, pani porucznik.

– Skontaktowałeś się ze Stefano Modesto.

– Tak. Uznałem, że... powinienem.

– I bardzo słusznie. On i jego rodzina dziękują ci za zaferowanie im apartamentu hotelowego. Jego żona wiedziała o romansie, cieszyła się zaufaniem szwagierki. To, co z niej wyciągnęłam, potwierdza zeznania Marlona Stowe'a na ten temat. Będę miała wszystko, absolutnie wszystko, co Tween wie o Cobbie.

– Martwisz się o mnie. – Odstawił kawę, ujął Eve za ramiona i lekko nią potrząsnął. – Przestań. Masz do wykonania zadanie.

– Regulamin małżeński wyraźnie wymaga ode mnie, żebym się o ciebie martwiła, kiedy jest powód.

Rozśmieszyla go tym. Uwolnił jej ramiona z uścisku, ujął w dłonie jej twarz i pocałował Eve. Długo, namiętnie.

– Cywilny konsultant-rzeczoznawca, spoufalający się z osobą kierującą śledztwem, kiedy osoba ta jest na służbie, to jawne pogwałcenie przepisów. – Teraz ona ujęła jego twarz. – Równie dobrze możemy to zrobić jeszcze raz.

Kiedy go pocałowała, nie od razu się od niej odsunął.

– Jesteś moim sercem. – Cofnął się. – Żałuję, że nie mogę zostać i przyglądać się, jak sobie radzisz z tym szczególnym dupkiem, ale dziś już sporo spotkań poprzesuwałem.

– W domu zdam ci relację.

– Liczę na to. Mogę być nieco później. Jeśli więcej niż nieco, dam ci znać.

– Ja też będę w kontakcie z tobą.

– Może kiedyś – powiedział, kierując się do wyjścia – wyślesz mi kopię tego regulaminu małżeńskiego.

Tak jak wcześniej Roarke, podeszła do okna. Tramwaj powietrzny zniżył lot wystarczająco, by mogła dostrzec znużone twarze nowojorczyków i przejęte turystów.

W dole przechodnie i pojazdy wypełniały ulice i chodniki. Gdzieś tam Cobbe siedł, jechał albo się ukrył, przygotowując śmierć człowieka, którego kochała.

Znajdzie go. W jej pracy, w jej życiu, na całym świecie nie było nic ważniejszego niż odszukanie Lorcana Cobbe'a i zatrzaśnięcie za nim bramy więzienia.

Rozprawi się z Tweenem. To jej zadanie, jej obowiązek, tego wymaga sprawiedliwość. I wykorzysta go, żeby pomógł jej osiągnąć główny cel.

Usłyszała kroki Peabody, ale się nie odwróciła.

– Tween już tu jest, naradza się ze swoimi prawnikami, Miltonem Barkleyem i Denise Gotte. Gotte specjalizuje się w sprawach karnych. Sześć miesięcy temu dołączyła do Pettersona i Franksa jako pełnoprawny wspólnik, ich kancelaria nazywa się teraz Patterson, Franks i Gotte. Przeprowadziła się tu z Atlanty.

– Świetnie. Będziemy gotowe.

Nieco ponad godzinę później Eve weszła do sali przesłuchań A.

– Włączyć nagrywanie. Porucznik Eve Dallas i detektyw Delia Peabody przystępują do przesłuchania Jorge Tweena w obecności jego reprezentantów prawnych w sprawie numer H-32108.

Usiadła za podrapanym stolikiem naprzeciwko Tweena. Po obu stronach miał prawników.

– Panie Tween, aresztowano pana pod zarzutem współudziału w morderstwie i morderstwa z premedytacją swojej żony, Galli Modesto. Czy odczytano panu przysługujące mu prawa i czy rozumie pan swoje prawa i obowiązki w tej sprawie?

Odpowiedziała za niego Gotte. Była pięćdziesięcioletnią kobietą o mocnej budowie ciała, miała krótkie, gładkie blond włosy i niebieskie oczy twarde jak marmur.

W jej głosie, akcencie, nie było nic, co mogłoby świadczyć, że przyjechała z Atlanty.

– Mój klient został poinformowany o swoich prawach i je doskonale rozumie. Kategorycznie zaprzecza, by miał jakikolwiek związek z tragiczną i nagłą śmiercią swojej żony i jest zbulwersowany, podobnie jak jego reprezentanci, że policja wniosła przeciwko niemu tak absurdalne oskarżenia, co jeszcze pogłębiło jego żalobę.

– Rozumiem. No cóż, jego zaprzeczenie to brednie.

– Nie będziemy tolerować tego rodzaju obraźliwego języka ani zachowania.

– Będziecie musieli pogodzić się z czymś znacznie gorszym, nim zakończy się to przesłuchanie.

– Pani porucznik. – Barkley, ciemnoskóry, sześćdziesięcioletni mężczyzna o kręconych włosach przyproszonych siwizną, uniósł dłoń. – Jestem adwokatem pana Tweena od blisko dziesięciu lat. Znałem Gallę, jestem wstrząśnięty i zasmucony jej nagłą śmiercią. Proszę, żeby uszanowała pani tragizm tej sytuacji.

– Zawsze szanuję ofiarę, panie Barkley. Panie Tween, kiedy razem z moją partnerką wczoraj wieczorem poinformowałam pana o zamordowaniu pańskiej żony, oświadczył pan, że nie wiedział pan o romansie swojej żony ani o tym, że został on zakończony.

– Mój klient utrzymuje, że nic mu nie było wiadomo na ten temat. Pani próba wykorzystania niewłaściwego zachowania ofiary jako motywu postępowania mojego klienta jest niedorzeczna. – Gotte stuknęła palcem w stół. – Nagrania z kamer zainstalowanych w rezydencji mojego klienta dowodzą, że nie opuszczał domu po tym, jak wrócił z pracy o osiemnastej trzydzieści. Nie...

– Nikt nie twierdzi, że opuszczał dom. – Eve otworzyła teczkę, wyjęła – dzięki, Feeney! – kopię raportu (ze zdjęciami), sporządzonego przez prywatnego detektywa.

– Niemniej jednak szesnastego listopada zeszłego roku zwrócił się pan do Oscar Gill Investigations z poleceniem śledzenia swojej żony. Dlaczego pan to zrobił, panie Tween?

– To nie pani sprawa.

– Ależ to jak najbardziej moja sprawa. – Rozłożyła na stole zdjęcia i dokumenty. – To kopia raportu, który otrzymał pan od Oscara Gilla, za który zapłacił pan osiem tysięcy trzysta dwadzieścia pięć dolarów z funduszu reprezentacyjnego firmy Wina i Alkohole Modesto. Czy uważa pan wynajęcie prywatnego detektywa w celu śledzenia żony i robienia jej zdjęć za wydatek na cele reprezentacyjne?

– To moja firma. I moja osobista sprawa.

– Uzyskaliśmy to na podstawie prawomocnego nakazu. – Eve wyciągnęła jego kopię, podsunęła ją Gotte. – Nie odpowiadał pan na moje pytanie, panie Tween.

Gotte uniosła palec, by milczał, a sama przeczytała nakaz, rzuciła okiem na raport, na zdjęcia Galli spacerującej z Marlonem Stowe'em, całującej się z nim, obejmującej go, najwyraźniej zrobione aparatem z długim obiektywem przez okno mieszkania.

Gotte nachyliła się do Tweena, coś mu szepnęła na ucho. Z wściekłą miną coś jej odpowiedział.

Pani adwokat nie jest zadowolona, zauważyła Eve. Od samego początku nie miała radosnej miny, ale teraz była wyraźnie wkurzona.

Nikt nie lubi być okłamywany.

– Mój klient zaprzeczył, że wiedział o romansie, próbując chronić dobre imię żony i wizerunek rodziny.

– Czyli skłamał.

– Dopiero co dowiedział się o zamordowaniu żony. Nie...

– Prawdę mówiąc, dowiedział się o tym jakieś dwadzieścia minut po zabójstwie. Nakaz upoważnia policję do otwarcia wszystkich sejfów i zamkniętych na klucz schowków w rezydencji. Znaleźliśmy pańską niezarejestrowaną komórkę, panie Tween, na której wciąż pozostało kilka wiadomości wysłanych na inny niezarejestrowany aparat i otrzymanych z tamtego aparatu. Do ostatniej wiadomości, jaką pan otrzymał, dołączono zdjęcie. Detektyw Peabody, czy ma pani kopię tej wiadomości i zdjęcia?

– Tak. – Peabody otworzyła swoją teczkę. – Oto treść wiadomości: „Dowód wykonania zlecenia. Oczekuję przekazania reszty płatności zgodnie z ustaleniami”. I jako dowód załączono to.

Położyła na środku stołu zdjęcie.

– Jak widać, na miejscu zbrodni są już pierwsi funkcjonariusze, by je zabezpieczyć, ale to wyraźne zdjęcie Galli Modesto z rozciętym brzuchem. Dostał pan to, za co pan zapłacił, panie Tween.

– Podrzucili to. Podrzucili to wszystko.

– Tak, kilku funkcjonariuszy nowojorskiej policji postanowiło podrzucić dowody. Na przykład zlecenie dwóch przelewów, jakich pan dokonał na tajne konto w Andorze. Pierwszego sprzed dwóch tygodni, drugiego tego wieczoru, kiedy zamordowano Gallę. I jeszcze jeden dowód: przekaz dla Salvadore Bellacorego, pośrednika, człowieka, który za pieniądze kontaktuje klientów z przestępcami, jakich ci potrzebują. Ten jest z marca bieżącego roku. Właśnie teraz policja na Sardynii przeprowadza rozmowę z Saleem. Sypie pana równo.

Gotte złapała dokument.

– To przekaz dla farmy na Sardynii.

– To farma Bellacorego i jego przykrywka. Tak się składa, że mam kopię jego kartoteki. Jest całkiem pokazna. Może zechce pani również zerknąć na wcześniejsze wiadomości w komórce. Na przykład na pierwszą wiadomość do pani klienta od kogoś, używającego pseudonimu Kosa. Zabawne, bo właśnie taką bronią się posługuje. Ta wiadomość jest z dziewiętnastego kwietnia, przedstawia warunki – milion euro plus wydatki. Połowa ma być przesłana natychmiast na wspomniany wcześniej rachunek, a reszta wraz z wydatkami po przedstawieniu dowodu wykonania zlecenia.

Wykładała na stół kolejne dokumenty, nie przestając mówić.

– Proszę przeczytać zapisy rozmów: jak wynajęty zabójca prosi o informacje o ofierze i je otrzymuje. Jak wynajęty zabójca pyta, czy klient chce, żeby za dodatkową opłatą zlikwidować również kochanka żony, ale klient rezygnuje z tej dodatkowej usługi. Jak zawodowy zabójca, wyszukany, wynajęty i opłacony przez Jorge Tweena, o czym świadczy tajne konto na jego nazwisko, potwierdza swoje przybycie do Nowego Jorku dwa dni przed zabójstwem. I jak pani pieprzony klient informuje zawodowego zabójcę, że jego żona zamierza się spotkać z Marlonem Stowe'em w Washington Square Park, podaje mu dokładną godzinę oraz miejsce i poleca sfinalizować zlecenie właśnie tam i wtedy.

Eve przesunęła po stole całą teczkę.

– Nie miało znaczenia, że już zakończyła romans, zgodziła się spotkać z Marlonem Stowe'em, żeby się pożegnać. Znieważyla pana, a czegoś takiego nie mógł pan tolerować. Rozwód nie wchodził w rachubę, ponieważ w porównaniu z panem miała masę pieniędzy, na których mógł pan położyć łapę tylko jako wdowiec po niej.

– To wszystko kłamstwa! Wszystko zostało sfabrykowane. Rodzina Modesto ją do tego namówiła! Najwyraźniej jej zapłacili. I...

– Cicho! – warknęła Gotte. – Ani słowa więcej. Musimy porozmawiać z naszym klientem.

– Nie wątpię. – Eve wstała. – Przy okazji, panie Tween, wystawienie na sprzedaż posiadłości żony w Toskanii i mieszkania we Florencji, kiedy jej ciało jeszcze znajduje się w kostnicy, uważam za coś wyjątkowo bezdusznego i wyrachowanego. Zablokowaliśmy to.

– Nawet się pan nie pofatygował, żeby ją zobaczyć – dodała Peabody, wstając. – Nawet nie próbował pan udawać, że ma to dla pana znaczenie.

– Dallas i Peabody opuszczają salę przesłuchań. Wyłączyć nagrywanie.

Na korytarzu Eve oparła się o ścianę.

– Nie spodziewałam się, że zaraz w pierwszej rundzie ujawnisz to wszystko – powiedziała Peabody.

– Obserwowałaś Gotte? Jest wkurzona. Okłamał ją, beczelnie ją okłamał. Nie spodobało jej się to. Reprezentowałaby go, nawet znając prawdę, taką ma pracę. Ale okłamał ją. Teraz wie, że jest winny, wie, że dysponujemy masą dowodów i musi się zastanowić, jak uzyskać dla niego możliwie najkorzystniejszy wyrok. A ten drugi, specjalista od prawa handlowego? Jest oszołomiony, wstrząśnięty, czuje obrzydzenie. Przed kolejną rundą zrezygnuje z reprezentowania go.

– Chyba byłam zbyt pochłonięta obserwowaniem Tweena. Też jest zaszokowany. Jest prawdziwie zaszokowany, że znaleźliśmy to wszystko, że weszliśmy do jego domu, sprawdziliśmy jego sprzęt elek-

troniczny i zgromadziliśmy tyle dowodów. No i ani razu nie wspomniał o swoim synu.

– Zrobi to. Teraz nie myśli o dzieciaku. Dzieciak to tylko środek do celu. I wcześniej czy później spróbuje go wykorzystać.

Uniosła wzrok, kiedy Reo i Mira wyszły z pomieszczenia obserwacyjnego.

– Nie byłam pewna, czy ci się uda spaść – zwróciła się Eve do Miry.

– Usłyszałam dość. Nie uznalabym go za prawdziwego socjopata. Okoliczności skłoniły go do takiego postępowania. Nie ma wyrzutów sumienia z powodu tego, co uczynił swojej żonie, ponieważ według niego nie zasłużyła sobie na to, żeby jej żałować, mieć wyrzuty sumienia, poczuwać się do winy. Dostała to, na co sobie zapracowała. A on ma prawo do tego, co do niej należało. Jest zły, że go złapano, bo nigdy nie brał tego pod uwagę. Ostatecznie jej nie zabił. Jeszcze się nie boi, ale zacznie się bać. Nadal się zastanawia, jak mogliście dowiedzieć się tak wiele i to w tak krótkim czasie.

– Bo jest aroganckim gnojkiem.

– To nigdy nie szkodzi – powiedziała radośnie Reo. – Gotte będzie dążyła do ugody. Jest wściekła, że została zaskoczona. Prywatny detektyw, pośrednik, zawodowy zabójca? Mogłaby przystać na to, że odegrał jakąś rolę w tej sprawie, ale nie aż taką. Teraz na niego naskoczy. Jeśli jej nie zwolnią, osiągniemy ugodę. I może wcale nie będę musiała zejść do trzydziestu pięciu lat. Założę się o dwadzieścia dolarów, że z radością przystanie na pięćdziesiąt lat.

– Jeśli Tween powie nam wszystko, co wie o Cobbie, a ty wytargujesz pięćdziesiąt lat, dam ci dwadzieścia dolarów i na dokładkę skrzynkę wypaszonego wina Roarke’a.

– Można to uznać za próbę przekupstwa urzędnika państwowego. – Reo poprawiła włosy. – Zgoda. Czy ktoś ma ochotę napić się czegoś? Nagle wzięła mnie chęćka na napój wiśniowy. Ja stawiam.

– Poproszę to samo – powiedziała Peabody.

– Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz piłam coś takiego. – Mira się zastanowiła. – Dla mnie cytrynowy.

– A ja dziękuję. – Eve wyjęła brzęczącą komórkę, odeszła parę kroków.

Kilka minut później wróciła, wyrwała Peabody puszkę, napiła się.

– Fuj. Smakuje jak...

– Pyszny gazowany napój wiśniowy?

– Nie. I przypomnij mi, żebym nigdy więcej nie wzięła tego do ust. Roarke zdobył informacje o tajnym koncie. Należy do Lorcana Cobbe’a.

– Jak mu się to udało?

Eve przyglądała się Reo, bujając się na piętach.

– Oficjalna wersja brzmi: Roarke wykorzystał swoją znajomość z pracownikiem instytucji finansowej, którego nazwiska nie może ujawnić.

Reo z głośnym siorbnięciem napiła się z puszki.

– Przyjmuję to wyjaśnienie. Muszę przekazać tę wiadomość mojemu szefowi.

– Już poinformowałam o tym Whitneya, powiedział, że przekaże to prokuratorowi. Między innymi.

Umilkła, kiedy otworzyły się drzwi do sali przesłuchań. Barkley wyszedł na korytarz.

– Pani porucznik, chciałem... Zastępczyni prokuratora okręgowego, pani Reo, prawda?

– Tak.

Skinął głową, spojrzął po kolei na wszystkie panie. Znowu skinął głową.

– Uważam za słuszne, że właśnie kobiety dokładają starań, by oddać sprawiedliwość Galli Modesto. Bardzo ją lubiłem. Nie jestem już pełnomocnikiem prawnym Jorge Tweena w tej sprawie, ani w żadnej innej.

Uniósł ręce, po chwili pozwolił im opaść.

– Nie mogę nic więcej dodać. Mam jedną prośbę. Skoro mój były klient, jak pani powiedziała, pani detektyw, nie skontaktował się z lekarzem sądowym ani nie poczynił żadnych kroków w kwestii pogrzebu Galli, czy mogę w jakiś sposób pomóc w tych formalnościach?

– Jej krewni są już w Nowym Jorku – poinformowała go Peabody. – Zajmą się wszystkim.

– To dobrze. Bardzo dobrze. Lubilem ją – powtórzył i się oddalił.

Mira spojrzała za nim.

– Śmierć, szczególnie morderstwo, rzuca długie cienie. Muszę wracać do siebie. Jeśli będę potrzebna, możesz na mnie liczyć.

– Dziękuję.

Po chwili drzwi znowu się otworzyły.

– Mój klient chce złożyć oświadczenie w obecności przedstawiciela prokuratury.

– Tak się składa, że akurat tu jest.

Reo podeszła do niej, wyciągnęła rękę.

– Cher Reo, zastępczyni prokuratora okręgowego. Będę obecna podczas przesłuchania.

– Musimy porozmawiać.

– Nie ma sprawy. Porozmawiajmy w sali przesłuchań, przy włączonym nagrywaniu, żeby wszystkie strony, łącznie z pani klientem, były w pełni świadome szczegółów tej rozmowy.

– Włączyć nagrywanie – poleciła Eve, kiedy minąwszy Gotte, wróciła do sali przesłuchań. – Dallas i Peabody ponownie zajęły miejsca w sali przesłuchań. Dołączyła do nich Cher Reo, zastępczyni prokuratora okręgowego. Wygląda na to, że ma pan jednego prawnika mniej, Tween.

Wyglądało również na to, jakby nieco strachu zaczęło przeziierać poprzez arogancję.

– Pan Barkley zrezygnował z reprezentowania pana Tweena – krótko oświadczyła Gotte. – Zanim mój klient zgodzi się odpowiedzieć na jakiegokolwiek pytania albo wydać oświadczenie, musimy coś omówić.

– Chcecie się układać? – Eve pogardliwie prychnęła i wygodnie się rozsiadła. – Tween, zdemaskowaliśmy cię. Drogo zapłacisz za to, co zrobiłeś. Dwa wyroki dożywocia, brak możliwości zwolnienia warunkowego, odsiadka w zakładzie karnym poza Ziemią. Oto warunki ugody.

Gotte splótła ręce na stole.

– Pani porucznik, nie pani ustala warunki ugody, tylko prokuratura. Jestem pewna, że zastępczyni prokuratora okręgowego doskonale rozumie koszty, ryzyko, trudności związane z długim, skomplikowanym procesem.

– Doskonale to rozumiem. – Reo przysunęła sobie teczkę Eve i ją otworzyła. Wyjęła kopię zdjęcia Galli z wiadomością od zabójcy. – Wiem, jak zareaguje ława przysięgłych, kiedy wyświetlę to na ekranie w sali sądowej.

Reo od niechcenia przejrzała akta.

– Rozumiem, że pani klient wynajął prywatnego detektywa, żeby śledził żonę, i zapłacił za to niezgodnie z prawem. To tylko drobiazg, jeśli uwzględnić wszystko inne, ale przysięgli przyjmą to z dezaprobatą. Rozumiem, że skontaktował się z przestępcą, który był wcześniej skazany i o którym wiadomo, że utrzymuje kontakty z włoską mafią i działa jako pośrednik. Pani klient zapłacił mu, znów w sposób niezgodny z prawem, by skontaktował go z zawodowym płatnym zabójcą.

Wyliczała punkt po punkcie, tak jak zrobiła to Eve, z lekkim akcentem mieszkańców Południa.

– Rozumiem, że pani klient porozumiewał się z tym płatnym zabójcą, zapłacił mu milion euro plus wydatki za rozplatanie nożem, od krocza po pępek, swojej żony, matki czteroletniego chłopczyka. I pomagał rzeczonemu zabójcy, informując go, gdzie jego żona będzie w czasie, kiedy popełniono morderstwo.

Reo zamknęła teczkę, położyła na niej dłoń.

– Jest tego więcej, ale kurczę, tyle powinno wystarczyć.

– Są sposoby, do których mogę się uciec, żeby skłonić przysięgłych, by współczuli mojemu klientowi, zdrazdonemu mężowi, i wydali łagodniejszy wyrok, o ile w ogóle go skazają. Jeśli dojdziemy do porozumienia, rodzinie ofiary i jej małemu synowi oszczędziłoby to bólu i skandalu, jaki wywołałby proces.

– Spotkałam się z krewnymi ofiary – wtrąciła Eve. – Sądzę, że będą się rozkoszować procesem.

– Procesem, podczas którego ukážemy ich córkę jako niewierną żonę, wezwiemy jej kochanka, by odpowiedział na pytania, dotyczące ich współżycia seksualnego? – Utkwiła w Eve twardy wzrok. – Podczas którego będą się wypowiadali rzeczoznawcy, by omawiać załamanie nerwowe mojego klienta, jego chwilowy brak poczytalności?

– Trwający sześć tygodni? – odgryzła się Eve. – Chce pani spróbować przekonać dwanaście osób i sędziego, że ta samolubna, chciwa namiastka człowieka straciła rozum na półtora miesiąca? Ładny mi chwilowy brak poczytalności.

– Możemy zasiać wątpliwości, a wystarczy jeden przysięgły, żeby storpedować pracę całej ławy. To oznacza drugi proces, dodatkowe koszty i czas, dodatkowe cierpienia emocjonalne krewnych ofiary. Kiedy w gruncie rzeczy zależy pani na tym, by dopaść tego, kto posłużył się nożem, kto odebrał jej życie.

– Równie dobrze mógł to być on.

– Ale nie zrobił tego – warknęła Gotte – co możemy udowodnić. I wie pani, że to prawda. Jeśli mój klient ma informacje o sprawcy, są one cenne dla policji. Współdział w morderstwie, rezygnacja z drugiego zarzutu, dwadzieścia pięć lat w więzieniu na Ziemi z możliwością warunkowego zwolnienia po dwudziestu latach.

– Nie! Jezu Chryste, Reo.

Reo dała Eve znak ręką, przewróciła oczami.

– Nie. Pani klient szukał zabójcy i zapłacił za śmierć swojej żony. Zabiegał o to, co więcej, już nazajutrz próbował sprzedać jej majątek – przypuszczam, że chciał odbić sobie poniesione koszty. Utrzymamy oba zarzuty.

– Ale z prawem jednoczesnego odbycia kary.

– Nie. Jeśli pani klient wie coś, co nas doprowadzi do zabójcy, z którym współdziałał, wysłuchajmy go.

– Już powiedziałem, że domagam się nietykalności.

Reo tak gwałtownie zwróciła głowę w stronę Tweena, że Eve zdziwiła się, że jej nie odpadła.

– A ja chcę domu w Connecticut z chłopakiem basenowym imieniem Steve. Zamknę cię. – Nachyliła się, zniknęły wszystkie ślady delikatnej kobiety. – Zamknę cię na dwa dożywotnie wyroki, odbywane po sobie tak daleko od świata, jaki znasz, że nawet przestanie być niewyraźnym wspomnieniem.

– Dwa wyroki, odbywane jednocześnie – wtrąciła Gotte. – Każdy na piętnaście lat.

– Nie. Daj mi coś albo wyjdę stąd i spotkamy się na sali sądowej.

– Lorcan Cobbe. To on...

– Ani słowa więcej – rozkazała mu Gotte. – Ma pani to swoje coś. Po siedemnaście i pół roku, razem trzydzieści pięć lat, nim mój klient zgodzi się powiedzieć więcej.

– Nie. Peabody, zrób mi przysługę i sprawdź to nazwisko.

– Jasne. Peabody opuszcza salę przesłuchań. – Wstała i wyszła.

Reo rozsiała się na swoim krześle.

– Oto, jak to widzę. Przede wszystkim ustalimy, czy pani klient kłamie, jak udowodniliśmy, że kłamał do tej pory. Jeśli się okaże, że Lorcan Cobbe jest człowiekiem, którego mógł polecić ktoś taki jak Bellacore, i jeśli pani klient dostarczy więcej informacji, które pomogą organom ścigania ująć tego człowieka, aresztować go i postawić w tej sprawie, proponujemy trzydzieści lat za każdy zarzut, kary mają być odbywane po sobie.

Eve i Tween zareagowali jednocześnie.

– To sześćdziesiąt lat! To całe życie!

– To tylko sześćdziesiąt lat! Niech to szlag, Reo, to nie pora na tanie, leniwe prawnicze bzdury. Mamy tego łobuza.

Reo zignorowała ich wybuch, nie spuszczać wzroku z Gotte.

– Dwie osoby odpowiadają za śmierć Galli Modesto. Chcę mieć je obie.

– Mój klient będzie miał ponad setkę, kiedy odsiedzi wyrok. Statystycznie rzecz biorąc, zostanie mu mniej niż dwadzieścia lat życia – nie uwzględniając faktu, że jego część spędzi w więzieniu. Dwadzieścia pięć lat za każdy zarzut z możliwością zmniejszenia do dwudziestu, w obu wypadkach za dobre sprawowanie.

Eve zerwała się, przeklinając.

– Pieprzeni prawnicy. Dałam ci go na tacy.

– Dwadzieścia pięć lat za każdy zarzut – zgodziła się Reo. – Z możliwością skrócenia do dwudziestu lat w obu wypadkach. Ale tylko i wyłącznie wtedy, jeśli uzyskane informacje pomogą w ujęciu sprawcy. Jeśli okaże się, że pani klient zataił jakieś szczegóły albo nas okłamał, nasze ustalenia są nieważne.

– Zakład karny na Ziemi.

– Wykluczone. Pani Gotte, obie wiemy, że jeśli pójdziemy do sądu, pani klient nigdy nie opuści więzienia. Być może uda się pani przekonać sędziego i przysięgłych do złagodzenia wyroku, ale nie będzie to dużo mniej od tego, co proponuję. Poza tym większość tych wywalczonych przez panią lat spędzi i tak w więzieniu, czekając na proces, zeznając na procesie i tak dalej. Nie uzyska pani lepszych warunków.

– Nie mogę trafić do więzienia na pięćdziesiąt lat.

Tween zaczął się trząść. Nie tyle ze strachu, pomyślała Eve, co w obliczu twardej, bezlitosnej rzeczywistości.

– Proszę mi pozwolić na chwilę rozmowy z moim klientem.

– Dallas i Reo opuszczają salę przesłuchań. Wyłączyć nagrywanie.

– Reo, na litość boską... – zaczęła Eve, wychodząc.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Eve odwróciła się do niej.

– Gdybym lubiła dziewczyny i gdyby poligamia była dozwolona w naszym stanie, poślubiłabym cię.

– Och, jakie to słodkie. Dawaj dwadzieścia dolarów. Ufam ci, jeśli chodzi o wino.

Eve wygrzebała dwudziestkę, wcisnęła ją Reo do ręki.

– Jesteś niezrównaną, tanią, leniwą prawniczką.

– Ej! – Peabody podeszła do nich energicznym krokiem. – Właśnie miałam wejść do sali przesłuchań. Ze zszokowaną miną i informacjami o Cobbie.

- Zgodzili się na pięćdziesiąt lat.
- Yes! – Peabody przybiła żółwika.
- Przekonamy się teraz, czy Tween wie coś, o czym my jeszcze nie wiemy.
- Podał jego nazwisko – zauważyła Peabody. – To dobry początek.
- Jest długa droga od początku do końca. – Eve wsadziła ręce do kieszeni. – Cobbe jest na jej finiszu.

Ille Tween o nim wie? To tylko część drogi.

– Zaczyna do niego docierać, co go czeka – zwróciła im uwagę Reo. – Pięćdziesiąt lat to szmat czasu, ale alternatywa jest gorsza. No i ma perspektywę skrócenia kary do czterdziestu lat, jeśli będzie się dobrze sprawował. Gotte już się postara, żeby powiedział wszystko, co wie. W przeciwnym razie czeka go proces i druga ewentualność. Jaką masz pewność, że Cobbe zostanie w Nowym Jorku?

– Chce dorwać Roarke’a. To sprawa osobista.

– Przecież wiedział, że Roarke ma swoją bazę w Nowym Jorku, więc dlaczego akurat teraz?

Eve wzięła głęboki oddech.

– Cobbe jest Irlandczykiem.

Reo przechyliła głowę.

– I?

– Są... Z moich obserwacji wynika, że mogą... – Eve wyciągnęła ręce z kieszeni i potrząsnęła nimi w powietrzu. – Tu nie chodzi o żadne przesady, tylko... – znów urwała, sfrustrowana. – Nie wiem, jakiego użyć słowa. Ale o ile nam wiadomo, Cobbe przyjął pierwsze zlecenie w Nowym Jorku po dwudziestu latach przerwy. I może przyjął je, przypuszczając, że przy okazji dowie się czegoś o Roarke’u. A kiedy wykonał robotę, kto się pojawił na miejscu zbrodni? Roarke. To dla niego jak znak. Tak to widzę. Roarke, policjantka Roarke’a, pomyślnie wywiązanie się ze zlecenia. Wszystko mu mówi, że to odpowiednie miejsce i czas.

– Nie widzę w tym żadnego sensu.

– Wprost przeciwnie – doszła do wniosku Peabody.

Eve wskazała ją palcem.

– Wyznawczyni Wolnego Wieku. Podobny tok rozumowania.

Umilkła, kiedy Gotte otworzyła drzwi do sali przesłuchań.

– Mój klient jest gotów do kontynuowania rozmowy. I prosi o zimną wodę źródlaną bez dodatków.

– Z plasterkiem limonki?

Gotte tylko rzuciła Eve kwaśne spojrzenie.

– Zaraz przyniosę. Czy życzy sobie pani czegoś, pani Gotte?

– Jeśli można, pani detektyw, poproszę o zieloną herbatę, niesłodzoną.

Peabody poszła po napoje, a Eve i Reo wróciły do sali przesłuchań.

– Włączyć nagrywanie. Dallas i Reo ponownie zajęły miejsca w sali przesłuchań razem z Tweenem i Gotte.

Gotte z ponurą miną położyła dłonie na stole.

– Mój klient ma do pań prośbę w imieniu swojego syna. Syn mojego klienta ma zaledwie cztery lata. Jeśli mój klient będzie odsiadywał karę na Ziemi, chciałby, żeby ten młody, niewinny chłopiec mógł regularnie kontaktować się ze swoim ojcem.

– Ma tylko mnie – Tweenowi zadrżał głos. Oczy mu błyszczały, gdy próbował zdobyć się na łzy.

– Wydaje mi się, że powinieneś o tym pomyśleć zanim wynająłeś Lorcana Cobbe’a, by rozplątał twoją żonę w miejskim parku.

– Mimo wszystko – warknęła Gotte.

– Żadnego „mimo wszystko”. Matka małego dziecka nie żyje, ponieważ pani klient zapłacił za jej zabicie. Według mnie to go dyskwalifikuje jako kandydata do nagrody Ojca Roku.

– Pozostaje ojcem dziecka i jego prawnym opiekunem.

– Myli się pani. Pozostaje jego biologicznym ojcem, ale nie jest już prawnym opiekunem dziecka. Zgodnie z ostatnią wolą Galli Modesto zostali nimi Stefano i Tereza Modesto.

– Naturalnie możemy z tym pójść do sądu rodzinnego – dodała Reo. – Ale wie pani równie dobrze jak ja, że nie zmieni to ustaleń dotyczących opieki prawnej. Warunki ugody pozostają bez zmian. Może się zgodzić albo nie.

– Jestem jego ojcem!

– A ona była jego matką – odparowała Eve. – To ty odebrałeś mu matkę. Naprawdę sądzisz, że zyskasz w ten sposób punkty za ojcostwo?

– Zdradziła mnie, okłamała.

– A ty ją za to zabiłeś. – Eve wstała, wsparła dłonie na stole, pochyliła się w jego stronę.

– Proszę odrzucić warunki ugody. Proszę je odrzucić, żebym mogła zamknąć cię na zawsze za kratkami, ty chciwy, arogancki dupku o morderczych instynktach. Ile razy zaglądałeś do warunków funduszu powierniczego syna, szukając sposobów, by przejść nad nim kontrolę, gdy pozbedziesz się jego matki? Sądzisz, że tego też nie znajdziemy? Sądzisz, że nie wykażemy, że dla ciebie to kolejny sposób na zdobycie pieniędzy?

Dostrzegła błysk w jego oczach, nim zdołał go ukryć. I wiedziała, że trafiła.

Gotte też to dostrzegła i ścisnęła ramię Tweena.

– Zgadamy się na przedstawione wcześniej warunki ugody.

Akurat wtedy wróciła Peabody z wodą i herbatą. Tweenowi drżała ręka, kiedy uniośł puszkę do ust, by się napić.

– Lorcan Cobbe – powiedziała Eve i zwróciła się do Peabody. – Pani detektyw?

– Lorcan Cobbe, lat czterdzieści dwa, obywatel Irlandii, urodzony w Dublinie. Matka, Morna Cobbe, lat sześćdziesiąt trzy. Ojciec nieznany.

Peabody uniosła wzrok znad ekranu palmtopa.

– Cobbe jako młodociany dopuszczał się licznych przestępstw, których z upływem lat przybywało. Znajduje się na celowniku licznych organów ścigania na całym świecie. Występując pod swoim nazwiskiem lub pod różnymi pseudonimami, dał się poznać jako zabójca na zlecenie, działający głównie w Europie. Obecnie ściągamy dane od tych organów. Komendant Whitney i kapitan Feeny z wydziału informatyki śledczej prowadzili przeciwko niemu dochodzenie w sprawie zamordowania dwóch osób dorosłych i ich nastoletniego syna podczas włamania do ich domu w Nowym Jorku dwadzieścia jeden lat temu, ale nie udało im się zatrzymać go i zamknąć sprawy.

Eve rozsiadła się na swoim krześle.

– Jak go znalazłeś?

– Uprawiała seks z innym mężczyzną.

– Wiemy to. Jak znalazłeś Lorcana Cobbe'a i się z nim skontaktowałeś?

– Przez Bellacorego. To вина Stefano! On mi podał jego nazwisko. W przeciwnym razie nie wiedziałbym o istnieniu Bellacorego.

– Czy mam rozumieć, że uważasz Stefano Modesto za współwinnego? – spytała Eve. – Czy podał ci jego nazwisko, by pomóc ci w zleceniu zabójstwa? To kłamstwo, cała вина spoczywa wyłącznie na tobie. Pamiętaj o tym.

– Zażartowałem sobie. Ale poddał mi tę myśl. Pieprzyła się z tym malarzem i marudziła, że chce wrócić do Toskanii. Przeprowadziliśmy się do Nowego Jorku, żebym mógł objąć kierownictwo firmy. A ona jęczy, że tęskni za domem, chce mieć drugie dziecko, chce wrócić do pracy na niepełny etat. Zawsze liczyło się tylko to, czego ona chciała. A potem zachciało jej się jakiegoś trzeciorzędnego malarzyny. Zagrożone było moje życie, moja kariera. Musiałem się bronić.

– Zakończyła romans.

– Wiecznie wzdychała do tego cholernego obrazu i jęczała, i jęczała. Wróciłaby do niego i wtedy co byłoby ze mną? Rodzina wzięłaby jej stronę. Zawsze brali jej stronę.

– Ale wsparliby zrozpaczonego męża.

Przez jego strach przebiła się złość.

– Puszczala się! To ja byłem stroną poszkodowaną, ale pozbyliby się mnie. Chociaż tyle lat pracowałem dla nich, dbałem o interesy ich i jej, pozbyliby się mnie.

– Więc zwróciłeś się do Bellacorego.

– Żeby sprawdzić możliwości. Rozumiał moje położenie. Powiedział, że może mnie z kimś skontaktować. A raczej postarać się, żeby ktoś skontaktował się ze mną. Powiedział mi, co mam zrobić. Podał cenę.

Eve skinęła głową.

– Co kazał ci zrobić?

– Miałem kupić niezarejestrowaną komórkę i zabezpieczyć ją. Miałem zapłacić Bellacoremu gotówką albo przelać pieniądze na konto jego farmy. Nie dysponowałem taką gotówką. Powiedziałem, że muszę mieć więcej informacji, nim wyasygnuję taką kwotę. Więc opowiedział mi o Lorcanie Cobbie.

– Podaleś nazwisko Cobbe'a, zanim zapłaciłeś honorarium za pośrednictwo?

– Przyniosłem mu butelkę wina, którą prawie całą sam wypił. Jest stary, lubi opowiadać o latach swojej świetności. A ja słuchałem. Zapewnił mnie, że Lorcan Cobbe jest jednym z najlepszych, jakich kiedykolwiek polecał. Że ma ponad dwadzieścia lat doświadczenia w swoim fachu. Że w młodym wieku szkolił go w Dublinie jakiś irlandzki gangster. Zna swoją wartość, zażąda miliona euro plus pokrycia wydatków, ale nie będą to pieniądze wyrzucone w błoto. I nikt nie powiąże tej sprawy ze mną. Kłamca. – Tween raz za razem uderzał pięścią w stół. – Kłamca.

– Jak Cobbe się z tobą skontaktował?

– Wysłałem Bellacoremu numer swojego niezarejestrowanego telefonu. Kazał mi codziennie sprawdzać, czy nie przyszedł SMS. Zaklinał się, że napisze do mnie. Jeśli Cobbe z jakiegoś powodu nie przyjąłby zlecenia, Bellacore miał przekazać mi zamiary na kogoś innego. Uprowadził mnie również, żebym broń Boże nie zdradził się przed Cobbe'em, że znam jego nazwisko. Prawdziwe nazwisko. Roześmiał się i powiedział, że gdyby Cobbe się o tym dowiedział, obaj moglibyśmy skończyć z poderzniętymi gardłami.

– Tween znów napił się wody.

– Próbowałem naciskać na spotkanie, ale Bellacore mnie przekonywał, że spotkanie twarzą w twarz z Lorcanem Cobbe'em to ostatnia rzecz, jakiej mógłbym sobie życzyć. Wprawdzie zabije moją żonę, ale prawdopodobnie później zlikwiduje i mnie. Więc naciskałem na kontakt telefoniczny, coś w rodzaju rozmowy kwalifikacyjnej. Bellacore uznał, że to zabawne, ale się uparłem. Kazał mi nabyć dwie niezarejestrowane komórki. Obiecał, że się postara, by Cobbe skontaktował się ze mną na numer tej pierwszej. Potem mam zniszczyć ten aparat i później będziemy się porozumiewać jedynie SMS-ami na tę drugą komórkę.

– I?

– Najpierw dostałem SMS od Bellacorego. Tylko dzień i godzinę. Zamknąłem się w swoim gabinecie w domu. Cobbe zadzwonił do mnie. Zablokował wideo, ale mogliśmy rozmawiać. Chciał poznać więcej szczegółów o mojej żonie, o malarzu. Ja chciałem się dowiedzieć więcej o jego doświadczeniu i skuteczności, nim przekażę zaliczkę.

– Tween znów sięgnął po puszkę z wodą. Twarz miał bardzo bladą i błyszczącą od potu.

– Rozbawiło go to. Rzucił kilka nazwisk, miejsc, dat. Powiedział, bym to sprawdził, posługując się niezarejestrowanym telefonem. Że zaczeka. Zrobiłem tak i stwierdziłem, że wszystkie te osoby zostały zamordowane w Europie w ciągu ostatniego roku przez nieznanego sprawcę.

– Jeszcze trochę sobie porozmawialiśmy – ciągnął. – Poinformował mnie, jak i gdzie mam przekazać zaliczkę, jeśli się zdecyduje podjąć tej roboty. I kazał mi zniszczyć aparat. Zapewnił mnie, że będzie wiedział, jeśli tego nie zrobię, i wtedy załatwi mnie za darmo. A jeśli zamierzam skopiować naszą rozmowę, też się o tym dowie i mnie zabije.

– Zniszczyłeś aparat?

– Tak. Wyrzuciłem go do biurowego recyklera. Ale...

Eve poczuła, że serce mocniej jej zabiło.

– Zrobiłeś kopię.

– Nagrałem naszą rozmowę. Mało brakowało, a zniszczyłbym nagranie. Przyznaję, że napędził mi pietra. Ale chciałem mieć dokumentację. Jakiś dowód.

– Gdzie jest ta kopia?

– Pani ją ma.

– Ja?

– Znaczą się policja. Zabrali mi wszystko podczas aresztowania. Ukryłem mikrodysk pod podwójnym dnem wizytownika.

Peabody zerwała się z krzesła, zanim Eve zdążyła wydać jej polecenie.

– Peabody opuszcza salę przesłuchań. Proszę mówić dalej – zwróciła się Eve do Tweena.

– Później porozumiewaliśmy się jedynie SMS -ami. Wysłał mi instrukcje, ja przekazałem zaliczkę. Kiedy mnie poinformował, że przyleciał do Nowego Jorku, poprosiłem, by zrobił to, gdy będę w domu, gdy system zabezpieczeń będzie wykazywał, że jestem w domu. Powiedziałem, że moja żona często wychodzi późnym wieczorem do siłowni. Że dam mu znać. Ale potem – czytałem jej SMS-y – dostała wiadomość od malarza i umówiła się z nim w parku. Przekazałem Cobbe’owi godzinę. Zaproponował, że zabije również malarza, udzielając mi rabatu, ale nie zamierzał wydać ani centa więcej. Wczoraj wieczorem wyszła i wkrótce... Powinienem był zniszczyć aparat, jak tamten pierwszy, ale...

– Chciałeś mieć to udokumentowane – dokończyła za niego Eve.

– Zrujnowałaby mnie, rozumie pani? – Twarz mu pociemniała ze złości i szczerego oburzenia. – Zrujnowałaby mnie. A wszystko dla jakiegoś faceta przypadkiem spotkanego na ulicy, który namalował jej przekłętę wzgórze. Miała wobec mnie zobowiązania.

– No dobrze. Cobbe wysłał ci zdjęcie jej zwłok i instrukcje, gdzie wysłać resztę należności, powiększonej o poniesione wydatki.

– Powinienem był poprosić o listę wydatków, by je zweryfikować, ale pomyślałem sobie, że jak coś zakwestionuję albo będę się czepiał, może mnie...

Tween dopił wodę.

– To niebezpieczny człowiek. To zabójca. Nie znajdziecie go. Nie złapiecie go. Ucieknie, a ja wszystko stracę. Tak nie powinno być. To nie fair.

Położył głowę na stole i rozplakał się jak dziecko.

Eve wstała.

– Wezwę funkcjonariusza, żeby odprowadził go do celi, kiedy zakończysz finalizowanie ugody. – Dla porządku rzuciła Reo twarde spojrzenie. – Ugody, na którą najwyraźniej nie musieliśmy się godzić. Dallas opuszcza salę przesłuchań.

Eve usłyszała, jak Reo mówi głośno i wyraźnie:

– Gliny. Ale cóż można poradzić?

Eve skierowała się do sali swojego wydziału, Peabody dogoniła ją, trzymając torbę na dowody.

– Tak jak powiedział. Pokwitowałam dysk.

– W takim razie odsłuchajmy go.

Rozejrzała się po sali wydziału, stwierdziła, że wszyscy jej podwładni są na miejscu.

– O ile nie nastąpi atak zabójców ninja z kosmosu, wszyscy mają tu pozostać – zakomunikowała. – Dajcie mi dziesięć minut.

W swoim gabinecie wzięła od Peabody torbę na dowody, wyciągnęła z niej dysk.

– Kawa – poleciła i umieściła mikrodyisk w komputerze. – Odtworzyć nagranie.

Na początku rozległo się kliknięcie, kiedy włączyła się nagrywarka.

Jorge Tween, słucham.

Jestem Kosa. Nasz wspólny znajomy powiedział mi, że potrzebuje pan wykonawcy.

Znam teraz jego głos, pomyślała Eve. Mówił z silniejszym akcentem niż Roarke, bardziej chropowato.

Być może. Muszę dowiedzieć się czegoś więcej o pańskich kwalifikacjach.

Och, mam pierwszorzędną kwalifikację i być może zechcę powiedzieć coś o sobie, ale najpierw niech mi pan opowie o swojej żonie. Lubię znać szczegóły, nim podejmę decyzję. Sam już ustaliłem, że jest kobietą bogatą i urodziwą. Ale proszę mi powiedzieć, panie Tween, co nią powoduje, czym się kieruje. Proszę mi nakreślić pełny obraz.

Kiedy spróbował to zrobić, Eve uświadomiła sobie, że Tween właściwie nie znał ani wcale nie próbował zrozumieć kobiety, którą poślubił, z którą miał dziecko, którą kazał zamordować. Mówił o jej pochodzeniu, o rodzinnej firmie, o jej – jak to nazwał – obsesji na punkcie Włoch, a w szczególności Toskanii.

Najwyraźniej Cobbe też się zorientował i spróbował wyciągnąć z niego kilka szczegółów. Interesuje się sztuką, rodzinną firmą, dba o kondycję. Jest przywiązana do gospodyni, oddana synkowi.

Te szczegóły przeplatał powtarzanymi w kółko oskarżeniami o niewierność, o rujnowanie go, narzekał, że wiecznie marudzi, suszy mu głowę, dąsa się.

No cóż, wszystko to niewątpliwie jest bardzo ciekawe. Ale zadam panu jeszcze jedno pytanie. Dlaczego, panie Tween, sam nie zabije pan swojej puszczalskiej żony?

Nie jestem zabójcą!

Proszę pamiętać, panie Tween, że jeśli nie zrobi pan tego, co panu każę, jeśli nie będzie pan sprytny i ostrożny, gliny uznają pana za zabójcę, gdy przyjmę pańskie zlecenie.

Jeszcze pana nie wynajęłam, prawda? Muszę poznać pańskie kwalifikacje.

Już pan to powiedział. No dobrze, w takim razie proszę. Ulga Rominov, Budapeszt, czerwiec. Nigel Harris, Londyn, listopad. Julietta LeFarge, Cannes, luty. Naturalnie jest tego więcej, jestem bardzo zajęтым człowiekiem, ale jeśli te trzy przykłady panu nie wystarczą, to na tym zakończymy nasze interesy. Proszę skorzystać z niezarejestrowanego aparatu, sprawdzić te nazwiska. Zaczekam.

– Pominąć zawieszenie rozmowy. Rozpocząć od momentu jej wznowienia – poleciła Eve.

Popijając kawę, wysłuchiwała nagrania do końca, sprawdziła, czy Tween nie kłamał, składając oświadczenie.

– Peabody...

– Już zrobione. Ulga Rominov, lat trzydzieści osiem. Liczne rany klute – podcięte gardło jako *coup de grâce*. Ślady torturowania przez około sześciu godzin. Była zatrudniona na wysokim szczeblu w Vandam Pharmaceutical. Naukowiec. W formalnym związku od sześciu lat. Zaginięcie Rominov zgłosiła jej partnerka, chirurg. Nie jest podejrzana o morderstwo.

– Torturowana. Ktoś chciał uzyskać jakieś informacje, może związane z jej pracą zawodową.

– Nigel Harris, lat sześćdziesiąt jeden. Poderżnięte gardło. Jubiler. Napadnięty we własnym sklepie po godzinach jego otwarcia. Policja uważa, że to próba udaremnienia kradzieży. Zniknęło kilka sztuk biżuterii, rozbito witryny. Od dwunastu lat rozwiedziony, żona ponownie wyszła za mąż, mieszka w Bath. Syn – i spadkobierca – przebywał w tym czasie w Paryżu, od dawna był skłócony z ojcem. Przesłuchano go, nie udało się podważyć jego alibi.

– Jakżeby inaczej.

– Julietta LeFarge, lat czterdzieści dziewięć. Prawnik, specjalizowała się w prawach człowieka. Od czternastu lat zamężna, troje dzieci. Rozplątany brzuch, jak w przypadku Modesto, kilka kroków od własnego domu, kiedy późnym wieczorem wracała ze spotkania. Jej mąż i wspólnicy twierdzą, że zbierała informacje, które zdemaskowałyby siatkę handlarzy żywym towarem w Europie Wschodniej.

– No dobrze, przekazemy te informacje komu trzeba. Potrzebne nam akta tych spraw. Przyznał się do tych zabójstw, więc wykorzystamy to.

Odstawiła kawę, umieściła dysk z powrotem w torbie na dowody, wsadziła ją do aktówki, by zabrać ze sobą do domu.

– Chodź ze mną – powiedziała i skierowała się do sali wydziału.

– Wyświetl dane Cobbe'a na ekranie – poleciła partnerce. – Słuchajcie! Czymkolwiek się zajmujecie, oddźcie to. Lorcan Cobbe. Pokaż jego zdjęcie. Dokładnie mu się przyjrzyjcie. Jest zabójcą na zlecenie, lubi posługiwać się ostrymi narzędziami. Urodzony w Dublinie, działa głównie w Europie, to jego druga wyprawa do Nowego Jorku, o której wiemy. Zarobił ponad milion euro za zabicie tej kobiety. Galla Modesto poniosła śmierć wczoraj wieczorem w Washington Square Park. Morderstwo zlecił mąż, Jorge Tween, który już niebawem trafi na Omegę, gdzie odbędzie kolejno dwie kary po dwadzieścia pięć lat pozbawienia wolności.

– Schwytałaś go? – spytał Santiago.

Skinęła głową.

– Wycisnęłam jak cytrynę, a co zostało, wsadziłam za kratki. Jeśli... – urwała, kiedy do sali wszedł Whitney. – Panie komendancie.

– Proszę kontynuować.

– Jeśli informacje, wyciśnięte i wydarte z gardła chciwemu łobuzowi, się potwierdzą, odsiedzi pięćdziesiąt lat. Jeśli nie, czekają go dwa wyroki dożywocia. Tak czy owak, Tween to tylko jeden ze zleceniodawców. Cobbe spędził ostatnie dwadzieścia lat, zarabiając na życie zabijaniem. Postaramy się, żeby Galla Modesto była jego ostatnią ofiarą.

– Polecimy do Europy? – spytał Baxter.

– Jeszcze nie pakuj torby podróżnej. Wszystko wskazuje na to, że Cobbe nadal przebywa w Nowym Jorku i zamierza tu pozostać jeszcze przez jakiś czas.

– Ma jeszcze kogoś na oku? – zapytał Reineke.

– Tak. Roarke'a. To sprawa osobista.

Reineke zmrugał oczy i pokręcił głową.

– Niedoczekanie!

– Postaramy się o to. Roarke poznał Cobbe’a, kiedy jako dziecko mieszkał w Dublinie. Cobbe został protegowanym Patricka Roarke’a i utrzymuje, że Patrick Roarke jest jego biologicznym ojcem.

– Nie widzę żadnego podobieństwa – odezwała się Carmichael.

– No właśnie. I jak na razie brak dowodów, potwierdzających słowa Cobbe’a. Ale to nie ma znaczenia – dodała – albowinem Cobbe święcie w to wierzy i przez większą część swego życia uważał Roarke’a za rywała, przeskodzę, zagrożenie. Postarał się, żeby Roarke go zobaczył wśród gapiów, którzy byli na miejscu zabójstwa Modesto.

– Należy go przeżuć i wypluć. Przepraszam. – Baxter machnął ręką. – Tylko sobie wyobrażam, co Roarke zrobi z tym dupkiem.

Czuła to samo, dokładnie to samo, ale...

– Nie wolno nam lekceważyć Lorcan Cobbe’a. Udaje mu się uchodzić przed organami ścigania na całym świecie, nie wyłączając wszystkich literek, jakie tylko przyjdą wam do głowy.

– Z wyjątkiem policji nowojorskiej – zauważył Jenkinson.

– Niestety nie. – Whitney skinął głową, kiedy wszedł Feeney. – Dwadzieścia lat temu... A dokładnie mówiąc, w zeszłym miesiącu minęło dwadzieścia jeden lat od śledztwa, które prowadziłem wspólnie z kapitanem Feeneyem. Otrzymacie raport. Szczegółowo się z nim zapoznajcie. Doktor Mira przekaże wam portret psychologiczny sprawcy. Dokładnie go przestudiujcie. Podobnie jak akta sprawy Modesto. Pani porucznik, pani detektyw, dobra robota.

– Dziękuję, panie komendancie. Chociaż Tween to idiota – dodała Eve. – Nie uważam Cobbe’a za geniusza, ale ma instykt.

– Przez najbliższe dni ten wydział razem z cywilnym konsultantem będzie się starał przechytrzyć Cobbe’a. Nie uda mu się uniknąć kary za kolejne zabójstwo popełnione na naszym terenie.

– Tak jest, panie komendancie.

– Nie będzie bezkarnie grozić naszemu cywilnemu konsultantowi ani naszej pani porucznik.

– Groził pani? – Jenkinson wyprostował się na swoim krześle.

– Zrobi to – powiedział Whitney, nim Eva zdołała otworzyć usta. – Taki ma styl postępowania.

– Ten sukinsyn tym razem się przejedzie. – Wściekłość na twarzy Jenkinsona przyćmiła nawet jego pstrokaty krawat. – Ten pieprzony sukinsyn tym razem się przejedzie! Proszę wybaczyć mój język, panie komendancie.

– Liczę, że dorwiecie tego pieprzonego sukinsyna – odpowiedział mu Whitney. – Pani porucznik, przyszedłem tutaj, żeby poinformować o moich rozmowach z organami ścigania i agencjami wywiadowczymi w kraju i za granicą. Jeśli pani pozwoli, zreferuję tu obecnym ich treść.

– Proszę bardzo, panie komendancie.

– Wszyscy otrzymacie raport na piśmie – zaczął Whitney – ale przedstawię teraz najważniejsze punkty. Skontaktowałem się z FBI, Departamentem Bezpieczeństwa Krajowego, CIA, jak również ich odpowiednikami w Europie, Australii, Południowej Afryce i Azji. Komisarz Tibble już został poinformowany i brał udział w kilku z tych rozmów. Dallas, możesz się z nim kontaktować w tej sprawie o każdej porze.

– Dziękuję, panie komendancie.

– Lorcan Cobbe. – Whitney przyjrzał się zdjęciu na ekranie. – Jego liczne znane nam pseudonimy są wymienione w raporcie. Jest podejrzany o popełnienie czterystu czterdziestu trzech morderstw.

– Panie komendancie. – Trueheart, młody policjant o szczerym obliczu, podniósł w górę rękę. – Powiedział pan: czterystu czterdziestu trzech?

– Zgadza się. W ciągu dwudziestu czterech lat, odkąd działa jako zawodowy morderca. Wszyscy są co do tego zgodni. To daje średnio osiemnaście ofiar rocznie. Kilku agentów i stróżów prawa uważa, że popełnił ich więcej, ale o tym wiadomo na pewno lub jest głównym podejrzany.

Detektyw Carmichael notowała wszystko w swoim palmtopie.

– A poza Ziemią nic, panie komendancie?

– Nic, co, zdaniem wywiadu, wynika z jego lęku przed podróжами w kosmosie. Obecnie za jego usługi trzeba zapłacić od jednego do dwóch milionów euro plus koszty. Wykorzystuje pośredników albo zaufane osoby, by otrzymywać zlecenia. Lubi zabijać z bliska, preferuje noże. Podobno posiada ich imponującą kolekcję. Woli również szybko zadawać śmierć, jak to widać w przypadku Modesto, ale za dodatkową opłatą gotów jest poświęcić więcej czasu ofierze lub godzi się na jej torturowanie. Czasami dlatego, że klient życzy sobie, by ofiara cierpiała, czasami, ponieważ klient chce uzyskać od niej jakiejś informacji.

– Matka Cobbe’a – ciągnął Whitney – nadal mieszka w Dublinie, chociaż w znacznie lepszych warunkach, niż wtedy, kiedy trudniła się nierządem przed jego zalegalizowaniem, a później jako osoba

do towarzystwa po jego zalegalizowaniu. Twierdzi, że od dwudziestu lat nie ma kontaktu z synem. Władzom nie udało się ustalić, z jakiego źródła otrzymuje co pół roku pieniądze.

– Troszczy się o swoją mamę, co? – wtrącił Baxter.

– Najwyraźniej.

– Przez te lata była wielokrotnie przesłuchiwana – dodał Feeney. – Konfiskowano jej sprzęt elektroniczny, by go drobiazgowo sprawdzić. Jak na razie nic nie naprowadziło nas na ślad Cobbe'a. Wniosek? Porozumiewając się rzadko, posługując się jakimś szyfrem. Wątpliwe, by wiedziała, gdzie przebywa syn. – Feeney spojrzął na Eve. – Nadal utrzymuje, że zmajstrowali dzieciaka razem z Patrickiem Roarkiem. Na ogół siedzi cicho, trzyma język za zębami. Na zimę z reguły wyjeżdża do ciepłych krajów. Nikt nigdy nie widział, by Cobbe ją odwiedzał w Dublinie lub tam, gdzie spędza wakacje.

– Wszystkie, co o niej wiemy, jest w raporcie, usłyszeliście tylko najważniejsze informacje. Panie komendantce?

– Widziano go, zwykle po wykonaniu zlecenia, w całej Europie. Czasami farbuję włosy, nosi perukę lub nieznacznie zmienia wygląd, ale nigdy nie na tyle, by go nie zidentyfikowano, wykorzystując zaawansowany system rozpoznawania twarzy. Posługuje się licznymi dokumentami tożsamości i paszportami, wszystkie są pierwszorzędnej jakości. Naszemu konsultantowi udało się to, co do tej pory nie powiodło się literkom – znalazł dwa tajne konta Cobbe'a. Wielce prawdopodobne, że Cobbe ma ich więcej, a także skrytki bankowe. Będziemy teraz obserwować operacje przeprowadzane na tych kontaktach. Wszystko utrzymuje, że Cobbe mieszka i podróżuje luksusowo, ale na ogół nie pozostaje zbyt długo w jednym miejscu. Nie wiadomo, czy ma jakichś przyjaciół bądź kogoś bliskiego, ale z pewnością ma współpracowników.

– Od zamordowania Modesto nie korzysta z żadnego nowojorskiego hotelu – zaczęła Eve. – Nie, kiedy planuje, jak zabić Roarke'a. Przepraszam, panie komendantce.

– Racja. O ile nam wiadomo, rzadko zatrzymuje się w jakimś hotelu na więcej niż jedną, dwie noce. Kiedy musi gdzieś zabawić dłużej, raczej wynajmuje umeblowane mieszkanie lub dom.

– Dom – powiedziała Eve. – Bo musi mieć sporo przestrzeni. Szykując się do zabójstwa Modesto, mógł wynająć mieszkanie lub pokój w hotelu. Ale teraz potrzebuje więcej miejsca i czegoś bardziej dyskretnego. Bo zależy mu na tym, by Roarke nie zginął od razu.

– Ani ty, dziecino – dodał Feeney.

– Ani ja. Potrzebuje trochę czasu. To jego życiowy cel i takie tam. A jeśli chodzi o przemieszczanie się, panie komendantce? Jak to sobie organizuje?

– Lubi prowadzić samochód i uważa się, że w Europie często jeździ autem, pokonując nawet znaczne odległości, by wykonać zlecenie.

– To mu zapewnia większą kontrolę – doszła do wniosku Eve. – Większą elastyczność, większą anonimowość.

– Potrafi również pilotować wahadłowce. Kiedyś uniknął schwymania, zabijając pilota, następnie zajął jego miejsce, by przewieźć grupę dwudziestu biznesmenów z Londynu do miejscowości wypoczynkowej w Prowansji na jakąś konferencję. Nim władze odkryły zwłoki pilota i zorientowały się, co zaszło, Cobbe ukradł samochód, który później znaleziono na parkingu w pobliżu Wenecji.

– Spryciarz z niego – zauważyła Eve. – Niezły spryciarz.

– Musicie być sprytniejsi. Raport zawiera znacznie więcej szczegółów. Będziecie współpracować z inspektorem Abernathym z Interpolu. Powinien tu dotrzeć jutro.

Eve poczuła swędzenie między łopatkami, ale zignorowała je.

– Wspólne śledztwo?

– Modesto zamordowano w naszym mieście. Następne cele Cobbe'a to członkowie naszej rodziny w naszym mieście. Zaprosiliśmy Interpol, ale pani kieruje śledztwem. Abernathy od blisko ośmiu lat próbuje dopaść Cobbe'a i będzie służył wszelką pomocą. To pani dochodzenie, pani porucznik. To pani gliniarze. Na zakończenie powiem, że wszystkie nadgodziny, związane z tym śledztwem, są z góry rozliczone. Ma pani też do dyspozycji Feeneya. I mnie, jeśli będę mógł jakoś pomóc.

– Dziękuję, panie komendantce – powiedziała i zwróciła się do Feeneya: – Możesz poprosić Włochów o udostępnienie wszelkich danych elektronicznych, zapisów, rozmów i SMS-ów Bellacorego oraz dotyczących jego finansów?

– Mogę, i zrobię to. Przyda ci się McNab?

– Nie zaszkodzi mieć go pod ręką. Detektyw Carmichael, Santiago, poszukajcie prywatnych wahadłowców z jednym pasażerem, które przyleciały z Europy do Nowego Jorku w ostatnim tygodniu. Porównajcie z anulowanymi wylotami z Nowego Jorku. Sprawdźcie, czy Cobbe nie wypożyczył samochodu. Baxter, Trueheart, weźcie na celownik samotnych mężczyzn, którzy zameldowali się w luksusowych hotelach w tym samym przedziale czasowym. Jenkinson, Reineke, przeanalizujcie ostatnie

wynajmy domów lub dużych mieszkań z prywatnym wejściem. Kiedy się podjął zabójstwa Modesto, musiał zarezerwować przelot i noclegi.

Jej cały wydział, pomyślała. A jest do sprawdzenia tyle rzeczy.

– Feeney, możesz oddelegować kogoś do pomocy Carmichael i Santiago przy sprawdzaniu wynajmu samochodów? Cobbe lubi prowadzić, a jeśli ma nadzieję, że uda mu się dorwać mnie lub Roarke’a, by się z nami trochę pobawić, potrzebny mu będzie jakiś środek transportu, żeby nas przewieźć. Szukałabym furgonetki lub samochodu terenowego ze sporą przestrzenią ładunkową.

– Nie ma sprawy.

Znów zwróciła się w stronę ekranu i zdjęcia Cobbe’a.

– Nie będzie chciał marnować czasu, więc może skorzysta z pierwszej nadarzającej się okazji. Ukradnie samochód, włamie się do odpowiadającego mu domu, zlikwiduje jego ewentualnych mieszkańców. Czyli skradzione pojazdy, zaginione osoby.

– Ja się tym zajmę – zgłosił się Whitney.

– Dziękuję, panie komendancie. Peabody, my zaczniemy od znanych współników Cobbe’a, wymienionych w raporcie pana komendanta. Pokopujemy, odszukamy współników tamtych. Weźmiemy pod lupę tych, którzy są w jakikolwiek sposób powiązani z Nowym Jorkiem: ostatnio tu bawili, ich byli partnerzy mają tu jakichś pociotków, stąd pochodzi rodzicielka ich ukochanego sznaucera.

– Wymyka się organom ścigania, odkąd był ulicznikiem szczającym w dublińskich zaułkach. Nie udałoby mu się to, gdyby nie wiedział, kto i kiedy może okazać się użyteczny.

Poprawiła się na krześle, przyjrzała swoim ludziom.

– Przesłuchajcie waszych informatorów. Szczury dużo słyszą. Wasze bieżące sprawy też są ważne. Pracujcie tutaj, pracujcie w domu, ale nie zaniedbujcie ich. Jeśli będzie wam potrzebna pomoc, otrzymacie ją.

– Carmichael, wsparcie mundurowych będzie miało kluczowe znaczenie. Przygotuj harmonogram ich dyżurów. Gdybyś miał z tym kłopot, poproś o pomoc. I ostatnia sprawa: czegokolwiek się dowiecie, macie mi natychmiast meldować. Muszę wiedzieć wszystko, co wy. Wyruszajcie na polowanie.

Podeszła do biurka Peabody.

– Zaczniij od współników. Ja napiszę sprawozdanie z przesłuchania Tweena, uwzględniając warunki ugody. Potem poinformuję krewnych Modesto, sprawdzę, czy jeszcze coś uda mi się z nich wyciągnąć. I pojedę do domu, żeby popracować.

– Mogę napisać raport z przesłuchania Tweena.

– Nie, sama się tym zajmę.

Feeney klepnął Eve w ramię.

– Muszę porozmawiać z tobą w twoim gabinecie.

– Jasne. Panie komendancie, jeszcze raz dziękuję.

Wskazał jedynie jej gabinet. Ruszyła przodem i poczuła się nieswojo, kiedy Whitney też wszedł i zamknął za sobą drzwi.

Feeney podrapał się w kark.

– Chcę ci założyć lokalizator.

– Wykluczone.

– Proszę to potraktować jako rozkaz – odezwał się Whitney.

– Panie komendancie...

– Rozkaz – powtórzył.

Feeney wydał ledwo słyszalne westchnienie. W jego oczach malowało się współczucie.

– Mam tu drugi dla Roarke’a.

– Czy mam mu go założyć, zanim go potraktuję paralizatorem czy potem?

Wzruszył ramionami.

– Zostawiam decyzję tobie, Dallas. Oboje stanowicie cele.

– Gliniarze zawsze są celami.

– Ale nie zawsze są celami zawodowego zabójcy, mającego na swoim koncie ponad czterysta ofiar. W razie gdyby mu się poszczęściło i udało dorwać jedno z was, będziemy wiedzieli, gdzie szukać.

Trochę się opierała, cofnęła się, kiedy Feeney wyjął lokalizatory z kieszeni pomiętej marynarki.

– Panie komendancie, może pan rozkazać, żeby mi go umieszczono, i posłucham rozkazu. Ale nie mogę rozkazać Roarke’owi, żeby to zrobił.

– Przekonaj go. – Udzielisz tej rady, Whitney wyszedł i zostawił ją z Feeneyem.

– To kompletny idiotyzm.

– Wcale nie. Przyznaję, że możesz się czuć lekko znieważona, ale to nie idiotyzm, Dallas. – Przysiadł na jej biurku. – Spędziłem dziś z komendantem dużo czasu, zbierając dane, analizując je, snując

przypuszczania, rozważając różne scenariusze. Ten skurczybyk Cobbe wie, jak się chować w mysich dziurach. Wie, jak wtapiać się w tłum, zadać cios nożem, zaszyć się w jakiejś melinie.

– Wiem o tym. Tak samo jak wiem, że tym razem będzie inaczej.

– Bo chodzi o was?

– Bo to sprawa osobista. A kiedy to sprawa osobista, popełnia się błędy.

Spojrzał na nią przeciągle.

– Święta prawda.

Uświadomiła sobie, że zgrabnie wykorzystał przeciwko niej jej własną argumentację. Dała mu się podejść.

– Rozepnij marynarkę. Masz coś pod koszulką?

– Co cię obchodzi, czy mam coś pod koszulką? Gdzie chcesz mi umieścić to cholerstwo?

Dotknął ją pod prawą ręką, parę centymetrów poniżej pachy.

Zdjęła marynarkę i podciągnęła krótki rękaw koszulki.

Oboje poczuli olbrzymią ulgę.

– Jest cieniutki, miękki, będzie zupełnie niewidoczny na skórze.

Eve utkwiała wzrok w suficie, kiedy wybrał odpowiednie miejsce i przystąpił do pracy.

– Nie szkodzi mu pot ani woda, więc będziesz mogła pływać i brać prysznic. Odporny na zmiany temperatury. Jeśli spróbujesz go oderwać, zejdziesz razem ze skórą. Więc lepiej tego nie rób. Mam specjalny rozpuszczalnik do jego usuwania. To najlepszy lokalizator, jakim dysponujemy. Nie ma lepszych. Zgadnij, kto je produkuje?

Nie musiała zgadywać. Ale świadomość, że korzysta z wyrobu Roarke Industries, niczego nie ułatwiała.

Zacisnął usta, sprawdził plombę, wyciągnął swoją komórkę.

– Spójrz, tu jesteś.

Zmarszczyła czoło, patrząc na czerwony punkt migający na wyświetlaczu. Kiedy dotknął punktu, na wyświetlaczu ukazała się komenda główna i jej gabinet.

– Pojedziesz do centrum, namierzy cię. Skorzystasz z wahadłowca, namierzy cię. Wybierzesz się do pieprzonych Chin? Też cię namierzy. Twój facet jest pieprzonym geniuszem.

– Nie omieszkać mu tego powiedzieć, kiedy skopie mi tyłek, gdy spróbuję mu to umieścić na ciele.

– Jezus, Dallas, nie możesz się uciec do odrobiny żoninej gadki.

– Jakiej znowu żoninej gadki?

– No że wiesz, że jest sprytniejszy i silniejszy i jakie tam jeszcze dyrdymałki trzeba będzie dorzucić, ale bardzo się denerwujesz, a kiedy się denerwujesz, jesteś do niczego. Takie tam trele-morele, wtedy ci ustąpi, bo sam się martwi i czuje się winny, że ty się martwisz. Żonine gadki.

Zafascynowało ją to.

– Skąd tyle wiesz o żoninych gadkach?

– Na rany Chrystusa, bo przez ponad połowę swego życia ich wysłuchuję. Sheila nie ucieka się regularnie do żoninych gadek, dlatego są skuteczne. Za każdym razem.

Żonine gadki, zastanowiła się Eve. Może uda się je uwzględnić w regulaminie małżeńskim, jeśli wystarczająco go nagnie.

– Jeśli nie zadziałają, wezwę cię na pomoc. Prawdopodobnie jesteś w tym lepszy.

– Niewykluczone. – Wręczył jej pudełko z drugim lokalizatorem. – Instrukcja jest w środku, ale będzie wiedział, jak to działa. Do diabła, przecież sam go skonstruował. Załóż mu go. – Feeney skierował się do wyjścia.

– Chwileczkę. Skoro są żonine gadki, muszą też być mężowskie gadki. Jak brzmią?

Feeney tylko się uśmiechnął.

– Sama się domyśl.

Zostawił to sobie na później, postanowiła. Uniosła rękę i spojrzała na lokalizator, wymacała go palcem. Nawet wpatrując się w niego, przeciągając po nim palcem, ledwo go wyczuwała.

Rzeczywiście, pieprzony geniusz.

Postanowiła zignorować to, czego nie mogła zmienić, i usiadła, żeby napisać raport.

Akurat wtedy, gdy Eve uporała się z pracą w komendzie, Summerset skończył zakupy. Zdążył też załatwić inne sprawy, chociaż generalnie miał opóźnienie.

Wprawdzie pierwotnie przeznaczył przedpołudnie na różne interesy na mieście, ale spędził ten czas w domu, kontaktując się z różnymi osobami w sprawie Cobbe'a. Zjadł również obiad z Iwaną w jej mieszkaniu, żeby mogli swobodnie wymienić się wiadomościami.

Skorzystał z samochodu z szoferem, bo Roarke na to nalegał, ale poruszał się pieszo między niektórymi ulubionymi sklepami. Ostatecznie miał swoje codzienne rytuały.

Chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że te rytuały w dużej mierze narodziły się w okresie chaosu i jatek, które go otaczały podczas wojen miejskich, nie czyniło to owych rytuałów mniej przyjemnymi.

Przyznawał, że pani porucznik często zakłócała jego nawykowe zachowania, ale nauczył się to sobie wynagradzać. Uważał, że utrzymanie porządku i spokoju, szczególnie w czasach chaosu, jest nie tylko jego obowiązkiem, ale również szczególnym darem.

Kupił truskawki – dość drobne, ale bardzo dojrzałe i wyjątkowo słodkie. Chociaż zwykle niczego nie piekł w ten dzień tygodnia, postanowił po powrocie do domu upiec kruche ciasto. Dzień był równie idealny jak owoce, toteż z przyjemnością chodził między straganami na wolnym powietrzu, zagadując sprzedawców i hodowców.

Kupił kwiaty, które wpadły mu w oko, spróbował sera – ostrego jak żyłek – i kupił jego mały krązek, choć serce go zabolowało, kiedy zobaczył, ile trzeba za niego zapłacić.

Zatrzymał się przed straganem z rybami, spojrzął na łosiosa.

– Jak zdrowko, panie Summerset?

– Dziękuję, doskonale. A jak pan się czuje, panie Tilly?

– Równie wspaniale, jak wspaniały jest ten majowy dzień. – Tilly, zażywny, w obszernym, białym fartuchu wskazał łosiosa. – Dla państwa czy dla kota?

– Dla głowy domu, naturalnie.

– Czyli dla kota. – Tilly puścił oko. – Jak się miewa sir Galahad?

– Dobrze, dziękuję. A szanowne panie?

Mianem „szanownych pań” określał dwie perskie kotki Tilly'ego. Obaj panowie wymienili się opiniami o swoich czworonogach, stojąc na wiosennym wietrzyku. W końcu Summerset wybrał łosiosa dla Galahada i ruszył dalej.

Odkąd kupił truskawki, wiedział, że ktoś go śledzi. Musiał oddać sprawiedliwość Cobbe'owi, że jest sprytny, bo nie udało mu się go wypatrzeć. Ale czuł jego obecność – albo tego, któremu Cobbe zlecił to zadanie.

Zaintrygowany, spędził na bazarze więcej czasu, niż zamierzał, chodząc, klucząc, zawracając.

Ale nie zobaczył swojego cienia. Kiedy wrażenie, że jest śledzony, zniknęło, zadzwonił po samochód.

W drodze do domu skontaktował się z Roarkiem.

– Zebrałem kilka informacji, które mogą się okazać przydatne – zaczął. – Na bazarze ktoś mnie śledził.

– Gdzie teraz jesteś?

– W samochodzie, w drodze do domu. Nie masz powodów do niepokoju. Nie podszedł wystarczająco blisko, bym go zobaczył, ale był tam. Chyba że to ty kazałeś mnie śledzić i niewłaściwie to odebrałem.

– Nie, nie zrobiłem tego i nie kuś mnie.

– A gdzie ty jesteś?

– W An Didean. Jak tu skończę, muszę wstąpić jeszcze w jedno miejsce. Przypuszczalnie wrócę nieco później. Kiedy już dotrzesz do domu, nigdzie nie wychodź, dobrze?

– Nie mam takiego zamiaru. Uważaj, chłopcze. Jest lepszy, niż przypuszczałem.

– Do zobaczenia w domu.

Roarke się rozłączył i kontynuował obchód. Robotnicy wnosili kolejne meble. Kilku instruktorów urządziło swoje pracownie tak, jak im to odpowiadało.

Powietrze pachniało świeżo, czysto. Czy pachniało również nadzieją, czy też czuł ją, bo miał taką wewnętrzną potrzebę? Za kilka dni to miejsce wypełnią młodość, hałas, ruch.

Wkrótce czekało go spotkanie z personelem, ale stwierdził, że nogi same go poniosły w górę schodów, do sypialni, a potem jeszcze wyżej, do ogrodu na dachu, z grządkami gotowymi do przyjęcia roślin, które posadzą uczniowie.

Usiadł na ławce, otoczony ze wszystkich stron przez miasto, niebo było tak błękitne, jak tylko można było sobie wymarzyć. Obok stał pomnik ku czci dziewcząt, które zginęły na długo przed tym, nim w jego umyśle zrodził się pomysł, by stworzyć tę szkołę, teraz skąpaną w promieniach słońca.

Mógł nie żyć, podobnie jak one, gdyby Cobbe zdołał zrealizować swój zamiar. Niewątpliwie byłby martwy, gdyby nie dość szybko wyrwał się z tamtego środowiska i gdyby nie miał wokół siebie kumpli. Nie ulega wątpliwości, uswiadomił sobie Roarke, że Cobbe już wiele lat temu wyprawili go na tamten świat, gdyby mu się udało.

Stary zrobiłby to samo, doszedł do wniosku Roarke. Chyba że miały z niego jakiś pożytek. Na szczęście Roarke miał zwinne palce, skutecznie obrabiał kieszenie i to go uratowało. Nie żeby go to uchroniło przed kopniakami czy pięściami, ale dzięki zwinnym palcom pozostał przy życiu.

Czemu, u diabła, Cobbe chciał mieć za ojca kogoś takiego jak Patrick Roarke? To dość oczywiste, stwierdził. Czy w ich żyłach płynęła ta sama krew, czy nie, mieli bardzo podobne charaktery.

No cóż, zadumał się, musiało do tego dojść po tych wszystkich latach, ale tym razem ani nie ucieknie, ani nie odejdziesz. Miał teraz więcej, znacznie więcej do stracenia niż wtedy, kiedy potraktował Cobbe'a paralizatorem w barze we Francji. Zostawił go leżącego na podłodze, ale żywego.

To się musi skończyć. I się skończy.

Wyjął komórkę, kiedy zabrzęczała, odczytał na wyświetlaczu imię jednego z dawnych kumpli.

– Brian – rzucił do słuchawki. – Masz coś dla mnie?

Po rozmowie zanotował, co mu przekazał przyjaciel. Odbył spotkanie, a potem z prawdziwą przyjemnością obserwował, jak dostarczano instrumenty i rozpakowywano je w sali muzycznej.

Wychodząc, spojrzał w lewo i w prawo, poczekał, aż podjedzie jego samochód.

Nie zobaczył ani śladu Cobbe'a, więc udał się tam, gdzie miał wstąpić przed powrotem do domu.

Wysiadł przed ładnym domem państwa Mira przy spokojnej ulicy. Zauważył, że obok drzwi ustawili donicę z roślinami. Posadzili w nich ciemnofioletowe i jaskrawoczerwone kwiaty, coś, co przypominało koronkę, i kilka młodych pędów winorośli, które już się zaczęły wylewać z pojemników.

Mimo że bardzo lubił i podziwiał małżonków Mira, traktował tę wizytę jako obowiązek, coś, przez co musiał przejść.

Kiedy będzie to miał za sobą, chętnie wróci do domu.

Nacisnął dzwonek. Czekał, obserwował ulicę. Wiedziałyby, że jest śledzony. A nawet gdyby sam to przeoczył, jego szofer – jeden z najlepszych – z pewnością wszystko by zobaczył.

Ale i tak rozglądał się, póki nie otworzyły się drzwi.

Na progu stał Dennis Mira, ze zmierzwionymi włosami i zielonymi, życzliwymi oczami. Miał na sobie czerwony sweter bez jednego guzika, a na nogach domowe bambosze.

– Wejdz, wejdz. Jak dobrze cię widzieć! Charlie mówiła, że wstąpisz do nas.

– Zawsze się cieszę, kiedy cię widzę, Dennisie.

Dom jak zwykle serdecznie witał gości przyjemnymi dla oka kolorami i spokojną, niewymuszoną elegancją.

– Może piwa? – Dennis przyjaźnie klepnął Roarke'a w plecy, prowadząc go do salonu. – Nie będzie zrzędzić, jeśli wypijesz jedno piwo za mną.

– Z największą przyjemnością się napiję, dziękuję.

– Siadaj, a ja pójde po piwo. Charlie... – Rozejrzał się, jakby spodziewał się ją zobaczyć. – Chyba poszła na górę się przebrać. Dopiero co wróciła do domu. Pójde po nią.

Kiedy Dennis wyszedł, Roarke podeszedł do okna, znów zlustrował ulicę.

Spokój, stwierdził, samochody przejeżdżają, nie zatrzymując się.

Odrzucił się, kiedy weszła Mira w jasnoszarych spodniach i lekkim pulawerze, niebieskim jak jej oczy.

– Zdawało mi się, że słyszałam, jak się otwierają drzwi. – Podeszła prosto do Roarke'a, ujęła jego dłonie, ucałowała w oba policzki. – Gdzie Dennis?

– Poszedł po piwo.

– Hmm. – Wskazała Roarke'owi fotel, sama usiadła na kanapie, podwijając nogi. – Rozmawiałam dziś z Rochelle. Powiedziała, że do An Didean przywożą ostatnie meble.

– Zgadza się. Właśnie stamtąd jadę. – Uniósł wzrok, kiedy wszedł Dennis z tacą, na której stały dwa pilznery, kieliszek białego wina oraz półmisek z krakersami, serem, orzeszkami i oliwkami.

– O, jesteś, Charlie. Uznałem, że zasłużyłaś na kieliszek wina. Ma za sobą długi dzień – wyjaśnił Roarke’owi.

– A przeze mnie będzie jeszcze dłuższy.

– Wcale nie. Z radością byśmy was odwiedzili.

– Załatwiałem różne sprawy na mieście, w drodze do domu i tak przejeżdżałbym obok was.

Mira skinęła głową i wzięła swoje wino.

– Nie masz nic przeciwko obecności Dennisa?

– Naturalnie, że nie. – Roarke nakazał sobie spokój, wziął piwo. – Jak zawsze.

– Może jeszcze nie wiesz, że Eve, Peabody i Reo skłoniły Tweena do przyznania się do wszystkiego, zawarły ugodę z jego prawniczką. Odsiedzi pięćdziesiąt lat i ujawni im wszystko, co wie o Cobbie.

– Nie znam szczegółów, ale Nadine informowała o tym na krótko przed tym, nim tu dotarłem.

– Widocznie Eve dała jej cynk. – Mira znów skinęła głową. – Co oznacza, że Eve jest u krewnych Modesto. W przeciwnym razie nie pozwoliłaby na ujawnienie tych informacji. Opowiedz mi swoje najwcześniejsze wspomnienie związane z Lorcanem Cobbe’em.

Nie spodziewał się tego pytania. Minęła chwila, nim uświadomił sobie, że jego odruchowa odpowiedź nie byłaby ścisła.

– Obserwował mnie na ulicy Grafton w Dublinie. Zapomniałem o tym. Byłem z Brianem, Mickiem i Jenny, okradaliśmy turystów. Pamiętam, że nie podobało mi się, że mi się przygląda, ale po jakimś czasie odszedł. Zdaje się, że następnego dnia zastukał do naszych drzwi.

– Ile miałeś lat?

– Chyba siedem, osiem. Pamiętam, że była pora kolacji i właśnie oberwałem od ojca, bo nie chciałem wyjść na miasto, póki nie dostanę czegoś do jedzenia. Stary najpewniej zdążył już wychylić duże piwo, albo i dwa, bo uznał, że tamtego dnia nie przyniosłem do domu dość pieniędzy, by zasłużyć na to, co Meg postawiła na stole.

– Potem na progu pojawił się Cobbe – ciągnął. – Odepchnął Meg, która mu otworzyła drzwi. Z trudem, bo nie była wątlą dziewczynką. Skierował się prosto do starego. Kroczył dumnie – przypomniał sobie Roarke, bo spoglądając wstecz, wyraźnie to zobaczył. – „Jestem Lorcan” – przedstawił się. „Jestem twoim synem, pierworodnym synem. Zamieszkać tutaj i będę dla ciebie pracował”. Stary się roześmiał, złapał go za kark i spodnie, po czym wyrzucił za drzwi.

– Wyrzucił go? – powtórzyła Mira.

– O tak, wywalił na zbity pysk. Słyszałem, jak sturlał się ze schodów. A stary powiedział mi, że jeśli nie chcę do niego dołączyć, mam zabierać swój leniwy tyłek, by zarobić na utrzymanie. Wyszędłem. Cobbe leżał u podnóża schodów. Chciałem mu pomóc wstać, bo sam sturlałem się z nich raz czy dwa. Wyciągnął nóż, zaczął mi nim wymachiwać przed nosem, oczy miał przekrwione. Szybko uciekłem. Kiedy wróciłem, koczował pod drzwiami, więc obszedłem dom i wspiąłem się przez okno. Rano nadal tam był.

Roarke się napił.

– Można powiedzieć, że po tym pierwszym spotkaniu nasze stosunki nigdy nie uległy poprawie.

– Czy znowu próbował ci coś zrobić?

– Próbował, udało mu się raz czy dwa, ale nigdy nie zdołał wbić mi noża. – Roarke wzruszył ramionami. – Stary mu zagroził, kiedy się zorientował w sytuacji. No bo zarabiałem na swoje utrzymanie.

– Patrick Roarke nigdy go nie przyjął pod swój dach, że się tak wyrażę, ani nie uznał za swojego syna?

– Dał mu pracę, ale co do reszty – nie. I sądzę, że stary miał rację.

– Dlaczego?

– To chyba kwestia genów. Cobbe nic a nic nie był podobny do starego. Miał raczej jasne włosy, a nie ciemne, orzechowe oczy, a nie niebieskie. Był niższy i miał bardziej krępa budowę ciała.

– A jego matka?

– Miała brązowe włosy, chociaż często farbowała je na rudo, niebieskoszare oczy. Bujne kształły. Specjalnie raz się tam wybrałem, żeby się jej przyjrzeć. Mieszkali nad pubem, w którym pracowała. Dorastałem w norze – dodał – ale w porównaniu z ich lokum to był prawie pałac. A jednak...

– A jednak?

– Chyba go kochała. Miał w sobie to coś. Istotnym warunkiem przetrwania jest znajomość swoich wrogów, więc postarałem się go poznać. Ludzie mówili, że nigdy nie podniosła na niego ręki i wychwałała go pod niebiosa. W jej oczach był młodym księciem.

Mira pokiwała głową, tworząc sobie w myślach obraz Cobbe’a.

– Ale chciał tego, co ty miałeś.

Ponieważ to nie było tylko to, Roarke pokręcił głową.

– Nie chciał, żebym istniał na tym świecie, i pragnął tego, co ja miałem. To pierwsze, co widzę, kiedy patrzę jego oczami. Zawadzałem mu. Ale nie rozumiem, dlaczego chciał zamieszkać ze starym i Meg, która miała twardą rękę i często jej używała. Cieszył się miłością matki, a przedkładał miejsce przy stole faceta, który go bił dla sportu.

– Dziecko... – Dennis zamrugał powiekami. – Przepraszam, że wam przeszkodziłem. Myślę na głos.

– Podziel się swoimi myślami – zachęciła go żona.

– Przypuszczam, że to normalne, to wrodzona potrzeba dziecka, by mieć ojca, matkę, jeśli ich nie ma. Mógł szukać kogoś w zastępstwie. W tym wypadku matka powiedziała małemu Cobbe'owi: to jest twój ojciec. Być może urodził się jako człowiek okrutny, ze skłonnością do przemocy. I z tego, co wiem o tamtym miejscu i czasach, świat był wtedy okrutny i pełen przemocy. To połączenie genów, wychowania, środowiska. Przyszło mi do głowy, że nie tylko dążył do tego, by naśladować człowieka, który – jak wierzył – był jego ojcem, ale również pragnął go przewyższyć, żeby zasłużyć sobie na jego dumę i szacunek.

Urwał, wyraźnie rozmyślając nad tym, co jeszcze Roarke powiedział.

– Matczyna miłość dla kogoś takiego jak on to oznaka słabości, prawda? Jest łagodna, nie ma prawdziwej władzy. Natomiast duma i szacunek ojca, nieprzestrzegającego prawa, zagarniającego to, co chce, to dowód siły. To władza, którą można odziedziczyć. Szczególnie w przypadku tchórza, który uważa się za człowieka odważnego.

Mira się uśmiechnęła, ucisnęła dłoń Dennisa.

– Tak. Ty blokowałeś mu dostęp do tej władzy – zwróciła się do Roarke'a. – I nadal blokujesz.

– Stary nie żyje.

– To go czyni jeszcze silniejszym. Wybacz, Charlie.

– Nie, Dennisie, masz całkowitą rację. Martwy, który do tego stracił życie w wyniku przemocy, staje się symbolem, nieosiągalnym ideałem, kimś, kogo mu odebrano, nim mógł sobie zasłużyć na jego dumę i szacunek. A ty jesteś żywym przykładem tego, czego on nigdy nie miał.

Mira sączyła wino, przyglądając się Roarke'owi.

– Jakie zadania wykonywał dla twojego ojca?

– No cóż, nigdy nie miał zdolności do zwykłych kradzieży i nawet gdyby miał cztery ręce, nie nadawałby się na kieszonkowca. Zarabiał na życie, stosując przemoc.

– Jakiego rodzaju przemoc?

Jakie to dziwne, uświadomił sobie Roarke, siedzieć w tym ślicznym gościnnym pomieszczeniu i myśleć o tamtych ciężkich, ponurych czasach.

– Jeśli ktoś uchylał się od płacenia haraczu za ochronę, wysyłało Cobbe'a, żeby go do tego nakłonił. Albo jeśli ktoś nie zapłacił staremu tyle, ile uważał za sprawiedliwy udział w zyskach, wysyłał Cobbe'a, żeby zainkasował pieniądze. W taki czy inny sposób.

– Ile miał wtedy lat?

– Och, jakieś dwanaście, trzynaście. Wydaje się, że to mało, ale to było inne miejsce i inne czasy.

– Był jeszcze młody – powiedziała Mira. – A człowiek, którego uważał za ojca, wybrał go, by zadawał innym cierpienia fizyczne. Czy już wtedy zabijał na rozkaz twojego ojca?

– Przypuszczalnie tak. Prawdopodobnie tak – poprawił się Roarke.

– Czy ojciec kiedykolwiek wysyłał cię gdzieś razem z Cobbe'em?

– Chryste, nie. Byłem zbyt użyteczny, żeby skończyć z wyprutymi flakami, a stary miał dość oleju w głowie, by wiedzieć, że Cobbe przynajmniej spróbuje się mnie pozbyć. Ja miałem inne uzdolnienia. Byłem urodzonym złodziejem. – Znow wruszył ramionami. – A konieczność przetrwania sprawiła, że jeszcze udoskonaliłem te wrodzone talenty. Okradałem turystów i sklepy, a później domy i mieszkania bogaczy. I nie okłamię dwojga osób, na których mi zależy, twierdząc, że nie sprawiło mi to przyjemności.

– Zwykle lubimy robić to, w czym jesteśmy wyjątkowo dobrzy – skomentował Dennis, czym sobie zasłużył na szeroki uśmiech.

– Święte słowa.

– A jak twój ojciec traktował Cobbe'a, kiedy ten dla niego pracował?

– Przypuszczam, że nieźle, gdy stary uznał, że Cobbe dobrze się spisał i przyniósł odpowiednio dużo pieniędzy.

– A jeśli nie?

– Wtedy w ruch szły pięści, kopniaki. Chociaż można było również zarobić, kiedy stary był w złym humorze, co często mu się zdarzało. Rzadko było coś więcej, bo Cobbe wykonywał zleczone zadania

i miał z tego frajdę. Mnie się wiodło gorzej, bo chomikowałem część tego, co ukradłem. Warto jednak było obrywać, mając świadomość, że pewnego dnia zgromadzę dość, by uciec.

Roarke umilkł i uniósł piwo do ust.

– Przypomniałeś sobie jeszcze coś.

– Tak. Sytuację, kiedy Cobbe'owi najbardziej się dostało. Było to jakiś rok po tym, jak pierwszy raz zapukał do naszych drzwi. Może rok z kawałkiem. Przyszł ze swoim dziennym zarobkiem i musiało być tego sporo, bo stary kazał Meg nalać Cobbe'owi piwa. Cobbe się rozsiadł, jakby był u siebie, i zaczął coś nawijać staremu na mój temat. Teraz nie pamiętam, co to było, ani czy to była prawda, czy nie. Właściwie to nieważne. Stary słuł za to Cobbe'a na kwaśne jabłko. Widzicie, nie tolerował mazażów ani kapusiów. Mnie też się dostało, ale tamtego razu Cobbe oberwał mocniej.

– Według niego dostało mu się przez ciebie. Chociaż i tak w jego oczach lanie stanowiło rodzaj wyróżnienia. Skupił na sobie uwagę. Miał dowód, że jest ważny. Wszystko to przyczyniło się do tego, że wyrósł na takiego człowieka, jakim jest.

– Czy... Nie mogę go nazywać ojcem Roarke'a, Charlie. To, że się splotziło dziecko, nie czyni nas jeszcze ojcem.

Roarke słysząc te słowa, utkwiał wzrok w puszcze z piwem, nic nie mówiąc. Nie mógł nic powiedzieć, bo zalała go fala zwykłej wdzięczności.

– Czy kiedykolwiek okazał Cobbe'owi dumę albo szacunek?

Żeby dać sobie chwilę na zastanowienie, Roarke napił się piwa.

– Może pewien szacunek, ale nigdy dumę. I nieraz słyszałem, jak mówił Cobbe'owi, że nie płynie w nim ani kropla krwi Roarke'ów i że rozbije mu głowę, jeśli kiedykolwiek posłuży się jego nazwiskiem jako swoim. Nazywał matkę Cobbe'a dziwką. Jasne, że sypiał z niejedną dziwką, ale wiedziałby, gdyby któraś z nich nosiła w brzuchu jego bękarta.

– I Cobbe się z tym pogodził?

– Tak.

– Jak Patrick Roarke się do niego zwracał? – zapytał Dennis. – Kiedy Cobbe był chłopakiem?

– Cobbe. Czasami Nożownik, kiedy był w dobrym humorze. Bo Cobbe lubił wymachiwać swoimi nożami.

– A do ciebie? Czy może to zbyt osobiste pytanie?

– Nie, skądże znowu. Wołał na mnie chłopak albo młody Roarke, ale najczęściej razem z Meg nazywali mnie *daitín* albo *diabhal*. Znali tylko garść irlandzkich słów, głównie przekleństw. Te dwa znaczą bachor i diabeł.

– Czy Cobbe był obecny przy tym, jak Patrick Roarke zbił cię po raz ostatni?

– Nie wiem – uświadomił sobie Roarke. – Chyba nie, ale nie wiem tego na sto procent. Nie wszystko pamiętam, więc nie mam pewności. Nie wiem również, dlaczego stary wtedy tak się na mnie wściekł. Ty byłeś najgorsze lanie w moim życiu, czułem, że umieram. I prawdopodobnie umarłbym, gdyby Summerset mnie nie znalazł, nie zabrał do siebie, nie zaopiekował się mną. Och... Poszło o książkę. Dziwne, że teraz sobie przypomniałem.

– O jaką książkę?

– Yeatsa. Znalazłem w zaułku tomik wierszy Yeatsa. Dzięki niemu nauczyłem się czytać. Jenny i Brian mi pomogli, bo obydwoje umieli pisać i czytać lepiej od reszty nas. W tej książce był cały świat, słowa tak mocne i cudowne. Przez większość czasu nie rozstawałem się z nią. Nie, nie, Cobbe'a nie było tam wtedy. Nikogo nie było. Stary przyłapał mnie, jak byłem sam, nie pracowałem, tylko uprawiałem się w czytaniu.

– „Uchodź, uchodź, ludzkie dziecię, puszcza dzika niech skryje cię”.

– „Z wrózką leśną za pan brat” – ciągnął Dennis. – „Bo nie pojdziesz nigdy tego, jaki smutny jest ten świat” ¹.

– Tak, to były magiczne słowa. Dość dobrze wiedziałem, jaki smutny jest świat i byłem ciekaw, jak by to było z niego ujść. Przyłapał mnie. Zabrał mi książkę i wyzwał od wałkoni i nierobów.

Roarke na chwilę zamknął oczy, szukając wśród cieni i luk.

– Próbowalem mu ją wyrwać. Bo widzicie, należała do mnie. Nawet jej nie ukradłem, tylko znalazłem. Powalił mnie na ziemię, wyrwał kartkę z książki. I wtedy coś we mnie pękło.

Otworzył oczy. Wszystko ujrzał tak wyraźnie, jak tamtego dnia, kiedy się to wydarzyło. Część niego – musiał przyznać, że większa część – chciała znów zaciągnąć zasłonę, porządnie, by wszystko ukryć.

Spoglądanie przeszłości prosto w twarz sprawiało mu ból.

Wiele lat swego życia spędził, wierząc, że należy spoglądać przed siebie, a nie wstecz.

A teraz to, co wydarzyło się kiedyś, stanęło mu przed oczami.

– Rzuciłem się na niego. Ogarnęła mnie ślepa furia, odebrało mi rozum, bo był dwa razy ode mnie większy i silny. Doskonale zdawałem sobie sprawę z jego siły. Ale rzuciłem się na niego. Prawdopodobnie szok, wywołany tym, że go zaatakowałem, sprawił, że udało mi się go uderzyć – raz. Zdzieliłem go w twarz i rozciąłem mu wargę.

– Prawie się rozeźmiał.

– Tamta chwila ogromnej satysfakcji trwała bardzo krótko. Stary odrzucił książkę i... Cóż, nie udało mi się go drugi raz osiągnąć. Więc... – Wzruszył ramionami.

– No tak – powiedziała Mira, wzięwszy głęboki oddech. – Czy widziałeś jeszcze Cobbe'a, kiedy zamieszkałeś w Dublinie z Summersetem?

– Kilka razy, kiedy znów zacząłem się kręcić na mieście, ale unikałem go. Wiem, że po tym, jak starem uderzył mi nóż w gardło, Cobbe próbował przejąć jego interesy.

– Czy Cobbe mógł go zabić? – spytał Dennis.

– Nie zrobił tego... Ja też nie. Gang starego się rozpadł, przeszli go inni, bo Cobbe'owi nie udało się go utrzymać. Więc zaczął pracować dla różnych ludzi, na jakiś czas przeniósł się do Belfastu. Nie rozmawiałem z nim, aż do tego spotkania wiele lat później, w barze we Francji.

– Zagroził ci nożem – odezwała się Mira. – Eve opowiedziała mi o tym podczas naszej porannej rozmowy. Czy to prawda?

– Tak. Zobaczyłem go, jak wszedł, i wyraźnie wyczytałem z jego oczu, jakie ma zamiary. Usiadł, przytknął mi nóż do zęber. Niezbyt głęboko, bo chciał mi powiedzieć to, co miał do powiedzenia, nim by go wbił głębiej. Więc kiedy mówił, jak to rozplata mnie nożem, jeśli nie dam mu pieniędzy i nazwiska, które prawnie należy się jemu, potraktowałem go paralizatorem, który trzymałem pod stołem. Wyszedłem, zostawiając go wijącego się na podłodze, ale żywego, czego teraz żałuję i mam nadzieję, że mnie rozumiecie.

– Sądzi, że jesteś słaby, bo pozostawiłeś go przy życiu. Jednocześnie okazałeś się od niego lepszy, tak jak wtedy, kiedy byliście dziećmi. Nosisz nazwisko, którego pragnie – ciągnęła Mira. – Masz pieniądze i pozycję, o jakich nawet nie może marzyć. Naturalnie zgromadził majątek, ale ludzie darzą go szcunkiem tylko dlatego, że się go boją. To go nakręca. Nie wierzę, że przyjechał do Nowego Jorku, by stanąć z tobą twarzą w twarz. Może, żeby wysondować grunt, zbadać sytuację. Ale kiedy cię zobaczył po tym, jak dokonał zabójstwa, jak zarobił swoje honorarium, wciąż jeszcze czuł adrenalinę, musiał się przed tobą popisać.

– „Oto jestem” – powiedziała Mira. – „To mogłeś być ty. Mogę ci to zrobić i odzyskać to, co mi się należy”. Przez te wszystkie lata musiał śledzić twoje poczynania, byłeś jak niezagojona rana i ta złość, ten ból go napędzały.

– Nie jest trudno śledzić to, co pozwalam ludziom zobaczyć.

– Spróbuj cię zabić, a ponieważ to sprawa osobista, tak mocno w nim zakorzeniona, popełni błędy. A ponieważ to sprawa osobista, ty też możesz popełnić błędy.

– Nie popełnię. – Roarke był tego pewien. – Bo spróbuję odebrać życie nie tylko mnie. Również Summersetowi i Eve, dlatego że są ze mną.

Mira popijała wino, przyglądając się uważnie Roarke'owi, widząc jego całkowitą pewność.

– Rozumie, że Summerset jest z tobą, bo pracuje u ciebie. Twoje małżeństwo z Eve uważa za coś wygodnego i za przykrywkę. Nie jest zdolny do zrozumienia, co to jest miłość.

– Summerset uratował mi życie i od tamtej pory stanowi jego integralną część. Zabicie go byłoby dla Cobbe'a sprawą uboczną, nawet rozrywką, ale sprawiającą przyjemność. Eve należy do mnie. Bez względu na to, czy Cobbe rozumie, kim dla mnie jest, czy też nie, należy do mnie.

Nachylił się.

– Urodziłem się złodziejem. Podstawa wszystkiego, co posiadam, pochodzi z kradzieży. Kradłem nawet wtedy, kiedy stało się to dla mnie jedynie przyjemnym hobby. Niczego nie żałuję. Zrezygnowałem z tego dla Eve, bo w przeciwnym razie nigdy nie byłaby moja, a ja jej. I nie żałuję niczego.

– Wystarczy, by pokopał wystarczająco głęboko, zadał właściwe pytania właściwym ludziom, a dowie się. Nie zrozumie tego, ale może się tego dowiedzieć. I gdyby się dowiedział, co by zrobił?

– Spróbuj ją zabić albo przynajmniej na początek ją dorwać. A nie znam nikogo, kto potrafi go powstrzymać lepiej niż Eve. Pamiętając o tym, nie popełnię błędu. Ufam jej, że postara się, by Cobbe spędził resztę życia w więzieniu. Ale jeśli uda mu się pokonać jej niepospolite umiejętności i w jakikolwiek sposób ją skrzywdzi, to kiedy tym razem odejdę, nie będzie oddychał.

– Nie dopadnie ani jej, ani ciebie – odezwał się Dennis. – Bezwzględnie w to wierzę. Każde z was z osobna jest silne i bystre. Razem jesteście niepokonani. Są podobieństwa w tym, czego doznaliście w dzieciństwie. Byliście sobie przeznaczeni.

– Dwie zagubione dusze – mruknął Roarke, ale Dennis pokręcił głową.

– Nie, nie zagubione. Tylko czekające. Napij się jeszcze piwa?
– Nie, dziękuję. I tak zajmę wam dość czasu. Chyba że ty masz ochotę na więcej.
– Powiedz Eve, że wprowadzę korekty do profilu. Miała rację, prosząc cię, żebyś porozmawiał ze mną... Z nami... Bezpośrednio. Wiemy więcej, a im więcej wiemy, tym szybciej go powstrzymamy.

*

Nim Roarke od nich wyszedł, Eve już jechała do domu. Zrobiła wszystko, co mogła – czy chciała – zrobić w komendzie, wstąpiła do hotelu, by poinformować rodzinę Modesto, co nowego w sprawie.

I to, pomyślała, wszystkie emocje, jakie może przeżyć jednego dnia.

Miała dużo pracy, ale potrzebna jej była chwila wytchnienia. Może trochę popływa, wypije kieliszek wina, zje kolację razem z Roarkiem, by mogli sobie opowiedzieć wszystko, co się wydarzyło w ciągu dnia.

Naprawdę chciała, żeby już był w domu. Miała nadzieję, że go tam zastanie.

Skręciwszy ku bramie, zobaczyła porzuconą przed nią torbę czy jakiś worek. I gdy brama zaczęła się otwierać, cofnęła wóz.

Kiedy brama znów się zamknęła, Eve wyciągnęła broń. Jeszcze raz się rozejrzała, nim wysiadła z wozu.

Worek – niewątpliwie z plamami krwi – i przyczepioną do niego jakąś kartką.

Wolną ręką sięgnęła po komunikator.

– Porucznik Eve Dallas. Proszę przysłać dwóch gliniarzy do mojej rezydencji. Natychmiast.

Schowała komunikator, podeszła do worka.

Poczuła krew. Poczuła śmierć.

Końcem palca dotknęła kartki.

Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Ciekawość zabiła kocóra.

Teraz twoja kolej!

– Nawet nie umiał napisać bez... O Chryste, nie, nie, nie.

Nie zabezpieczyła rąk – nie pomyślała o tym – tylko rozerwała sznurek.

Kot, kot. Jej kot.

W worku był kot – ale nie jej – z poderżniętym gardłem, rozplatanym brzuchem.

Poczuła żal i ulgę. Wyprostowała się, włączyła rejestrator, odwróciła się, żeby wyjąć z samochodu zestaw podręczny.

I wtedy go zobaczyła. Tak jak w przypadku Roarke'a postarał się o to.

Stał jedną przecnicę dalej, więc widziała, jak odchylił głowę do tyłu i się śmiał.

Rzuciła się pędem w jego stronę. Ale on też okazał się szybki.

Biegnać, Eve wyciągnęła komunikator.

Skierował się na wschód, tak jak ona by zrobiła, w stronę rozległego parku.

– Funkcjonariusz potrzebuje wsparcia podczas pościgu za podejrzanym. Mężczyzna rasy białej, brązowe włosy, związane w koczek, czterdzieści dwa lata. Metr osiemdziesiąt trzy wzrostu, osiemdziesiąt sześć kilogramów wagi. Czarne spodnie, czarna bluza z kapturem. Biegnie w stronę Central Parku wzdłuż Zachodniej Osiemdziesiątej Trzeciej. Sukinsyn!

Doganiała go, widziała, że go dogania. Nie wygrałby w żadnym sprincie, ale na dłuższym dystansie miał szanse. I nie ulegało wątpliwości, że chciał, by go ścigano.

– Podejrzany to Lorcan Cobbe! – krzyknęła do mikrofonu, wbiegając do parku. – Może być uzbrojony, jest niebezpieczny. Dajcie mi wsparcie, do jasnej cholery! Zawiadomić strażników parku, by lokalizowali go na podstawie zapisów kamer.

Komunikator, który ścisnęła w rękę, zabrzączał.

– Dajcie mi wsparcie!

– Dlaczego biegniesz? – ostrym tonem spytał Feeney. – I co robisz w Central Parku?

– Ścigam Cobbe'a. Załatw mi wsparcie, do jasnej cholery.

– Już się robi.

Musiała się zatrzymać, nie dlatego, żeby zaczerpnąć tchu, tylko ocenić sytuację. W taki idealny, wiosenny wieczór ściągnęli tu turyści, mieszkańcy miasta, rodziny z dziećmi – wprost roilo się od dzieci. Ludzie spacerowali, odpoczywali na ławkach, przechadzali się z psami, jedli lody z rozków, obejmowali się w cieniu drzew.

Jakaś kobieta trzymała czarną bluzę z kapturem. Miała zdziwioną minę.

Eve podbiegła do niej, zobaczyła, że oczy kobiety robią się okrągłe z przerażenia, przypomniała sobie, że trzyma broń.

Pokazała odznakę.

– Jestem policjantką, dokąd pobiegł mężczyzna, który rzucił tę bluzę?

– Cisnął ją, nie zatrzymując się.

– W którą stronę pobiegł? – Eve wyrwała jej bluzę, by mieć dowód. – W którą stronę?

– Nie jestem pewna. Chyba... – Wskazała na północ.

Eve z powrotem przypięła odznakę, pobiegła na północ.

– Pozbył się bluzy z kapturem – poinformowała Feeneya. – Kieruje się na północ.

Ktoś grał na gitarze. Ktoś śpiewał. Jakiś dzieciak śmiał się do rozpuku. Inny, kulejąc, niósł deskę powietrzną, ze startych kolan kapął mu krew.

Dostrzegła dwóch strażników parkowych, biegnących w jej stronę.

Zatrzymała się, ponieważ sukinsyn zniknął. Jakby zapadł się pod ziemię.

– Potrzebne mi nagrania z kamer w tym sektorze parku – warknęła. – I strażnicy parkowi mają przezcasać teren, szukając podejrzanego.

Sfrustrowana, schowała broń.

– Przekazcie mi kopie nagrań. Wszystkich nagrań, na których jest podejrzany. Porucznik Eve Dallas z wydziału zabójstw z komendy głównej policji. Prześlijcie nagrania, przystąpcie do poszukiwań. Natychmiast, do jasnej cholery.

– Musimy mieć pozwolenie od...

Eve ledwo się powstrzymała, by nie złapać strażnika parkowego za gardło.

– Chcesz, żeby na twojej zmianie wypatroszono tu kogoś, jak tę kobietę w Washington Square Park? Bo chodzi o tego samego faceta. Chodzi o tego popaprańca.

– Tak jest, proszę pani. Natychmiast przystępujemy do pracy.

– I nie zwracać się do mnie „proszę pani”, do jasnej cholery – rzuciła, odchodząc.

– Zgubiłam go – poinformowała Feeneya. – Wracam do domu.

– Czeka tam na ciebie wsparcie. Co się stało, do diabła?

– Później ci powiem – burknęła zniecierpliwiona. – Muszę zarządzić polowanie na podejrzanego.

Pobiegł na północ, myślała, a potem skręcił na zachód i opuścił teren parku. Przynajmniej ona by tak zrobiła. Zaparkował w pobliżu albo dotarł na piechotę do Columbus, złapał taksówkę, wsiadł do autobusu albo metra.

Chciał się przekonać, co zrobi Eve. I się przekonał.

Dwóch umundurowanych policjantów wbiegło do parku, kiedy wracała do domu. Odczepiła odznakę, pokazała ją im.

– Chodźcie ze mną.

Idąc, skorzystała z komunikatora, by zarządzić poszukiwania na południe od Zachodniej Osiemdziesiątej Osmej do Roosevelt Park – bo zdaje się, że lubił cholerne parki – i od Central Park West do Columbus.

Być może, być może, skoro dobrze się zabawiał, stanie się jeszcze bardziej nieostrożny. I się im poszczęści.

Kiedy znalazła się w pobliżu bramy, zobaczyła, że jest szeroko otwarta, a Summerset stoi między jej wozem i workiem z martwym kotem.

– Co ty to robisz! Nie dotykaj tego worka! Niech to wszyscy diabli! – Ruszyła biegiem. – Wsiadaj do samochodu. Do jasnej cholery, wsiadaj do samochodu.

– To nie Galahad. Galahad jest w domu.

– Dotykałeś worka.

– Jasne, że tak – warknął. – Brama się otworzyła, potem zamknęła, monitor pokazał, że stoi tu pani samochód i leży to coś. Musiałem...

– Wsiadaj do wozu. – Sfrustrowana, wściekła, chwyciła go pod łokieć. – Nie rozumiesz, że jesteś celem?

– A czy ty rozumiesz, że nim jesteś?

– Do wozu, zanim cię skuję. Przysięgam na Boga.

Summerset z godnością wsiadł do samochodu.

Starając się uspokoić, poleciła, by przysłano techników, rzuciła polecenia, kierując się do bagażnika. Zabezpieczyła dłonie, wyciągnęła torby na dowody i kartony.

Rzuciła kartony mundurowym.

– Złóżcie je.

Umieściła dwustronną błuzę w torbie na dowody, przykucnęła, wyjęła martwego kota z zakrwawionego płóciennego worka.

– Tylko jakiś chory popapraniec robi coś takiego – zauważył jeden z mundurowych.

Nic nie powiedziała, wyjęła peśetę z zestawu podręcznego, by wyrwać kępkę sierści z futra martwego zwierzaka, umieściła ją w torebce na dowody, pobrała na wacik próbki krwi, wsadziła je do drugiej torebki, zapakowała kota do torby, podpisała wszystkie. Worek i kartkę włożyła do osobnej torby.

Umieściła wszystko w kartonach, zabezpieczyła je i opisała.

– Zabierzcie kota do kostnicy, niech Morris się nim zajmie.

– Chce pani, żeby lekarz sądowy zrobił sekcję kota?

– Czy nie wyraziłam się jasno?

– Tak jest, pani porucznik.

– Bluza, sierść, krew, worek i notatka mają trafić do laboratorium. Sierścią ma się zająć Harvo, resztą – Berenski. To pilne. Wszystko to jest pilne. Jasne?

– Tak jest, pani porucznik.

– Macie wóz?

– Nie, pani porucznik.

Wyjęła komunikator, poleciła, żeby radiowóz zabrał policjantów.

– Chce pani, żeby ktoś pilnował bramy, zabezpieczał miejsce wydarzenia?

– Nie. – Nie ma sensu, pomyślała. Właściwie technicy też niewiele zdziałają, ale wolała niczego nie zaniedbać.

Schowała zestaw podręczny, usiadła za kierownicą.

Summerset podał jej nieskazitelnie białą chusteczkę.

– Ma pani krew na dłoniach.

Chciała warknąć, ale wzięła chusteczkę. Nie ma sensu zaświnać kierownicy krwią martwego kota.

Dopiero później dotarło do niej, jak bardzo zdenerwowany musiał być Summerset, skoro nawet się nie skrzywił, gdy zwinęła zakrwawioną chustkę w kulkę i wsadziła ją do kieszeni marynarki.

Summerset tylko złożył ręce, kiedy przejechała przez bramę.

– Jak pani wie – zaczął – kamera monitorująca nad bramą zarejestrowała numery pani wozu. Zaniepokoiłem się, kiedy brama się otworzyła, a potem zamknęła, ale pani samochód nie pojawił się na moni-

torze po jakimś czasie, bym mógł go zdalnie skierować do garażu. Ponownie spojrziałem na monitor, pokazujący bramę, jeszcze bardziej się zaniepokoiłem, kiedy zobaczyłem, że w samochodzie nikogo nie ma, a na ziemi leży worek.

– Więc otworzyłeś cholerną bramę i stałeś tam jak jakiś strach na wróble, czekając, żeby wrony nasrały ci na głowę i wydziobały ci gały.

– Wcale nie...

– A co, gdyby tu wrócił? Był jedną przecznicę ode mnie, kiedy wbiegł do parku. Mógł tu wrócić i cię wybebeszyć.

Odwrocił głowę na tyle, by rzucić jej gniewne spojrzenie.

– Potrafię zadbać o swoje bezpieczeństwo.

– Mam to w głębokim poważaniu. Co, u diabła, powiedziałabym Roarke'owi, gdybym wróciła i zobaczyła, jak się wykrwawiasz obok tego martwego kota?

– Jestem uzbrojony – oświadczył Summerset, kiedy gwałtownie zahamowała przed domem. – I przypominam, że podczas wojen miejskich dawałem sobie radę z gorszymi oprychami. Później zresztą też.

– Wojny miejskie nie były na mojej zmianie. – Wysiadła z samochodu.

Summerset wysiadł z drugiej strony.

– A co, u diabła, powiedziałabym Roarke'owi, gdybym nie sprawdził, co się stało, a on po powrocie do domu znalazłby pani zwłoki obok tego biednego kota?

– Jestem policjantką.

– I to czyni panią niepokonaną?

– Przeszłam szkolenia.

– Ja też, i w sumie trwające dłużej, niż liczy sobie pani lat.

– I uważasz, że będąc starcem, zdołasz dogonić i przechytzyć zawodowego zabójcę?

Summerset wyjął z kieszeni miniparalizator.

– Uważam, że to rekompensuje mój wiek.

– Jezu, to nielegalne!

– To proszę mnie aresztować – zaproponował. – Ale teraz muszę się napić. Oboje powinniśmy się napić.

Kiedy ruszył w stronę drzwi, ze złością szarpnęła się za włosy. A potem poszła za nim, bo rzeczywiście chciała się napić.

Galahad przytruchtał do Summerseta, otarł się o jego nogi, a potem podszedł do Eve. Przez chwilę wszyscy troje stali w okazałym holu.

Summerset odchrząknął.

– Widziałem kartkę przyczepioną do worka. Mimo błędu ortograficznego treść wiadomości była jasna. Wiedziałem, że nasz kocur jest w domu, bezpieczny, ale pani tego nie wiedziała.

Zdjęła marynarkę, rzuciła ją na słupek poręczy schodów.

– Muszę się porządnie napić.

Summerset skinął głową i wszedł do salonu. Nalał jej spory kieliszek wina, a sobie – whisky na trzy palce.

– Odkąd nosisz paralizator w kieszeni?

– Odkąd Liam Calhoun zaskoczył mnie i dostał się do domu, a pani znalazła się na linii ognia, przeznaczanego dla mnie. Lorcan Cobbe nie dostanie się do domu.

Całe to wydarzenie tak zdenerwowało Summerseta, że musiał usiąść.

– Skąd, u diabła, wiedział, że mamy kota?

Ponieważ miał czas, żeby się nad tym zastanowić, Summerset westchnął, trzymając whisky.

– Mógł mnie podsłuchać, kiedy dziś za mną laził.

– Co takiego? Kiedy? – Teraz miała ochotę rwać włosy nie ze swojej głowy, tylko Summerseta. – Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiaduję? Gdzie to było?

– Och, proszę usiąść, zamiast chodzić tam i z powrotem. – Summerset napił się trochę whisky, potarł skronie. – Poinformowałem Roarke'a, a on powie pani o tym, jeśli jeszcze tego nie zrobił. Kiedy robiłem zakupy na bazarze.

– Widziałeś go?

– Nie. Czuję. Wiem, kiedy jestem śledzony. Nie podszedł bliżej, bo zorientowałbym się, więc musiał użyć wzmacniacza i podsłuchać moją rozmowę z panem Tilly, sprzedawcą ryb. Rozmawialiśmy o naszych zwierzakach, ma dwie perskie kotki. Kupiłem łososia dla Galahada. Cień zniknął wkrótce potem. Czuję to.

– Zaszlachtował to Bogu ducha winne stworzenie – ciągnął – które mogło być czymś ukochanym kotem, bo kupiłem łososia i rozmawiałem o kotach.

– Zaszlachtował to Bogu ducha winne stworzenie, bo jest chorym popaprańcem i chciał się przekonać, co zrobię ja – albo Roarke – w zależności od tego, które z nas pierwsze wróciłyby do domu. Pokazał mi się – tak jak to zrobił na miejscu zabójstwa Modesto. Chciał, żebym go zobaczyła. Śmiał się – dodała. – Zorientowałam się po mowie jego ciała. Uważał to za świetny żart.

Galahad wskoczył Eve na kolana i się na nich umościł, pogłaskała go wolno.

– Jeśli zwłoki kota albo jego włosy mogą coś ujawnić, Morris i Harvo to znajdą.

Summerset wyjął z kieszeni jakieś małe urządzenie.

– Roarke jest przy bramie. I technicy kryminalistyki.

– Kurde. Kurde. Powinam go uprzedzić. – Napiła się wina. – No cóż.

– Ja też. Obydwoje jesteśmy trochę rozkojarzeni. Proszę siedzieć – dodał Summerset, nim Eve wstała. – Ja po niego pójde.

Eve pomyślała, że musi wziąć się do pracy. Ale to jest ważniejsze. Głaszcząc kota, który mruczał z zadowoleniem, położyła głowę na oparciu, zamknęła oczy na jedną ceną minutę.

Usłyszała, jak otwierają się drzwi.

– Dlaczego przy bramie są technicy? – spytał głośno Roarke. – Powiedzieli mi jedynie: „Proszę spytać panią porucznik”.

– Jest w salonie i pije wino. Dołącz do niej. Daj mi to.

Usiadła prosto i otworzyła oczy, kiedy wszedł. Zadowolony czy nie, kot zostawił ją, by powitać kolejnego członka rodziny.

– Eve, co do jasnej cholery?

– Cobbe zostawił przed bramą martwego kota w worku, z dołączonym liścikiem.

– Kota? Dlaczego miałby... – Roarke spojrział na tłustego, szarego kocura ocierającego mu się o nogi. – Ach. Śledził Summerseta na bazarze. Musiał się jakoś zorientować, że mamy kota.

– Łosoś na rybnym straganie i jeszcze jeden miłośnik kotów – wyjaśniła Eve.

– Wzmacniacz – domyślił się Roarke.

– Cobbe był jedną przecznicę ode mnie, chciał, żebym go zauważyła. Pobiełam z nim do parku, ale miał nade mną dużą przewagę i go zgubiłam. Kazałam strażnikom przysłać nagrania z kamer, ale przypuszczam, że wybiegł z parku.

Walcząc z wściekłością, Roarke jednym szarpnięciem poluzował krawat i usiadł w fotelu obok Eve.

– Mógł próbować dostać się do środka.

– Summerset nic nie wspomniał o alarmach. A powiedziałyby.

– To nie znaczy, że Cobbe nie próbował ich zablokować. Sprawdzę to. Wspomniałaś o jakimś liściku.

– „Ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Ciekawość zabiła kocura. Teraz twoja kolej”. Z błędem ortograficznym.

– Znalazałaś go, kiedy przyjechałaś do domu. Z pewnością pomyślałaś...

Pogłaskała kota, który teraz usadowił się jemu na kolanach.

– Wiedziała, że to wykluczone, ale owszem, przez sekundę.

Wrócił Summerset.

– Wina czy whisky?

– Poproszę whisky.

– Rozumiem, że musi pani iść na górę, popracować nad tą sprawą, zjeść coś, ale powinienem wam obojgu powiedzieć o mojej rozmowie z Ivanną.

– Powiedziałaś swojej... pani – odezwała się Eve, bo tylko takie określenie przyszło jej do głowy.

Summerset jedynie uniósł brwi, nalewając whisky, i ciągnął.

– Powinniście pamiętać, że Ivanna przez wiele lat była tajną agentką. Ma liczne kontakty.

– Whitney już się tym zajął.

– A czy pani komendant utrzymuje bezpośrednie stosunki z agentami i innymi osobami, które sprawdziły Cobbe'a?

Eve spojrzała krzywo na Summerseta, kiedy podawał Roarke'owi whisky.

– Niejaki Abernathy z Interpolu przylatuje jutro jako konsultant.

– Wspomniała o nim. – Summerset wyjął palmtop, odszukał potrzebne informacje.

– George Abernathy, najpierw pracownik Scotland Yardu... Z pewnością ucieszy panią, że zajmował się zabójstwami. Siedem lat temu przeniósł się do Interpolu.

– Zapisaleś to?

Summerset przechylił głowę.

– Pani porucznik, chciałaby pani spróbować złamać mój szyfr? Zmieniłem go kilka razy...

– Jeszcze zanim się urodziłam. Jasne.

– Tak czy owak, Ivanna go zna, zna tych, z którymi pracował, tak samo jak wiedziała – bo wie o takich rzeczach – że zawzięcie, chociaż bez powodzenia, ściga Lorcana Cobbe’a. Ma czterdzieści osiem lat, od czternastu lat jest żonaty, ma dwóch synów. Jego żona, lat czterdzieści pięć, jest dość znanym botanikiem. Synowie lubią krykiety i futbol. Nie futbol amerykański – uściślił. – Prawdziwą piłkę nożną.

Summerset wziął swoją whisky.

– Eve, może mu pani wspomnieć, że Ivanna jest pani znajomą. Powiedziała mi, co wie o różnych śledztwach przeciwko Cobbe’owi. Umieściłem to w raporcie, którego kopie macie obydwójce w swoich komputerach.

– Wielkie dzięki – odezwał się Roarke. – Jadłeś już?

– Jeszcze nie.

Eve wiedziała, co znaczy cisza, która zapadła po tych słowach. Mogła w duchu przewrócić oczami, ale rozumiała sytuację.

– Czyli zjemy w pokoju stołowym. Wszyscy razem.

– Zajmę się tym. – Summerset wstał i wyszedł z salonu.

– Nosi miniparalizator w kieszeni tej swojej choleryjnej marynarki przedsiębiorcy pogrzebowego.

– Tak. I?

– Chryste. – Postanowiła nie ciągnąć tego tematu, przynajmniej na razie. – Jak poszło u Miry?

– Opowiem podczas kolacji. Obydwójce powinniście tego wysłuchać. Powiedziała, że poprawi profil i ci go wyśle.

– Świetnie. A jak ty się czujesz?

– Nie do końca wiem.

Wyciągnęła rękę i położyła dłoń na jego dłoni.

– Dopadnę go.

– Wierzę, że to zrobisz.

– Chciał się przekonać, jak postąpię. Założę się, że spodziewał się, że wsiądę do samochodu, by szybko zmniejszyć dzielący nas dystans.

– Dlaczego tego nie zrobiłaś?

– Ponieważ tuż obok jest park. Gdybym była w samochodzie, musiałabym się zatrzymać, znów wysiąść. A wiadomo było, że pobiegnie do parku, który jest tuż obok.

Roarke odwrócił się do niej.

– Przewidziałas, jak się zachowa.

– Właśnie ci to mówię. Kiedy to tylko możliwe, wybiera łatwe rozwiązania, a park to łatwe rozwiązanie. Wyrzucił błuzę z kapturem, żeby nie miała pełnego rysopisu. Ale zyskałam jego błuzę i może coś znajdziemy. Lepiej by zrobił, gdyby biegnąc, przewiązał się nią w pasie. Ale wyrzucenie jej było łatwiejsze. I twierdzę, że nagrania z kamer pokażą, jak kieruje się na północ przez park, a potem szybko go opuszcza. I albo wsiadł do samochodu, który zaparkował w pobliżu, albo skorzystał z komunikacji miejskiej kilka przecznic dalej.

– Mamy martwego kota dla Morrisa, kilka włosów z jego sierści dla Harvo, krew dla Pacana, prawdopodobnie DNA na błuzie. Nie ma metki, ale może coś znajdą. My możemy ustalić, gdzie i jak dorwał kota. To nie jest bezdomne zwierzę – dodała, zastanowiwszy się nad tym.

– Jeśli wpadł na ten pomysł, podsłuchując Summerseta, trudno sobie wyobrazić, by w ciągu kilku godzin znalazł jakiegos bezdomnego kota. Nie zna Nowego Jorku wystarczająco dobrze, by wiedzieć, gdzie szukać. Więc poszedł do weterynarza, może do schroniska dla zwierząt. Albo dostrzegł kota w oknie czyjś domu... Nie, musiałyby mieć zbyt dużo szczęścia – doszła do wniosku. – Czyli włamał się do weterynarza albo schroniska. Ustalimy to, dowiemy się, dokąd poszedł.

Wstała i zaczęła chodzić po pokoju.

– Jeśli śledził Summerseta, musiał najpierw zobaczyć, jak wybiera się na miasto. To znaczy, że obserwował dom. I sprawdził okolice. Musi też mieć jakiś środek transportu.

– Trudno mi sobie wyobrazić, że Summerset lub szofer, którego mu przydzieliłem, nie zorientowaliby się, że mają ogon.

– Mogę cię zapewnić, że byśmy go zauważyli – powiedział Summerset od progu. – Ponieważ jest prześliczny wieczór, nakryłem stół na tylnym patio.

– Wzmocniacie?

– Wykluczone – oświadczył Roarke, zdejmując kota z kolan, i wstał. – I na terenie, i w domu mamy wirtualne mury, które je blokują.

– Dobrze, w takim razie. – Ruszyła za Summersetem, ale się zatrzymała. – A w samochodzie? Czy dobre urządzenie podsłuchowe zarejestrowałoby coś, co się powiedziało w samochodzie?

– Musiałoby być diabelnie dobre. Jasna cholera, to możliwe. Zajmę się tym.
– Czy szofer wiedział, dokąd ma jechać, czy też informowałeś go na bieżąco?
– Jasna cholera, powtórzę za Roarkiem – zaklął Summerset, kiedy kierowali się na tyły domu. – Informowałem go na bieżąco.

– Masz mi powiedzieć, gdzie się zatrzymałeś, z kim rozmawiałeś, załatwiałeś jakieś sprawy. I o której to było godzinie.

– Dobrze.

Wyszli na zewnątrz. I owszem, pomyślała, „prześliczny” to było właściwe określenie. Zapadł zmrok, zapaliły się światła na patio, wzdłuż ścieżek, mrugały w gałęziach niektórych drzew. W powietrzu unosił się zapach kwiatów, widocznych w blasku lamp.

Summerset postawił na stole małe białe świeczki w przezroczystych osłonkach, trzy talerze z pokrywkami, wino, które już napoczęła, szklany koszyk z pokrywką – a ponieważ czuła zapach drożdży, oznaczało to, że będzie świeże pieczywo.

– Ładnie podany posiłek poprawia samopoczucie. Pomyślałem, że wszystkim nam się to przyda.

– Jeśli pod tą pokrywką jest szpinak, nie poprawi mi to samopoczucia.

Ale zamiast szpinaku były szparagi, najmniej nielubiane przez nią warzywo, jakieś medaliony skroplone sosem, małe ziemniaczki w cienkiej, złocistej skórce z masłem i ziołami.

Już miała podziękować za wino, ale pomyślała: dobre samopoczucie. I uznała, że może wypić jeszcze jeden kieliszek.

– Jorge Tween zostanie przewieziony na Omegę w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. A nawet trzydziestu sześciu, licząc od teraz – poinformowała ich Eve. – Synek Galli Modesto jest z jej krewnymi i pozostanie pod ich opieką. Zabiorą jej zwłoki do Włoch, do Toskanii. Gospodyni i niania pojadą z rodziną Modesto i z nią zostaną.

Roarke ujął dłoń Eve i ją ścisnął.

– Dobra robota.

– Jeszcze nieukończona. Ty też miałeś spory wkład w jej realizację. Tween, no cóż, nie stanowił wielkiego wyzwania. Ale byłoby mi trudniej bez informacji, do których się dokopałeś.

Odkroiła kawałek medalionu. Jagnięcina.

– Cobbe nie stanowi tak wielkiego wyzwania, jak mu się wydaje.

– Jestem jak najdalszy od tego, by panią obrazić, pani porucznik.

Eve zjadła nieco jagnięciny, rzuciła Summerestowi sardoniczne spojrzenie.

– Naprawdę?

– W tym wypadku – poprawił się. – Ale od dwudziestu lat stanowi wyzwanie dla organów ścigania na całym świecie.

– Śmiem twierdzić, że na początku dopisywało mu szczęście. Ale w sumie jest dobry w tym, co robi, w swoim fachu. Tym razem to nie robota, tylko sprawa osobista. I już dużo schrząnił. Pokazanie się Roarke’owi na miejscu zbrodni? Impuls, ego. Pozostanie w Nowym Jorku? Duma, złość. Kot? Arogancja i zwykła głupota.

– Tu nie chodzi o podejrzenie komuś gardła, zainkasowanie zapłaty i już – ciągnęła. – W grę wchodzi nienawiść, ego, potrzeba zadrwienia z dawnego rywala. I... Jak to się mówi? Uzurpatora.

Roarke z przyzwyczajenia posmarował bułeczkę masłem, przełamał ją, wręczył Eve połówkę.

– Masz rację. Nie zdawałem sobie w pełni z tego sprawy przed rozmową z Mirą i Dennisem.

Rozejrzał się wkoło, na światła, kwiaty, rozległy trawnik. Na świat, który stworzył dla siebie. Dla Summerseta. Dla Eve, pomyślał, chociaż wtedy jeszcze jej nie znał.

Dla rodziny, której członkiem był spasiony kocur.

– Przypomniałem sobie rzeczy, o których zapominałem albo dlatego, że z upływem czasu się zatarały, albo dlatego, że je zepchnąłem w głąb umysłu, albo dlatego, że wcześniej nie zastanawiałem się nad nimi. Mira potrafi słuchać i zadawać właściwe pytania w taki sposób, żeby człowiek się otworzył.

Spojrzała na Eve.

– O czym sama doskonale wiesz.

– Taa, ma swoje metody.

– Dennis też. I dzięki temu to, co w gruncie rzeczy traktowałem jak obowiązek wobec ciebie, pani porucznik, stało się objawieniem. Pierwszy raz zobaczyłem Cobbe’a... – zaczął i wszystko im opowiedział.

– Właściwie od samego początku próbował się ciebie pozbyć – zauważyła Eve. – Nie zapomniał o tym. Ani tego, że mu się nie udało.

– Z całą pewnością. Dla mnie był to jeszcze jeden bękart, ale on myślał inaczej. Nie obchodziło mnie, czy jest synem starego. Prawdę mówiąc, prawdopodobnie miałem cichą nadzieję, że nim jest,

póki nie zobaczyłem jego matki. Już wtedy uznałem, że to mało prawdopodobne.

– Czemu? – spytała Eve.

– Zrozumiałem, że pomijając kolor włosów i budowę ciała, wygląd odziedziczył po biologicznym ojcu. Ciemniejszą cerę, rysy twarzy, kolor oczu. Nie dostrzegłem najmniejszego podobieństwa do staro.

– Ale dla Cobbe'a to było istotne – dodał Roarke.

– Bardzo istotne – zgodził się z nim Summerset.

– To prawda. Oceniając to z perspektywy czasu, muszę przyznać, że było tak, jak powiedział Dennis. Kiedy stary go trzepnął czy dał mu kopniaka, w jego mniemaniu oznaczało to zainteresowanie. A był tego bardzo spragniony. Nawet tamtego wieczoru, kiedy stary stłukł go na kwaśne jabłko.

– Słuchając ich, Eve analizowała profil Cobbe'a.

– I właśnie dlatego przez tyle lat nie zaatakował cię bezpośrednio – doszła do wniosku. – Gdyby to zrobił, nie zajęłby twojego miejsca, a straciłby swoje. Po tym jeszcze bardziej cię zienawidził.

– Nie ma wątpliwości, chociaż wtedy nie dostrzegałem różnicy. W moich oczach był jednym z egzekutorów staro, nikim więcej. Trzymałem się od niego z daleka, bo był brutalny, a i bez niego obracałem się w brutalnym świecie. Przypominałem sobie więcej faktów, ale nie mogę powiedzieć, że wszystkie związane są z Cobbe'em.

– A co sądzi Mira?

– Nie wiem. To było wtedy, kiedy stary zaatakował mnie niemal na śmierć i kiedy znalazł mnie Summerset. Nigdy dokładnie tego nie pamiętałem, nadal nie pamiętam szczegółów, ale kryło się za tym coś więcej.

– Uniósł kieliszek z winem i zmarszczył czoło.

– Rozmyślałem nad tym, wracając do domu i zastanawia mnie teraz, jak stary znalazł mnie z książką w tym zaułku.

– Z książką? – zdziwił się Summerset.

– Zawsze myślałem, że ją zostawiłem w pokoju. Ale przypomniałem sobie, że ukryłem się, by poczytać Yeatsa, poćwiczyć czytanie, zamiast pracować. Myślę sobie, że może Cobbe mnie zauważył i doniósł staremu. Nawet jeśli za kapowanie mnie obrywał pięścią, było warto, prawda?

– Walczyłem o książkę – ciągnął. – Mogłem oddać staremu wszystko, co zachomikowałem, ale nie książkę. Uderzyłem go, a on mnie skatował. Aż do dziś nie pamiętałem dokładnie, z jakiego powodu.

– Spojrzał na Summerseta.

– A ty mnie znalazłeś. Wiesz, co mi powiedziałaś, kiedy się ocknąłem po całym dniu i zobaczyłem ciebie z Marleną? Myślałem, że jesteście leśnymi wrózkami, które wezmą mnie za ręce. Dopiero dziś sobie to przypomniałem. Przez te pierwsze dni mówiłem okropne rzeczy tobie, jej – przyznał Roarke.

– Daj spokój. – Summerset wyciągnął rękę, żeby ścisnąć dłoń Roarke'a. – Daj spokój. Byłeś dzieckiem, brutalnie traktowanym, przerażonym. Zapomnij o tym, bo mnie rozczarujesz.

– Bardziej kulilem się ze strachu, bo bałem się, że ciebie rozczaruję, niż przed pięściami tego łobuza. To dopiero jest siła.

– Mimo obecności Summerseta, Eve nachyliła się, ujęła twarz Roarke'a w obie dłonie i pocałowała go prosto w usta.

– Summerset wstał.

– Kupiłem dziś świeże truskawki i upiekłem kruche ciasto. Zjemy je na deser.

– Wszedł do domu.

– Roarke przycisnął dłoń Eve do swych ust. A potem położył głowę na jej ramieniu i znalazł prawdziwe pocieszenie.

Przy placu i kawie rozmawiali o innych sprawach, dając nieco odpocząć przeszłości. Roarke nie wspominał o niej ani słowem, póki razem z Eve nie udał się na górę do jej gabinetu.

– Chcę ci podziękować.

– Za co?

– Za kolację z Summersetem, chociaż wiedziałem, że chciałaś tu przyjść, wziąć się do pracy.

– Ty tego potrzebowałaś, on tego potrzebował. A ja wiele skorzystałam, nie wspominając o kruchym cieście. – Roarke ujął jej rękę i ich nie puszczał. – Uratował ci życie. To się dla mnie liczy. Dobrze wiemy, że dla Cobbe'a to się też liczy. Musi być ostrożniejszy.

– Zgadza się. I będzie. Tak jak my wszyscy.

– Cieszę się, że te słowa padły z twoich ust. – Otworzyła aktówkę, wyjęła pudełko z lokalizatorem. – Bo będziesz to nosił.

– Jak się to coś wkłada? – Zdawał się to rozważać, kiedy otworzyła pudełko. – Och, wiem, co to takiego. Wykluczone.

– Cobbe ma na swoim koncie ponad czterysta czterdzieści zabójstw – a śmiem twierdzić, że znacznie więcej – i chce cię widzieć martwym. Więc będziesz nosił lokalizator. Poproszę o jeszcze jeden dla Summerseta.

– Od którego otrzymasz taką samą odpowiedź. Nie dam się oznakować jak jakiś czworonożny pupilek.

Przypomniała sobie radę Feeneya – zagraj kartą emocjonalną. Pomyślała: chrzanić to.

Zdjęła marynarkę, podwinęła rękaw koszulki, wskazała palcem swoje ramię.

– Myślisz, że mnie się to podoba? Myślisz, że sprawiał mi przyjemność, kiedy Feeney przylepił mi to, jakbym była jakimś żółtodziobem, który nie odróżnia tyłka od ucha? Cała policja nowojorska została postawiona w stan pogotowia, ponieważ jakiś popapraniec chce nas zabić, żeby twój zmarły ojciec mógł mu przybić piątkę z piekła. Ja to noszę, ty będziesz to nosił. Koniec dyskusji.

Tak się zacietrzewiła, że mogłaby go usmażyć tam, gdzie stał. Początkowo chciała ją zignorować, ale po chwili odwrócił się na pięcie.

– Niech to wszyscy diabli. – Ściągnął marynarkę, krawat, rzucił je na kanapę. – Obedrę Cobbe'a ze skóry tylko za to.

Odwrócił się i zdjął koszulę.

– Przez te wszystkie lata żyłem, polegając na swoim sprycie i przebiegłości, a oto cholerna policjantka w moim własnym domu ometkuje mnie. Rób to, wstydu oszczędź.

– Ta cholerna policjantka najpierw musiała najeść się wstydu, kiedy były partner jej to przylepiały, więc nie narzekaj.

Kiedy zaczęła czytać instrukcję, wyrwał jej pudełko z ręki.

– Daj mi to cholerstwo, nim coś spieprzysz.

– Za trzy sekundy – mruknęła – opieprzę ciebie. Mój cały wydział – ciągnęła, kiedy mocował lokalizator, uruchamiał go i zabezpieczał – komendant, Tibble, wydział informatyki śledczej, Reo i jej biuro, Mira, a od dzisiejszego popołudnia Nadine i jej liczni informatorzy – zaangażowani są w to dochodzenie. Niewykluczone, że zyskalibyśmy takie jednomyślne wsparcie i dodatkowe środki, gdyby Cobbe był zwyczajnym zabójcą na zlecenie, działającym na całym świecie. Ale z całą pewnością otrzymaliśmy je, ponieważ chce dodać ciebie do swoich czterystu czterdziestu trzech ofiar. Więc nie psioz na cholernych gliniarzy. Bo każdy z nich, bez wyjątku, jest gotów oddać za ciebie życie.

Pomaszerowała do swojego biurka, wyrzuciła na nie zawartość teczek. I podczas gdy kot obserwował ich oboje nieufnie z leżanki, zaczęła uaktualniać tablicę.

– Nie chcę, by ktokolwiek oddawał za mnie życie.

– Tu nie chodzi o to, czego ty chcesz.

– Najwyraźniej. – Z dokładnością, która spotkałaby się z aprobatą Feeneya, wygładził plaster na lokalizatorze. – Wyciągnięto ze mnie wszystko, przez co przeszedłem, część z tego boli bardziej, niż

bym chciał. Na dokładkę przez całe życie unikałem tego, co właśnie sam sobie zrobiłem. Człowiek ma prawo popsoczyć, kiedy otrzyma solidnego kopniaka w jaja.

– Mnie się też to nie podoba, a nie mam jaj.

– Jeśli mogę się uciec do przenośni, nie znam nikogo, kto ma większe jaja od ciebie. – Podeszedł do niej. – Wszyscy, których przed chwilą zwaliałaś mi na głowę, i nie bez racji, są dla mnie bardzo ważni.

– Wiem o tym.

– Jeśli znajdzie sposób, by skrzywdzić kogokolwiek z nich...

Odwróciła się.

– Czy cię dopadnie?

– Nie w tym życiu, ani w żadnym innym.

– Więc zaufaj mnie i moim ludziom, że zrobimy, co do nas należy.

– Dobrze. Ufam ci, w przeciwnym razie nie miałbym na ramieniu tego cholerstwa, prawda? Ty też nie. I nie musisz prosić o jeszcze jedno dla Summerseta.

Ujął ją za ramiona, nim zdążyła wybuchnąć.

– Korzystasz z lokalizatora mojej produkcji, więc sam się postaram o jeszcze jeden. Rano będzie go miał zamocowany. Masz moje słowo.

– Świetnie.

Objął ją mocniej, nim zdołała znów się odwrócić.

– Zrozum jedno. Przysięgam, że ktoś mógłby mi przytknąć paralizator do głowy, a i tak nie dałbym sobie tego przykleić. Zrobiłem to tylko dla ciebie.

Znów postukała się w ramię.

– I nawzajem.

Przesunął dłońmi wzdłuż jej ramion.

– I chodzi o łokieć.

– Jaki znów łokieć?

Mimo tego wszystkiego, gdzieś ulotnił się jego gniew.

– Mówi się: odróżniać tyłek od łokcia, nie od ucha.

– Co za różnica? Jedno i drugie to części ciała. Ucho przynajmniej ma otwór.

Dotknął czołem jej czoła.

– Jezu Chryste, ależ ja cię kocham.

Złość, a zebrało się jej wiele, zniknęła. Eve objęła go.

Obydwoje mieli za sobą gówniany dzień. I nie tylko oni.

– Już jesteś do połowy rozebrany – stwierdziła i westchnęła. – Chyba nigdy nie wezmę się do pracy.

Zadarła głowę, odnalazła jego usta, pocałowała go.

Potrzeba, pomyślała, kiedy pocałunek stał się namiętny.

Obydwoje ją odczuwali.

Więc dała mu to, czego potrzebował, wzięła to, czego potrzebowała, kiedy stali przed tablicą zbrodni.

Poruszyła ramionami, gdy uwolnił ją od broni, która z głośnym stukiem upadła na podłogę.

Sami wkrótce też znaleźli się na podłodze, tworząc płataninę nóg i rąk.

Znów poczuła gorąco, które domagało się natychmiastowego rozładowania. Jego dłonie, szybkie i wprawne, podciągnęły jej koszulkę do góry i rzuciły w kąt, uwolniły ją od sportowego stanika, by móc pieścić jej piersi.

Kiedy ją odwrócił, jego usta zawładnęły piersiami, a ręce przesunęły się w dół tułowia, żeby rozpiąć jej pasek. Wygięła się w łuk, leżąc pod nim, myślała: pospiesz się, pospiesz się, pospiesz się. Chciała go poczuć w sobie, uwięzionego w niej, zagubionego w niej.

Nawzajem zsunęli sobie spodnie. Palce jednej dłoni wpiła mu w biodro, drugą ręką złapała go za włosy, przyciągnęła jego głowę, żeby jej usta mogły się rozkoszować jego ustami.

– Nie zwlekaj – powiedziała, kiedy znów wygięła się w łuk. – Nie zwlekaj.

I tak nie mógłby zwlekać.

Wszystko, co było, co mogło być, spłotło się w nim w jedno. Ona była odpowiedzią, jedyną rzeczywistością, praprzyczyną.

Kiedy był w niej, a jej gorące ciało pod jego ciałem domagało się go, nie istniało nic więcej. W dziwnym bicu jej serca usłyszał bicie własnego serca. Nikt i nic nie mogło się równać z tym, co mu dała, co mu ofiarowała, co wzięła od niego.

Krzyknęła, a on poczuł niemal dziką satysfakcję, że doprowadził ją do takiego stanu. Sprawił, że wstrząsnął nią dreszcz, a potem stała się bezwładna.

Więc zwołał, delikatnie przycisnął usta do miejsca na jej szyi, gdzie bił puls, żeby znów ją podniecić. Teraz, kiedy miłość wzięła górę nad pożądaniem, rozkosz narastała w nich, narastała, aż pozwolili sobie w niej utonąć.

Leżała bez słowa, gładząc go po plecach. Wiedziała, że muszą się otrząsnąć, uporać się z rzeczywistością. Wolałaby, żeby było inaczej, ale świat nie pozwalał, by na długo o nim zapomnieli.

– Jeszcze chwilę – mruknęła. – To... Nie seks, tylko to... Jest powodem, dlaczego znosimy całą resztę, prawda?

– Nie zawsze tak było. Ale teraz chyba tak. To wydarzyło się zbyt blisko domu, Roarke. Żadne z nas nie będzie mogło spać spokojnie, nim się to nie skończy.

– To prawda. A jednak... – Usiadł, pociągając ją za sobą, więc siedzieli, wciąż spleceni. – Każde z nas z osobna może mu stawić czoła. Razem? Nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, co go czeka. Nie tylko dlatego, że jesteśmy sprytniejsi, a jesteśmy, ani że dysponujemy większymi środkami. Ale z powodu tego.

Ujął jej dłoń, ścisnął ją.

– Z powodu tego.

– W takim razie posłużmy się tym.

– Zgodziłem się nosić to cholerstwo, prawda?

– I niewiele więcej w tej chwili. – Już miała się uśmiechnąć, kiedy nagle nasza ją okropna myśl. – Chyba nie rejestruje tego, co właśnie robiliśmy? Znaczy się tego rodzaju ruchów.

Bąknął coś niewyraźnie, wstał, pociągając ją za sobą.

– Och, pieprz mnie.

– Zdaje mi się, że właśnie to zrobiłem, i to całkiem dobrze. Wątpię, by śledzili to tak... Szczegółowo, powiedzmy.

– Boże, Boże, Boże! Nie będę o tym myślała. – Sięgnęła po ubranie, zaczęła je wkładać. – Utrudniałoby mi to pracę, a mam dużo roboty.

– Obydwoje mamy dużo roboty – poprawił ją i zaczął się ubierać. – Powiedz mi, na czym mam się skupić.

– Kawa – mruknęła, podchodząc do biurka. – Muszę się napić kawy.

– Musimy.

– Tak, oboje musimy się napić kawy. – Zaprogramowała cały dzbanek. – Jak tylko Summerset przekaże mi, gdzie się dziś zatrzymywał, każę mundurowym tam iść, żeby porozmawiali ze sprzedawcami, urzędnikami.

Odetchnęła głęboko.

– Wątpliwe, byśmy coś znaleźli, bo posłużył się urządzeniem podsłuchowym, ale dla porządku sprawdzimy wszystko. Mam akta, bogatsze i bardziej szczegółowe. Prawdopodobnie nie zawierają wiele więcej od tego, co już wiesz ze swoich źródeł i po grzebaniu w zupie z literkami, ale możesz się bliżej przyjrzeć znanym nam jego współnikom. Przyda się wszystko, co możesz do tego dodać. Szczególnie jeśli chodzi o nowojorskich współników.

– Dobrze. – Napełnił kawą dwa duże kubki.

– Przypuszczam, że skoro zamierzał przylecieć do Nowego Jorku, wykonać zlecenie i wyjechać, zarezerwował hotel albo mieszkanie. W centrum, w pobliżu rezydencji Modesto. Luksusowy, bo ma taki zwyczaj. Ale prawdopodobnie nie w jednym z twoich hoteli, bo nie chciałby napychać ci kieszeni.

– Słuszna uwaga, zgadzam się z tobą. Czyli szukamy rezerwacji dla jednej osoby. I, w przypadku takiego prostego zlecenia, raczej w hotelu.

– Tak. Przydzieliłam to zadanie swoim ludziom, ale jeśli chcesz, możesz się do tego włączyć. Potem zmienił zdanie, prawda? Nie wyprowadził się od razu po wykonaniu zlecenia. Przedłużył pobyt, a ponieważ marzy o tym, by pobawić się przynajmniej z jednym z nas, przeniesie się tam, gdzie ma zapewnioną większą dyskrecję.

– Zechce zamieszkać w domu wolnostojącym lub dwurodzinnym, z dobrą izolacją akustyczną. Ale w pierwszej kolejności postara się znaleźć dom jednorodzinny. W pełni urządzone. Nie ma czasu na kupowanie wygodnego łóżka i tak dalej.

Zastanawiając się nad tym, Roarke przysiadł na skraju jej biurka.

– Może szukać domu w pobliżu, żeby łatwiej śledzić, co robimy. Albo bliżej komendy, żeby mieć ciebie na oku. I jednocześnie w miarę blisko głównej siedziby mojej firmy.

– Nie pomyślałam o tym.

– I potrzebny mu środek lokomocji. Mógł coś wynająć, a nawet kupić. Mógł coś podwędzić, chociaż to ryzykowne, chyba że jest tak pewny siebie, iż sądzi, że osiągnie swój cel, nim ktoś zgłosi kradzież auta.

– Sprawdzamy to wszystko. I szukamy osób zaginionych – Whitney się tym zajął. To mało prawdopodobne, ale mógł włamać się do czyjś domu, zabić jego mieszkańców.

Roarke utkwiał wzrok w kawie.

– To wcale nie jest tak mało prawdopodobne, tylko całkiem możliwe. Ale nie otrzymasz zgłoszenia o czymś zaginięciu, przynajmniej nie od razu. Jeśli ma odpowiednie kontakty, może sobie kogoś namierzyć. Zmusić tego kogoś, żeby zadzwonił do miejsca pracy, jeśli pracuje, przyjaciół, krewnych i innych osób, które mu przyjdą do głowy. Każę mu poinformować ich, że musi wyjechać z miasta, że wypadła mu jakaś pilna sprawa rodzinna, zawodowa, co tam będzie najbardziej wiarygodne. Wścibski sąsiad? Mógł mi pana poznać, jestem kuzynem, przyjacielem, współnikiem Joe. Pilnuję domu na czas jego wyjazdu służbowego.

– To może wystarczyć na jakiś czas.

– A Cobbe uważa, że nie będzie go potrzebował dużo. Lecz potrzebny mu kontakt. Nie może wybrać sobie domu, który mu odpowiada, a do tego zamieszkanego przez kogoś, kto też mu odpowiada.

Eve zmrugała oczy i podążyła tym tokiem myślenia.

– Lokator czy właściciel to musi być albo zły facet, albo zaplątany w jakieś nieczyste interesy, albo ofiara. Do diabła, czemu płacić, kiedy można sobie zwyczajnie wziąć? I jeśli Cobbe w taki sposób do tego podchodzi, zawęzi to zakres poszukiwań.

– Też mam swoje kontakty – przypomniał jej Roarke. – Zrobię, co będę mógł. Jest jeszcze jedna ewentualność. Cobbe zna wcześniejszego zleceniodawcę, który posiada nieruchomość. Godzi się na następną robotę z rabatem w zamian za możliwość korzystania z domu przez tydzień, dwa. Wymaga to pewnego zaufania, ale upraszcza sprawę. Jest czystsze. Popytam tu i tam, jak to mówicie.

– Bądź ostrożny, jak będziesz pytał i tam.

– Jak zawsze, najdroższa.

– Sprawdzamy prywatne wahałdowce, zwykle z nich korzysta. Potrafi pilotować, więc mógł przylecieć sam. Tak czy owak, jeśli zarezerwował wahałdowiec, musiał odwołać albo przełożyć powrót.

– No cóż, mamy dość pracy, żeby się nie nudzić. – Wstał. – Zaczne od rozpytywania tu i tam. Prześlizgnij te akta na mój komputer.

– Już to zrobiłam w drodze do domu. Roarke, jeśli korzystasz z niezarejestrowanego sprzętu, muszę o tym wiedzieć.

– W tym przypadku nie. – Dolał sobie kawy z dzbanka. – Na razie popracuję w swoim gabinecie, ale najprawdopodobniej wrócę tu, żeby skorzystać z drugiego komputera.

– Nie chcesz, żebym słyszała, jak rozmawiasz ze swoimi kontaktami.

– Nie sądzę, żeby szczególnie ci zależało na słuchaniu tych rozmów. Zreferuję ci z grubsza ich przebieg i jakie dały wyniki.

Może być, pomyślała, kiedy przeszedł do swojego gabinetu.

Uruchoimiła komputer i przystąpiła do pracy.

Nie powinno jej zdziwić, że Summerset już jej przekazał, co dziś robił. Zaskoczyło ją natomiast, ile miejsc odwiedził.

Warzywniak, stragan z nabiałem, stragan z rybami, stoisko z kwiatami, z artykułami sypkimi i tak dalej.

Przesłała wykaz do mundurowego Carmichaela z poleceniem, by przydzielił funkcjonariuszy, którzy się tam udadzą i popytają.

Zapoznała się z raportem Whitneya, robiąc notatki w czasie lektury. Tak samo zrobiła, studiując aktualniony profil, sporządzony przez Mirę, i musiała się starać o zachowanie obiektywizmu, czytając wnioski spisane rzeczowym językiem.

Pragnienie Cobbe'a, by wyeliminować Roarke'a, to więcej niż cel. To misja, kluczowa dla jego poczucia tożsamości. Tylko tchórzostwo i brak okazji, do tego pragnienie zdobycia pozycji i bogactwa powstrzymały go przed działaniami w tym kierunku od ich ostatniej konfrontacji.

Póki żyje Roarke, Cobbe nie może osiągnąć tego, czego najbardziej pragnie. Nie może być prawdziwym synem Patricka Roarke'a, bo uważa, że Roarke stoi mu na drodze.

Co więcej, fakt, że Roarke odrzucił swojego ojca, zastąpił go kimś innym, wymaga kary. Roarke zapewnił sobie bogactwo i powodzenie, żyje otwarcie, korzystając z owoców tego sukcesu – ma przedsiębiorstwa, dom, żonę, rodzinę, przyjaciół – i cieszy się szacunkiem, nosząc nazwisko Roarke, nazwisko, którego Cobbe pragnie nade wszystko; to zasiało zazdrość.

Ale Cobbe nie chciał się przynajmniej do zazdrości, bo to byłoby równoznaczne z przyznaniem, że Roarke jest lepszy od niego, że posiada – poza ojcem – to, czego on sam nie ma. Pozostała mu jedynie nienawiść.

Lęk przed Roarkiem, chłopcem i mężczyzną, który zawsze okazywał się od niego lepszy albo udało mu się go przechytrzyć, w ten sposób odbierając mu miłość i szacunek „ojca”, podsyca tę nienawiść.

Cobbe doszedł do wniosku, że kiedy na miejscu dopiero co popełnionej zbrodni ujrzał obiekt swojej odwiecznej nienawiści i źródło strachu, przeszkodę na drodze do urzeczywistnienia największego marzenia, uznał to za oczywisty znak, że oto jest odpowiedni czas i miejsce na zrobienie tego, co zawsze było pisane Roarke'owi.

Wszystko to prawda, pomyślała Eve, i jeśli pozwolę sobie zanadto to przeżywać, może mnie sparaliżować strach.

Rozwiązanie: musisz myśleć jak gliniarz.

Misja Cobbe'a: wyeliminować Roarke'a.

Ale właśnie ta misja to jego słabość.

Zaryzykował i popełnił błąd, uciekając się do sztuczki z martwym kotem. Do diabła, popełnił błąd na samym początku, pokazując się Roarke'owi. To ego – kolejna słabość. Gdyby trzymał się w cieniu, miałyby większe szanse na zlikwidowanie Roarke'a. Ale pragnął tamtej chwili triumfu.

Oto jestem, ty łobuzie, i dopadnę cię.

Trzeba przyznać, że okazał się dość przebiegły, posługując się urządzeniem podsłuchowym, kiedy podążał za Summersetem – ale Summerset i tak wiedział, że jest śledzony.

Dlaczego nie spróbował dorwać Summerseta, którego postrzegał jako chudego, niedożywionego starca? Czekał na właściwy moment? Mało prawdopodobne. Miał nadzieję, że zdobędzie informacje, dowie się czegoś, co Eve kupi.

Dowiedział się o kocie, a potem nierozważnie wykorzystał tę informację, żeby z nich zadrwić.

Jak się to ma do wzorca jego postępowania?

Zmarszczyła brwi i znów przejrzała akta, próbując znaleźć inne przykłady, które mogłyby pasować.

– Nic, nic, nic – mruzczała pod nosem. – Czyli... – Spojrzała na tablicę. – Nowy wzorec. Chociaż właściwie wcale nie nowy. Wzorec postępowania, gdy w grę wchodzi Roarke.

Wstała i rozstawiła drugą tablicę. Dolała sobie kawy, założyła drugą książkę sprawy.

Pozostawiając to podświadomości, zaczęła analizować nieruchomości, które mogły pasować.

Złapała komórkę, kiedy zadzwoniła, przeczytała na wyświetlaczu, że to Baxter.

– Daj mi coś.

– Co powiesz na Parkview Hotel? Apartament na ostatnim piętrze, wynajęty na nazwisko Reginald N. Patrick. Posłużył się brytyjskim paszportem i kartą kredytową One Universe.

– Gdzie jest ten hotel? – spytała, jednocześnie ściągając plan miasta. – Nieważne, już mam. Dwie przecznice od rezydencji Modesto.

– Mały, drogi, spokojny hotel. Bez szwajcara, ale z dobrymi zabezpieczeniami. Ściągamy nagrania z kamer, rozmawiamy z personelem. Pamiętają go. Zameldował się dwa dni przed zabójstwem, wymeldował nazajutrz po nim.

– Dobrze, zdobądź wszystko, co zdołasz. Niech technicy sprawdzą jego pokój.

– Już jest posprzątanym.

– Nie szkodzi. Dowiedz się, kiedy i jak zarezerwował pobyt, na jak długo. Kiedy jadł, co jadł, w co był ubrany, kiedy wychodził, kiedy wracał. Co mówił, do kogo mówił.

– Jasne, Dallas. Bierzemy się do pracy.

– Skupcie się tylko na tym – poleciła Dallas. Zobaczyła, że Roarke wszedł do jej gabinetu. – Prześlij mi nagrania z kamer, jak tylko je otrzymasz. Dobra robota.

Wstała, umieściła na tablicy dane hotelu. Blisko rezydencji ofiary, jej siłowni, parku, terenu, gdzie czuła się bezpiecznie. Dobry wybór.

– Baxter i Trueheart namierzili hotel. Parkview, w sąsiedztwie domu ofiary.

– Rozumiem, że już się stamtąd wymeldował, bo w przeciwnym razie już byś wybiegała z pokoju.

– Tak, ale będziemy mieli nagrania, zeznania, rachunek hotelowy, technicy obejrzą jego apartament. Wybiera małe, luksusowe hotele. Z uwagi na lokalizację? Bo lubi wyższą jakość obsługi? Z obu powodów.

– Zgadzam się z tobą. – Skierował się do dzbanka z kawą, ale zatrzymał się na widok drugiej tablicy.

Były na niej fotografie Cobbe'a, jego, Patricka Roarke'a, matki Cobbe'a, Summerseta, plany Dublina, Nowego Jorku, zdjęcia hotelu Parkview. Okaleczonych zwłok przegowanego kota, zakrwawionego jutowego worka. I kalendarium, zahaczające o jego dzieciństwo.

– Jesteś skrupulatna – mruknął.

– To konieczne. Przepraszam.

– Nie masz mnie za co przepraszać. – Dotknął dłonią jej ramienia, podszedł do dzbanka z kawą. – To... irytujące, ale nie przeprasza.

– Znalazłam wzorzec – zaczęła.

– Naprawdę?

– Tak, jest coś, co ci umknęło. Ryzykuje. Jego fach związany jest z ryzykiem, ale z tego, co widzę, minimalizuje je, wykonując płatne zlecenia. Jasne, że znalazłam kilka popełnionych przez niego błędów, zapoznając się z aktami spraw, ale nie mogę powiedzieć, że jest niedbały. Początkowo był bardziej niedbały, ale uczył się na swoich błędach. W przeciwnym razie już by nie żył albo siedziałby za kratkami.

– Rozumiem.

– Ale gdy ma do czynienia z tobą, pozwala, by jego ego, jego misja – jak Mira nazwała to w poprawnym profilu – popychały go do większego ryzyka, do popełniania większych błędów.

– Patrick Roarke dosłownie wyrzucił go z domu, kiedy Cobbe próbował pierwszy raz domagać się tego, co uważał za swoje, a kiedy wyciągnąłś do niego rękę, chciał cię zadźgać nożem – kontynuowała.

– To głupie, nieudolne. Bo cię ostrzegł, prawda? Gdyby przyjął twoją pomocną dłoń, postarał się z tobą zaprzyjaźnić, później w razie ataku byłbyś bardziej bezbronny. Ale on nie chciał czekać.

– Byliśmy dziećmi – przypomniał jej Roarke.

– On był zabójcą. Urodził się zabójcą. Mówię ci, że taki był od samego początku.

Roarke uniósł do ust kubek z kawą.

– Rozumiem – powiedział.

– Nie mówię tego, bo on chce, żebyś był martwy, a ja tego nie chcę. Nie mówię tego nawet z uwagą na to, jak zarabia na życie. Mówię to jako gliniarz, zajmujący się zabójstwami, który przeczytał jego akta, który wie o jego czterystu czterdziestu trzech, a uwzględniając Modesto – czterystu czterdziestu czterech ofiarach. Zabijanie ma we krwi, w kościach, w trzewiach. Zabijanie to on i jego powód do dumy.

Roarke obserwował jej twarz, kiedy mówiła – oczy policjantki, obojętne i beznamiętne, ponieważ takie musiały być.

– Rozumiem. – Tym razem skinął głową. – Rozumiem.

– Później zajmujemy się zasadami, ale teraz wzorzec. Często próbował cię dorwać, kiedy byliście dziećmi.

– Racja. Byłem szybszy i sprytniejszy. I miałem kumpli.

– A kiedy nie udało mu się cię dopaść, co zrobił?

Roarke spojrział na tablicę.

– Pies – uświadomił sobie. – Mały kundel. A teraz kot.

– No właśnie. Chroniłś chłopaka, który miał psa, zabił psa. Masz kota, zabija kota. Jeszcze nie może cię dorwać albo nie jest jeszcze gotów, by spróbować to zrobić, ale może ci wsadzić palec w oko.

Wskazała tablicę.

– Doniósł na ciebie Patrickowi Roarke'owi. Ojciec cię stłukł, ale on mocniej oberwał. A potem co się działo?

Roarke zmarszczył czoło i pokręcił głową.

– Na jakiś czas dał mi spokój, odczepił się ode mnie.

– Czyżby? A może obserwował, co robiłeś? Może zapłacił innym albo im zagroził, żeby mu powieździeli, gdzie chodziłeś, co robiłeś?

– To całkiem możliwe.

– Zastanawiałeś się dziś wieczorem, czy doniósł Patrickowi Roarke'owi, że byłeś z książką w tamtym zaułku. Przypuszczam, że właśnie to zrobił. Dlaczego wybrałeś akurat ten czas i to miejsce?

– Ach... Nie mogę określić pory. Ale ta mała kryjówka w tym zaułku była zupełnie bezpieczna. Tak przynajmniej uważałem. Była. Stary... nie zapuszczał się tam, przynajmniej nie za dnia. Załatwiał... Załatwiał interesy gdzie indziej. Kurde, wszystko widzę niewyraźnie, ale stary gdzieś poszedł, miał z kimś spotkanie. Czy nie do Zmokłego Szczura? Bardzo możliwe, to był jego ulubiony pub, daleko od tego zaułka.

– Co by zrobił, gdyby Cobbe przyszedł i powiedział mu, że widział cię, jak próżnujesz z książką, a nie pracujesz?

– Zdzieliłby Cobbe'a na odlew, może na dodatek dał kopniaka. – To nie ulega wątpliwości, pomyślał Roarke, nie ulega wątpliwości, ale... – I owszem, przyszedłby, żeby się przekonać, czy Cobbe powiedział mu prawdę.

– I tym razem ty gorzej na tym wyszedłeś. Znacznie gorzej. Pozbył się ciebie. Wprawdzie nie zakończyło się to tak, jak tego chciał, ale się ciebie pozbył. Uciekleś.

Też nałapała sobie kawy.

– Chcę powiedzieć, że wiele razy chciał cię dopaść, a po śmierci Patricka Roarke’a, kiedy próbowałeś jakoś zarabiać na życie, starał się pokrzyżować ci plany. Nie mógł cię dorwać, ale...

– Marlana.

Eve odstawiła kawę, ujęła twarz Roarke’a w obie dłonie. Poczwała ból.

– Nie wracaj do tego. Nie wiesz tego, nigdy nie będziesz tego wiedział na pewno. I nie pozwól Summersetowi do tego wracać. Nie, i już.

Spojrzał jej w oczy.

– Nic mu nie powiem. Możesz być tego pewna.

– Posłuchaj, o czym teraz mówię. To jego wzorzec postępowania, kiedy w grę wchodzi ty. Tylko wtedy. I postępował zgodnie z tym wzorcem, kiedy ujrzał cię w barze we Francji. Tak jak tamtego pierwszego wieczoru, nie mógł się powstrzymać, żeby nie zrobić jakiegoś ruchu. A ty go pokonałeś. Upokorzyłeś. Od tamtej pory aż do dziś nie udało mu się nic, co próbował ci zrobić. Ale nie zmienił wzorca postępowania. Weźmy to pokazanie ci się w parku. Cobbe jest dość sprytny, żeby trzymać się w ukryciu, obserwować, czekać. Ale gdy w grę wchodzi ty, nie potrafi się na to zdobyć. W twojej obecności staje się niedbały.

– Najwyraźniej ty i twoja tablica się nie mylą. Nigdy nie szukałabyś tego hotelu i byś go nie znalazła. Jeśli Interpol połączyłby to, a prawdopodobnie wcześniej czy później by to zrobił, Cobbe’a już by tu nie było, już by wyjechał.

– Nie przejmuję się tym, czy coś powiążą. Niczym się nie przejmuję, chce jedynie, żeby tym razem w końcu cię dorwać. Założę się, że już ma dokumenty na nazwisko Lorcana Roarke’a. Ma je od lat.

– Nigdy nie zrozumiem, dlaczego, u diabła, chce mieć takiego ojca.

– A ja rozumiem. Jest prawdziwym synem Patricka Roarke’a. Nie jego synem biologicznym, ale oboje wiemy, że nie krew czyni synów i ojców.

– Dennis powiedział to dziś wieczorem – mruknął Roarke. – Dokładnie to samo.

– Wiemy o tym, jesteście tego dowodem. Summerset jest twoim ojcem. W przeciwnym razie jak mogłabym tolerować obecność tego kościstego indywiduum pod jednym dachem?

Uśmiechnął się lekko, słysząc jej słowa. Znow wzięła swoją kawę.

– Nie rozumie... Cobbe nie rozumie, że już ma to, czego chce. Reszta to tylko nazwisko, ale nawet wtedy...

– Summerset poradził mi, żeby uczynić to nazwisko swoim. Sprawić, by było coś warte, i uczynić je swoim.

– I to zrobiłeś. Ale mógłbyś je zmienić na Hickenlooperstein, a Cobbe i tak pragnąłby twojej śmierci.

– Hickenlooperstein?

Wzruszyła ramionami.

– Przypuszczalnie to czyjeś nazwisko.

– Masz rację w tych wszystkich kwestiach – może z wyjątkiem Hickenloopersteina. Trudniej mi było dostrzec, bo wszystko spowijała mgła, ale udało ci się ją rozproszyć i teraz widzę, że masz całkowitą rację.

Jej komunikator zasygnalizował, że ma nową wiadomość.

– Są nagrania.

– Rzućmy na nie okiem.

Roarke polecił, by odtworzono je na ściennym ekranie, przewinął do miejsca, o którym Baxter napisał w swojej wiadomości.

Kamera, zainstalowana przy drzwiach, zarejestrowała Cobbe’a wysiadającego z czarnej limuzyny. Szofer – kobieta, koło czterdziestki, rasy mieszanej, w szarym uniformie – otworzyła drzwi od strony pasażera. Pomogła Cobbe’owi – w czarnych spodniach, czarnej skórzanej kurtce, jasnoniebieskiej koszulce, w czarnych okularach przeciwsłonecznych – przy bagażu.

Średniej wielkości czarna walizka na kółkach, czarna teczka, jeszcze jedna walizka, metalowa. Z nożami, pomyślała Eve.

– W tej metalowej walizce są jego narzędzia. Musiał przylecieć prywatnym samolotem, żeby je przewieźć. Dobrze wiedzieć.

– Nie widać tablicy rejestracyjnej limuzyny, ale możemy ustalić jej numer. I skąd przyjechał. Tak, jest niedbały.

Wszedł do holu hotelowego, który mógł być elegancką, obszerną sienią jakiegoś historycznego budynku.

Marmurowa posadzka, biała, szaro żółkowana, lśniła w blasku trzech żyrandoli. Kwiaty wylewały się z przezroczystych wazonów w kształcie walców stojących pod jasnoszarymi ścianami. Fotele

z wysokimi oparciami, kryte aksamitną tkaniną, stanowiły mocne, czerwone akcenty.

Kobieta z blond włosami, ściągniętymi gładko do tyłu, ubrana na jasnoróżowo, siedziała za długim, politurowanym stołem na wygiętych nóżkach. Wstała, uśmiechnęła się na powitanie, wyciągnęła rękę.

Wskazała mu jeden z foteli, po czym usiadła, żeby go zameldować.

– Posłużył się brytyjskim paszportem – powiedziała Eve Roarke’owi. – I kartą kredytową One Universe. Wszystko na nazwisko Reginald N. Patrick. Założę się, że N oznacza Nożownik, przezwisko nadane mu przez Patricka Roarke’a. Pisze o tym Mira w swoim raporcie.

– Nie może zostawić starego w spokoju – mruknął Roarke.

Pojawił się jakiś mężczyzna – ciemnoskóry, w czarnym garniturze – uściśnął mu dłoń, nim wziął walizkę i teczkę, Cobbe podziękował za pomoc przy wniesieniu metalowego nesesera.

– Z całą pewnością ma tam swoje noże – powiedziała Eve. Mężczyzna w garniturze wskazał windy.

Eve zauważyła, że rozmawiali, idąc. Zwyczajna gadka o niczym, wyobraziła sobie, kiedy kamera w windzie pokazywała ich, jak wjeżdżają na ostatnie piętro.

Stalowoszara wykładzina, kremowe ściany, więcej kwiatów, trochę dzieł sztuki, drzwi w kolorze wykładziny. Wszystkie w pełni zabezpieczone.

Podwójne drzwi, narożny apartament.

Mężczyzna otworzył drzwi, podał Cobbe’owi kartę magnetyczną, po czym obaj weszli do środka.

– Pokój sprzątnięto, ale i tak kazałam technikom, by go sprawdzili po swojemu. Nigdy nic nie wiadomo. Ustalimy dane limuzyny, Baxter i Trueheart przesłuchują personel. Popenił mnóstwo błędów – a wszystko dlatego, że nie mógł się powstrzymać, żeby ci się pokazać.

Przyglądała się, jak mężczyzna opuszcza pokój, podchodzi do windy. Sprawdziła notatkę, zleciła, żeby przewiętło nagranie do następnego miejsca.

– Dwie godziny i dziesięć minut później wychodzi. Jest teraz w dżinsach, w innej koszulce, bez kurtki. Chce się spacerować po okolicy. Przejdź obok domu przyszej ofiary, sprawdź miejsca, które ta według słów męża zwykle odwiedza. Może coś zjeść.

Korzystając z notatek Baxtera, oglądali, jak Cobbe wchodzi, wychodzi, znów wraca. Obserwowali, jak pozdrowiła go recepcjonistka – brunetka – pracująca na wieczornej zmianie.

Potem prześledzili, jak szedł od swojego pokoju do wyjścia, czterdzieści cztery minuty przed zamordowaniem Modesto.

Zachowywał się beztroško, opuszczając hotel, uniósł w pozdrowieniu rękę do brunetki za biurkiem. Był w czarnych spodniach, czarnej bluzie z kapturem – kaptura nie miał na głowie – czarnych butach za kostkę.

– Spójrz na jego twarz. – Eve zatrzymała nagranie. – Nic się na niej nie maluje. Jest bez wyrazu. Cobbe wychodzi, żeby kogoś zabić. Równie dobrze mógłby iść do biura, żeby zająć się jakąś pracą papierkową.

– Dla niego to jedno i to samo. Znam innych, podobnych do niego.

– Ja też. – Puściła nagranie. – Dał sobie mnóstwo czasu na dojsie na miejsce. Potem, w kapturze na głowie, pokrażył po parku, by poczuć jego atmosferę, wtopić się w tłum. Następne nagranie godzinę i dwadzieścia cztery minuty później. Chce zaczekać na pojawienie się policji, przedstawić dowód, że ją zabił. Musiał najpierw opuścić park, przewrócić bluzę na drugą stronę, wrócić, znów się wmieszać w tłum.

Przewinęła nagranie do chwili powrotu Cobbe’a.

– Teraz jego twarz nie jest już taka bez wyrazu. Jest nakręcony, trochę wkurzony, ale głównie podniecony. Czerwona bluza – lepiej by zrobił, gdyby znów ją przewrócił na drugą stronę na wypadek, gdyby brunetka zapamiętała czarną bluzę. Ale jest zbyt nakręcony, żeby o tym pomyśleć. Szybko skierował się do windy. Dłonie zaciśnięte w pięści.

– Spójrz na nią – powiedziała Eve. – Coś zauważyła, jest zdziwiona, bo wcześniej był dość miły, a teraz minął ją szybkim krokiem, nie zwracając na nią uwagi. Zapamięta to sobie. To jego kolejny drobny błąd.

Przebiegła wzrokiem dołączoną notatkę.

– Baxter zaznaczył jeszcze dwa miejsca. Cobbe wynajął licencjonowaną dziewczynę do towarzystwa. Baxter i Trueheart ustalili jej dane, przesłuchują ją. Obejrzyjmy nagranie.

Pięćdziesiąt sześć minut po tym, jak Cobbe wpadł do hotelu, inna brunetka – pod trzydziestkę, niebieska sukienka, krągłe kształty – wysiadła z taksówki, weszła do holu hotelowego. Po krótkiej rozmowie recepcjonistka włączyła mikrofon, skontaktowała się z kimś, a potem najwyraźniej podała licencjonowanej dziewczynie do towarzystwa numer pokoju i pozwoliła jej wejść na górę.

Obserwowali ją na nagraniu z windy – spojrzała na cienki, błyszczący zegarek, potrząsnęła głową, by odgarnąć do tyłu czarne, długie, falujące włosy. Przeszła korytarzem, zadzwoniła do drzwi Cobbe’a.

Otworzył jej. Nie uśmiechnął się, miał na sobie hotelowy szlafrok.

Wyszła z pokoju dwadzieścia sześć minut później, lekko rozbawiona i trochę skonsternowana.

– Niezbyt wiele pary mu zostało – zauważyła Eve.

Przyglądali się, jak w windzie wyjęła komórkę, rozmawiała z kimś, roześmiała się, wzruszyła ramionami. Znowu spojrzała na zegarek, wysiadła z windy, skierowała się do wyjścia i zniknęła.

Eve, przyglądając się, jak Cobbe się wymeldowuje, zauważyła, że jest w nieco lepszym nastroju. Wolnym krokiem wyszedł z holu, skręcił w prawo i zniknął z zasięgu kamery.

– Zaczął zwracać uwagę na kamery – powiedziała. – Stara się ich unikać. Już załatwił sobie nowe lokum. Wróciły mu pewność siebie i zadufanie. Dotrzemy do limuzyny, którą przyjechał do hotelu, będziemy mieli trochę więcej informacji. Spróbujemy ustalić, czy w promieniu kilku przecznic nie zatrzymał taksówki, ale nie sądzę. Być może skorzystał z tej samej firmy przewozowej, co po przylocie, chociaż to mało prawdopodobne.

Spojrzała na Roarke'a, który skinął głową.

– Na jego miejscu zamówiłbym samochód w innej korporacji, pod innym nazwiskiem, kazał się zawieźć pod jakiś adres, stamtąd przeszedłbym kawałek pieszo, złapał taksówkę do nowego lokum. To podstawowe środki ostrożności.

– Zgadzam się, ale może je pominie. A jeśli skorzystał z usług tego samego przewoźnika, nawet gdyby nie kazał się zawieźć do nowej kwatery, możemy poszukać taksówek zatrzymanych w tej okolicy.

Podeszła do tablicy, uzupełniła ją o dane licencjonowanej dziewczyny do towarzystwa i jej zdjęcie, które wydrukowała.

– Dowiemy się więcej od tej dziewczyny do towarzystwa. W ich interesie jest zwracanie uwagi na szcegóły. Baxter i Trueheart wyciągną je od niej.

Wróciła na swój fotel.

– Jest wysoce nieprawdopodobne, by tak szybko udało mu się coś wynająć lub kupić, nie zdołałby też namierzyć jakiegoś lokum i wyeliminować jego mieszkańców, by się wprowadzić na ich miejsce. Czyli w grę wchodzi kontakt, ktoś, kogo zna. Pewnikiem meta jakiegoś czarnego charakteru.

– Mogę popytać – powiedział Roarke. – Może będzie wymagało nieco perswazji, by czegoś się dowiedzieć, ale potrafię być przekonujący.

– O, tak. Jeszcze raz obejrzę nagrania, zbadam inne aspekty. Zabukował wahadłowiec, limuzynę, licencjonowaną dziewczynę do towarzystwa, skombinował skądś kota. Bezpieczna meta jakiegoś złego faceta to z pewnością dom jednorodzinny. Luksusowy, w dobrej dzielnicy, z pierwszorzędnymi zabezpieczeniami.

– Muszę wtrącić, że nie brak takich w Nowym Jorku.

– To baza wypadowa do skoków. I jeśli jest tak, jak myślę, jej lokatorzy się zmieniają. Ekskluzywna, w dobrej okolicy, ludzie to cenią. To dobra przykrywka.

Znów zaczęła krążyć po pokoju.

– Właściciel często podróżuje służbowo, wykorzystuje ją jako swoją bazę w Nowym Jorku, wynajmuje na krótkie okresy dyrektorom i im podobnym. Ktoś bogaty albo bezdzietna para – w miarę sympatyczny, ale nieutrzymujący bliższych kontaktów z sąsiadami. Zbyt zajęci.

– Ewentualnie właścicielem może być fikcyjna korporacja, masz swoją przykrywkę. No i przeznaczona jest dla członków kierownictwa lub klientów.

– To jeszcze lepsze. – Zastanowiła się nad tym. – Tak, to jeszcze lepsze. Potrzebna jest obsługa, ale przypuszczalnie preferują androidy. Czyli szukamy rezydencji jednorodzinnych i tak dalej, należących do firm.

– Może zajmę się tym, kiedy ty popracujesz nad innymi aspektami?

– Zgoda.

Roarke skorzystał z jej zapasowego komputera, a ona wróciła do oglądania nagrań. Szczegóły, pomyślała.

Kiedy się meldował, był ubrany na czarno. W miarę sympatyczny, ale znudzony. Czekają go kolejne banalne zlecenie.

Wychodząc, skinął ręką recepcjonistce. Odświeżył się po podróży, pomyślała, przebrał w bardziej swobodny strój. Te same buty, które miał poprzednio, zauważyła.

Zatrzymała obraz, powiększyła go, bliżej im się przyjrzała. Ponieważ Roarke upierał się, by kupować jej buty co pięć minut, rozpoznała, że są robione na miarę. Jeszcze jeden punkt zaczepienia. Dopisała to do swoich notatek.

Wychodzi, żeby się rozejrzeć po okolicy, może zjeść coś dobrego.

Wieczór zabójstwa. Czarna bluza z kapturem i czarne buty do biegania. Zatrzymała obraz, powiększyła go.

– Nosi buty do biegania, produkowane przez ciebie.

– Słucham?

– Założę się, że nie wie, że jesteś właścicielem firmy obuwniczej, produkującej buty do biegania, które nosi. Ważne jest dla niego, żeby były najwyższej klasy. Buty do biegania, bo będzie musiał szybko się przemieszczać, może nawet biec. I lepiej pasują do bluzy z kapturem. Wygląda jak jeden z wielu facetów, którzy wyszli pobiegać lub pospacerować po parku.

Zanotowała markę butów, oszacowała ich rozmiar.

Czerwona kurtka. Też szyta na miarę. Po odwróceniu na drugą stronę przemienia się w czarną bluzę z kapturem. Prywatny krawiec? Żadnego emblematu, nazwy firmy, żadnej metki, przypomniała sobie. Strzał w ciemno, ale zapisała to sobie.

Wymeldowanie. Ubrany na czarno, w stylu miejskim – nie bluza z kapturem, ale ta sama kurtka, w której przyjechał.

– Będzie musiał uzupełnić garderobę – mruknęła. – Spakował się na parę dni, ale przedłużył pobyt. Wybierze się na zakupy. Wysokiej klasy odzież męska.

Kolejny absurdalny strzał w ciemno, ale zapisała to w swoich notatkach.

Przerwała poszukiwania, by przeczytać wstępny raport z badania pokoju hotelowego.

Nic.

Ale przed upływem godziny kolejna wiadomość dodała jej skrzydeł.

– Mamy firmę przewozową, samochód i szofera. A dzięki temu wahadłowiec, którym przyleciał. – Spojrzała na Roarke'a. – Jedna ekipa udała się na przesłuchanie szoferki, druga – na lotnisko.

Wstała, żeby uaktualnić tablicę.

– Dostaniemy nowe nagrania plus będziemy wiedzieli, skąd przyleciał. Samochód zamówił na nazwisko Patrick R. Kosa. Przedstawiał się tak w kontaktach z Tweenem. Pod innym nazwiskiem zameldował się w hotel, ale prawdopodobnie posłużył się jedną z tych dwóch tożsamości, by zarezerwować wahadłowiec.

Roarke rozsiadł się w fotelu.

– Możesz śledzić jego poczynania, rozumiem, że liczy się każdy szczegół. Ale trudniej jest zrozumieć, jak te szczegóły pomogą ci go odnaleźć.

– Będę mogła prześledzić jego ruchy, poznać wzorce postępowania. Przyleciał na krótko, żeby wykonać proste zlecenie, odpowiednio do tego się spakował. Prywatny wahadłowiec, bo tak zwykle podróżuje, poza tym musiał przewieźć swoje noże. Teraz będziemy wiedzieli, skąd przyleciał, możemy przesłuchać pilota. Czy zjadł posiłek w wahadłowcu, czy coś pił? Co jadł, co pił? Z pewnością miał stewarda. Przesłuchamy go. Czy pracował, czy rozmawiał, czy spał?

Wsadziła ręce do kieszeni, przyjrzała się uważnie tablicy.

– Zmienił plany. Musi dokupić trochę ubrań. Nie ma czasu, żeby uszyć sobie coś na miarę, czyli wysokiej klasy, ale... Jak to się mówi?

– Z wieszaka. Gotowe.

– No właśnie. Od jak dawna ma tę dwustronną bluzę z kapturem? W aktach nic nie ma na jej temat – po przewróceniu na drugą stronę otrzymuje się czerwoną kurtkę. Może to szczegół, który pominięto, albo może kazał ją sobie uszyć tam, skąd wylatywał. Sprawdzimy to. Może dzięki temu ustalimy, gdzie najprawdopodobniej zrobi zakupy tutaj. Być może. Kiedy nam się to uda, będziemy mieli lepsze pojęcie o tym, w jakiej części miasta się zatrzymał.

– I wciąż mieszka.

Wróciła na swoje miejsce, usiadła naprzeciwko Roarke'a.

– Znajdziemy krawca. Czy już wcześniej korzystał z jego usług? Bardziej prawdopodobne, że szyjemy ubrania u jednego krawca albo korzystamy z usług poleconego nam przez kogoś. Przesłuchamy krawca, wyciągniemy z niego więcej. Czy szyje ubrania dla kogoś ze znanych nam współników Cobbe'a? Jeśli tak, wykorzystamy to. To cały proces.

– Owszem. Wiem to.

– No i jest jeszcze ta licencjonowana prostytutka. Z pewnością coś zauważyła. Szybki numer albo zrobienie łoda, musiała się umyć. Co widziała? Co było na blacie w łazience?

– Poważnie?

– Tak, poważnie. Co było w sypialni czy w pomieszczeniu, w którym przebywali? Co powiedział? Czego nie powiedział? Czy odbierał jakieś telefony? Czy coś pił, jeśli tak, to co? Dla takich mężczyzn jak Cobbe licencjonowane prostytutki to środek do osiągnięcia celu. Równie dobrze mogłyby być androidami. Poza tym był nakręcony, zły. Jeśli kiedykolwiek jest nieostrożny, to właśnie w takich chwilach.

– Masz rację – zgodził się z nią.

– To samo dotyczy tej kobiety kierującej limuzyną. Ale Cobbe miał przed sobą zlecenie do wykonania, najprawdopodobniej był grzeczny. W drodze do limuzyny krótka rozmowa o niczym. Przypuszczam, że w samochodzie był odgradzony od szoferki, ale zanim wszedł, co powiedział? Czy mówił z akcentem? Czy spytał, czy ona zna dobry lokal w pobliżu hotelu, gdzie mógłby zjeść kolację? Jakie wywarł na niej wrażenie.

Eve wzruszyła ramionami.

– I tak szczegół do szczegółu. – Złapała komórkę, kiedy zadzwoniła. – To Baxter – powiedziała. – Dallas. Co masz? Przelącam cię na głosnik.

– Razem z młodym właśnie odbyliśmy miłą rozmowę z bardzo ciekawą kobietą. Yvette Conroy, obsługująca najlepszą klientelę, pracuje w agencji Dyskrejca. Przesłuchiwałaś jej właścicielkę, prowadząc sprawę Pettigrew.

– Tak. Bardzo nam pomogła.

– I nic się pod tym względem nie zmieniło. Yvette zadzwoniła do niej, żeby uzyskać zgodę, sama też okazała się wielce pomocna. Przyjęła zlecenie, złożone w ostatniej chwili, bo hotel znajduje się w pobliżu jej eleganckiego mieszkania i akurat była wolna. Agencja standardowo sprawdziła Cobbe'a – czyli Reginalda N. Patrica – i dowiedziała się, że to samotny mężczyzna w wieku czterdziestu dwóch lat, nienotowany, o dochodach, które gwarantowały, że zapłaci honorarium, w tym dziesięcioprocentowy dodatek za rezerwację krócej niż dwie godziny przed terminem realizacji zlecenia. Biznesmen z Dublina, właściciel kilku galerii sztuki.

– Nietuzinkowe – powiedziała Eve. – Nie byle kto.

– No właśnie, więc dziewczyna spodziewała się kogoś nietuzinkowego, może nawet ujmującego. No i się rozczarowała. Jak tylko zamknął drzwi pokoju, wskazał jej sypialnię. Dostosowała swoje oczekiwania, ale próbowała porozmawiać o jakichś błahostkach. No wiesz, śliczny apartament, śliczny widok, czy podoba się panu w Nowym Jorku.

– Powiedziała jej, żeby się rozebrała i położyła, nie jest zainteresowany pieprzonymi pogawędkami, tylko rżnięciem.

– Nie dostrzegła w nim niczego ujmującego?

Baxter się roześmiał.

– Nie. Powiedziała, że rozważała anulowanie zlecenia, bo wyglądał na brutala, ale potrafi sobie radzić z brutalami. Więc weszła za nim do sypialni. Przyglądał jej się, jak się rozbiera, ale nie sprawiał wrażenia zainteresowanego żadnymi teatralnymi gestami. Zdjął szlafrok – już miał prezerwatywę. Właściwie, powiedziała, ograniczyć się to do dwóch etapów. Wszedł w nią i wyszedł. Ogółem dziesięć minut. Żadnego kontaktu wzrokowego, żadnych pieszczot. Niezbyt delikatny, ale zwyczajne rachy ciachu w pozycji misjonarskiej, bez dziękuję.

– Powiedziała, że nie zauważyła, by mu to sprawiało przyjemność, bo przez cały czas warczał i przeklinał – ciągnął. – Cytuję: „Tym razem załatwię skurwiela. Pieprzony drań, gówniarz, któremu się poszczęściło. Opij się jego krwi, nim z nim skończę”.

– Bardzo opisowo.

– Chciał się wypocić. Przypuszczała, że musi obmyślić sposób, jak rozwiązać jakieś kłopoty zawodowe, może z konkurencją, a potem się odpręży i będzie lepiej. Ale zamiast tego, jak tylko skończył, kazał jej się ubrać i wynosić. Wyglądał, jakby uszło z niego powietrze. Według jej słów był ponury. Zakomunikowała mu, że musi się umyć, wskazał jej łazienkę. Powiedziała, że obliczyła sobie, że w niespełną pół godziny zarobiła dziewięć patyków – tysiąc za późną rezerwację i osiemdziesiąt procent z dziesięciu tysięcy honorarium.

– Kiedy wyszła z łazienki – kontynuował Baxter – był w szlafroku, siedział w fotelu i z ponurą miną wpatrywał się w szklaneckę whisky. Powiedziała „dobranoc”, burknął coś, wyszła. Jeszcze w windzie zameldowała się w agencji, otrzymała kolejne zlecenie, pomyślała sobie: czemu nie. Słuchając jej, można się dziwić, dlaczego wszyscy nie pracują jako licencjonowane osoby do towarzystwa.

– No właśnie. Co zauważyła?

– Sporo. Dobrze zbudowany, wysportowany, muskularny. Brak widocznych szram, tatuaży czy kolczyków. Wymanikiurowane dłonie, zadbane owłosienie łonowe. Żadnych urządzeń, żadnych rzeczy osobistych w sypialni czy w salonie. Na krótko przed jej pojawieniem się wziął prysznic, bo na podło-

dze w łazience leżał wilgotny ręcznik. Na blacie męska kosmetyczka. Luksusowa, podróżna. Kiedy przycisnęliśmy Yvette, przypomniała sobie niektóre marki. Cobbe używa produktów do pielęgnacji skóry That Man – a mówię ci, że są drogie. I preparatów do pielęgnacji włosów firmy Underworld – łącznie ze specyfikami na dzień na wypadające włosy.

– Wypadające włosy. Ciekawe.

– Kupuje się je bezpośrednio w firmowych salonach, na ogół używane są jako suplementacja po zabiegach zalecanych co trzy miesiące. Trueheart to sprawdził. A ponieważ jesteśmy dociekliwymi gli-niarzami, poszukaliśmy firmowych salonów w Dublinie. Znaleźliśmy trzydzieści dwa.

– Dobrze. Bardzo dobrze.

– Też tak uważamy. Teraz poszukamy ich w Nowym Jorku.

– Ja się tym zajmę.

– Proszę bardzo, pani porucznik. Zanim przyszła, wychylił przynajmniej jednego drinka. Czula od niego whisky. Nie był pijany, ale pił wcześniej i pił, kiedy wychodziła.

– Rozumiem. Dobra robota.

– Yvette skontaktuje się z nami, gdyby znów zamówił jej usługi. Zgodziła się również poinformować nas, jeśli przypadkiem zauważy go, jak będzie na mieście.

– Dobra. Wystarczy na dziś.

– Gdybyśmy byli potrzebni, dzwoń.

– Dziękuję.

– Zwracam honor – powiedział Roarke, kiedy się rozłączyła. – Zdołałaś mnóstwo informacji od prostytutki, która spędziła z nim dwadzieścia minut. Może nie ucieszy cię, że na Manhattanie jest osiemdziesiąt osiem salonów, które mają licencję na zabiegi i produkty do włosów firmy Underworld. Ale można część wyeliminować.

– I zrobimy to. Po pierwsze, ile z nich tutaj i w Dublinie sprzedaje również specyfiki do pielęgnacji skóry, których używa.

– Ha. No jasne.

– W takich sprawach ludzie na ogół trzymają się jednej osoby i jednego miejsca. Nawet jeśli tą osobą jest Trina – dodała pod nosem.

– Racja – salon naszej Triny też posiada licencję.

– Kiedy znajdziemy salon w Dublinie i odpowiedniczkę Triny, dowiemy się więcej. Kiedy ostatni raz miał zabieg w salonie, czyli kiedy powinien zrobić kolejny. Czy salon, z którego usług korzysta, poleca mu inne salony tam, dokąd podróżuje.

Dolała sobie kawy i znów przyjrzała się informacjom na tablicy.

– To nieostrożność z jego strony, że zostawił kosmetyczkę na wierzchu, ale traktuje prostytutkę jedynie jak narzędzie do ulżenia sobie. Nieostrożnie z jego strony, że w ogóle skorzystał z usług agencji, bo równie dobrze mógł zwalić konia i zaoszczędzić jedenaście patyków.

– Walenie konia zapewnia ulżenie sobie, ale nie karmi ego tak, jak piękna kobieta, która robi wszystko, na co tylko masz ochotę.

Eve usiadła, wcelowała w niego palec.

– Masz całkowitą rację. Potrzebował narzędzia, potrzebował świadomości, że stać go na zapłacenie góry pieniędzy za dziesięć minut seksu. A dzięki temu mamy więcej szczegółów.

Wskazała zapasowy komputer.

– Jak ci idzie?

– Mam pewną liczbę możliwości. Zajmie trochę czasu, zanim ją zmniejszę.

– Czy możesz to zlecić komputerowi?

– Jasne.

– Zrób to. Jestem zmęczona. Muszę się przespać.

Spojrzał na nią, a ona z sykiem wypuściła powietrze z płuc.

– No dobrze, powiedzmy, że obydwójce musimy się przespać. Zresztą większość tego, co mam do zrobienia, i tak musi zaczekać do rana. Więc wyświadcz mi tę uprzejmość.

– Zgoda.

– A ja też zlecę komputerowi ograniczenie liczby salonów.

Kiedy to zrobiła, co zajęło jej dwa razy tyle czasu, co Roarke'owi, wstała.

– Jutro przedstawię to wszystko Abernathy'emu.

Ujął jej dłoń.

– Czy to będzie ego?

– Jasne, że tak. Jak to możliwe, że ci z literek nigdy nie ustalili, że Cobbe martwi się utratą włosów?

– Wyszli z gabinetu. Galahad przeszliżgnął się obok nich, żeby pierwszy znaleźć się w łóżku. – Przecież

to kopalnia wiadomości.

– Chociaż, przypuszczalnie, Cobbe wcześniej nie był taki niechlujny, jak to określiłaś. Ale tak czy owak masz jeden punkt przewagi nad inspektorem, co ci bardzo odpowiada.

– Owszem. I mogę to wykorzystać, żeby uzyskać informacje od Interpolu na ten temat.

Kiedy dotarli do sypialni, kot już leżał wyciągnięty na łóżku, starając się zająć jak najwięcej miejsca. Eve usiadła, żeby zdjąć buty – i przyjrzała się im uważnie.

– Są jeszcze buty. Robione na zamówienie. Kto jest jego szewcem? Czy to ktoś z Dublina? To samo dotyczy garniturów, bo będzie kilku potrzebował. I musiał mieć krawca, który mu uszył tę dwustronną kurtkę. Musiał znaleźć kota, którego zabił, jakieś lokum, by się ukryć. Prywatny wahadłowiec i limuzyna.

– Mnóstwo kopalni, z których można czerpać informacje.

Położyła się, Roarke przyciągnął ją do siebie. Kot przesunął się i zwinął w kłębek na wysokości jej krzyża.

– Kot uznał, że warto wydobywać złoto z dziur w ziemi? – zastanowiła się. – I dlaczego? Bo jest blyszczące?

Roarke przytknął jej dłoń do swych ust, by ją pocałować.

– Świat jest pełen zagadek.

To prawda, pomyślała. Ale tylko jedna ją teraz interesowała: gdzie jest Lorcan Cobbe?

*

Rzadko śnił mu się Dublin. Z tym miastem wiązały się jego najgorsze i najlepsze wspomnienia z dzieciństwa. Tam zaczął budować swoje bogactwo – zarówno kradnąc, jak i postępując uczciwie. I chociaż nadal prowadził tam interesy, zostawił Dublin za sobą, wraz z jego jasną stroną i tą ciemną.

Kiedy teraz tam jeździł, nie zachodził do domu, w którym kiedyś mieszkał, przynajmniej nie emocjonalnie. Naturalnie wracały wspomnienia, niektóre bardzo niemiłe.

Ale uporał się z tym, prawda? Osiągnął to, co sobie założył, a nawet więcej.

Lecz sny potrafią w przebiegły sposób łączyć razem jasne i ciemne strony, tworzyć mozaikę cieni i ukrywać ostre zęby, nim wpiją się nimi w gardło.

Cofnął się więc we śnie do tamtych czasów i przyglądał się chłopcu, jakim wtedy był. Chudem i zwinnemu, umorusanemu, biegnącemu ulicami w wilgotny, szary dzień, z włosami wpadającymi mu do oczu, z dziurą na kolanie spodni.

Biegł ze swoimi kumplami – już mógł nie podziwiać zwinnych palców chłopca, kradnącego komuś portfel, Mick z chytrym uśmieszkiem i wielkimi planami. Shawn gotowy na wszystko, kiedy mu rzucił wyzwanie.

Cała trójka odeszła, zabita z zemsty, obróciła się w proch.

No i Brian, jedyny, który nadal żył, przebiegły i opanowany, w czapce zawiadacko nasuniętej na lewe oko.

Czy dzień posepny, czy nie, chociaż wojny miejskie niezupełnie się skończyły, turyści nadal ciągnęli na ulicę Grafton. Odwiedzali puby, sklepy i stragany, uwieczniali na filmie ulicznych grajków.

Mężczyzna, jakim teraz był, nie mógł nie podziwiać zwinnych palców chłopca, kradnącego komuś portfel, który następnie przekazywał kumplowi, albo wpadającego na kogoś i gorąco go przeproszającego, a jednocześnie ściągającego mu zegarek, by podrzucić go innemu kumplowi.

Potrafił tak zwędzić komórkę, że właściciel się nie zorientował. Nawet damską torebkę czy dwie.

Zdzielił się łupami – ostatecznie pracowali zespołowo – i jeśli uznał, że łowy były udane, chomikował coś w swojej kryjówce.

Usłyszał chłopaka o anielskim głosie. Towarzyszył mu mały piesek. Wokół nich zebrał się tłum, więc ruszył w tamtą stronę, ocenił frajerów.

Chłopak – czy kiedykolwiek poznał jego imię? – śpiewał jakąś starą piosenkę. Taką, która sprawiała, że łyzy się kręciły w oczach słuchaczy, więc wrzucali pieniądze do czapki.

Upatrzył sobie mężczyznę ze złotym zegarkiem i aparatem fotograficznym, prawdziwym cudem. Kiedy mężczyzna wcelował obiektyw w chłopca z psem, chłopak, jakim był, podszedł bliżej.

Marzył o kamerze. Och, dużo za nią dostanie! Za zegarek też. Ale najbezpieczniej było podwędzić portfel.

Zajął odpowiednią pozycję, kiedy chłopak śpiewał o młodym, zmarłym Williamie McBridzie, i dostrzegł Cobbe'a – mężczyznę i chłopca – po drugiej stronie ulicy Grafton.

Przez chwilę, jak to bywa w snach, patrzyli na siebie – mglista przeszłość, potencjalne jutro.

Chłopiec, jakim był, spojrzął na mężczyznę, jakim jest.

– No cóż, chce mnie zabić, prawda? Ale dziś mu się to nie uda. I musisz się postarać, żeby nie udało mu się to jutro. Przydałaby nam się ta cholerna kamera – dodał z czystym żalem.

I uciekł.

Młody Cobbe wyciągnął nóż i pobiegł za nim.

A Cobbe mężczyzna uśmiechnął się, stojąc po drugiej stronie ulicy Grafton, a potem pognął w przeciwnym kierunku.

Roarke biegł wśród tłumów, słysząc dźwięki muzyki, czując drożdżowy zapach piwa dochodzący z pubów.

Był szybszy, zawsze był szybszy od Cobbe'a. Ale gubił go. Mignął mu, potem zniknął z oczu, znów mu mignął.

Był teraz daleko od tłumów i muzyki, w zaułkach, które aż nadto dobrze znał jako chłopak, gdzie powietrze pachniało zbutwiałymi śmieciami, a niemowlęta kwiliły z głodu.

Nagle znalazł się w uliczce nad zakrwawionym chłopcem, jakim był. Obok niego na brudnej ziemi siedziała Eve – dziewczynka. Głęboko osadzone oczy uniosła w górę, podtrzymując złamaną rękę.

– Nasi ojcowie lubią nas krzywdzić.

Przykucnął, przybity, bo nic nie mógł dla nich zrobić.

– Wiem. Ale nic nam nie będzie. Damy sobie radę.

– Złamał mi rękę. Zdaje się, że ty też masz złamaną rękę.

Nawet we śnie nie mógł się powstrzymać, wyciągnął rękę, by pogłaskać jej potargane włosy.

– Ale nie złamali nas, prawda, najdroższa?

– Ja wam nie połamie kości. – Cobbe, chłopiec i mężczyzna, stał dwa kroki od nich. – Tylko pokroję was na kawałki. Ją najpierw.

Ściskając nóż w dłoni, mężczyzna złapał Eve za włosy. Kiedy chłopak natarł, Roarke rzucił się przed siebie.

W nicość. I się obudził.

*

– Miałaś zły sen. – Eve otoczyła go ciepłymi, silnymi ramionami. – Powinam się domyślić. Znam się na tym. Światło na dziesięć procent. To tylko zły sen.

Obejmowała go, a kot łagodnie pocierał łebkiem bok Roarke'a.

– Nic mi nie jest.

– Zły sen – powtórzyła. – Wystarczająco zły, żeby łyknąć środek uspokajający.

– Niepotrzebny mi...

– Łykniemy jeden na spółkę. – Pogładziła go po policzku, przekreśliła się, żeby wstać z łóżka. – Nie jestem przyzwyczajona do takiej sytuacji, więc też wypiję pół.

Pomyślał, że to bzdura, ale nie oponował.

– Chcesz mi opowiedzieć, co ci się przyśniło?

– Dublin – zaczął i opowiedział jej wszystko, kiedy poszła po środek uspokajający dla nich.

– Czyli mieszanka tego, co kiedyś i teraz. – Wypiła swoją połówkę, pilnując – widział to – by on wypił swoją. – Na dodatek martwisz się o mnie. Powinam ci się przyśnić jako policjantka. Razem skopalibyśmy im tyłki.

– Następnym razem postaram się o taki sen.

Odstawiła puste szklanki, ujęła jego twarz w obie dłonie.

– Dopadniemy go. I trafi za kratki. Przysięgam ci.

– Ufam ci, że tego dokonasz.

– Więc uwierz w to. – Wciąż obejmując dłońmi jego twarz, spojrzała mu prosto w oczy swoimi oczami koloru whisky. – Wiem, kim jest. Wiem, że z największą przyjemnością by mnie zabił... Żeby ci zadać ból, żeby cię złamać. Nie pozwolę na to. Nie pozwolę, żeby cię w taki sposób zranił. Przysięgam ci.

Przytknął czoło do jej czoła.

– W takim razie w porządku. Wiem to, Eve, przysięgam ci. Ale i tak się boję.

– Nie bój się. Nie mogę ci obiecać, że codziennie wrócę cała i zdrowa do domu po pracy. Ale to mogę ci obiecać. Daję ci na to swoje słowo.

Przyciągnęła go do siebie, zwinęła się w kłębek obok niego, położyła mu rękę na sercu.

– Powiedziałeś, że we śnie zapewniłeś mnie, że nas nie złamią, i miałeś rację. Gwarantuję ci, że Cobbe'owi też się to nie uda.

Uspokoił się, przynajmniej trochę, i zmusił się, by usnąć w ciszy, w tym, co teraz, kiedy miłość jego życia trzymała rękę na jego sercu.

Kiedy Roarke wstawał o nieludzkiej porze, żeby wziąć udział w spotkaniu w jakimś dziwnym miejscu, gdzie nie wiadomo czemu obowiązywał inny czas, Eve zazwyczaj się nie budziła.

Ale odkąd Cobbe pojawił się w parku, wszystko się zmieniło.

Jak tylko Roarke spróbował się wyslizgnąć z łóżka w ciemnościach, poruszyła się, chrząknęła, zamrugała powiekami.

– Jaki kontynent, u diabła, kupujesz w środku cholernej nocy?

– Europę, ale tylko mały jej skrawek. Śpij dalej.

Przekręciła się, zamierzając właśnie tak zrobić.

Ale leżała, rozbudzona.

Sprawdziła, która godzina. Czwarta pięćdziesiąt pięć.

Jak to w ogóle możliwe?

Leżała, nie ruszając się, kiedy brał prysznic i się ubierał. Dotarło do niej, że robił to właściwie każdego ranka, cicho jak kot, kiedy ona dalej w najlepsze spała.

Znów się przekręciła, gdy usłyszała – a prawdę mówiąc, bardziej poczuła, niż usłyszała – że wyszedł z pokoju. Kazała zapalić światło, a potem przyjrzała się uważnie ciemnemu niebu przez okno pościelone nad łóżkiem.

Może nie musiała kupić żadnego kontynentu ani nawet małego jego skrawka, ale miała masę roboty.

Podczas gdy kot dalej spał w najlepsze, wstała, wciągnęła zapach kawy. Za mało, doszła do wniosku, i włożyła strój gimnastyczny. Nadal na poły we śnie zjechała windą do siłowni, zaprogramowała bieg brzegiem morza, żeby krew szybciej zaczęła jej krążyć w żyłach.

Przebiegła prawie pięć kilometrów, potem jeszcze przez kwadrans ćwiczyła z ciężarkami i nieźle się spociła, nim jej umysł zaczął pracować.

Na górze wzięła prysznic, by gorące, silne strumienie wody dokończyły dzieła. W myślach już układała plan dnia.

Sprawdzić wyniki automatycznych wyszukiwań, wyciągnąć wnioski. Sprawdzić, czy przysły nowe raporty, jak wyżej.

Wstąpić do kostnicy w sprawie zabitego kota, do Harvo, jak wyżej.

Przygotować się na powitanie inspektora Abernathy'ego.

Buty na zamówienie, pomyślała, wchodząc do kabiny suszącej. Garnitury szyte na miarę. Dwustronne bluzy z kapturem. Ekskluzywne salony.

Drobiazgi, pomyślała, kierując się do szafy. Miała mnóstwo drobnych elementów. Teraz musi je wszystkie dopasować, by uzyskać spójny obraz.

Musiąca sama zdecydować, w co się ubrać – a miała w czym wybierać – zastanowiła się nad priorytetami. Uznała, że najważniejsza jest możliwość szybkiego poruszania się, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Zamiast złapać pierwsze z brzegu spodnie, przeszukała wieszaki i znalazła parę, która łączyła w sobie ubiór sportowy z biurowym. Dobrała do nich koszulkę, marynarkę, buty.

Ponieważ Roarke jeszcze nie wrócił, a kot siedział w pełni rozbudzony i gapił się na nią, przygotowała dla niego śniadanie.

W czasie gdy Galahad pochłaniał łososia, zaprogramowała więcej kawy.

Rozważała naleśniki, ale uznała je za zbyt ciężkie i zdecydowała się na omelety. A skoro do niej należał teraz wybór dodatków, postanowiła, że nie będzie żadnych udużwionych warzyw.

Potem, w chwili natchnienia, poleciła, żeby to, co wybrała, przesłano do kuchni obok jej gabinetu.

Kiedy słońce rozproszyło ciemności, skierowała się do gabinetu, otworzyła drzwi na taras. Chłodno, owszem, ale nie zimno, stwierdziła.

Ustawiła na stole talerze przykryte pokrywkami, by nie wystygło jedzenie, dołała sobie kawy i podeszła do drzwi do sąsiedniego gabinetu, gdzie Roarke odbywał holokonferencję z sześcioma biznesmenami w garniturach.

Stojąc na progu, zaprosiła go gestem na śniadanie i zostawiła decyzję jemu.

Usiadła za biurkiem i wyświetliła wyniki automatycznego wyszukiwania. Miała listę szesnastu salonów w Dublinie, spełniających zadane kryteria, i okrągłe pięćdziesiąt w Nowym Jorku.

W tym, jak zauważyła, salon Triny.

Wymanikiowane dłonie, według słów licencjonowanej dziewczyny do towarzystwa. I ekskluzywne kosmetyki. Potrzebny mu jeden z tych uniwersalnych salonów, gdzie ludzie z powodów, których Eve nigdy nie zrozumie, potrafią spędzić cały dzień.

Zmieniła kryteria, zleciła kolejne wyszukiwanie.

Czekając na jego wyniki, sprawdziła pocztę. Liczba transakcji kupna lub wynajmu furgonetek, ciężarówek, terenówek była przytłaczająca, ale do końca dnia ją zmniejsza.

Zaginieni. Niewielkie prawdopodobieństwo. Przynajmniej jak dotąd.

Kierująca limuzyną okazała się jednak żyłą złota.

Eve uniosła wzrok, kiedy wszedł Roarke.

– Znaleźliśmy jego wahadłowiec. Cobbe przyleciał z Brukseli prywatną maszyną, mamy nazwisko pilota, nazwę przewoźnika, różne różności. Zajmiemy się tym z samego rana.

– Dobra robota.

– Za późno na kolejne przesłuchania po rozmowie z panią szofer limuzyny, ale przekazała nam sporo informacji. Zmieniłam kryteria wyszukiwań salonów na takie, które oferują pełen zakres tortur. Właśnie się wyświetliły. Tak! Jedenaście w Dublinie, czterdzieści dwa w Nowym Jorku.

– Wcześniej dziś zaczęłaś dzień.

– Owszem, ale nie kupiłam żadnego kontynentu. A ty?

– Dobiłem targu na mały skrawek. – Spojrzał na stół, otwarte drzwi na taras, wschód słońca. – Świetny pomysł.

– Też tak sobie pomyślałam. Zjedzmy śniadanie.

Zaczekał, aż wstanie zza biurka, objął ją.

– Już nie usnęłaś.

– Ale za to poćwiczyłam. To mnie nakręciło.

– Widzę. – Przesunął dłońmi wzdłuż jej ramion, kiedy dotknął nadgarstków, przechylił głowę, zmrużył oczy.

Cofnęła się, zamaszycie poruszyła rękami. Spod rękawów wysunęły się noże.

– To nie wszystko. – Rozchyliła marynarkę, ukazując nie tylko broń, którą zwykle nosiła, ale również miniparalizator na biodrze.

Uśmiechnął się. Ale nie dostrzegła na jego twarzy rozbawienia, jedynie ulgę.

– Cobbe nie sprawi ci bólu, atakując mnie.

– Wierzę ci.

– To dobrze. – Schowała noże. – Zjedzmy coś.

Nalał sobie i Eve więcej kawy, pogłaskała żonę po włosach i usiadł.

– Dziękuję – powiedział, podnosząc pokrywki z talerzy. – Za to, że uzbroiłaś się jak na wojnę, i za śniadanie.

– Drobiaz. Ponieważ jesteś oficjalnym konsultantem w tej sprawie, prześlę ci wszystkie raporty i uaktualnienia.

– Doceniam to. Może zajmę się salonami w Dublinie? Nadal mam tam kontakty.

– W Dublinie jest masa gliniarzy, którzy mogą to sprawdzić.

– Też racja. – Spróbował swój omelet. – Ale czasami pytanie zadane mniej oficjalnie przynosi lepszą odpowiedź. Daj mi na to godzinkę, dwie, potem możesz to zlecić funkcjonariuszom Gardy lub temu Abernathy'emu.

Zastanowiła się.

– Byłoby miło, prawda, wręczyć Abernathy'emu adres salonu Cobbe'a w Dublinie. Och, proszę spojrzeć, zdaje się, że przeoczyliście ten trop. I jak cholernie łatwo byłoby umieścić tam kogoś, mieć w pogotowiu cały oddział policjantów, który wtargnąłby, jak tylko Cobbe wszedłby do środka na ten cholerny zabieg na porost włosów.

Roarke się uśmiechnął, nie przerywając jedzenia.

– Widzę, że jesteś w bojowym nastroju.

– Jeszcze nie zdecydowałam. Ale mam rację. – Ugryzła plasterek boczkę, pomachała tym, co z niego zostało. – Dlaczego nie zdobyli takich informacji?

– Widocznie nigdy nie udało im się dotrzeć do licencjonowanej kobiety do towarzystwa tuż po wyświadczeniu przez nią usługi. Osoby na tyle bystrej, że dostrzegła jego otwartą kosmetyczkę podróżną.

– Nie twierdzą, że się nam nie poszczęściło, bo byłaby to nieprawda. Ale w ciągu tylu lat też mogło im się poszczęścić.

– Biurokracja. – Wzruszył ramionami. – I przypuszczam, że w grę wchodzi kwestie zasięgu terytorialnego i rozgrywek wewnętrznych. A do tego trzeba dodać, że dla Cobbe'a to sprawa osobista, więc jego emocje – jakiegokolwiek są – zaciemniają obraz. Ale w sumie? Oni to nie ty. Nie tylko jesteś dobra i wyjątkowa. Jesteś nadzwyczajnym oficerem dochodzeniowym.

– To nie...

Uniósł palec, żeby ją uciszyć.

– Moja pani porucznik, obserwuję od lat, jak dostrzegasz szczegóły, których inni nie zauważyli. Na przykład jakiś klaczek. Sam w sobie niewiele znaczy, ale drążyś, przyglądasz mu się ze wszystkich stron, wyciągasz wnioski i dopasowujesz go do reszty.

Uśmiechnął się do niej, nie przerywając jedzenia.

– Gdybym w przeszłości postanowił się z tobą zmierzyć, sądzę, że wyszedłbym z tego pojedynku zwycięsko. Ale zawsze zleciłaś mój niepokój i dołożyłem nieco starań, żeby nie wejść ci w drogę.

– Sprawiałbym, że poczułbyś coś więcej niż niepokój.

Uśmiechnął się szeroko.

– I czyż nie cieszymy się oboje, że już nigdy się tego nie dowiemy?

Skinęła głową.

– Naprawdę brakowałoby mi kawy. – Napila się jeszcze. – Tak czy owak, daję ci dwie godziny na te salony.

– Zajmę się tym i wszystkim, co zechcesz mi zlecić. Nie jestem dziś zbyt zajęty – już wcześniej zaplanowałem sobie mało zajęć. Dziś pojawiają się w szkole pierwsi uczniowie, chcę tam wpadać od czasu do czasu.

– Dzisiaj?

– Tak, pierwsza grupa. Rochelle zaproponowała, żeby pojawiali się stopniowo, a nie wszyscy naraz. Czyli będą trzy dni wypełnione lekkimi zajęciami na aklimatyzację, na zaznajomienie z zasadami i temu podobne. Nadine zleciła Quilli sporządzenie wideoblogu z tego rozłożonego na etapy otwarcia. Prawdę mówiąc, widziałem ją wczoraj w akcji. Ta dziewczyna to będzie dynamit.

– Powinam się tam pokazać?

To, że w ogóle zapytała, znaczyło, coś... Bardzo dużo.

– Naturalnie będziesz mile widziana o każdej porze. Nie będzie oficjalnego otwarcia z udziałem mediów. Postanowiliśmy tak już jakiś czas temu. Żadnego przecinania wstęgi, żadnych przemówień, żadnych dziennikarzy i temu podobnych, bo skończyłoby się to tym, jaka to świetna inicjatywa i tak dalej, kiedy tu chodzi o dzieci. I tak się składa, że mając Cobbe'a w Nowym Jorku, jestem przeszczeniwy. Jest tak postanowiliśmy. Zadbalem o dodatkowe środki bezpieczeństwa, ale nie wydaje mi się, by miał się zainteresować naszą szkołą.

– Według niego szkoda na to czasu – zgodziła się z mężem – jeśli media nie zrobią szumu wokół ciebie. Odłóż na chwilę inne sprawy na bok – poprosiła go. – Co czujesz? Dzieciaki się wprowadzą. Poczynając od dziś, będą tam jadły, spały. Niektóre z nich nigdy nie miały miejsca, w którym mogły się czuć tak bezpiecznie.

Spojrzał na widok za oknem tarasowym – zieloną trawę, kwitnące kwiaty.

– Myślę o tym, co mi się przyśniło ostatniej nocy. O moich kumplach i o sobie, pracujących na ulicy Grafton. Nie żałuję ani jednego dnia. Ale doskonale wiem, że gdyby nie Summerset, mógłbym nie przeżyć. On stworzył dla mnie takie bezpieczne miejsce. Nie miejsce, które uznałabyś za... powiedzmy właściwe, ale bezpieczne i czyste, czego wcześniej nie znałem. Tyle książek do czytania, ile tylko chciałem. Jedzenie, więc nigdy nie chodziłem głodny. Miał swoje zasady i wymagania, ale nigdy, ani razu mnie nie tknął.

Ujął jej dłoń.

– Nawet po Richardzie Troyu nie miałaś tego, przynajmniej nie do końca, i nie na co dzień. Dopiero Akademia ci to zapewniła.

– To prawda.

– Lubię myśleć, że ci, którzy przyjdą do An Didean, dostaną połączenie tego, co Summerset dał mi, a Akademia – tobie. Więc czuję się doskonale.

– Powiem, że to dobre połączenie, o ile nie będzie zajęć z omijania systemów zabezpieczających.

– Nie będzie. Przynajmniej oficjalnie. – Ścisnął jej dłoń. – Sprzątnę ze stołu.

– Ja się tym zajmę. Wolę, żebyś sprawdził wyniki poszukiwania lokum Cobbe'a.

– Zgoda.

Gdy zbierała naczyń, usiadł przed komputerem, wyświetlił wyniki.

– No cóż, jest trochę lepiej, ale możemy jeszcze zmniejszyć tę liczbę.
– Ile?
– Ponad dwieście, ale da się to zredukować. Poprawię to, kiedy oddzwonią do mnie moje kontakty. Ale już teraz mogę ograniczyć tę liczbę, nieco zmieniając kryteria.

Wstał.

– Potrzebuję na to trochę czasu. Potem wezmę się do salonów. Jeszcze dziś rano powinienem mieć dla ciebie coś, co ci pomoże w dochodzeniu.

– Świetnie. Pojadę na komendę i sporządzę raport, nim spotkam się z Peabody w kostnicy. Będę w kontakcie.

– Ja też. – Położył dłonie na jej ramionach, musnął lekko jej usta. – Cobbe nigdy nie spotkał kogoś takiego, jak ty. Jestem tego pewien, bo ja też nie.

Znów ją pocałował.

– Dbaj o moją policjantkę.

– Twoja policjantka jest dobrze zabezpieczona.

Zobaczyła krótki jasnoszary płaszcz na słupku balustrady, domyśliła się, że Roarke uznał go za najodpowiedniejszy do tego, co miała na sobie. Pokręciła głową, włożyła płaszcz, wyszła przed dom, gdzie już czekał jej wóz.

Ponieważ zaczęła dzień wcześniej niż zwykle, był mniejszy ruch i żadnych sterowców reklamowych. Zawsze jakaś korzyść. W połowie drogi do centrum – dla odmiany bez żadnych korków – zabręczała jej komórka. Zobaczyła na wyświetlaczu nazwisko Harvo, przełączyła na zestaw głośnomówiący.

– Dallas.

Harvo, o sterczących, zielonych włosach, powiedziała:

– Czołem. Mam dla ciebie dobre wieści.

– Wcześniej zaczęłaś.

– Tak, wczoraj nie mogłam się zająć próbkami, więc przyszedłam dziś z samego rana, no bo rozumiesz, biedna kicia. Powyrywałabym nogi z dupy temu zwyrodnialcowi, który zabił niewinne stworzenie i chce to samo zrobić z Roarkiem.

– Doceniam to. Co możesz mi powiedzieć?

– Moje ustalenia są niepodważalne, bo Berenski już zbadał próbki krwi.

– No, no.

Harvo wzruszyła ramionami.

– Patafian jest patafianem, ale nie jest taki zły, kiedy w grę wchodzi, no wiesz, rodzina. Ale do rzeczy. Młoda kotka, chora na świerzb, wciąga na lekach.

– Świerzb.

– Tak, ale leczone, przy okazji ją odpchlono. Założę się, że wyglądała i czuła się znacznie lepiej, zanim ten łobuz ją pokroił, bo próbki sierści są zdrowe. Prześlę ci nazwę medyczną suchego szamponu. Analiza krwi potwierdza doustne podawanie leków i suplementów. Ktoś się troskliwie nią opiekował, Dallas. Specyfiki na świerzb można kupić tylko u weterynarza z licencją.

– Dobrze się spisałaś, Harvo.

– Cóż, normalka. – Zmierzyła włosy, a po chwili jej oczy spowaźniały. – Jak będziesz jeszcze cześć ode mnie potrzebowała, wiesz, gdzie mnie szukać.

– Dzięki.

– Zaraz wyślę ci raport, chciałam tylko przekazać najważniejsze ustalenia. Ciao.

– Tak, hmm, ciao. – Kokolwiek to znaczy, u diabła.

Czyli kot z pchłami, świerzbem. Bezdomny? Może zabrany do schroniska albo przygarnięty przez miłośnika kotów. I, co ważne, zaprowadzony do weterynarza, który ma wszystkie dane o zwierzęciu.

Na razie nie chciała jeszcze myśleć, ilu weterynarzy działa w Nowym Jorku. Przeczyta raport, a potem znacznie kopać.

Sprawdziła, która godzina, pomyślała chwilę i skierowała się do kostnicy. Może tam popracować do przyjścia Morrisa, zaoszczędzi w ten sposób trochę czasu.

A co ty porabiasz, Cobbe? Wciąż śpi, pomyślała, w gładkiej pościeli, za którą zapłacił krwią.

Rozkoszuj się tym, póki jeszcze możesz, ty łobuzie, bo wkrótce to się skończy.

Idąc białym tunelem, w którym jej kroki odbijały się echem, Eve wysłała SMS do Peabody.

Jestem w kostnicy. Jedź prosto na komendę. Zapoznaj się z raportem Harvo. Zaczynaj szukać weterynarzy.

Zaoszczędziłam więcej czasu, pomyślała.

Szukała sobie miejsca, by móc przystąpić do sporządzenia porannego raportu, ale przez okną okienka w drzwiach dostrzegła Morrisa już przy pracy.

Weszła do środka.

– Wcześniej zaczęłeś czy późno kończysz?

Spojrzał na nią.

– I jedno, i drugie. Wczoraj wieczorem miałem topielca, okazało się, że przypadkowo utonął. Dowód na to, że nie należy przesadzać z piciem, mieszać wódki z tonikiem i erotycą, kiedy ma się w planach żeglowanie przy blasku księżyca.

– Złe wybory zawsze się na człowieku zemszczą.

– Prawda? Twoja kotka nie miała wyboru.

Eve przyjrzała się uważnie zwierzęciu na stole sekcyjnym.

– Nie miała. Nie przypuszczałam, że przyjdiesz wcześniej do pracy, żeby się nią zająć.

Morris wrócił do badania zawartości żołądka kotki.

– Ten, kto to zrobił, chciałby zrobić to samo Roarke'owi?

– Owszem.

– Wobec tego to minimum, czego powinnaś się po mnie spodziewać. – Wyprostował się na chwilę.

Miał na sobie przezroczysty fartuch ochronny, a pod nim jeden ze swoich doskonale skrojonych garniturów, stalowoszary w jasne, delikatne prążki, do tego jaskrawoniebieską koszulę. Ciemne włosy zaplótł w warkocz, który ozdobił cienkim rzemykiem w tym samym kolorze, co koszula. Na szyi wisiły mu mikroskopokulary.

Ich spojrzenia się spotkały.

– Kiedy straciłem Amaryllis, wsparłaś mnie nie tylko jako koleżanka z pracy, ale jako przyjaciółka, a nawet członek rodziny. Podobnie jak Roarke.

– To tylko...

– Tak, jak należy się zachować. Jeśli zagroziś jednemu z nas, będziesz miał do czynienia z nami wszystkimi. Mogę cię zapewnić, że chociaż to biedne stworzenie nie miało wyboru, zanim poniosło śmierć, znalazł się ktoś, kto się o nie troszczył.

– Harvo powiedziała, że kotkę odpchlono i leczono na świerzbu.

– Potwierdzam. Można dostrzec pozostałości jednego i drugiego, ale trzeba włożyć okulary. Była zadbana. Tego ranka, kiedy ją zabito, zjadła śniadanie, a dwie godziny przed śmiercią dostała kilka kocich przysmaków. Mogę wyświetlić analizę zawartości jej żołądka.

– Jakież trzy tygodnie temu, maksymalnie cztery, została wysterylizowana – ciągnął. – Zdrowa kotka, samica pospolitego kota pręgowanego, mniej więcej roczna, z oznakami wcześniejszego niedożywienia, świerzbu, pogryzień przez pchły. Można ją porównać z bezdomnym, śpiącym na ulicy, którego umieszczono w schronisku, umyto, leczono i karmiono więcej przez miesiąc. Wróciła do formy, bo ktoś się nią zaopiekował.

– No dobrze, wykorzystam te informacje.

– Cierpiała – dodał. – Zabójca ją torturował. Chciałbym móc powiedzieć, że zapłacił za to, sadystryczny łobuz, ale pod jej pazurami i między zębami znalazłem jedynie ślady wyprawionej skóry. Brak naskórka czy krwi.

– Włożył ochronne rękawiczki, żeby go nie podrapała ani nie pogryzła.

– Tak. Wyślę to, co znalazłem, do Harvo, chociaż przypuszczam, że skóra okaże się dość powszechnie spotykana. Liczne rany klute i cięte prawdopodobnie zadane tym samym narzędziem, które spowodowało śmierć Modesto.

– Sztylet.

– Tak. Sprawił jej ból, doprowadził do utraty krwi, aż była zbyt słaba, by walczyć.

– Potem wsadził ją do worka. Na worku było mnóstwo krwi. Właśnie taki jest – mruknęła Eve. – Roarke powiedział, że zrobił to samo małemu psiakowi, kiedy byli dziećmi w Dublinie. Zabił czterysta czterdzieści cztery osoby, przynajmniej o tylu ofiarach nam wiadomo. Ciekawa jestem, ile z nich w identyczny sposób.

Morris chciał jej położyć dłoń na ramieniu, ale przypomniał sobie o krwi na rękach.

Podszedł do zlewu, żeby się umyć.

– Cały czas mamy do czynienia z ludźmi. I odczuwamy współczucie. Ale coś takiego wyzwala gniew na zupełnie innym poziomie.

Wrócił do niej.

– Staram się być obiektywny, zrozumieć chorobę, która skłania kogoś do odbierania innym życia. Ale w tym wypadku to mi się nie udało.

– Zrobił to, żeby coś zmanifestować. Sprawilo mu to frajdę, ale chciał też coś zademonstrować. Jego błąd. Pomoże nam go znaleźć.

– Byłoby nieprofesjonalne z mojej strony zasugerowanie, żebyś kopnęła go w jaja, kiedy go dopadniesz.

– Taak. I równie nieprofesjonalne jest moje marzenie, że będę miała szansę to zrobić.

– Mam nadzieję, że znajdziesz osobę, która się zaopiekowała kotką.

– Zrobię to i poinformuję ją, że kicia jest teraz w dobrych rękach.

Eve pojechała prosto do komendy. Mogła przekazać Peabody, czego się dowiedziała o kotce – fakt, że trzy do czterech tygodni temu została wysterylizowana, ułatwi odszukanie weterynarza.

Napisze raport, uwzględniając to, a potem...

Roarke'owi skończy się czas na szukanie salonu. Zajmą się tym.

Ale kiedy weszła do wydziału zabójstw, oczy wszystkich skierowały się w jej stronę – jakby przyniosła pudełko cholernych pączków.

Równie dobrze może tu i teraz poinformować swoich ludzi o aktualnym stanie dochodzenia.

– Jak już wiecie, Cobbe zarznął kota, zostawił go pod bramą mojego domu.

– Chory pieprzony popapraniec – mruknął Jenkinson.

– Pobiegł do parku, ściagałam go, ale mi uciekł. Prawdopodobnie w pobliżu miał samochód, bo umknął również patrolom przeczesującym ulice. Harvo zidentyfikowała specyfik, podawany kotce na świerzb. Badanie próbek krwi potwierdziło, że dostawała leki i suplementy.

– Mam jej raport. – Chociaż Peabody miała trochę wilgotne oczy, głos jej nie drżał. – Pracuję teraz nad listą weterynarzy.

– Możemy do tego dodać ustalenia Morrisa. Kotka, młoda samica, została wysterylizowana trzy do czterech tygodni temu. Doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej była to bezdomna kotka, którą ktoś przygarnął i się nią opiekował przez taki czas. Czyli szukamy weterynarza, leczącego kotkę o jej wyglądzie, ze świerzbem i zapchlona, niedożywiona, który ją również wysterylizował.

– Określenie przedziału czasowego nam pomoże – wtrąciła Carmichael. – Ale w Nowym Jorku jest od cholery i ciut ciut weterynarzy. Mogę pomóc Peabody.

– Dobrze. Znajdziemy weterynarza, znajdziemy opiekuna lub właściciela kotki, ustalimy, w jaki sposób Cobbe dorwał zwierzę.

– Pani porucznik – odezwał się Trueheart od swojego biurka. – Możliwe, że ktoś przygarnął bezdomne zwierzę, ale wygląda mi to na działanie wolontariuszy. Są grupy i pojedyncze osoby, ratujące bezpańskie psy i koty. Szukają chętnych, gotowych zaadoptować zwierzę, albo sami je zatrzymują. Ogłaszają się w Internecie, na stronach, umieszczają zdjęcia kotów i psów.

– Zgadza się. – Reineke wcelował palec w Truehearta. – Moja siostra w ten sposób znalazła ogara. Ładny pies.

– Jest tego całe mnóstwo – dodał Trueheart. – Ale można zastosować filtry: kot, samica, przybliżony wiek. I uwzględnić czas, od kiedy była leczona.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Zrób to – poprosiła. – Peabody, skup się na szukaniu weterynarzy. Carmichael, sobie zostawiam schroniska dla zwierząt.

– Kolejny trop. Baxter i Trueheart przeszukali prostytutkę, z której usług skorzystał Cobbe w wieczór, kiedy zamordował Modesto. W jego kosmetyczce w łazience zauważyła kosmetyki do włosów i ciała. Specyfiki do włosów można kupić tylko w licencjonowanych salonach. Dupek martwi się, że wypadają mu włosy, dzięki temu zyskaliśmy kolejny trop. Roarke sprawdza teraz salony w Dublinie. Wypytywałam kilkadziesiąt w Nowym Jorku na wypadek, gdyby musiał wykonać zabieg przypominający lub kupić specyfiki.

– Poza tym szukamy jego lokum – ciągnęła. – Uwzględniając to, jak szybko wyprowadził się z hotelu, stawiamy na mety. Prywatne rezydencje, wynajmowane za opłatą dla przestępców wysokiego szczebla. Cobbe ma wśród nich kontakty, wydaje mi się, że raczej do nich się zgłosi, niż zdecyduje się na wynajem. W ciągu godziny będę miała listę.

– Potrzebuję więcej ubrań – kontynuowała. – I lubi dobre rzeczy. Reineke, Jenkinson, zacznijcie od ekskluzywnych sklepów z odzieżą męską, sprzedających wysokiej jakości odzież sportową i oferujących szybkie przeróbki krawieckie.

– Będzie mi potrzebna bielizna – dodał Jenkinson. – W prywatnych rezydencjach nie ma pralni.

– Może w rezydencji będzie android, który się tym zajmuje, ale masz rację.

Chociaż bolały ją oczy, kiedy patrzyła na krawat Jenkinsona, dokładnie mu się przyjrzała – feeria różnobarwnych gwiazd na jaskrawoniebieskim niebie.

– Może znajdziesz krawat, który nie będzie powodował chwilowej ślepoty.

Tylko wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu.

– Popelił błąd z tym kotem. Popelił błąd, wynajmując licencjonowaną prostytutkę. Popelił błąd, pokazując się Roarke'owi. I dalej będzie popełniał błędy. W przeciwieństwie do nas. Dopadniemy go.

Nim się odwróciła, żeby przejść do swojego gabinetu i wszystko spisać, Trueheart znów podniósł rękę.

– Ach, pani porucznik. Chyba znalazłem kota.

– Żarty sobie ze mnie stroisz, detektywie?

Zarumienił się aż po koniuszki uszu.

– Nie, pani porucznik! Mam roczną kotkę, pręgowaną, adoptowaną wczoraj. Przez jakiś czas publikują zdjęcia i teksty.

– Rzuć na ekran – poleciła.

Kiedy to zrobił, przyjrzała się uważnie fotografiom – dostrzegła znaczną różnicę między zdjęciem parchatego i tak, chorego na świerzb, wychudzonego kota, zrobionym cztery i pół tygodnia temu, na kolejnych prezentującego się coraz lepiej, aż po podobiznę zdrowego kota o puszystym futerku i bursztynowych oczach.

Pod każdym umieszczono krótki komentarz.

– Tu jest napisane, że znaleziono ją pięć tygodni temu – powiedział Trueheart. – Zabrano do rodziny zastępczej, do weterynarza na badania, leczenie, zastrzyki, leki, antybiotyki. Dwa tygodnie później, kiedy doszła do siebie, poddano ją sterylizacji.

– Pasuje. Pasuje jak ulał. I wczoraj, cholera, ją adoptowano. Caring Hearts Pet Rescue w SoHo. Zapisz to, Trueheart, prześlij mi nazwisko i adres rodziny zastępczej. Peabody, ze mną.

Eve była już przy schodach ruchomych, jadących w dół, kiedy dogoniła ją Peabody.

– To może oznaczać przełom w sprawie.

– I tak się stanie.

– Żal mi tej kotki. Nie powinnam była oglądać zdjęć z miejsca przestępstwa. Co za okrucieństwo.

– Zapłaci za to. Zapłaci za wszystko.

– Chciał, żebyś pomyślała, że to Galahad.

– Przez pół sekundy tak pomyślałam. Za to też zapłaci. – Wyszarpnęła komunikator. – Nazwisko i adres.

– Tara Undall, Worth dwadzieścia jeden.

– Dobra robota.

– To blisko – powiedziała Peabody, starając się dotrzymać Eve kroku.

– Jego kryjówka też będzie blisko. Po co ciągnąć kota z drugiego końca miasta? Trueheart powiedział, że jest mnóstwo takich schronisk. Cobbe poszukał takiego, które mu odpowiadało.

– A co się tyczy włosów. Naprawdę myślisz, że pójdzie do salonu w Nowym Jorku?

– Potrzebuje profesjonalnego zabiegu co trzy miesiące. Czyli wszystko zależy od tego, jak dawno miał poprzedni. Musimy dodać do listy Brukselę. Przyleciał z Brukseli.

– Trudno nadążyć za spływającymi informacjami.

– Będzie ich jeszcze więcej. Niepotrzebny nam weterynarz, więc powiedz Carmichael i Santiago, żeby przeszuchali pilotów wahadłowca, pracowników lotniska. Jeśli pojawi się coś pilnego, zajmą się tym Baxter i Trueheart.

Peabody przekazała rozkazy, kiedy szły przez halę garażową.

– O dziesiątej mamy się spotkać z inspektorem Abernathym – przypomniała jej Peabody.

– Dostanie dużo informacji, w które będzie się mógł wgrzyźć.

Tara Undall mieszkała w dwurodzinnym białym domu z niebieskimi drzwiami. Drzwi się otworzyły, zanim jeszcze Eve i Peabody zapukały.

Na progu pojawiła się około czterdziestopięcioletnia kobieta, z rudymi włosami związanymi w koński ogon, w błyszczących okularach przeciwsłonecznych, wysportowana, w rajtuzach do biegania i luźnej koszulce.

Trzymała na smyczy dwa psy, jednego małego, cętkowanego, drugiego dużego, złotego.

– Pani Undall?

– Tak. Och, przepraszam, właśnie wychodzę na spacer z psami.

Eve pokazała swoją odznakę.

– Musimy z panią porozmawiać.

Undall uniosła okulary przeciwsłoneczne, zamrugła, patrząc na odznakę.

– Mam wszystkie zaświadczenia i zgody. Czy może to poczekać?

– To pilne.

Westchnęła, a z przyległego domu – z zielonymi drzwiami – wyszła kobieta z psem.

– Dory, możesz wziąć Baby i Maxa? Dogonię cię.

- Jasne. – Dory, krótkowłosa, w czapce, różowych adidasach, podeszła do nich. – Jakiś problem?
- Później ci powiem. Mam nadzieję, że to nie potrwa długo – dodała Undall, kierując się z powrotem do drzwi.
- Rozkoszne psy – zauważyła Peabody. – Opiekuje się pani nimi?
- Undall nieco się odprężyła.
- Baby jest moja, Maxem się opiekuję. Potrzebuje miejsca do biegania i kocha dzieci. Musi mieć dużą rodzinę i duży ogród.
- Wpuściła je do skąpanego w słońcu holu, połączonego ze skąpanym w słońcu pomieszczeniem dziennym, gdzie trzy koty wylegiwały się na czymś, co przypominało obite tapicerką drzewo.
- Czy szukają panie zwierzęcia do adopcji?
- Może kiedyś.
- No dobrze, o co chodzi? Naprawdę muszę dogonić Dory, bo Max jest niesforny.
- Eve wyjęła komórkę, wyświetliła zdjęcie Cobbe'a.
- Czy zna pani tego mężczyznę?
- Przesunęła okulary przeciwśloneczne na czubek głowy, spojrzała na wyświetlacz.
- O tak, to pan Patrick. Wczoraj zaadoptował Sweetie. Miałam ochotę zatrzymać ją dla siebie, bo jest taka słodka. Ale kiedy się jest rodziną zastępczą, trzeba się umieć opierać takim pokusom.
- Nie nazywa się Patrick, pani Undall. Tylko Cobbe, Lorcan Cobbe, i jest poszukiwany przez policję.
- Dlaczego?
- Słyszała pani o kobiecie, którą niedawno zamordowano w Washington Square Park?
- Naturalnie. Podobno aresztowano jej męża.
- Owszem, za zlecenie Cobbe'owi zamordowania żony.
- Otworzyła usta i po chwili je zamknęła; cofnęła się krok.
- O mój Boże. Nie rozumiem, jak to możliwe. Zgodnie ze standardową procedurą sprawdziłam tego mężczyznę. Musiały go panie pomylić z kimś innym. Pan Patrick jest wdowcem, ma małą córkę. Adoptował Sweetie dla niej.
- Mężczyzna, który wziął kota, to Lorcan Cobbe. Jest płatnym zabójcą. Potrzebujemy o nim wszelkich informacji, jakich może nam pani udzielić.
- Pani...
- Porucznik.
- No dobrze, pani porucznik. Czemu płatny zabójca miałby adoptować kota?
- Eve postanowiła postąpić tak, jakby informowała o śmierci krewnego.
- Z przykrością muszę panią powiadomić, że Sweetie nie żyje. Zabił ją Cobbe. Szczerze pani współczujemy.
- To nieprawda. – Jej mlecznobiała cera stała się jeszcze bielsza. – Proszę tak nie mówić.
- Kiedy znów cofnęła się o krok, Peabody delikatnie wzięła ją pod ramię.
- Może usiądźmy, pani Undall?

– Nie rozumiem. – Łzy płynęły jej po policzkach, kiedy Peabody podprowadziła ją do fotela. – Nie rozumiem, jak ktoś mógł zrobić coś takiego.

– Jak panią znalazł?

– Przez stronę internetową. Och, moje słodkie biedactwo. Miała takie ciężkie życie. Skontaktował się z naszym biurem przez Internet. Sześć lat temu razem z Dory stworzyliśmy Caring Hearts. Mój mąż jest weterynarzem, bada i leczy uratowane przez nas zwierzęta. Mąż Dory jest prawnikiem, pomógł nam założyć organizację non profit.

Zamachała rękami, pokazując w ten sposób, żeby dać jej chwilkę, przycisnęła dłonie do oczu.

Jeden z kotów, o czarnej, lśniącej sierści, zeskoczył z drzewa prosto na kolana Eve. Rzucił jej przeciągle spojrzenie zielonymi, błyszczącymi oczami, obwąchał ją, trzy razy się obrócił, po czym zwinął się w kłębek na jej kolanach.

Undall uśmiechnęła się przez łzy, otarła oczy dłońmi.

– To Regal, prawdziwa królowa. Zwykle zachowuje się ze znacznie większą rezerwą wobec obcych. Mam nadzieję, że pani nie przeszkadza.

– Nie, skądże. Sama mam kota.

Który każe jej za to drogo zapłacić, pomyślała Eve.

– Och, to wszystko wyjaśnia. Wie, że jest pani swoja. Tęskni za Sweetie. Regal naprawdę polubiła Sweetie.

– Jest piękna – powiedziała Peabody. – Pani Undall, czy Cobbe przyszedł tutaj, do pani domu?

– Nie, zgłosił się do naszego biura. Kilka przecznic stąd mamy małe biuro. I w tej chwili dwanaście certyfikowanych rodzin zastępczych. Zadzwonił do biura, spytał o Sweetie, podał wszystkie niezbędne dane, wypełnił formularz on-line.

– Kiedy?

– Wczoraj po południu, chyba koło trzeciej. Rozmawiał z nim Michael, kierujący naszym biurem, a ja zgodziłam się przynieść Sweetie, żeby się mogli poznać. Był taki miły, tak łagodnie odnosił się do Sweetie. Mówił z czarującym akcentem. Wyjaśnił, że jest z Wexford w Irlandii, razem z córką przeprowadził się tutaj rok temu, po śmierci żony. Mieszkają tu jego rodzice.

Undall otarła oczy.

– Powiedział, że jego córeczka – ma dziewięć lat – natknęła się na naszą stronę internetową i zobaczyła zdjęcie Sweetie. Oświadczyła, że chce dostać na urodziny tylko Sweetie. Właśnie dziś są jej urodziny, pierwsze bez mamy, więc... Obiecał, że przyśle mi zdjęcie Sweetie ze swoją córeczką.

– Pozwoliłam mu zabrać Sweetie. Co ja zrobiłam najlepszego? – zaczęła sobie wyrzucać Undall.

– Zabrała pani chorą, głodującą kotkę do swojego domu – powiedziała Peabody. – Zaopiekowała się nią pani. I oddała komuś, kto według pani, a miała pani pełne prawo tak sądzić, zapewni jej bezpieczny, kochający dom.

– Dał mi pięćset dolarów gotówką. Opłata za adopcję wynosi tylko czterysta, pokrywa koszty leczenia, wyżywienia, pracy papierkowej. Ale oświadczył, że chce nas wesprzeć. Zapewnił mnie, że dzięki nam jego pozbawiona matki córeczka będzie bardzo szczęśliwa.

Eve nachyliła się, żeby skupić na sobie uwagę Undall.

– To kłamca, do tego dobry kłamca. Widziała pani to, co chciał, żeby pani zobaczyła. Nie może pani winić siebie za to, co zrobił. Co miał na sobie?

– Na sobie? Ach, chyba dzinsy.

– Proszę zamknąć oczy – poradziła jej Eve. – I przywołać jego obraz. Spędziła pani z nim trochę czasu, chciała go pani ocenić.

Undall zamknęła oczy.

– Markowe dzinsy. Przyjęłam darowiznę – przyda nam się – bo widziałam, że go na nią stać. Dzinsy Carbelli, dobre buty, jedne i drugie czarne. Jedwabna koszulka koloru bursztynu i czarna skórzana kurtka. Z prawdziwej skóry. Na ręku sportowy zegarek.

– Przyjechał samochodem czy przyszedł pieszo?

– Nie jestem pewna. Och, kupił transporter dla kota. Nie miał nic takiego, a my trzymamy je w biurze. Nie chciał obroży, powiedział, że zostawi jej wybór swojej córce. Wziął kosz prezentowy, jaki zwykle dajemy. Czyli miał kosz i transporter.

– No dobrze. – Eve machinalnie pogłaskała kota, mruczącego na jej kolanach. – Rozmawiała pani z nim. Powiedział, że jest z Irlandii. Czy mówiliście o tym więcej?

– Tak. Przyznałam się, że zawsze chciałam tam pojechać, a on odparł, iż ma nadzieję, że kiedyś się tam wybierę. Irlandia jest piękna, brakuje mu jej. Chociaż przeczytałam jego aplikację, spytałam, jak zarabia na życie. Wyjaśnił, że razem z żoną prowadzili hotelik, którego byli właścicielami. Dobrze im szło, ale sprzedał hotel, bo po śmierci żony stracił do niego serce. Teraz pomaga rodzicom wynajmować mieszkania dla biznesmenów.

– Mieszkania dla biznesmenów?

– Tak. Podróżujący służbowo, którzy nie chcą zatrzymać się w hotelu, mogą wynająć mieszkanie albo dom w mieście. W formularzu napisał „hotele i usługi hotelarskie dla pracowników”, więc wszystkim się zgadzało. Wygłosiłam litanię, co zrobić, żeby czworonożny lokator poczuł się dobrze w nowym domu, wśród jego mieszkańców, na temat odżywiania, wspomniałam, że kotka jeszcze przez kilka dni wymaga podawania leków. Tak na wszelki wypadek. Słuchał bardzo uważnie. Wziął lekarstwa dla niej – już nie bierze antybiotyków, ale wciąż trzeba jej podawać witaminy.

– Było widać, że go polubiła – ciągnęła Undall. – Kiedy usiadł, by wypełnić resztę dokumentów, ułożyła mu się na kolanach, zwinęła w kłębek, jak teraz Regal leży na pani kolanach. Zabrał swoje egzemplarze dokumentów i certyfikat adopcyjny, który wystawiamy. Poprosił, żeby był na Colleen, jego córeczkę. Sweetie za dwa tygodnie miała przyjść na badanie kontrolne, wziął wszystkie informacje od mojego męża.

– Ma pani podpisane przez niego dokumenty?

– Tak.

– Będą mi potrzebne.

– Mogę je ściągnąć z mojego domowego komputera. – Wstała, spojrzała smutno na Eve. – Czy cierpiała?

– Nie – skłamała Eve. – Śmierć była bardzo szybka. A teraz jest w dobrych rękach lekarza, którego przydzieliłam do tej sprawy. Jest wyjątkowo delikatny.

– Dziękuję.

Kiedy wyszła z pokoju, Peabody spojrzała na Eve.

– Perfekcyjnie to rozegrał. Zmarła żona, życzenie urodzinowe córeczki. Grał na uczuciach.

– Taak. – Eve spojrzała na kota na swoich kolanach, zastanowiła się, czy jeśli podda się dezynfekcji w kabynie odkażającej, Galahad nie poczuje od niej zapachu intruza.

Pieprzyć to.

– Cobbe nie jest głupi – ciągnęła. – I umie odczytywać ludzi. Udało mu się odczytać mnie – dodała. – Wiedział, że na chwilę wpadnę w panikę, rozwiążę ten cholerny worek przed bramą.

– Galahad jest członkiem rodziny.

To prawda, pomyślała Eve. I ten członek rodziny będzie naprawdę wkurzony, kiedy wyczuje od niej zapach innego kota.

Undall przekazała im dokumenty i wyszła razem z nimi.

– Muszę powiedzieć Dory. A także Michaelowi i całej reszcie. Mam...

Urwała, westchnęła głęboko.

– Mam nadzieję, że go złapiecie. Mam nadzieję, że resztę życia spędzi za kratkami. Bo to potwór.

– Zgadza się – mruknęła Eve, wsiadając do samochodu. – Wyszedł z kotem w transporterze, kosztem podarunkowym, lekami, dokumentami. Nie mógł być pieszo, chyba że mieszka w promieniu paru przecznic stąd.

Rozważała, czy nie zacząć wypytywać okolicznych mieszkańców, ale musiała przygotować się na przyjazd Abernathy'ego.

– Zlecę kilku mundurowym, by przeczesali okolice, pokazując zdjęcie Cobbe'a – zwróciła się do Peabody. – Niech sprawdzą parkingi i garaże. Może nam się poszczęści.

Po powrocie do komendy kazała Peabody poinformować pracowników wydziału o najnowszych ustaleniach. Przed spotkaniem z Interpolem musiała uporządkować nowe dane, nowe tropy i je spisać.

Przypuszczała, że Whitney zorganizuje spotkanie w swoim gabinecie, ale potem przemyślała to i wysłała do komendanta notatkę.

Panie komendancie, za pana zgodą chciałabym się spotkać z inspektorem Abernathym u siebie w wydziale, żeby mu przedstawić swoich ludzi i pokazać ich zaangażowanie w to śledztwo. Uważam,

że moi podwładni nie powinni być pominięci.

Wysłała notatkę, a potem zaczęła porządkować zapiski, by sporządzić raport. Ledwo zaczęła, kiedy przyszła odpowiedź od Whitneya.

Zgoda. Dziesiąta zero zero.

Świetnie. Wspaniale. Kurde.

– Peabody! – zawołała, nie przestając pracować.

Usłyszała szybki tupot nóg w różowych botkach.

– Tak jest, pani porucznik!

– Zmiana miejsca spotkania. Whitney przyprowadzi Abernathy’ego do nas. Poinformuj wszystkich. Wyświetl tablicę śledztwa na ekranie, żebym ją mogła uaktualnić.

– Zrozumiałam.

Eve dokończyła raport, wysłała go. Wstała, żeby nalać sobie kawy, stwierdziła, że Roarke’owi zostało jeszcze trochę czasu na odnalezienie salonu w Dublinie. Ale musi się do tego włączyć.

Postawiła kawę na biurku. Nim rozpoczęła poszukiwania, jej komórka zabrzęczała, a komputer zaszyfrował nową wiadomość w poczcie.

Zobaczyła na wyświetlaczu nazwisko Roarke’a.

– Gadaj – rzuciła do słuchawki.

– Style and Substance Salon and Spa. Jego włosami zajmuje się Milo Cummings. Skórą Genita O’Brian. Paznokciami Breen Casey. Reszta w notatce, którą ci właśnie wysłałem. Ostatnia wizyta z pełnym zakresem usług pięć tygodni temu.

Wykonała w duchu triumfalny taniec.

– Nie sądziłam, że tak szybko to ustalisz.

– Czuję się dotknięty.

– Poważnie, Roarke, to kolejna żyła złota. Ile cię to kosztowało?

Tylko się uśmiechnął.

– Niektóre rzeczy nie mają ceny. Zwrócisz się do miejscowych policjantów, żeby przesłuchali personel salonu?

– Najpierw sama chcę z nimi porozmawiać. Może nie zdąży skontaktować się z nimi wszystkimi przed spotkaniem z Abernathym, ale w pierwszej kolejności wezmę na spytki faceta od włosów. A teraz w telegraficznym skrócie – znaleźliśmy kota. Znaczą się, skąd Cobbe wziął kota.

– Nie tylko ja szybko pracuję.

– Właśnie wysłałam aktualny raport. Zawiera wszystko. Muszę kończyć, ale klecimy porządną skrzynię. I niebawem Cobbe się w niej znajdzie.

– Ufam, że tak się stanie. Wkrótce wyślę ci listę potencjalnych kryjówek Cobbe’a. Powodzenia na polowaniu, pani porucznik.

– Nawzajem.

Rozłączyła się, wyświetliła wiadomość od męża. Zawierała wszystkie szczegóły. Facet jest dokładny. Skontaktowała się z pierwszą osobą.

Pięć minut przed dziesiątą wkroczyła do sali swojego wydziału, wręczyła Peabody dysk.

– Więcej nowych ustaleń. Spisz je później, ale wyświetl to. Słuchajcie! – zwróciła się do wszystkich obecnych. – Cokolwiek jecie, odłóżcie to. Kto ma ochotę na kawę, niech jej sobie teraz naleje. Bądźcie przygotowani do zreferowania tej części śledztwa, za którą odpowiadacie, poinformowania o postępach lub ich braku. Jeśli podczas tego spotkania otrzymamy zgłoszenie o jakimś zabójstwie, zajmą się nim Reineke razem z Santiago. Chcę, żeby jeden członek każdego zespołu był tu przez cały czas.

– Cholera jasna, Dallas. – Peabody przerwała uaktualnianie tablicy. – To mega informacje.

– Tak jest. Zgadza się. Pokażemy Interpolowi, jak nowojorska policja łapie złych facetów.

– Tak, kurde – powiedział Baxter. – Witam, doktor Miro.

Eve odwróciła się, kiedy weszła Mira.

– Niech ktoś poda krzesło doktor Mirze.

– Nie trzeba. – Mira podeszła do tablicy, żeby jej się uważnie przyjrzeć. – Fascynujące – zamruczała.

Ponieważ Eve naprawdę nie wierzyła, by ktokolwiek mógł długo stać, mając na nogach cieniutkie szpilki ozdobione eleganckimi kokardkami, skinęła ręką, by podano krzesło.

Następnie pojawili się Feeney, McNab i Callendar. Feeney wsunął ręce do wypchanych kieszeni szraczkowatego garnituru i dołączył do Miry, studiującej tablicę.

Eve pomyślała o logistyce, przyznała, że sala konferencyjna byłaby lepsza. Ale do diabła z tym. Jej dom, jej teren.

Peabody, uporawszy się z tablicą, podeszła do Eve, trzymając w ręce wskaźnik laserowy.

– Może ci się przydać.

– Racja. – Wsunęła go do kieszeni marynarki.

Wszedł Whitney. Towarzyszył mu mężczyzna, stanowiący jego przeciwieństwo: szczupły, drobny, pod pięćdziesiątkę. Z metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, sześćdziesiąt kilka kilogramów wagi, według oceny Eve. Rasy mieszanej, o ciemnobrązowej skórze, wydatnych kościach policzkowych i ogromnych oczach. Bursztynowych, jak zabitej kotki.

Miał na sobie idealnie odprasowany płowozółty garnitur, świeżo uprasowaną koszulę w drobną niebiesko-różową kratkę, róż był prawie w tym samym odcieniu, co eleganckie kokardki przy szpilkach Miry. Starannie zawiązany różowy krawat. I poszetkę w tym samym kolorze.

W rękę trzymał czarną teczkę.

– Porucznik Dallas, inspektor Abernathy z Interpolu – przedstawił ich sobie Whitney.

– Bardzo mi miło panią poznać, pani porucznik.

Miał głęboki, lekko soczysty ton głosu brytyjskiej klasy wyższej.

– Witamy w Nowym Jorku, panie inspektorze – powiedziała Eve, kiedy ściskali sobie dłonie. – Moja partnerka, detektyw Peabody. – Po kolei przedstawiła wszystkich obecnych. – Nasze wsparcie mundurowe, dowodzone przez funkcjonariusza Carmichaela.

Następnie przedstawiła Mirę i ekipę z wydziału informatyki śledczej.

– Naprawdę bardzo się cieszę, że będę mógł w wasi współpracować. Mam nadzieję, że uda mi się zdobyć więcej sprawdzonych informacji o Lorcanie Cobbe. Bazując na faktach, które o nim zgromadziliśmy, śmiem twierdzić, że byłoby sprzeczne z jego zwyczajem, gdyby pozostał w Nowym Jorku dłużej niż kolejne dwadzieścia cztery godziny. Mamy więc dość mało czasu.

– Nigdzie się nie wybiera – oświadczyła beznamiętnie Eve. – Ma tu do osiągnięcia bardziej długofalowy cel. Wyliminować Roarke’a.

– Rozumiem, że chowa urazę do Roarke’a, wyliminowanie go dałoby satysfakcję komuś o upodobaniach i naturze Cobbe’a, ale Cobbe wie, że osiągnięcie tego celu wymaga starannego przygotowania, zebrania sporej ilości informacji. Według naszej analizy poświęci następnym dzień lub jego część na dalsze gromadzenie informacji na miejscu, a potem będzie to kontynuował gdzieś indziej.

– Wasza analiza jest błędna. To nie uraza. To misja. Doktor Miro.

– Tak. – Mira przeszła przez pokój i pośpiesznie przedstawiła sporządzony przez siebie profil Cobbe’a. Abernathy pilnie słuchał, aż skończyła.

– Pani doktor, zdaję sobie sprawę z pani umiejętności, wiem, jaką się pani cieszy opinią, i zgadzam się z nią. Ale zajmuję się Cobbe’em od kilku lat. Jest wyszkolonym, pragmatycznym profesjonalnym zabójcą, dysponującym znacznymi środkami. Może zacześć.

– Mógłby – powiedziała Mira. – Powinien. Ale tego nie zrobi. Jego obsesja na punkcie Roarke’a i Particka Roarke’a nie ma w sobie nic pragmatycznego, profesjonalnego. Wzorzec, o którym pan wspomniał, nie ma tu zastosowania. Tworzy zupełnie nowy, wysoce osobisty, emocjonalny. Przustudowałam akta, panie inspektorze. Cobbe popełnił więcej błędów w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin niż przez dwadzieścia lat. Dla niego to kwestia pierworództwa. Jego tożsamości.

– Brak jakichkolwiek dowodów, że Patrick Roarke był biologicznym ojcem Cobbe’a.

– Zgoda, ale Cobbe w to wierzy. I to go napędza. Już wcześniej próbował zabić Roarke’a, ale mu się to nie udało. Ego, tożsamość, gniew – i fakt, że zobaczył Roarke’a na miejscu ostatniego popełnionego przez siebie zabójstwa – wszystko to przesłania w tej chwili jego profesjonalną ocenę.

Abernathy zmarszczył brwi i uniośł rękę.

– Nie mamy żadnych informacji o jego próbach zabicia Roarke’a.

– Teraz już macie. Przygotowaliśmy dla pana obszerny raport, ale przedstawię to w skrócie – odezwała się Eve i zaczęła od wieczoru, kiedy Cobbe po raz pierwszy stanął przed Patrickiem Roarkiem.

– Obszerniejsze informacje są w aktach – podsumowała Eve. – Jeśli chodzi o bieżące śledztwo, jeden z jego zlecieniodawców został aresztowany, ustaliliśmy również, gdzie Cobbe ma konta bankowe.

– Tak, jedno i drugie bardzo nam pomogło. Obserwujemy wszelkie operacje na tych rachunkach i zamrozimy je, kiedy potwierdzimy, że Cobbe opuścił Nowy Jork. To mu zaburzy zwykły rytm życia. A lubi wygodne życie.

– Dlatego między innymi zatrzymał się na krótko w apartamencie na ostatnim piętrze w Parkview Hotel i skorzystał z usług luksusowej licencjonowanej prostytutki w wieczór, kiedy zabił Modesto

i zobaczył Roarke'a. Baxter?

– Pani porucznik. – Baxter poruszył się na swoim krześle. – Na polecenie pani porucznik razem ze swoim partnerem przystąpiliśmy do szukania hotelu, w którym zatrzymał się Cobbe, i znaleźliśmy go. Przesłuchaliśmy pracowników, obejrzelśmy nagrania z kamer. Ich kopie są w aktach.

Kiedy Baxter referował swoje ustalenia, Abernathy rozejrzał się, usiadł na wolnym krześle. Wyjął notes i zaczął zapisywać najistotniejsze punkty.

– Wiemy, że korzysta z usług licencjonowanych prostytutek. Ale wszystkie, które do tej pory zidentyfikowaliśmy i przesłuchaliśmy, twierdziły, że spotkały się z nim w pokoju hotelowym – nijakim, w hotelach dla biznesmenów, w których zwykle zatrzymuje się tylko w tym celu. Nie przyjmuje ich tam, gdzie mieszka.

– Był wkurzony – powiedziała Eve. – Nabuzowany. Nie zastosował zwykłych środków ostrożności. Kontynuuj, Baxter.

Abernathy znów zaczął notować. Nagle przerwał, uniósł wzrok.

– Środki przeciw wypadaniu włosów? Zostawił je na widoku, pozwolił prostytutce skorzystać z łazienki, gdzie je zostawił?

– Był wkurzony – powtórzyła Eve. – I już szykował się do opuszczenia hotelu. Wykonał zlecenie zabicia Modesto. Przestał sobie tym zaprzątać głowę. Myśli o swoim świętym Graalu.

– Wielce niefrasobliwe – mruknął Abernathy. – Wielce niefrasobliwe. Z pewnością da się ustalić, skąd bierze te specyfiki.

– Już to zrobiliśmy – powiedziała Eve i wyciągnęła wskaźnik laserowy. – Mamy to na tablicy. Salon, z którego usług regularnie korzysta w Dublinie, to Style and Substance, kierowany przez Carleen Digby i Aidana Pierce'a. Rozmawiałam z Digby, która zidentyfikowała Cobbe'a na podstawie zdjęcia. Cobbe korzysta z usług salonu i spa, posługując się nazwiskiem Niall Patrickson.

– Nie znalśmy tego fałszywego nazwiska.

– Teraz już znacie. – O tak, musiała przyznać, że czuła satysfakcję, zasypując Interpol faktami, które zgromadzili. – Rozmawiałam z trojgiem ich pracowników – od włosów, skóry i paznokci – mam ich oświadczenia. W skrócie, jest uprzejmy, kapryśny, wymagający, daje spore napiwki, nie lubi rozmawiać. Od blisko roku poddaje się zabiegowi przeciw wypadaniu włosów, przeprowadzanemu przez licencjonowanego pracownika co trzy miesiące.

– Szlag by to trafił – wymamrotał Abernathy, wstając, by podejść do tablicy. – Cholerny dzienny salon odnowy biologicznej? Regularne wizyty?

– Próżność – odpowiedziała Mira. – Ego, arogancja. Uważa siebie za niezwykłego.

– Szukamy tu salonów, oferujących takie same zabiegi, stosujących te same produkty – dodała Eve. – Zostało mu jeszcze wiele tygodni do następnego zabiegu, ale może będzie musiał dokupić specyfiki z uwagi na to, że przedłużył swój pobyt.

– Nic o tym nie wiedziałem, ale to bezcenne informacje. Cholernie dobra policyjna robota. Czy poinformowano policję w Dublinie?

– Jeszcze nie.

– Pozwoli pani, że zamelduję o tym swoim przełożonym, poprowadzę ten wątek dochodzenia od tego miejsca?

– Proszę bardzo.

– Dziękuję. Jestem pod wrażeniem. – Odwrócił się do Eve z szerokim uśmiechem na twarzy, co ją utwierdziło w przekonaniu, że nie będzie próbował odebrać im śledztwa. – Aż mnie zatkało.

Znów spojrzął na tablicę, zmarszczył czoło.

– Kotka?

– Zgadza się. – Gdy Eve mu o tym opowiedziała, Abernathy przesunął dłonią po krótko ostrzyżonych włosach.

– To do niego niepodobne. – Abernathy zaczął chodzić tam i z powrotem, kręcąc głową. – Zabijanie zwierząt jest do niego niepodobne. I zrobić to, kiedy nie ma to związku z innym zabójstwem? Zdecydować się na taki krok, poświęcić czas, ryzykować zdemaskowanie, a wszystko po to, żeby zadzwic? Muszę... – Abernathy zatoczył ręką koło w powietrzu. – Pomyśleć. Gdybym mógł... zastanowić się, przejść się. Zauważyłem automat. Kupię kawę, pomyślę.

– Odradzam kawę z automatu. Peabody.

– Jaką kawę pan pije? – spytała Peabody.

– Z czymś, co uchodzi za śmietankę, i kostką tego, co uchodzi za cukier. Dziękuję. Chcę...

Wyszedł na korytarz.

Baxter uniósł swój komunikator.

– Jest coś nowego, Dallas.

– Tu już skończyłeś, więc zajmij się tym. Santiago.
– Pracuję z tobą, Baxter.
– Dobra robota, Dallas – pochwalił ją Whitney. – Nie widziałem pani najświeższego raportu.
– Trueheartowi należy się uznanie za szybkie ustalenie faktów dotyczących kotki. Podobnie jak Morisowi, Harvo i Berenskiemu. Cywilny konsultant znalazł salon.

– Dobra robota.
– Dziękuję, panie komendancie. Feeney, poinformuj inspektora o wkładzie wydziału informatyki śledczej w to dochodzenie. Jenkinson powie, co ustalił, Carmichael też. Jeśli Abernathy będzie miał potem jakieś pytania, odpowiemy na nie.

Wrócił Abernathy, wziął od Peabody kolejną kawę.

– Dziękuję, pani detektyw. Przepraszam, musiałem oczyścić umysł, przyswoić sobie to wszystko. Od prawie sześciu lat zajmuję się Cobbe'em. Raz czy dwa byłem blisko jego schwytania. Ale nigdy nie widziałem tylu przełomów w sprawie, tylu błędów Cobbe'a do wykorzystania.

– Tym razem to dla niego sprawa osobista – powtórzyła Mira. – A nie zlecenie.

– Przekonała mnie pani. Zachowuje się zupełnie nietypowo dla siebie. Zupełnie, jakby doznał załamania psychicznego.

– Zgadza się – potwierdziła Mira.

Abernathy skinął głową. Napił się kawy.

– To nie pierwsza moja wizyta w Stanach czy w Nowym Jorku. Muszę powiedzieć, że kawa poprawiła się ogromnie.

Znów usiadł.

– Chociaż zgromadziliśmy sporo informacji o przeszłości Cobbe'a, cofając się do jego początków w Dublinie, nie znaleźliśmy tych konkretnych faktów o jego stosunkach z Roarkiem. Nie w takim zakresie, nie tak szczegółowych.

Spojrzał na Eve.

– Szczegóły o przeszłości pani męża są jak białe kruki.

– Jak co?

– Rzadkie. Rzadkie jak białe kruki. Zastanawiam się, czy zgodziłby się na rozmowę ze mną.

– Decyzja należy do niego. Tak czy owak, informacje od niego, dotyczące Cobbe'a, są w aktach. –

Odrwała się do Feeneya. – Panie kapitanie, proszę poinformować inspektora o tym, co ustaliliście.

Abernathy słuchał, robił notatki, zadawał pytania. Eve doszła do wniosku, że nie jest głupi. Co więcej, nie dostrzegła u niego instynktu terytorialnego w stopniu, który zagroziłby jej śledztwu.

Na koniec Abernathy znów wstał.

– Chciałbym wszystkim podziękować za udzielenie mi pełnych informacji. Komendancie Whitney, powtórzę, że jestem gotów do pełnej współpracy i przekazania wszelkich moich środków na potrzeby tego śledztwa.

– I wzajemnie – zapewnił go Whitney. – Kazałem przygotować dla pana gabinet na tym piętrze. Porucznik Dallas przydzielił panu mundurowego do pomocy.

– To bardzo uprzejme z pana strony, ale zastanawiam się – jeśli to nie będzie kłopot – czy nie znalazłoby się dla mnie biurko tutaj, w sali wydziału zabójstw. Pomogłoby mi to wejść w rytm, że się tak wyrażę.

– Jak pan woli – odparł Whitney.

– Wolałbym, o ile porucznik Dallas wyrazi zgodę – powiedział Abernathy.

– Nie ma sprawy – odezwała się Eve.

– Zajmę się tym – oświadczył Whitney. – Jeśli będzie pan miał jakieś życzenia, zna pan numer mojego telefonu. Gratuluję wszystkim świetnej roboty – zwrócił się do obecnych. – Doskonała, rzetelna robota. Trzymać tak dalej.

– Imponujący człowiek – zauważył Abernathy, kiedy Whitney wyszedł. – Kapitanie Feeney, mam pytanie: kiedy się trochę zadomowię, rozeznam, co i jak, czy mógłbym zajrzeć do wydziału informatyki śledczej? Chciałbym zobaczyć, jak pracujecie.

– Drzwi do nas są zawsze otwarte.

– Świetnie. Pani porucznik, czy mogę pani zająć jeszcze trochę czasu?

– Jasne. Feeney, jak tylko dostanę więcej informacji o potencjalnych kryjówkach, przekażę ci je. Trzeba je będzie przeskanować kamerą na podczerwień.

– Jesteśmy gotowi w każdej chwili.

– Zapraszam do mojego gabinetu – powiedziała Abernathy'emu i ruszyła przodem.

Wszedł do jej pokoju i się rozejrzył.

– Jak... przytulnie.

– Wcale nie, ale odpowiada mi to. Co mogę dla pana zrobić, panie inspektorze?

– Mam nadzieję, że jest sporo rzeczy, które możemy zrobić dla siebie nawzajem i to zrobimy. Jestem pani gościem, pani porucznik, i chcę podkreślić, że w pełni akceptuję, że to pani kieruje śledztwem. To będzie i musi być wspólne śledztwo, ale jesteśmy na pani terenie.

Wskazała tablicę.

– Nie ma dość miejsca na uwzględnienie tutaj wszystkich jego ofiar. Mam cztery, które zabił w Nowym Jorku, pięć wliczając kotkę, którą pokroił. W tych sprawach mam większe szanse na ustalenie co i jak. Ale policja nowojorska i mój wydział czują się odpowiedzialni za oddanie sprawiedliwości wszystkim czterystu czterdziestu pięciu ofiarom.

– Znam twarze innych jego ofiar, szczególnie tych, które zabił, kiedy rozpocząłem polowanie na niego. Dwa lata temu w Berlinie niemal go dopadłem. Uważam, że spóźniłem się o niecałą godzinę. Uciekając przed nami, wyjechał z miasta ze zwłokami trzydziestosześcioletniej matki dwójki dzieci w bagażniku jej własnego samochodu.

Eve nic nie powiedziała, kiedy Abernathy podszedł do pojedynczego, wąskiego okna, by przez nie wyrzeź.

– Doszło do przecieku, media doniosły, że jesteśmy bliscy ujęcia podejrzanego o zamordowanie czołowego przemysłowca. Zamiast skorzystać z zarezerwowanego wcześniej prywatnego wahadłowca, Cobbe zabił Ingrid Frederick, która się zatrzymała, by odebrać tort urodzinowy dla swojej młodszej, czteroletniej córki. Nie daje mi to spokoju.

– W moim wydziale nie ma przecieków, o ile nie wyrażę na nie zgody.

– Domyślam się. Proszę mnie dobrze zrozumieć – dodał. – Dla mnie to nie jest zwykłe śledztwo, zwykła sprawa. Może powinno tak być, ale już od dawna tak nie jest. Nie zależy mi na tym, żeby kierować dochodzeniem, żeby doczekać się uznania. Chcę powstrzymać Cobbe'a. Chcę, żeby zapłacił za to, co zrobił.

– W takim razie mamy wspólny cel.

– Lecąc tutaj, zebrałem trochę informacji o pani, więc wierzę, że tak jest. Chciałem, żeby znała pani moje stanowisko. Poza tym chciałem spytać, czy przekazać pani Roarke'owi moją prośbę o rozmowę z nim. W ciągu kilku ostatnich godzin poznałem nowe fakty o dzieciństwie Cobbe'a. Naturalnie zdawaliśmy sobie sprawę z obsesji – nie uważam, że to zbyt mocne słowo – Cobbe'a na punkcie Patricka Roarke'a. Część informacji była potwierdzona, część to były nasze spekulacje. Ale nie wiedzieliśmy, że Cobbe i syn Patricka Roarke'a znali się osobiście.

– Jest to szczegółowo opisane w aktach. Nie wiem, co Roarke może do tego dodać. Ale przekażę mu pańską prośbę.

– Dziękuję. Jeśli będzie pani miała jakieś pytania do mnie, będę tuż obok. I jeśli dowiemy się czegoś więcej od pracowników salonu, pani dowie się o tym jako druga po mnie. Mam nadzieję, że jako jeden z pierwszych zostanie poinformowany, kiedy ustalicie prawdopodobne kryjówki Cobbe'a w Nowym Jorku.

– Tak.

– Pozwolę pani teraz wrócić do pracy.

– Panie inspektorze – powiedziała, kiedy skierował się do wyjścia. – Wierzę, że pragnie pan sprawiedliwości dla Ingrid Frederick i wszystkich pozostałych. Jeśli spróbuje pan przesłuchać Roarke'a, popełni pan błąd.

Skinął głową.

– Przyjąłem do wiadomości.

Z uwagi na obecność gościa w sali jej wydziału, Eve zamknęła drzwi, nim wyjęła swoją komórkę.

Gdy Roarke odebrał, usłyszała gwar głosów, jakieś podniecone piski, coś, co przypominało szybki tupot wielu nóg, nim udało mu się wejść do jakiegoś pomieszczenia i zamknąć za sobą drzwi.

– Gdzie jesteś? – zapytała.

– W An Didean. Wszystko idzie jak w zegarku.

– Odniosłam wrażenie, że doszło do zamieszek.

– Zdaje się, że dzieci w grupie są bardzo hałaśliwe. I w tej chwili rozentuzjzmowane, chociaż niektóre udają znudzenie tym wszystkim.

– Wyglądasz na szczęśliwego.

– Trudno nie być szczęśliwym. Mam nadzieję, że uda ci się tu wpaść. To coś wyjątkowego zobaczyć na własne oczy, poczuć, jak pojawiła się tu pierwsza grupa kilkanaściorga dzieci. Coś zupełnie wyjątkowego.

– Na pewno jest głośno.

Uśmiechnął się.

– Niewątpliwie. No więc spotkałaś się z Abernathym?
– Tak. Jest w porządku. Właśnie wybiera sobie biurko w sali mojego wydziału.
Roarke uniósł brwi.
– W sali twojego wydziału?
– Sam tego chciał. Zobaczymy, jak to się sprawdzi, ale na razie, jak powiedziałam, jest w porządku.
Chce z tobą porozmawiać.
– Inspektor Interpolu chce z mną porozmawiać. No cóż, jestem zaszokowany i zaskoczony.
– No właśnie. Chodzi oczywiście o twoją znajomość z Cobbe'em. Widzę, jak próbuje dopasować nowe informacje do tego, co wiedział wcześniej, przekonać się, jaki obraz może teraz stworzyć. Jeśli nie jesteś zainteresowany, sprzeciwię się. Chcę tylko powiedzieć, że próba przyskrzynienia cię nie jest teraz dla niego priorytetem. Nie mogę tego gwarantować, ale tak to odbieram.
– Na ogół ufam ci w takich sprawach. Powiedz mi jeszcze coś. Czy uważasz, że moja rozmowa z nim coś doda, pomoże ci dopaść Cobbe'a?
– Nie wiem. – Ale im więcej informacji, tym lepiej, pomyślała. – Być może.
– Dobrze w takim razie. Zobaczę, co się da zrobić.
– Świetnie. A na razie może przekazałbyś mnie i Feeneyowi listę kryjówek, którą sporządziłeś. Feeney i jego wydział informatyki śledczej mogą je sprawdzić, korzystając z kamer termowizyjnych. Może dzięki temu uda im się kilka wyeliminować.
– Miałem nadzieję, że do tej pory zdołam więcej wykreślić.
Doskonale wiedziała, jak to jest, kiedy trzeba robić kilka rzeczy naraz. I Boże, chciała mu dać trochę wytchnienia.
– Tam, gdzie teraz jesteś, też cię potrzebują. Możemy sami się tym zająć.
– W porządku.
– I wstąpię do szkoły. – Życie ma znaczenie, pomyślała, w przeciwnym razie, jaki jest sens tego wszystkiego? – Nawet jeśli dopiero w drodze do domu, na pewno tam wstąpię.
– Poinformuj mnie, kiedy. Spróbuję się z tobą spotkać. Kocham cię, Eve.
– Tak, tak. Ja też cię kocham i co tam się jeszcze mówi.
Uśmiechnął się, westchnął.
– Musiałem to powiedzieć. Stwierdziłem, że kiedy tu jestem, znajduję się na granicy dwóch różnych części mojego życia. Z Cobbe'em, moim starym i przykrymi wspomnieniami z Dublina po jednej stronie, i wszystkimi tymi dziećmi, potencjałem tej szkoły z drugiej strony. I z tobą, moja najdroższa Eve, tuż obok mnie. Dlatego cię kocham.
Boże, rzeczywiście potrzebował chwili wytchnienia.
– Jestem z tobą. Wróć do bycia szczęśliwym.
Rozłączyła się i siedziała przez chwilę, mając nadzieję, że nie popełnia błędu, jeśli chodzi o Abernathy'ego.
Potem wstała, otworzyła drzwi. Nim usiadła, nalała sobie kolejną kawę.
I kontynuowała polowanie.

Roarke spędził jeszcze chwilę za zamkniętymi drzwiami schowka. Obecnie jedyne spokojnego miejsca w An Didean.

Chociaż chciał – i zamierzał – poświęcić jeszcze przynajmniej godzinę na szukanie kryjówek Cobbe'a, to ten ważny dla nowej placówki dzień pochłonął mu wiele czasu.

Zostawił więc gliniarzom, przynajmniej póki nie będzie miał mniej zajęć. I przekaże Eve to, co już ma.

Kiedy wyszedł na korytarz, irytacja spowodowana brakiem czasu minęła mu jak ręką odjął. Obserwował uczniów, jak pod opieką personelu oglądają pomieszczenia klasowe, zadają pytania, rozmawiają ze sobą.

Najpierw zaprosili uczniów starszych klas, więc w budynku roilo się od nastolatków. Większość trafiła tu indywidualnie – ze schronisk, innych szkół, domów przeżywających trudności, rodzin zastępczych. Niektórych skierował wydział opieki społecznej. Ale widział, jak już tworzyły się małe grupki.

Trzy chichoczące dziewczyny, dwaj chłopacy, kręcący się w pobliżu z nonszalanckimi minami, udający, że nie widzą chichoczących dziewczyn.

Przypuszczał, że większość znalazła się tutaj, bo nie miała innego wyboru. I miał nadzieję – musiał mieć nadzieję – że sporo z nich znajdzie tu coś, co ich zainteresuje, pobudzi ich wyobraźnię, wyzwoli talenty, nada ich życiu jakiś sens.

Czas pokaże.

Usłyszał muzykę dobiegającą z sali muzycznej, skierował się w tamtą stronę, spodziewając się, że zastanie tam jednego z instruktorów muzyki, zabawiającego dzieciaki.

Ale ujrzał czternastoletniego chłopaka grającego tak, jakby urodził się z gitarą w rękach.

Stał na szeroko rozstawionych nogach, blond włosy z czarnymi pasemkami wpadały mu do oczu. Palcami szybko przesuwał po strunach, wykonując skomplikowany riff.

Na widok Roarke'a z twarzy chłopca zniknął uśmiech, jego palce znieruchomiały.

– Nie uszkodziłem jej.

– Wprost przeciwnie – powiedział Roarke, wchodząc do sali. – Rozświetliłeś ją. Grałeś cudownie – dodał, kiedy dostrzegł zmieszanie chłopaka. – Gdzie się nauczyłeś tak grać?

Chłopak wzruszył ramionami, odrzucił jasną czuprynę z pasemkami.

– Tak sam z siebie. Można nieźle zarobić, grając w metrze, jeśli się wybierze odpowiednią stację. I świetnie sobie radziłem, póki mnie nie zgarnęli.

– Wyobrażam sobie. – Kiedy chłopak odłożył gitarę z powrotem na stojak, Roarke lekko się przesunął, żeby zagrozić mu drogę. – Co sądzisz o Avenue A?

Prychnął, znów wzruszył ramionami. Ale w jego oczach pojawił się błysk zainteresowania.

– Potrafią nieźle wrzeszczeć, jak na dinozaurów.

– Jake Kincade będzie tu gościnnie uczył od czasu do czasu.

– Taaa, akurat. Jakby gwiazda rocka nie miała w dupie tego wszystkiego, nas wszystkich.

– Tak się składa, że nie ma w dupie. Od czasu do czasu będzie prowadził zajęcia muzyczne i rozmawiał z zainteresowanymi pisaniem piosenek, komponowaniem. Członkowie jego zespołu też poświęcą im trochę swojego czasu.

– To czadowo.

– A co sądzisz o Mavis Freestone?

Chłopak miał zielone oczy, ostre jak kawałki szkła.

– Jak na dziewczynę, potrafi nieźle rozkręcić publikę.

– Też ją tu czasem spotkasz, bo nie wątpię, że zapiszesz się na kurs muzyki.

Chłopak pogardliwie skrzywił usta.

– Nie potrzebuję żadnych pieprzonych lekcji.

– Może one potrzebują ciebie. Masz w pokoju swoją gitarę?

– Już nie mam gitary. – Roarke dosłyszał żal w beczelnych odzywkach chłopaka. – Rozwalił ją dupek z gównianej rodziny zastępczej, w której mnie umieścili, zanim przysłali tutaj.

– Rozumiem. No cóż, nie jesteś już w gównianej rodzinie zastępczej, chociaż wyobrażam sobie, że tutaj też natkniesz się na kilku dupków. Świat jest ich pełen.

Chłopak odruchowo zadrżał, słysząc to.

– Roarke – przedstawił się Roarke, wyciągając rękę.

Młody najwyraźniej nie miał ochoty jej uścisnąć, ale zrobił to.

– Gee. Po prostu Gee.

– No cóż, po prostu Gee. – Roarke zdjął gitarę ze stojaka, podał mu ją. – W takim razie weź tę. Jest twoja, jeśli zapiszesz się na zajęcia muzyczne. To uczciwa propozycja – dodał Roarke, kiedy Gee się zawałał.

– Powiedzą, że ją ukradłem, i wykopią mnie.

– Jeśli nie jesteś kompletnym dupkiem, wiesz, z kim rozmawiasz. Daj mi słowo, że zapiszesz się na zajęcia, a jest twoja. Nikt cię nie oskarży o jej kradzież.

– Dlaczego? – W jego przenikliwych oczach pojawiła się podejrzliwość, chłopak wsadził ręce do kieszeni. – Chcesz, żeby ci obciągnąć?

– Chryste, czy wyglądam na takiego, który nagabuje nieletnich chłopaków, by sobie dogodzić?

Gee wytrzymał spojrzenie Roarke'a.

– Wielu to robi, chociaż nie wyglądają na takich.

– Właściwie masz rację. Zapisz się na zajęcia, weź gitarę, tylko tego od ciebie wymagam. Zgódź się, Gee. To uczciwy interes.

Ponieważ chłopak nadal się wahał, Roarke wyjaśnił:

– W moim życiu też były czasy, kiedy nikt mi niczego nie proponował poza twardą ręką. Potem ktoś taki się znalazł i to odmieniło całe moje życie. Weź gitarę, zapisz się na zajęcia, daj szkole szansę. Przekonaj się, dokąd cię to zaprowadzi.

– Mogę ją tak po prostu zatrzymać?

– Tak. Zadbam o to, żeby pani Pickering i reszta personelu wiedzieli, że należy do ciebie.

– No... Dobra. – Gee wyjął ręce z kieszeni, ujął gitarę, przesunął palcami wzdłuż szyjki. – Będę ją mógł zatrzymać, jak mnie wykopią?

– Jest twoja – powtórzył Roarke. – I nie daj się wykopać – dodał, kierując się do wyjścia.

Ledwo wyszedł za próg, a muzyka znów rozbrzmiała.

Odszukał Rochelle, żeby jej powiedzieć o gitarze i chłopaku.

– Gee. – Rochelle, w dzinsach i swetrze koloru brzoskwinii, wybranych, by nadać temu dniu bardziej nieformalny charakter, sprawdziła w swoim palmtopie. – To z pewnością Gregg Harding – mam tu miniaturki.

Roarke uśmiechnął się do niej.

– No jasne.

– Czternaście lat. Ojciec nieznany, matka... Liczne pozwy za brak zainteresowania dzieckiem, zękanie się nad nim, zrezygnowała z praw rodzicielskich, kiedy syn miał jedenaście lat. Rodziny zastępcze, ucieczki. Jakieś pięć miesięcy temu wydział opieki społecznej znów go złapał. Jego opiekun poważnie się nim zajął, nalegał, żebyśmy go przyjęli. Mogę sprawdzić akta, żeby poznać więcej szczegółów.

– Mnie to niepotrzebne. Przypilnuj tylko, żeby dotrzymał warunków umowy. Dostarczę nową gitarę.

– To należy do naszych obowiązków. I tak kupimy ją za twoje pieniądze. Zajmę się tym. – Odłożyła palmtop. – To dobry dzień, Roarke.

– Chyba tak.

– I to będzie dobry tydzień, dobry początek. Jutro pojawią się uczniowie środkowych klas, a po nich – najmłodszy. Jestem bardzo dumna z tego, że stanowią tego część. Zmieniamy tutaj ich życie, wierzę, że niektórym je ratujemy.

On też tak uważał.

Nim odjechał, postanowił pójść na dach, gdzie były ogrody i pomnik ku czci zaginionych dziewcząt. Chciał zaczerpnąć świeżego powietrza, nacieszyć się przestrzenią.

I zastał tam Quillę z kamerą wideo.

Roarke już się przekonał, że Quilla jest bystra. Będzie wiedziała, skąd pochodzi taki chłopak jak Gee, jak tu trafił. Miała za sobą podobne doświadczenia. O ile Roarke się orientował, muzyka nie była jej żywiołem. Ale dziewczyna była świetną obserwatorką i chciała wykorzystać tę swoją umiejętność, by zostać reporterką.

Odbywając staż pod okiem Nadine Furst, trochę podszlifowała warsztat. Dziś miała na sobie dopasowane spodnie w kwiaty, wysokie trampki, a do tego luźną fioletową koszulkę, identycznego koloru jak pasemka we włosach.

Pewność siebie – której Quilli nigdy nie brakowało – wprost od niej biła, kiedy robiła panoramiczne ujęcia miasta do swojego vloga.

– Stąd – mówiła – możemy zobaczyć, skąd przyszedliśmy, gdzie pewnego dnia wrócimy. Będziemy mądrzejsi, będziemy silniejsi i uczynimy to miasto, a może i świat, lepszym miejscem do życia. Tu Quilla, relacjonująca dla An Didean.

Odwrociła się, lekko drgnęła, a potem szeroko uśmiechnęła się do Roarke’a.

– Cześć. Nie słyszałam, jak tu przyszedłeś.

– Cześć. Nie chciałem ci przeszkodzić w pracy.

– Muszę wyrzucić wiele bzdur. Mam masę materiału! Postanowiłam zakończyć pierwszą część tutaj, no wiesz, efektywną sekwencją wizualną.

– Jesteś świetna, Quillo.

– Powiedzmy. Tak czy owak, pani Pickering prawdopodobnie zażąda, żebym wycięła wszystkie przekleństwa i temu podobne. Chociaż to właściwie podchodzi pod cenzurę, no nie? Ale chcę, żeby Nadine obejrzała surowy materiał. Zawsze ma jakieś uwagi. – Przewróciła oczami, a potem się rozśmiała. – Na ogół rzeczywiście słuszne.

– Mam kilka wtrętów o tobie – poinformowała. – Nic żenującego czy coś z tych rzeczy.

– Dobrze wiedzieć.

– Chciałabym mieć coś o Dallas.

– Postara się tu dziś wpaść.

– Dobra, super. Poza tym... Nadine powiedziała, że może wykorzysta kawałek w swoim programie... *W Teraz!* To by dopiero było czadowo. O ile materiał będzie dobry.

– Pokaż mi fragment.

Zrobiła wielkie oczy.

– Serio?

– Wybierz dziesięć minut – poprosił i usiadł na ławce obok pomnika.

Ściskając kamerę wideo, zawsze pewna siebie Quilla zdradzała wyraźne oznaki zdenerwowania.

– Będziesz zupełnie szczerzy? Nawet brutalnie szczerzy? Nadine mówi, że jeśli się udaje, że coś jest dobre, chociaż wcale takie nie jest, nie robi się nikomu żadnej przysługi.

– Jak można się sprzeciwić Nadine? Siadaj i pokazuj. Będę brutalnie szczerzy.

Zrobiła to, a potem zeszła na dół zadowolona i usatysfakcjonowana. Roarke jeszcze trochę posiedział sam w ciszy i spokoju.

Gdy zabręczała jego komórka – dzwonił jeden z jego kontaktów w sprawie Cobbe’a – pogodził się z tym, że skończyła się przyjemna część dnia.

– Roarke – rzucił do słuchawki.

Po przekazaniu Eve niepełnych informacji, które udało mu się zebrać, Roarke wrócił do swojego biura z mocnym postanowieniem, że przynajmniej trochę popracuje. Nie pozwoli, żeby Cobbe zawałdła każdą minutą jego dnia.

Z garażu wjechał prywatną windą na kondygnację zajmowaną przez jego gabinet i zastał swoją asystentkę, Caro, za biurkiem.

– Nie byłam pewna, czy uda się panu dziś tu zajrzeć.

– Ja też nie, ale w szkole wszystko gładko przebiega, więc mam trochę czasu, żeby się zająć kilkoma sprawami.

– Skoro o tym mowa. – Caro, jak zwykle super kompetentna, obróciła się w fotelu, wyświetliła terminarz. – Fitzwalter przysłał raport ze spotkania w Monrovi, a Dollinger specyfikacje, na które pan czeka. Rano nie miał pan żadnych spotkań z uwagi na An Didean, ale może teraz zechce pan rzucić okiem na te dwie sprawy i najświeższe informacje od prawników o fuzji z Kovax.

Przysiadł na skraj jej biurka.

– Więcej bzdur, tak?

Uśmiechnęła się do niego. Miała na sobie gołębiowy kostium i jaskrawoczerwoną koszulę, która kontrastowała z jej śnieżnobiałymi włosami.

– W sporej części tak. Przypuszczam, że dość łatwo sobie z tym pan poradzi. To tylko pozerstwo, do tego oczywiste pozerstwo. Podejrzewam, że mają nadzieję, iż zmęczy pana ta wymiana korespondencji i zgodzi się pan na mniej wygórowane żądania, jakie wysuwają.

– Rozczarują się.

– Tak sądziłam. Jeszcze jedno. – Uniosła dłoń, przesunęła palcem po małym kolczyku z perłą. –

W ciągu ostatniej godziny miał pan trzy telefony. Każdy z innego numeru, ale najwyraźniej od jednej osoby. Za każdym razem wyłączono było wideo.

Cobbe, pomyślał, i poczuł w środku falę ciepła. Właśnie na to czekał.

– Naprawdę?

– Tak. A wiedząc, co się dzieje, pozwoliłam sobie ustalić, skąd dzwonił ostatni raz.

Dokładnie tego się po niej spodziewała.

– I?

– Ostatni telefon, o trzynastej zero sześć, wykonano z ulicy Hudson, na odcinku od Christopher do Zachodniej Dziesiątej. Rozmówca, który przedstawił się jako Grafton, albo szedł, albo jechał – bardzo wolno – wzdłuż Hudson.

– W porządku. Jeśli znów zadzwoni, zlokalizuj go, a potem połącz ze mną. Dobra robota, Caro.

– Dziękuję. – Z sympatią, którą darzyła go od lat, położyła dłoń na jego ręce. – Niech pan będzie bardzo ostrożny.

– Mozesz na to liczyć. – Ścisnęła jej dłoń, nim wstał i udał się do swojego gabinetu.

Skontaktował się z Eve.

– Piętnaście minut temu Cobbe szedł ulicą Hudson.

– Co takiego? Widziałeś go?

– Próbował się dodzwonić do mnie do biura, co świadczy, że jest wyjątkowym dupkiem. Caro go zlokalizowała.

– Nigdzie się nie ruszaj, poinformuj mnie, jeśli znów się z tobą skontaktuje. Zajmę się tym.

Rozłączyła się.

Obrócił się w fotelu, utkwił wzrok w nowojorskich wieżowcach za przeszkloną ścianą. Cobbe jest w śródmieściu, a więc wielce prawdopodobne, że tu jest też jego kryjówka.

Dzięki temu kilkanaście potencjalnych kryjówek w zamożnych dzielnicach spadnie na dalsze miejsca na liście.

Tak, wyjątkowy dupek, bo Eve dojdzie do takiego samego wniosku i skupi się na poszukiwaniach w centrum miasta.

A jeśli nie wyjątkowy dupek, pomyślał, może uciekł się do takiego podstępu, żeby ich zmylić? Ale to wątpliwe, bo nie miał powodu sądzić, że skupili się na szukaniu jego lokum.

Zadzwonił jeszcze raz, ty pieprzony draniu, a utniemy sobie krótką pogawędkę.

Zmusił się do odsunięcia tej sprawy na bok – na razie – i postanowił najpierw przeczytać bzdurną kontrofertę.

Na jakiej planecie, myślał, przebiegając wzrokiem linijkę za linijką, niebo przybiera wyjątkowy odcień różu, a leniwi, nieudolni, chciwi dyrektorzy, którzy przez złe zarządzanie doprowadzili do ruiny dobrze prosperującą, małą firmę, przypuszczają, że da im złote spadochrony, by zapewnić miękkie lądowanie?

Zaakceptują jego ofertę – bardziej niż korzystną – w niezmiennym kształcie, albo skończą po szyje w bagnie.

Sporządził notatkę w podobnym duchu, wysłał jej kopie do swojego działu prawnego i do Caro, a potem przestał sobie tym zaprzątać głowę.

Praca jak zwykle poprawiła mu nastrój. Przeczytał szczegółowy i wnikliwy raport Fitzwaltera, wysłał kolejną notatkę do tych, którzy zajmowali się tą sprawą.

Wziął się do specyfikacji, która w dużym stopniu go usatysfakcjonowała. Kilka zmian tu i tam przedstawił w kolejnej notatce, skierowanej do głównego inżyniera, odpowiedzialnego za ten projekt.

Właśnie ją wysłał, kiedy zgłosiła się do niego Caro.

– Mam go na drugiej linii, powiedziałam, że kończy pan inną rozmowę. Już ustaliśmy, skąd dzwoni.

– Świetnie. Przytrzymaj go jeszcze trochę, nim go ze mną połączysz.

Skorzystał z prywatnej komórki, by skontaktować się z Eve.

– Znów dzwoni. Ustalamy, skąd. Jak tylko się tego dowiem, powiadomię cię.

– Poczekaj chwilkę, jedną chwilkę.

– Nie mogę, bo się rozłączy. Wycisze cię – powiedział, po czym zablokował podgląd w aparacie stacjonarnym i rzucił do słuchawki:

– Tu Roarke.

– W końcu. Chciałbym zamienić z tobą słówko.

– Ach, czyli Grafton od nazwy ulicy. Jeśli chcesz zamienić ze mną słówko, wpadnij tu. Nastawię wodę w czajniku.

– Mam przyjść do tego dużego, czarnego wieżowca, w którym jesteś chroniony na wszelkie możliwe sposoby? Żyjesz za murami i bramami. Może pokaż się w świecie, spotkaj się ze mną oko w oko?

– Kiedy i gdzie?

– Nie robisz żadnych trudności?

Na małym ekranie Roarke obserwował, jak Eve wydaje rozkazy, a potem niemal zbiega ruchomymi schodami w komendzie.

– Czemu miałbym robić? Nie jestem nieuzbrojoną kobietą, spacerującą wieczorem po parku, czy jakimś biednym kotem, byś mnie miał wybebeszyć.

– Jak można wypatroszyć mięczaka? Sądzisz, że dzięki kupie pieniędzy, na jakiej siedzisz, jesteś bezpieczny? Sądzisz, że twoja chuda dziwka-policjantka cię przede mną ochroni?

– Powtarzam: kiedy i gdzie.

– Poinformuję cię, ty pieprzony palancie, ale to będzie twoje ostatnie „kiedy i gdzie”. Nie masz prawa posługiwać się nazwiskiem, które należy do mnie. Kiedy z tobą skończę, wezmę sobie wszystko, a potem rozplątam tę dziwkę, która cię poślubiła, od krocza do gardła.

Ledwie Cobbe się rozłączył, Roarke już był przy drzwiach.

– Proszę pana, jest na Perry między...

– Wiem.

– Czy mam powiadomić Jensoną?

– Nie trzeba – rzucił jej i wsiadł do windy.

Nie chciał kierowcy. Trzymał w garażu pojazd na okazje, kiedy sam chciał prowadzić.

A teraz z całą pewnością tego chciał.

Wskoczył do dwuosobowego wozu, wycofał go z miejsca postojowego. Z rykiem silnika wyjechał na ulicę.

Wzniósł się pionowo w górę, ściał zakręt i nad zakorkowanymi ulicami skierował się do centrum.

Kolejny zakręt pokonał z taką prędkością, że przechodnie aż zadarli głowy, a operator wózka ślizgowego z podziwem potrząsnął uniesionymi obiema rękami, zacisniętymi w pięść.

Kiedy dostrzegł lukę między pojazdami, wyładował na jezdni, pokonał półtora kwartału, nie zdejmując nogi z gazu, a potem znów wzbił się w powietrze.

Obserwował jezdnię, szukając luk, nurkował, znów się wznosił. Potem przemknął nad skupiskiem aut i przechodniów w centrum.

Dostrzegł samochód Eve, furgonetkę wydziału informatyki śledczej i dwa radiowozy. Uznał, że najlepszą opcją będzie płaski dach trzypiętrowego domu przy Perry, posadził wóz między starym fotelem a ścianą.

Sekundę później z głośnym tupotem zbiegał po schodach.

Kiedy wypadł na ulicę, Eve wydawała rozkazy, stojąc kilka kroków od niego.

Zatkało ją.

– Jezu, jak tu dotarłeś? Mniejsza z tym. Zabierajcie się do sprawdzenia wszystkich mieszkań! Carmichael, Shelby, wypytajcie przechodniów, właścicieli straganów ulicznych. Ktoś musiał widzieć tego popaprańca.

Wyszarpnęła komunikator, wezwała więcej gliniarzy i radiowozów, żeby otoczyć teren.

– Zaraz do ciebie wrócę – rzuciła Roarke’owi i podbiegła do furgonetki. – Metro.

Feeney skinął głową.

– McNab, Callendar, zajmijcie się tym. Nie rozdzielajcie się. Nie chcę, żeby któreś z was wróciło podziurawione. Jakie masz zadanie dla mnie? – spytał Feeney.

– Co wiemy o kryjówkach w promieniu pięciu przecznic stąd?

Feeney spojrział na plan miasta.

– Mamy jedną tu i jedną tuż poza granicą tego obszaru. Jeszcze ich nie sprawdziliśmy.

– Zróbcie to. Potrzebujesz jeszcze jednego komputerowca?

– Wtedy szybciej się z tym uwiniemy.

Eve obejrzała się na Roarke’a.

– Skoro już tu jesteś, pomóż Feeneyowi. Jak coś ustalicie, poinformujcie mnie, udamy się tam. Nie pozwól cywilowi wysiąść z furgonetki – nakazała Feeneyowi.

– Słucham? Oczekujesz, że potraktuję go paralizatorem?

– Jeśli okaże się to konieczne. – Odwróciła się do Roarke’a, złapała za poły marynarki. – Masz zostać w furgonetce albo przysięgam na Boga, że sama potraktuję cię paralizatorem.

– Nie wątpię w to. – Też ją złapał za poły. – Pani porucznik, daję ci jedną szansę ujęcia go. Jedną szansę, potem jest mój.

Wsiadł do furgonetki, zatrzasnął drzwi tuż przed nosem Eve.

– Martwi się o ciebie – odezwał się Feeney, włączając się do ruchu. – To dla niej trudna sytuacja, więc postaraj się ją zrozumieć.

– Staram się ją zrozumieć. Mnie też nie jest łatwo. Widzę, co jest teraz waszym celem. Przekonajmy się, czy uda nam się wykurzyć tego szczura z jego nory.

Feeney oczami jak u basseta spojrzął w lusterko wsteczne.

– Dopadniemy go, Roarke. Nie daję słowa, póki nie jestem przekonana, że mogę go dotrzymać, ale teraz daję ci słowo. Powinniśmy go dopaść dwadzieścia lat temu, ja i Jack, ale teraz na pewno go dopadniemy.

Roarke przystąpił do pracy i to go uspokoiło.

– Wściekle pragnie mnie zabić. Jest napalony i zdesperowany. Tak bardzo chce mnie zlikwidować, że nigdy mu się to nie uda.

Gliniarze przeczesywali teren, pukali do drzwi mieszkań, obejrzeni nagrania kamer z metra.

Znaleźli garstkę ludzi, którzy widzieli go, jak szedł – albo tak im się wydawało – między Perry i Zachodnią Dwunastą.

Nie skorzystał z metra, przynajmniej nie w tej okolicy. W jednej z wytypowanych przez Roarke'a kryjówek mieszkała trzyosobowa rodzina, dziecko dopiero uczyło się chodzić.

Feeney wypatrzył ich, jak wchodzili do domu, obładowani torbami z zakupami.

W drugiej nie zarejestrowali źródła ciepła.

Eve poleciła mundurowym wypytać sąsiadów, a funkcjonariuszom w cywilnych ubraniach sprawdzić granicę wyznaczonego obszaru.

Instykt jej podpowiadał, że Cobbe zaszył się w swojej norze.

Ponieważ przyjechała z Abernathym, kazała Roarke'owi pojechać do komendy z pracownikami wydziału informatyki śledczej.

– Mam nadzieję, że odbierze to pani właściwie – powiedział Abernathy, kiedy wracali do komendy. – Prowadzi pani jak szalona, proszę to uznać za komplement. Niewiele się spóźniliśmy.

– Spóźniliśmy się, więc nie ma znaczenia, ile.

Abernathy zajrzał do swoich notatek i je uzupełnił.

– Dlaczego w taki sposób skontaktował się z Roarkiem? Dlaczego ryzykował?

– Odczuwa potrzebę prowokowania i zastraszania. Dla niego to dowód, że działa z zimną krwią, ale w gruncie rzeczy jest w gorącej wodzie kąpany.

Abernathy spojrzął na nią i skinał głową, kiedy skręcili do garażu pod komendą.

– Ma pani rację. Roarke jest jego piętą achillesową. Cobbe potrafi być dokładny, skupiony, beznamiętny. Teraz taki nie jest. Mogliśmy go zatrzymać na ulicy, kiedy szedł podenerwowany.

– Ale go nie zatrzymaliśmy – odparła obojętnie.

Wysiadł z Eve z wozu, Peabody wygramoliła się z tylnego siedzenia.

– Aż za dobrze rozumiem pani frustrację, pani porucznik. Raz czy dwa wiedziałem, że prawie go mam, wierzyłem, że jestem tuż-tuż. Ale teraz jest inaczej. Cobbe może wziąć się w garść – ciągnął Abernathy, kiedy szli do windy. – Może zapanować nad gniewem, który nim kierował, i wziąć się w garść, zniknąć w mgnienu oka. Chociaż nie sądzę, że to zrobi. Wcale nie jestem pewien, czy jest do tego zdolny. Słyszała pani, jak rozmawiał z Roarkiem, tak samo jak ja słyszała pani to wściekle podniecenie, nienawiść.

– Słyszałam.

Eve wsiadła do windy. Chciała spędzić pięć minut z Roarkiem, pięć minut w samotności.

– Sądzę...

Zacisnęła zęby i – jak mógłby powiedzieć Abernathy – wzięła się w garść. Prawdopodobnie znał Cobbe'a lepiej niż ktokolwiek, z wyjątkiem Roarke'a. A może lepiej.

– Co?

– Sądzę, że Cobbe czuje, wierzy w to, że zabicie Roarke'a jest warte utraty własnego życia. Do tej pory byłem skłonny uważać, że instykt samozachowawczy jest dla niego czymś najważniejszym, tuż za nim plasuje się dreszczyk, jaki wywołuje zabijanie, i bogactwo, jakie mu to zapewnia. Ale teraz? Według mnie zabicie Roarke'a, a także pani, przesłania mu wszystko.

Przyjrzała się uważnie Abernathy'emu.

– A więzienie? Czy jest tego warte?

– Ma pani rację, że dla wielu więzienie jest gorsze niż śmierć. Tak, sądzę, że gotów jest zaryzykować pobyt za kratkami. Ale gotów jest również stracić życie, iść do piekła, że się tak wyrażę, o ile uda mu się pociągnąć za sobą Roarke'a.

– Sądzimy to samo.

– Dallas – przerwała im Peabody. – Sąsiedzi informują, że w domu obecnie nikt nie mieszka. W ciągu kilku ostatnich dni nie widziano, żeby ktoś wchodził do środka lub wychodził stamtąd.

– Może nadal korzysta z jakiejś kryjówki, ale prawdopodobnie poza wyznaczonym przez nas obszarem. Niech sprawdzą na tym terenie sklepy z ekskluzywną odzieżą męską i temu podobne. Miał jakiś powód, żeby przebywać w tej części miasta.

– Zablokuj wideo – mruknęła, mając na myśli własny umysł, by zapanować nad chęcią opuszczenia windy, gdy dosiadali się kolejni gliniarze. – Nie chciał, żeby Roarke wiedział, gdzie jest, mógł go przyszpilić. Dlaczego to zrobił? Bo zatrzymał się w tej okolicy albo coś tu załatwia. Sprawdźcie też restauracje. Bary. Ekskluzywne. Licencjonowane prostytutki – ciągnęła, przepychając się do wyjścia, kiedy winda zatrzymała się na jej kondygnacji.

– Przekażcie jego dane luksusowym agencjom w mieście. Może zachce mu się seksu.

Skierowała się do sali swojego wydziału.

– Weź się do tego, Peabody. Może zechciałby pan pomóc, panie inspektorze – zwróciła się do Abernathy'ego.

Musiła się go pozbyć na pięć cholernych minut.

– Naturalnie, chętnie pomogę.

– Może pan najlepiej się orientuje, jaki lubi typ kobiet, potrawy, napoje, nawet cholerne obuwie. Musimy...

Urwała, kiedy wszedł Roarke.

– Peabody, razem z panem inspektorem...

Ale Abernathy już szedł z wyciągniętą dłonią w stronę Roarke'a.

– Inspektor Abernathy z Interpolu. Cieszę się, że spotkała mnie przyjemność poznania pana. Czy możemy porozmawiać?

– Muszę wysłuchać, co ma do powiedzenia... – zaczęła Eve.

– Naturalnie. – Abernathy skinął głową, bardzo zadowolony. – Czy skorzystamy z pani gabinetu?

Nie pozbędzie się go. No cóż, pomyślała Eve, na jego miejscu zachowałaby się identycznie.

– Przejdźmy do kantyny.

Po drodze do kantyny Roarke niemal słyszał trybiki obracające się w głowie Eve. Jak sobie z tym poradzić, a konkretnie – jak sobie poradzić z inspektorem. Jak pokonać granicę między gliniarzem i kolegą, żoną i odznaką.

Mógłby jej powiedzieć, że nie musi się martwić. Już wcześniej miał do czynienia z takimi jak Abernathy. Ale przypuszczał, że rzeczywiście teraz jest to coś zupełnie innego.

A to oznaczało, że on też ma granicę do przekroczenia. Nie robi nic, nic a nic, co postawiłoby jego panią porucznik w niezręcznej sytuacji.

Aberbathy uśmiechnął się, zachowując miły sposób bycia – i Roarke przypuszczał, że podobnie jak on, Eve za tą przyjazną fasadą widziała wyraźnie policyjne wyrachowanie.

Przyskrzynienie Roarke'a, jak Eve to określiła, może nie było teraz dla Abernathy'ego najważniejsze. Ale jaki gliniarz oparłby się pokusie, by tego nie spróbować?

– Nie chcę zająć pani zbyt dużo czasu – zaczął Abernathy. – I z całą pewnością nie chcę odrywać pani od pracy, szczególnie w tej chwili, pani porucznik.

– To też część mojej pracy – powiedziała beznamiętnie Eve, skręcając do kantyny. – Kawa tu jest okropna. – Podeszła do stolika, usiadła. – Jeśli ma pan na coś ochotę, radzę wybrać wodę albo jakiś napój w puszcze.

– Nie będę nic pił. – Inspektor usiadł, położył dłonie na stole, spojrzał na Roarke'a. – Po pierwsze, chcę wyrazić szczerze wyrazy wdzięczności za pana pomoc w tym dochodzeniu. Szczegółowe informacje, które przekazał pan o Cobbe, nadzwyczaj nam pomogą w ostatecznym postawieniu go przed wymiarem sprawiedliwości.

– Mamy wspólny cel – powiedział Roarke.

– Naturalnie. Jeśli można, żeby wszystko było jasne... – Wyjął notes. – Wróćmy do chwili, kiedy zobaczył pan Cobbe'a w Washington Square Park tamtego wieczoru, gdy poniosła śmierć pani Modesto. Wspomniał pan o spotkaniu z Cobbe'em w barze na południu Francji. Czy mógłby pan dokładniej określić czas i miejsce? Może gdyby powiedział nam pan, co pan tam robił, ułatwiłoby to ustalenie tych danych.

Roarke ścisnął pod stołem kolano Eve, nim mogła zaprotestować.

– Było to jakiś czas temu – powiedział swobodnie Roarke. – O ile dobrze pamiętam, chyba szukaliśmy małego kompleksu hotelowego na Lazurowym Wybrzeżu, który mógłbym kupić. To mogła być wiosna albo lato dwa tysiące czterdziestego szóstego lub czterdziestego siódmego roku. Tak mi się wydaje.

– Rozumiem – odezwał się Abernathy z tym swoim arystokratycznym akcentem. – Czterdziesty szósty, czterdziesty szósty. W maju tamtego roku wybuchł niewielki skandal – mógł pan tam wtedy być, usłyszeć o nim w lokalnych wiadomościach. Skradziono klejnot. Dość znany klejnot.

Spojrzał na Roarke'a, nie przestając się uśmiechać.

– Amerykańska celebrytka, dziedziczka fortuny słynąca z kolekcji klejnotów i przyjęć, posiadaczka brylantów i szmaragdów wartych ponad dziesięć milionów dolarów amerykańskich, w tym szczególnego naszyjnika, znanego jako Zielony Blask, skradzionego ze skarbca w jej posiadłości w Cannes. Sam naszyjnik wart był prawie połowę tej kwoty. Nigdy go nie odnaleziono.

– Naprawdę? – Roarke uśmiechnął się równie uprzejmie. – Obawiam się, że byłem skupiony na finalizowaniu zakupu, wówczas bardzo dla mnie ważnego. W tamtym okresie swojego życia nie miałem wiele wspólnego z bogatymi, amerykańskimi celebrytkami. A mówiąc ściślej, one nie miały wiele wspólnego ze mną. To, co zapamiętałem o tamtym spotkaniu z Cobbe'em, znajduje się w aktach.

– Sądzi pan, że Cobbe zrobił sobie przerwę w zabijaniu na zlecenie, żeby kraść naszyjniki? – Eve spytała Abernathy'ego.

– Och nie, brakuje mu umiejętności, by pokusić się o coś takiego. Od samego początku pracował jako egzekutor Patricka Roarke'a. Natomiast pan... – zwrócił się znów do Roarke'a.

– Czyli tamta kradzież nie ma nic wspólnego z naszym śledztwem – przerwała mu Eve. – A dokładna data, kiedy Cobbe próbował zabić Roarke'a w barze na południu Francji, też nie ma znaczenia.

Abernathy kiwał głową, zachowując uprzejmą minę.

– Po prostu próbuję ustalić szczegóły zawsze, kiedy to tylko możliwe.

– Zajmowanie się takimi bzdurami nie pomogło panu schwycić Cobbe’a.

Abernathy spojrzał zimnym wzrokiem, napiął mięśnie twarzy. A Eve znów się odezwała.

– Proszę ze mną nie zadzierać, panie inspektorze. Ani z nim. Jeśli pan tego spróbuje, znajdę sposób, żeby wykopać pana z powrotem do Londynu.

Roarke prawą ręką ujął dłoń Eve, lewą uniósł.

– Chwilczkę. Martwi się o mnie – zwrócił się do Abernathy’ego, kiedy Eve próbowała oswobodzić swoją dłoń z jego uścisku. – Zanim będziemy kontynuować, zanim cokolwiek powiem, marnując tutaj czas, bo ma pan nadzieję, że uda się panu zdobyć kilka punktów w sprawach znacznie mniejszej wagi niż Cobbe, proszę mi pozwolić zadać jedno pytanie: co pan sądzi o prawości pani porucznik i jej pełnej poświęcenia służbie.

Najwyraźniej walcząc z tym, co można by nazwać irytacją, Abernathy wziął głęboki oddech.

– Nie kwestionuję prawości porucznik Dallas, dobrej opinii, jaką się cieszy, jej poświęcenia w dochodzeniu sprawiedliwości.

– To dobrze. Ale wyszła za mnie za mąż – powiedział Roarke wesoło. – I dla takiego człowieka jak pan to zagadka, prawda? Przypuszczam, że wyobraził pan sobie, że ożeniłem się z nią z wyrachowania.

Abernathy’emu udało się przybrać lekko zbulwersowaną minę.

– Nie ośmieliłbym się komentować pana spraw osobistych, pana małżeństwa.

– Nie pozwala panu na to dobre wychowanie – zgodził się z nim Roarke. – Ale ma pan swoje zdanie na ten temat. Więc proszę pozwolić, że coś panu wyjaśnię. Czasami jest mi z nią bardzo niewygodnie. Lecz jest dla mnie wszystkim.

– Przestań.

Kiedy Eve wyrwała mu swoją rękę, Roarke znów ją ujął i uniósł do ust.

– Jest dla mnie wszystkim. Jeśli przekazanie panu dokładnych dat, powodów, przyznanie się do tysiąca przestępstw pomogłoby panu w ujęciu Cobbe’a, wyznałbym wszystko ze szczegółami. Proszę zrozumieć i uwierzyć w to, że zabiły ją, by się na mnie odegrać. Zamknijcie sprawy kradzieży naszyjnika sprzed piętnastu lat mogłoby dodać blasku tamtej sprawie, panie inspektorze, ale nie pomoże to panu w schwytaniu Cobbe’a. Co pan wybiera?

Abernathy utkwiał wzrok w Roarke’u i przez chwilę milczał. A potem powiedział:

– Cobbe’a.

– Czyli znów mamy wspólny cel. Jeżeli będę mógł dodać więcej, niż już powiedziałem, proszę pytać. Tu i teraz nic nie jest dla mnie ważniejsze, niż zobaczyć Cobbe’a martwego lub za kratkami. I nieważne czy zginie, czy trafi za kratki, co stanowi dla mnie pewną niedogodność, bo dla pani porucznik jest to istotne.

Abbernathy wypuścił powietrze z płuc.

– Chyba zaryzykuję i napiję się herbaty. Czy życzą sobie państwo czegoś?

– Nie – powiedziała Eve, wciąż urażona.

Kiedy Abernathy wstał, żeby podejść do automatu, syknęła do Roarke’a:

– Nigdy więcej tego nie rób. Całowanie po rękach w obecności Interpolu.

– Musiałem mu coś udowodnić, i zrobiłem to. Tamta kradzież we Francji niewiele dla niego znaczy, ale musiał spróbować, prawda? I rozważał ewentualność, że gdyby mi podstawił nogę, a ja bym się o nią potknął, może dałoby to początek kolejnym potknięciom, co mogłoby – w jakiś sposób – doprowadzić nas do Cobbe’a. Bo wsadzenie Cobbe’a za kratki wiele dla niego znaczy. Teraz wie, że dla mnie Cobbe też jest najważniejszy, i to pod każdym względem.

– Może tak, a może nie. Ale w pracy trzymaj usta z daleka od mojej dłoni, bo jeszcze możesz ode mnie oberwać w tę śliczną buzię.

– Ubóstwiam cię.

– Zamknij się – mruknęła. – Po prostu ani słowa więcej na ten temat.

– Tylko jeden rodzaj herbaty. – Wyraźnie zaskoczony, Abernathy postawił na stole kubeczek z parującym napojem. – Jakiś anemiczny napar, przypominający koński mocz. No cóż.

Usiadł, spróbował i się skrzywił. Spojrzał na Roarke’a.

– Nie miał pan żadnego kontaktu z Cobbe’em, nie widział się pan z nim, nie prowadził z nim żadnych interesów od tamtego spotkania w barze we Francji aż do teraz?

– Nie. Miałem go na oku, bo doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że pragnął mojej śmierci, a ma wprawę w zabijaniu. Ale udało nam się przez jakiś czas nie wchodzić sobie w drogę.

Abernathy się nachylił.

– Zgadza się pan, że Cobbe wierzy, iż Patrick Roarke jest jego ojcem?

– Jestem pewien, że w to wierzy. Jestem pewien, że czuje taką potrzebę. Patrick Roarke był najtwardszym i najbardziej okrutnym człowiekiem, jaki chodził po tej ziemi, zamienił moje życie w pasmo udręki. Ale dla Cobbe'a to krwawa gwiazda świecąca na wschodzie. Może pan to rozumieć, jak pan chce.

– Zgodziłby się pan posłużyć jako przynęta, by go zwabić?

– Nie – rzuciła szybko i gniewnie Eve.

– Tak – powiedział Roarke zimno i spokojnie. – Tak – powtórzył, zwracając się do niej. – Jesteś gli-niarzem, nie idiotką. Dla mnie wszystkim – powiedział Abernathy'emu. – Ale chociaż Cobbe ma kompletnego bzika, nie jest głupcem i mało prawdopodobne, by się dał na to nabrać.

– Zgadza się. Tak tylko zapytałem. Ma pan krewnych w zachodniej Irlandii.

Ściągała mu się krew w żyłach. Eve ciekawa była, czy Abernathy poczuł lodowate ukłucie Groźnego Roarke'a.

– Nie są w to zamieszani.

– I wcale bym nie chciał, żeby byli, przysięgam. Czy Cobbe o nich wie?

– Być może, tak jak pan. Przedsięwziąłem pewne środki ostrożności.

– My też. Powinien pan o tym wiedzieć.

Roarke rozsiadł się wygodnie.

– Dziękuję.

– Zająłem wam wystarczająco dużo czasu. – Abernathy wstał, zostawiając na stole niedopitą herbatę. – Czuję, że jesteśmy blisko. Czuję, że możemy osiągnąć cel, do którego dążę o wiele za długo. Widzę nazwiska i twarze zabitych. Pani to rozumie, pani porucznik.

– Tak.

– Jeśli naciskałem w sprawach, które by nie pomogły w tym śledztwie, robiłem to dla nich. – Kiedy tym razem uśmiechnął się do Roarke'a, jego uśmiech był bardziej sympatyczny. – Kradzież Zielonego Blasku przeszła do legendy nie bez powodu.

– Naprawdę?

– Tak. Z całą pewnością. Będę w sali wydziału.

Eve nic nie powiedziała, póki nie wyszedł z pomieszczenia.

– Nie musiałeś mówić tego wszystkiego, ujawniać tego wszystkiego. Naciskał tam, gdzie nie powinien naciskać.

– No cóż, trudno mu to mieć za złe. Ta kradzież była majstersztykiem.

Westchnęła, przesunęła dłońmi po twarzy.

– Powiedz mi tylko, że nie każesz mi włożyć naszyjnika, skradzionego jakiejś głupiej Amerykance.

– Jakżebym mógł. – Znów pocałował jej dłoń. – Sprzedałem go dawno temu zgodnie z zawartą umową. I kupiłem ładny, mały kompleks wypoczynkowy w pobliżu Cannes. Powinniśmy tam kiedyś pojechać.

– Nie chcę o tym mówić. – Poruszyła się na krześle, spoglądała na niego twardo. – Dobrze się czujesz?

– Tak. A ty?

– Prawie go mieliśmy. Wiem to. Więc nie, nie czuję się dobrze. Chodźmy napić się kawy – postanowiła. – Muszę uporządkować myśli. – Wstała. – I chcę wiedzieć, jak, u diabła, tak cholernie szybko dotarłeś do centrum.

– Ach, przypomniałaś mi, żebym kazał zabrać mój wóz z dachu domu.

– Jasne. Mniejsza z tym. – Spojrzała na sufit. – Kawa.

Udała się prosto do swojego gabinetu, zamknęła drzwi, uruchomiła autokucharza.

– Minęliśmy się z nim o minuty. Byliśmy wystarczająco blisko, by zobaczyć, że się tam zebraliśmy.

Chodziła po małym gabinecie, pijąc kawę.

– Był pieszo. Szybko przeszedł dwie przecznice, skręcił raz, potem drugi.

Roarke siedział ostrożnie w fotelu dla gości, przyglądając się, jak Eve chodzi tam i z powrotem, jak myśli na głos. I stwierdził, że działa to na niego dziwnie uspokajająco.

– Nie jest głupi. Owszem, teraz roztrzepany, niestaranny, bo ma obsesję i znalazł się w Szalonym Mieście. Na nasz widok odlatuje, dopiero potem myśli. A co sobie myśli, bo przecież nie jest głupi? Myśli sobie: cholerny drań zlokalizował mnie, skontaktował się ze swoją dziwką-policjantką. To nie tylko prawda, to logiczne.

Znów napiła się kawy.

– I dobrze.

– Dobrze?

– Tak, bo uważa, że nie ma powodu, by uciec. Nie ma powodu, by znów zmienić miejsce zamieszkania. O ile jeden z twoich informatorów nie spróbuje dotrzeć do niego...

– Nie, z całą pewnością żaden z moich informatorów tego nie spróbuje. – Roarke uniósł kubek z kawą i brwi. – Bo ja też nie jestem głupi.

– Właśnie tak pomyślałam. Czyli w tej chwili Cobbe nie ma powodu, by się gdzieś wyprowadzić. Uważa, że jest bezpieczny tam, gdzie się zamelinował. A to nieprawda. Znajdziemy jego kryjówkę.

Utkwiła wzrok w tablicy, a potem klapnęła w swoim fotelu.

– A teraz mów.

– Dlaczego tak szybko jechałem?

Roześmiałyby się, ale nie była w nastroju.

– Nie. Jak się z tobą skontaktowałem.

– Ach, to. Dzwonił do Caro, korzystając z różnych telefonów, posługując się różnymi nazwiskami. Podczas ostatniej rozmowy użył nazwiska Grafton, jak tamta ulica w Dublinie. Byłem akurat w An Didean, chociaż i tak nie połączyłaby go ze mną, nie uzyskawszy najpierw mojej zgody. Znowu zadzwonił, a Caro, jak to ona, spróbowała ustalić, skąd dzwonił. Nim wróciłem do biura, zadzwonił jeszcze raz. Później skontaktowałem się z tobą i resztę wiesz.

– Są dwa wytumaczenia – doszła do wniosku. – Albo tak bardzo się już nakręcił, że nie mógł się oprzeć, by do ciebie zadzwonić, musiał ci powiedzieć to, co ci powiedział, spróbować tobą potrząsnąć, albo chodziło mu głównie o czas reakcji.

– Ja chromołem. – Roarke rozsiadł się w niewygodnym fotelu. – Co za idiota ze mnie, że o tym nie pomyślałem.

– To ryzykowne, cholernie ryzykowne, ale taka informacja może okazać się wielce przydatna. Jak szybko zareagujemy, z jaką dokładnością, ilu ludzi skierujemy do akcji?

– To znowu wzorec postępowania, którego nie wziąłem pod uwagę. Rozproszenie uwagi – przyznał Roarke – niepokój. Muszę nad tym zapanować. Lubi obserwować pracę gliniarzy po tym, jak kogoś zabije. Lubi to małe ryzyko. Czyli to jednak on rozegrał mnie po swojemu.

– Być może. Ale jestem gotowa się założyć o co tylko chcesz, że jeśli był wystarczająco blisko, by widzieć, jak wychodzisz z tamtego budynku, musiał się cholernie zdziwić. I wciąż próbuje ustalić, jak u diabła tam dotarłeś.

Przycisnęła palce do oczu.

– Rób, co musisz, i ściągnij swój wóz z dachu.

– Tak jest. – Wyjął komórkę, żeby się tym zająć.

Czy Cobbe tam był?, zastanawiała się Eve. Czy widział Abernathy'ego? Jeśli tak, czy to dla niego coś zmieni?

Wątpliwe, uznała. Nie darzy Abernathy'ego szacunkiem, prawdę mówiąc, mogło mu sprawić przyjemność, nawet go rozbawić, że Interpol dołączył do nowojorskich gliniarzy.

Nowojorscy gliniarze, pomyślała, i zapała komunikator.

– Jeszcze nic, Dallas – odpowiedział Feeney. – Daj nam trochę czasu.

– Mógł zauważyć furgonetkę. Jeśli zadzwonił z nadzieją, że zareagujemy, chciał poznać czas reakcji i nasze siły, mógł zauważyć furgonetkę.

– Kurde.

– Możesz odwołać akcję?

Westchnął.

– Jasne. Bardzo to frustrujące, ale... – Wydął policzki, zastanowił się. – W tej chwili i tak na ogół nikogo nie zastajemy w domach. Jest ładny dzień, ludzie wyszli na miasto, no nie? Wrócimy do komendy i zawiesimy akcję. Pokrążymy jeszcze trochę, ale może będziemy mieli więcej szczęścia po północy, nawet po pierwszej.

Nie znosiła czekania, nie znosiła tych godzin pomiędzy, ale...

– Słuszna uwaga. Wyodrębnij wszystkich samotnych lokatorów. Sprawdźmy ich i może spróbujemy jeszcze raz przed świtem.

Wymienili się uwagami, Roarke skinął głową, kiedy się rozłączyła.

– Najlepsze wykorzystanie czasu i zasobów ludzkich. I nie widzę powodu, czemu nie mielibyśmy dołączyć do tych, których Feeney wyznaczył na nocną zmianę.

Mogła wymyślić setki powodów, dlaczego nie powinien się włączyć, ale wszystkie były natury osobistej.

– Omówię to z Feeneyem. Jedziesz do domu?

– Zostawiłem kilka rozgrzebanych spraw, gdy pośpiesznie opuszczałem biuro.

– Twój samochód jest na jakimś dachu w Village.

– Mam inne. – Wstał, podszedł do niej, by rozmasować kciukiem jej czoło między brwiami, gdzie utworzyła się zmarszczka niepokoją. – Jeśli ma odwagę obserwować komendę, nie będzie wiedział,

jakim wozem z niej wyjadę. Ale teraz zna swój samochód, więc mam dodatkowy powód do niepokoju.

– Coś ci obiecałam. I dotrzymam obietnicy.

– Czyli oboje nie mamy problemów, tak? – Przyciągnął ją do siebie, a ponieważ wcześniej zamknęła drzwi do gabinetu, przytuliła się do niego. Objęła go.

– Zobaczymy się w domu. – Pocałował ją w czubek głowy. – Mam nadzieję, że będziemy mieli trochę wytchnienia przed nocą, która może się okazać długa.

Stwierdziła, że jest jej trudniej niż przypuszczała patrzeć, jak Roarke wychodzi. Chciałaby, żeby pojechał do domu, znalazł się za bramą, za murami, tam, gdzie wiedziała, że będzie bezpieczny.

Czy on czuje to samo?, zastanowiła się. Czy za każdym razem, gdy ona wychodzi z domu do pracy, on czuje ten narastający niepokój?

Wiedziała, jak trudno jest być małżonkiem gliniarza, ale aż do tej chwili w pełni sobie tego nie uświadamiała.

Musi odsunąć to na bok, trzymać pod kluczem, bo zrozumiała teraz, że on przeżywa to codziennie.

Usiadła, napisała raport, uaktualniła książkę.

Nalała sobie kolejną kawę, wypila ją, siedząc z nogami na biurku, z oczami utkwionymi w tablicę, skupiona na śledztwie.

Ale nic to nie dało.

Przyznała, że to nie to, co zwykle. Jej cel nie miał prawdziwych powiązań z Nowym Jorkiem, nie miał swoich ulubionych lokali, rodziny, przyjaciół, nie prowadził tu interesów.

Przyleciał do Nowego Jorku, żeby kogoś zabić, i przedłużył sobie pobyt, by wykonać dodatkowe zadanie.

No cóż, nie zamierza siedzieć tu, aż on spróbuje to zrobić. Musi ruszyć w teren, kontynuować polowanie.

Kiedy wstała, zabrzęczała jej komórka.

Jenkinson.

– Dallas. Co masz?

– Mam ślad w pewnym luksusowym sklepie, Urbane. Elegancki sprzedawca powiedział, że Cobbe był u nich dziś rano, jak tylko otworzyli sklep. Posługiwał się imieniem Patrick, zapłacił gotówką. Cztery tysiące z kawałkiem.

Już kierowała się do sali ogólnej wydziału.

– Peabody ze mną. Podaj mi adres – zwróciła się do Jenkinsona. – Jadę do ciebie.

– Reineke sporządza pełną listę jego zakupów... – zaczął Jenkinson.

– Jadę do was – powtórzyła Eve.

– Chcesz zabrać Abernathy'ego? – Peabody truchtała, żeby dotrzymać jej kroku. – Przed chwilą poszedł do pokoju socjalnego.

– Nie. – Wsiadła do windy, podczas gdy Jenkinson recytował adres. – Nie ruszajcie się stamtąd – poleciła mu i się rozłączyła. – Później powiadomimy Interpol. Mamy świadka, który dziś rano sprzedał mu ubrania.

– To przełom i dobry znak, Dallas.

– To nie przełom, póki nas gdzieś nie zaprowadzi. – Kierując się przeczuciem, wykorzystała frustrującą jazdę zatłoczoną windą, by sprawdzić na planie miasta. – Sklep jest sześć... Nie, siedem przecznice na południe od miejsca, skąd dzwonił do Roarke'a. Przeczujemy nie ten sektor.

Kiwnęła głową.

– To było sprytne. Tak, tak, rozmyślnie tak zrobił. Jego kryjówka jest bliżej sklepu niż miejsca, w którym go namierzyliśmy. Dobrze wiedzieć.

Wypadła z windy na poziomie garażu.

– Na razie nie wezwiemy mundurowych do sektora w pobliżu sklepu. Jeśli sądzi, że skupiliśmy się na tamtej okolicy, może postanowi wykorzystać dobrą pogodę, zrobić dodatkowe zakupy, wyjść coś zjeść.

Peabody wsiadła do samochodu.

– Pomyślałam, że może skierował się do zamożniejszych dzielnic, będzie próbował obserwować twój dom.

– Tak, to też możliwe. Ale nie będzie próbował dopaść Roarke'a w domu. Musi poczekać na właściwy moment, wywabić Roarke'a albo poczekać, aż – jak sądzi – Roarke nie będzie się miał na baczności.

– A Roarke zawsze się ma na baczności.

– No właśnie. – I dzięki tej jednej prawdzie jeszcze nie zwariowała i trzymała nerwy na wodzy. – Ale on nie zna Roarke'a. Zna chłopaka z dublińskich ulic. Wie to, co o nim usłyszysz, a nie jaki Roarke jest

naprawdę.

Gwałtownie włączyła się do ruchu, aż kostki u rąk Peabody pobiegały, gdy kurczowo złapała się uchwytu.

– I z całą pewnością nie zna mnie.

– Roarke dobrze się czuje?

– Tak. Nie. Nie wiem. Poczuj się lepiej, kiedy wsadzimy tego drania za kratki.

Przeciskała się między samochodami, jadąc pod wskazany adres. Zamierzała zaparkować, zastawiając inny pojazd, ale dostrzegła miejsce na drugim poziomie, uruchomiła pionowe wznoszenie.

Peabody pisnęła krótko, a potem chrząknęła, kiedy Eve równie gwałtownie zniżyła samochód, aż niemal zagrzechały im kości.

Eve była już w połowie drogi do ulicy, nim Peabody udało się otworzyć drzwiczki.

W oknie wystawowym Urbane stało kilka manekinów, które u Eve zawsze wywoływały gęsią skórę, w nienaturalnych pozach i ubraniach, które, jak przypuszczała, były przykładem wysokiego kraiewictwa.

Jeśli jakiś facet chce nosić kurtkę, która wygląda jakby ją zdarto z zebry, to znaczy, że Eve nie ma zielonego pojęcia o modzie.

Skierowała się tam, gdzie stał Reineke. Jenkinson znajdował się w drugim końcu sklepu, przy ekspozycji krawatów. W powietrzu unosił się zapach świeżo obranych pomarańczy.

– Ekspedient poszedł z klientem na zaplecze – poinformował je Reineke. – Jest chętny do pomocy. Mam pełną listę ciuchów, które Cobbe kupił dziś rano. I szczegółowy opis. Dwie koszulki – jedna czarna, jedna szara, czyli w ich nomenklaturze *noire* i *gris*. Dwie pary dżinsów, obie czarne, i jedna bluza z kapturem, zapinana na suwak, też czarna.

– To wszystko? – spytała Eve, kiedy Reineke uniósł wzrok znad spisu.

– Tak.

– Jenkinson powiedział, że wybulił cztery patyki.

– Zgadza się.

– To chore.

– Uważasz, że to szalone? – Jenkinson wskazał krawaty. – Ten jest w świnki, małe różowe świnki, które widać dopiero z bardzo bliska. Ja na moim ulubionym straganie mogę kupić sto krawatów za cenę tego jednego.

Jenkinson pokręcił głową.

– Przeprowadzę sprzedawcę.

Poszedł na zaplecze.

– Tak czy owak... – Reineke, drapiąc się w głowę, rozejrzał się po sklepie. – Ekspedient nazywa się Bilbo, Trent Bilbo. Jest zarazem zastępcą kierownika, pracuje tu od sześciu lat. Trochę się zdenerwował, kiedy pokazaliśmy odznaki. Ale okazało się, że jego brat miał kilka zatargów z prawem, Bilbo myślał, że przyszedłszy w tej sprawie. Natychmiast przypomniał sobie Cobbe'a.

Pojawił się Bilbo, chudzielec w obcisłych, czarnych spodniach, obcisłej, czarnej koszulce, intensywnie fioletowej marynarce i w krawacie w tym samym kolorze. Końcówki długich, czarnych włosów też ufarbował na fioletowo.

Miał szczerze, brązowe oczy, mocno obrysowane czarną kredką.

– Najmocniej przepraszam. Pan King jest naszym starym klientem, a kolega wyszedł na przerwę.

– Nic nie szkodzi. Porucznik Dallas.

– Wiem, wiem. I detektyw Peabody. Czytałem książkę. I widziałem film. – Przycisnął obie ręce do ust, jakby chciał się powstrzymać od pisku.

Jeśli oczy mogą piszczeć, to jego zapiszczały.

– Jestem podekscytowany, że widzę panie, nawet mimo okoliczności. Zdaje się, że dziś rano obsługiwałem przestępcę.

– Proszę nam o tym opowiedzieć.

– Jak już powiedziałem detektywom Jenkinsonowi i Reinekemu, pojawił się tuż po dziesiątej. Dopiero co otworzyłem sklep. Marcus miał przyjść o jedenastej, więc byłem sam. Gdybym wiedział, że jest przestępcą, nie wiem, co bym zrobił!

Znów uniósł dłonie do ust.

Jeśli oczy mogą zrobić gwałtowny wdech, jego to zrobiły.

– Co pan zrobił?

– Powiedziałem „dzień dobry”, spytałem, czy mogę mu jakoś pomóc. Mówił z czarującym, irlandzkim akcentem. Powiedział, że jest z Dublina. Tak czy owak, chciał obejrzeć kurtkę z wystawy.

– Tę w biało-czarne paski, jak u zebry?

– Och nie, chociaż jest cudowna, prawda? Antracytową, sztucznie postarzoną skórzaną bomberkę Yanga z czarnymi suwakami i szafirową, jedwabną podszewką. Zachwycająca. Niestety nie mieliśmy jego rozmiaru. Ta z wystawy okazała się za mała – jest bardzo szeroki w ramionach. A druga, którą mamy w magazynie, za duża.

Kiedy to mówił, Eve podeszła do wystawy, uważnie przyjrzała się kurtce.

– Wielka szkoda, ponieważ od tych dwóch koszulek od Leonardo... Rewelacja. To geniusz. No więc do tych koszulek i miejskich dżinsów Granville'a ta kurtka idealnie pasuje.

– Zapłacił gotówką.

– Tak. Był bardzo miły, spytał o okolice, restauracje, bary, inne sklepy. Powiedział, że ma do załatwienia jakąś sprawę w mieście. Rozmawialiśmy nawet o pogodzie – jaka jest prześliczna! – kiedy pakowałem jego zakupy.

– Mamy spis miejsc, o których mu wspomniał pan Bilbo – wtrącił Reineke.

– No dobrze. Czy jeszcze coś mówić, o coś pytać?

– Właściwie nie. Spytałem, jak to się zwykle robi, czy podoba mu się w Nowym Jorku, odpowiedział, że tak i że zamierza jeszcze lepiej się tu zabawić. Och, a ja mu powiedziałem, że chętnie sprawdzę, czy uda mi się zdobyć tę kurtkę Yanga w jego rozmiarze. Możemy też poprosić naszego krawca, żeby ją dopasował w razie potrzeby. Spytałem, czy zechce mi zostawić numer telefonu. Ale się nie zgodził. Powiedział, że może tu zajrzy za dzień, dwa, sprawdzi, ale nie chciał zostawić swojego numeru telefonu.

– W którą stronę poszedł po wyjściu ze sklepu?

– Ach... W prawo. Tak, w prawo, bo widziałem, że jeszcze raz spojrzął na kurtkę, ale się nie zatrzymał.

– Bardzo panu dziękujemy za pomoc. Jeśli wróci, bardzo ważne, żeby potraktował go pan dokładnie tak, jak dziś rano.

– O rety. – Bilbo znów przycisnął ręce do ust.

Gdyby oczy mogły głośno przelicykać, jego to zrobiły.

– Proszę mu powiedzieć, że kurtka już jest zamówiona. I proszę odłożyć dla niego coś na zaplecze. Proszę iść na zaplecze, zadzwonić do mnie. Peabody, daj panu Bilbo wizytówkę. I proszę przynieść z zaplecza coś, co by mu pasowało, coś, czym zająłby pan jego uwagę.

– Chyba... Chyba mogę to zrobić. Prawdę mówiąc, znalazłem kurtkę w jego rozmiarze w naszym sklepie w Chicago, powinna u nas być jutro z samego rana. Mogę ją odłożyć na zaplecze. Mogę to zrobić. Był taki czarujący. Trudno uwierzyć, że zrobił coś złego.

– Jak się tutaj pojawi, proszę myśleć o tym, jaki jest czarujący, pójść na zaplecze, skontaktować się ze mną.

Eve obrzuciła wzrokiem swoich dwóch detektywów.

– Wyglądacie jak gliny.

Jenkinson w odpowiedzi wyszczerzył zęby w uśmiechu, zamachał jej przed oczami swoim krawatem.

– Nawet w tym krawacie wywołującym oczopląs. Włóżcie coś swobodnego. Cobbe może się kręcić gdzieś w tej okolicy. Nie chcę, żeby zobaczył dwóch gliniarzy. Weźcie torbę na zakupy albo... – Wskazała coś, co według niej było męskim odpowiednikiem damskiej torebki. – Ile to kosztuje? – spytała Bilbo.

– Miejska torba Josepha Karima? Osiem dziewięćset.

– Jezu. Zapomnijcie o tym. Zróbcie atrapę torby miejskiej. Bilbo, ile za umieszczenie pustego kartonu w torbie na zakupy?

– Och, nic. Z radością to dla pani zrobię.

– Świetnie. Dzięki.

Przyjrzała się uważnie Peabody. Mimo różowego płaszcza, różowych kowbojek, szalika w różowo-fioletowe kwiaty, wprawne oko dostrzegłoby w niej gliniarza.

– Wyglądamy jak gliniarze. Co więcej, on wie, jak ja wyglądam. Daj mi ten dziewczynski szal.

Peabody zmarszczyła brwi, odwinęła szal.

– Wcale nie dziewczynski – mruknęła.

– I odepnij parę guzików.

– Dlaczego zawsze muszę odpinać parę guzików?

– Bo masz cycki.

Eve owinęła szyję szalem, podczas gdy Jenkinson gapił się w sufit, a Reineke zainteresowała się skarpetkami na ekspozycji.

Bilbo tylko się uśmiechnął.

– Śliczny szal. To Miranda Bester?
– Nie, to Peabody.
– Sama go pani zrobiła? – Znow uniósł dłonie do ust, a potem wyciągnął rękę, żeby przesunąć palcem po dzianinie. – Jest niesamowity. Jeśli mi wolno zasugerować... O ile nie przekraczam granicy... Jeśli chce pani wyglądać mniej oficjalnie, może włoży pani jakieś odjazdowe okulary przeciwsłoneczne?

Peabody wyjęła parę – ogromnych, w białych oprawkach, z różowymi (jakżeby inaczej) szklami.

– Idealnie! – wykrzyknął Bilbo, kiedy je włożyła.

– Chyba mam okulary w samochodzie – przypomniała sobie Eve.

Bilbo przywiązał wstążkę w granatowo-czerwone paski do rącek torby na zakupy.

– Jeśli mi wolno zauważyć, ten absolutnie cudowny płaszcz od Leonardo wcale nie wygląda jak policyjny, ale bije od pani aura osoby apodyktycznej.

– Zgadza się.

Uśmiechnął się promiennie do Eve.

– Czapka gazeciarza – bardzo modna tej wiosny – przyda pani odrobinę niefrasobliwości, niespotykanej u policjantki. Vanity, kawałeczek dalej, ma je w ofercie. Jeśli mi wolno powiedzieć, jako pani wielbicielowi, nikt się nie spodziewa ujrzeć porucznik Dallas w czapce gazeciarza i kwiecistym szalu.

Eve skinęła głową.

– Masz rację, Bilbo.

Zapłonął się tak, że jego twarz zrobiła się koloru botków Peabody.

– O rety, dziękuję!

– Co pan zrobi, kiedy znow tu przyjdzie?

– Będę się zachowywał normalnie, powiem mu, że znalazłem kurtkę, pójdę na zaplecze i zadzwonię do pani.

– Tak jest. Dziękuję za pomoc.

Na ulicy rozejrzała się uważnie.

– Swobodny ubiór – powtórzyła. – Podzielimy listę, którą dostaliśmy od Bilbo. Może trafi nam się jeszcze kilku takich Bilbo.

Poszła do samochodu, wyciągnęła parę okularów przeciwsłonecznych w praktycznych, czarnych oprawkach, a potem zgodnie z sugestią Bilbo wstąpiła do Vanity.

Stwierdziła, że sklep ogromnie się różni od Urbane – jest trzy razy większy, dudniła w nim rytmiczna muzyka, pełno było licealistów i studentów, grzebiących w towarach.

Pachniało tu tanim sprayem do ciała dla nastolatków.

Peabody wyrwała z rąk Eve czarną czapkę.

– Nie ta. Przymierz tę.

Eve zmarszczyła czoło na widok fioletowej czapki w małe, różowe kwiatki.

– Wykluczone.

– Pasuje do szalika, w którym, nawiasem mówiąc, bardzo ci do twarzy. Nikt widząc tę czapkę, nie pomyśli: glina.

Mówiąc to, Peabody wyjęła z pojemnika gumkę do włosów z różowo-białym motylem.

– To dla mnie, bo byśmy wyglądały głupio, gdybyśmy obie miały czapki.

Eve pogodziła się z przegraną.

– Czasami nasza praca wprawia mnie w zażenowanie.

Ale zapłaciła za czapkę, włożyła ją, zapłaciła też za gumkę, przyglądała się, jak Peabody zgarnęła włosy do góry i obwiązała gumką w taki sposób, że motyl znalazł się na czubku koczka.

– Będzie jeszcze bardziej żenujące, jeśli go zatrzymamy, mając na sobie wszystko.

Ale, pomyślała Eve, jakoś to przeżyje.

Sprawdzali bary, restauracje, sklepy, mijali kwartał za kwartałem.

Trafili do sklepu, gdzie Cobbe kupił bieliznę – czarne bokserki – i cienki, stalowoszary, kaszmirowy sweter, wycięty pod szyją, oraz dwie koszule.

Po drodze wstąpił jeszcze na bazar po podstawowe produkty.

Wcześniej czy później wróci przynajmniej do jednego lub dwóch z tych miejsc. Musiała się zdać na odpowiedzialnych obywateli, którzy skontaktują się z nią, kiedy go zobaczą.

Nienawidziła zdawania się na cywilów.

Na koniec zajrzeli do baru oferującego drogie drinki o wymyślnych nazwach, roznoszone przez niezmiernie piękne kelnerki.

Zagadnęli barmankę, która potaknęła głową natychmiast, jak tylko pokazali jej zdjęcie Cobbe'a.

– Był tu wczoraj wieczorem, aż do zamknięcia lokalu. Przyszedł coś koło północy – wczoraj pracowałam przez dwie zmiany, więc obsługiwałam bar do samego końca. Pił gin blossoms. Mogę sprawdzić na wydruku kasowym, ale pamiętam, że zapłacił gotówką, zamówił cztery kolejki, a potem kupił jeszcze dwa kieliszki szampana dla Kaylee.

– Kaylee?

– Kaylee Skye, naszej artystki. Od dziesiątej do drugiej wykonuje stare bluesowe kawałki. Zdaje mi się, że pojawił się koło północy, bo wiem, że Kaylee miała akurat drugą przerwę, a on lekko się do mnie przystawiał. Sympatycznie, ale zdecydowanie się przystawiał.

– No dobrze. – Eve zmierzyła ją wzrokiem. Obsługa baru też była wyjątkowo urodziwa. Barmanka była wysoka, tyczkowata, miała srebrzystoblond włosy i kości policzkowe tak wydatne, że mogła nimi ciąć szkło.

– Potem Kaylee wyszła na estradę, zaczęła wykonywać drugi zestaw utworów i zapomniał o przystawianiu się do mnie. Kaylee jest fantastyczna i ma cudowny głos. Seksowna, występuje w błyszczących, dopasowanych sukniach, jakie się widuje na starych filmach. Czy napiją się panie czegoś?

– Jaką macie kawę?

Barmanka się uśmiechnęła.

– No cóż, to nie jest nasza specjalność.

– Macie pepsi?

– Mamy colę.

– Poproszę.

– Dla mnie cola zero – wtrąciła Peabody. – Jak się pani nazywa?

– Londa. Londa Stanski.

– Czyli skupił się na utalentowanej Kaylee Skye – ciągnęła Eve.

– Bez reszty. Spytał mnie, co pija, potem postawił jej kieliszek ulubionego szampana. To pierwszorzędny trunek, czyli gość miał forszę. I od razu było widać, jak zaiskrzyło.

Barmanka dodała do szklanek skórkę z cytryny, podłożyła pod nie podkładki.

– A ona zwróciła na niego uwagę?

– Tak, ale w jej przypadku to nic niezwykłego. Niewinny flirt wchodzi w zakres jej obowiązków. Tak czy owak, podczas kolejnej przerwy podeszła do baru, żeby mu podziękować. I dalej flirtowali. Mówił z tym kojącym akcentem, miał klasę.

Londa przyjęła zamówienie na zombie i wódkę martini.

– Czy wyszli razem? – drążyła Eve, kiedy barmanka z wprawą mieszała drinki.

– Tak. To dla niej nietypowe, ale coś zaskoczyło między nimi. Kilka tygodni temu zerwała z facetem, z którym spotykała się przez jakiś czas, więc nie ma żadnych zobowiązań. Dziś wieczorem zaczyna o dziesiątej, jeśli chce pani z nią porozmawiać.

– Potrzebny mi jej adres.

Barmanka po raz pierwszy się zachnęła.

– Proszę posłuchać, rozumiem, że są panie z policji, ale naprawdę wolę tego nie robić. Zresztą i tak za kilka godzin Kaylee się tu pojawi.

– Myślisz, że dwie policjantki przysły tu i pokazują jego zdjęcie, bo chcą sobie z nim poflirtować?
– No nie, ale...
– Dwa dni temu zabił kobietę. W taki sposób od dwudziestu lat zarabia na życie. Proszę mi podać adres Kaylee.
– O Jezu. Mieszka dwie przecznice stąd. – Podyktowała im adres. – Od czterech lat kolegujemy się z Kaylee. Poproście ją, żeby do mnie dryndnęła, dobrze?
– Dobrze. Jeśli ten gość pojawi się tu dziś wieczorem, proszę się ze mną skontaktować. – Skinęła na Peabody, żeby położyła wizytówkę na kontuarze. – Nie rób nic, co mogłoby go spłoszyć. Podaj mu drinka i zadzwoń do mnie.
– Rozumie się. Poproście Kaylee, żeby do mnie zadzwoniła.
– Jasne.
– Kolejny przełom – powiedziała Peabody, kiedy wyszły.
– Być może. Poszli na piechotę, to tylko dwie przecznice stąd. Może pozwoliła mu wejść na górę, a może nie. Jak bardzo by naciskał, gdyby to było „może nie”? Cobbe liczył na seks, ostatecznie postanowił jej drinka. Pierwszorzędnego szampana. A ona go prowokowała, prawda? Tak czy inaczej, przypuszczalnie wszedł z nią na górę.
Eve zatrzymała się przed budynkiem. Ładna sześciokondygnacyjna kamienica mieszkalna, z porządny-
nym alarmem, kamerami.
– Sprawdź, czy jest tu ktoś, kto mógłby nam udostępnić nagrania z kamer. Kaylee mieszka na pierwszym piętrze. Spotkamy się tam.
– Tak jest.
Eve posłużyła się kluczem uniwersalnym, weszła do małego holu ze starym, pieczołowicie odnowionym drewnianym parkietem. Zignorowała windy – dwie, z drzwiami ozdobionymi muralami z nowojorskimi wieżowcami na tle nieba – i skierowała się do schodów.
Czysty budynek, pomyślała, w lekko artystycznym stylu. Kaylee albo cholernie dobrze zarabia swoim głosem, albo ma inne dochody, skoro ją stać na czynsz w tym domu.
Zatrzymała się przed mieszkaniem 2A, nacisnęła dzwonek. Spróbowała jeszcze raz, ale bez skutku.
Poczuła ściskanie w dołku. Odwróciła się i zadzwoniła pod 2B.
W interkomie rozległ się kobiecy głos.
– Tak?
– Policja. – Eve pokazała odznakę. – Szukam Kaylee Skye.
Drzwi się otworzyły, właścicielką głosu okazała się kobieta w czarnym trykocie i zwiewnej niebieskiej spódnicy. Czarne włosy z czerwonymi pasemkami upięła w ciasny kok, miała uderzająco piękną twarz.
– Dlaczego?
– Musimy jej zadać kilka pytań.
– O?
– Czy zna pani panią Skye?
– Mieszka po drugiej stronie korytarza.
Widocznie na dziś wyczerpały już limit osób, skłonnych do pomocy policji.
Eve wyszarpnęła swój palmtop, wyświetliła zdjęcie Cobbe’a.
– A jego?
– Nigdy go nie widziałam.
– A ona tak, a jest poszukiwany za liczne zabójstwa. Ostatniego wieczoru widziano ją, jak opuszczała miejsce pracy razem z nim, może wpuściła go do swojego mieszkania. Nie wiedziała o jego kryminalnej przeszłości. No więc czy wie pani, gdzie ona jest?
– Nie. – Zniknęły jej napastliwa mina i ton głosu. Wciąż była nieco podejrzliwa, może odruchowo nie darzyła gliniarzy zaufaniem, ale pojawił się niepokój. – Przypuszczalnie wciąż śpi, ostatecznie pracuje do późna. Chociaż spodziewałam się, że ją zobaczę, nim wyjdę na zajęcia. Razem ze swoim partnerem prowadzimy szkołę tańca.
– Ten człowiek jest niebezpieczny... – zaczęła Eve.
Otworzyły się drzwi windy, wysiadła z niej Peabody.
– Mam nagrania – weszli do budynku razem o drugiej dwadzieścia trzy. Nie zmusił jej. Wyszedł o trzeciej zero jeden. Miał wymięte ubranie – dodała, obrzucając wzrokiem tancerkę. – I otarte knykie. Tancerka jednym suszem pokonała korytarz, zaczęła walić w drzwi do mieszkania Kaylee.
– Kaylee! Kaylee, to ja, Marta! Otwórz drzwi. Obudź się i otwórz te cholerne drzwi.
– Dozorca pozwolił nam wejść – poinformowała Peabody. – Dzwoni do prawnika, ale powiedział, żeby wejść.

– Zabierz ją. – Eve przepchnęła się obok tancerki, posłużyła się kluczem uniwersalnym.

– Policja nowojorska – zawołała. – Wchodzimy.

Wchodząc do środka, wiedziała, że już za późno, by uprzedzić lokatorkę. Ładny, kobieco urządzony pokój dzienny, wszystko utrzymane w stonowanej kolorystyce, pluszowe tkaniny. Na podłodze para niebotycznie wysokich srebrnych szpilek, pospiesznie zrzuconych z nóg, długa, biała-srebrna suknia z jedwabiu.

Zaczęli tu tańczyć, pomyślała Eve, podnieceni, całowali się łapczywie, pieścili, Kaylee uwolniła się od sukni, kiedy kierowali się do sypialni.

A tam coś poszło nie tak.

Nie tak ostro? Zwolnij? Przestań? Zaczekaj?

Coś z tego albo wszystko, wyobraziła sobie Eve.

Czy krzyczała, wzywała pomocy? Mieszkania w takich budynkach są dźwiękoszczelne.

Ale nie zwolnił, nie zaczął. Uciekł się do pięści, żeby ją przekonać. Może nie zamierzał jej zabić. Nie posłużył się nożem.

Objął dłońmi jej szyję i wycisnął z niej życie. Leżała teraz na łóżku, bieliznę miała porwaną na strzępy, jej twarz – nawet teraz uderzająco piękna – była posiniaczona, pościel skotłowana, bo Kaylee stawiała mu opór.

Eve słyszała, jak tancerka krzyczy na Peabody, więc się odwróciła i pomaszerowała do drzwi, gdzie jej partnerka siłą powstrzymywała kobietę, żeby nie pozwolić jej wejść.

– Proszę przestać. W przeciwnym razie będziemy zmuszone zakuć panią w kajdanki.

– Czy Kaylee tam jest? Kaylee!

– Teraz już nic nie może pani dla niej zrobić.

Kobieta wyrwała się Peabody i osunęła się na podłogę.

– Zajmę się nią, Dallas. Proszę ze mną pójść. Ma pani na imię Marta, prawda? Chodź ze mną, Marto.

Ufając, że Peabody da sobie radę z szokiem i rozpaczą Marty, Eve zamknęła drzwi.

I zgłosiła zabójstwo.

Akurat skończyła wstępny obchód mieszkania, kiedy Peabody stanęła na jego progu.

– Udało mi się ją uspokoić, zaraz przyjdzie jej partner. Czy Cobbe ją pociął?

– Nie. Bił, głównie po twarzy, a potem udusił gołymi rękami. Potrzebne nam są zestawy podręczne z samochodu, musimy powiadomić barmankę, uzyskać od niej oficjalne zeznanie.

– Dobrze, przyniosę zestawy, powiadomię barmankę. Mogę ją poprosić, żeby złożyła oświadczenie, kiedy skończymy tutaj.

– Niech będzie.

Czekając na powrót swojej partnerki, sprawdziła dane ofiary.

Kaylee Skye, lat trzydzieści jeden. Najbliżsi krewni – matka, ojczym, przyrodnie rodzeństwo w Dayton w stanie Ohio; ojciec, macocha i przyrodnie rodzeństwo w Columbus w stanie Ohio. I dziadkowie ze strony matki, którzy utworzyli fundusz powierniczy, co wyjaśniało, dlaczego Kaylee było stać na czynsz za lokal w tej kamienicy.

Eve obezła mieszkanie, przyjrzała się schludnemu aneksowi kuchennemu, równie schludnej łazience – świeżym, puszystym ręcznikom, grubej, białej ścielce.

Mała wnęka obok aneksu kuchennego pełniła funkcję gabinetu – stały tam minikomputer, kremowe krzesło i biurko, na krześle leżała ciemnoniebieska poduszka.

W pokoju dziennym dużo spokojnych błękitów i różu, meble ustawione tak, by można było rozmawiać.

Nie wyglądało na to, że Cobbe miał ochotę rozmawiać, kiedy znalazł się z nią w mieszkaniu.

Pociągał ją – bo czemu nie? – był przystojny, elegancko ubrany, a cudzoziemski akcent jeszcze dodawał mu uroku.

Póki nie weszli na górę.

Wtedy zrobiło mu się pilno.

Może początkowo nawet ją to podnieciło, dała się ponieść chwili, całowali się i obłapiali, czuła dreszcz pożądania.

Potem stał się brutalny.

Eve znów się rozejrzała wkoło. Widać tu było kobiecą rękę, te spokojne kolory, wszystko było takie ładne.

– Nie lubiłaś brutalni, prawda, Kaylee? Pragnęłaś nieco romantyczności, nieco łagodności, a on tylko chciał cię przelecieć, i to ostro.

Wróciła do sypialni, stanęła na jej progu.

– Prosiłaś, żeby zwolnił, okazał odrobinę czułości. Ale on tego nie zrobił. Nie mógł. Taki już jest. I kiedy mu powiedziałaś, żeby przestał, żeby zaczekał, uderzył cię. Założę się, że nikt nigdy nie uderzył cię w twarz. Doznałaś szoku – ten ból, ta zniewaga, ten nagły strach. Więc zaczęłaś krzyczeć, walczyć, a on ponownie cię uderzył.

I znów, i znów, pomyślała Eve. I znów, i znów.

– Czy ci powiedziała, żebyś się zamknęła, nazwał cię dziwką, kurwą? Prawdopodobnie tak. Podarł na tobie twój śliczny stanik i majteczki, a ty płakałaś, błagałaś go. Może udało ci się krzyknąć. Więc zaciśnięła ci ręce na szyi, żeby cię uciszyć, a jednocześnie wbił się w ciebie, wycisnął z ciebie powietrze, życie, posuwał cię i rznął, i stękał.

A kiedy skończył, kiedy zobaczył, co zrobił, nie poczuł nic. Zapiął spodnie i wyszedł.

– Dostał to, czego chciał.

Wyjęła komórkę, skontaktowała się z Abernathym.

– Dorwał kolejną.

– Co takiego? Pani porucznik? Kogo? Gdzie?

Podawała mu nazwisko, adres.

– Pański asystent pana tu przywiezie. – Obejrzała się za siebie, skinęła głową, kiedy Peabody weszła z zestawami podręcznymi. – Muszę tu popracować.

Mamy farta, pomyślała Eve, kiedy zostawiły miejsce zbrodni technikom, a ofiarę – ekipie z kostnicy. A jednak.

– Napiszę raport w domu – poinformowała Eve swoją partnerkę.

– Ja to zrobię. Mam bliżej do domu niż ty. Prześlę ci kopię. Nie mogłyśmy temu zapobiec, Dallas. I w jego aktach nie ma nic o takim zachowaniu – Abernathy to potwierdził. Nic a nic. Zabija dla zysku, zarządza i patroszy swoje ofiary. To nie jest wzorzec postępowania.

– Teraz nie pracuje. Wykonuje misję, może to dla niego nawet coś w rodzaju wakacji. Teraz nie kontroluje się jak wtedy, kiedy pracuje. I śmiem twierdzić, że akta kłamia. Abernathy cholernie się myli.

Czuła, że bulgocząca w niej wściekłość grozi wykipieniem, musiała nad nią zapanować.

– Muszą być inne dochodzenia. Nierozwiązane albo błędnie zamknięte, które łączą się z Cobbe'em.

– Zgadzam się z tobą. To było dla niego łatwe, po prostu kolejna noc.

– Mogę cię podrzucić do komendy albo do domu, gdzie wolisz.

– Nie trzeba. To tylko krótka jazda metrem. Spotkamy się później. McNab będzie w furgonetce, słyżalam, że ty i Roarke też. Więc dołączę do was.

– W porządku. Spiszę oświadczenie barmanki, a potem popracuję w domu.

Nim wróciła do swojego wozu, jej nastrój sięgnął dna. Wysłuchiwała płaczącej tancerki, płaczącej barmanki, płaczących rodziców.

Ich rozpacz przepływała przez nią falami.

Chciała już być w domu, chciała być z Roarkiem, chciała być ze swoim kotem. I chciała popracować. Bo dzięki pracy dotrze do tego sukinsyna.

Potem przypominała sobie o szkole.

Za późno, ma za dużo pracy, pomyślała. Wstąpi tam kiedy indziej. Nie była teraz w odpowiednim nastroju.

I przeklinając pod nosem, zmieniła trasę.

Ponieważ, niech to cholera, to ważne. To ma znaczenie.

Wstąpi do szkoły na dziesięć minut, szybko przejdzie się po budynku i będzie mogła powiedzieć Roarke'owi, że widziała szkołę. Nie ma sensu go ściągać, bo tylko wpadnie tu i zaraz wypadnie.

Oczywiście oznaczało to szukanie cholernego miejsca do zaparkowania, przez co straciła kilka minut, a potem musiała na piechotę dotrzeć do szkoły, przebijając się przez tłum ludzi, którzy najwyraźniej nie mieli ochoty wracać do domu.

No więc owszem, szkoła prezentowała się świetnie – przynajmniej z zewnątrz. Dostojnie, ale nie wymyślnie ani... Jak to się mówi? Statecznie. Dziwne słowo, ale pasowało jak ulał.

Dobre, solidne alarmy, jak należało się spodziewać. Zdecydowała się zadzwonić, zamiast posłużyć się kluczem uniwersalnym, ciekawa, kto jej otworzy.

Nie spodziewała się Rochelle.

– Och, miałam nadzieję, że uda ci się wpaść! – Nim Eve zdążyła zareagować, Rochelle złapała ją za rękę i wciągnęła do środka.

– Nie przypuszczałam, że wciąż tu będziesz.

– To wielki dzień, nie mogłam się stąd wymknąć. Wilson dopiero co wyszedł. Za godzinę spotkam się z nim na uroczystej kolacji.

– Nie chcę cię zatrzymywać.

– Nie, nie, pozwól, że cię oprowadzę. Tyle razy dziś się śmiałam i płakałam, że straciłam rachubę. Wybac mi więc, jeśli znów to zrobię. Uczący się w trybie dziennym już wyszli, a ci, którzy mieszkają w internacie, albo są w kuchni, albo wciąż się rozpakowują, urządzając się w pokojach.

Przeszły przez sale lekcyjne, sale do nauki samodzielnej, sale rekreacyjne – wszystkie radosne, czyste, jasne.

Pracownie naukowe, pracownie do zajęć praktycznych, sale muzyczne, teatr.

– O niczym nie zapomniał, prawda? – mruknęła Eve.

– O nie. Szkoda, że nie widziałas reakcji niektórych dzieciaków, rodziców i opiekunów. Wiele z nich nigdy nie miało takiego miejsca, takiej szansy. Wiem, że nie wszystkie z niej skorzystają, ale wiele tak. Wiele tak.

Wróciły przez stołówkę do głównej kuchni. Była tam gromadka dzieciaków i troje personelu. Pomagali dzieciakom przygotować posiłek.

Pachniało cudownie.

– Nie będziemy przeszkadzać. Carlo, szef kuchni, to prawdziwy skarb. Nauczy zarówno sztuki kulinarnej, jak i naukowych podstaw gotowania. Poznają nie tylko zasady zdrowego odżywiania, pokażemy im również, że gotowanie to frajda.

– Gotowanie może być frajdą?

– Według Carlo tak. Mamy też kuchnię-pracownię dla uczniów zaawansowanych albo poważnie interesujących się gotowaniem.

Na górze było więcej sal lekcyjnych, więcej świetlic, pokoiów do nauki samodzielnej, pracowni tematycznych.

A w sali, którą Rochelle nazwała kinową, zobaczyła na ekranie film o szkole, który oglądały Nadine i Quilla.

– Przepraszamy – powiedziała Rochelle. – Przeszkadzamy. Nie wiedziałam, że wciąż tu jesteś, Nadine.

– Prawie skończyłyśmy. – Spojrzała na Eve bystrymi, reporterskimi oczami. – Quillo, wprowadź poprawki, o których rozmawialiśmy. Zaraz wrócę.

– Dobrze, ale chciałam... – Quilla wstała, podeszła do Eve, wyciągnęła do niej rękę.

Eve, speszona, uściśnęła ją.

– Ja też nie lubię uściśków – są dziwaczne. Chciałabym ci tylko podziękować.

– Dobra. Nie ma za co. Jak leci?

– Cholernie odlatowo. Nadine puści w *Teraz* fragment mojego reportażu.

– Wprowadź te poprawki – przypomniała jej Nadine. – Potem porozmawiamy.

– Już się do nich zabieram.

– Zostawię was, żebyście mogły porozmawiać. – Rochelle się cofnęła. – No cóż, szkoda, że nie lubisz uściśków. – Mocno objęła Eve.

Ponieważ Eve stała tyłem do Quilli, nie widziała, że dziewczyna filmowała tę scenę.

– Znów się będę śmiać i płakać, nim spotkam się z Wilsonem na kolacji.

– Powiedz Crackowi... Wilsonowi, że biała kobieta go pozdrawia.

– Powiem mu. Co za dzień. Co za cudowny dzień.

Oddaliła się, trochę pociągając nosem, a Nadine ujęła Eve pod ramię i odprowadziła ją kawałek, aż znalazły się poza zasięgiem uszu Quilli.

– Powiedz mi najpierw, jak przyjaciółka przyjaciółce, jak się ma Roarke, jak ty się masz.

– Świetnie. Nie mogę powiedzieć, że to był cudowny dzień, ale u nas w porządku. Jakoś dajemy sobie radę.

– Zebrałam ile mogłam informacji o Cobbie. Prawdopodobnie nie ma tam niczego, czego już nie wiesz, ale i tak ci je prześlę. A teraz powiedz, czy jeszcze jakoś mogę ci pomóc.

– Dajemy sobie radę. – Widziała, że Quilla coś robi – chyba wprowadza poprawki do filmu. Słyszała jej nagrany głos, głosy dzieci, energię tego wszystkiego.

– Jesteśmy blisko. Wiem, że jesteśmy blisko, Cobbe nawet nie podejrzewa, jak blisko. I chcę, żeby tak pozostało.

– Nic nie pojawi się na antenie bez twojej zgody. Mówię to jako zawodowiec, który zawsze współpracował i nadal będzie współpracował z policją, ale również jako twoja przyjaciółka. I Roarke'a. Wiesz o tym, Dallas.

– Wiem. Uczysz ją tego?

Nadine obejrzała się na Quillę.

– Jasne, że ją tego uczę, ale ona już to wie. Jest zarówno uczciwa, jak i pełna entuzjazmu. Poza tym bardzo utalentowana. Nie przesadzam z zachwykami, żeby woda sodowa nie uderzyła jej do głowy. Ale

jestem trochę zwariowana na punkcie tej dziewczyny.

– Wydaje mi się, że podobnie jak ona na twoim punkcie. – Eve westchnęła. – Zabił kolejną kobietę. Nie na zlecenie.

– Kogo? Kiedy? Jak?

– Możesz poinformować o ofierze, Kaylee Skye, ale nie o tym, że ma to związek z Cobbe'em. Nie chcę, by wiedział, że już wiemy. Jeszcze nie. Seks za przyzwoleniem drugiej strony, który przekształcił się w gwałt i zabójstwo. Cobbe ją udusił.

Nadine zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

– Używa ostrych narzędzi. Jesteś pewna, że to on?

– Nie zabił na zlecenie. Chcesz jeszcze jakoś pomóc? Załóż się, że Cobbe ma na koncie podobne zabójstwa. Nierozwiązane. Lubi ślicznotki, łatwy podryw. Mógł już wcześniej zabić kilka licencjonowanych prostytutek, ale bardziej prawdopodobne, że były to zwykłe dziewczyny, bo zbyt łatwo byłoby powiązać z nim profesjonalistki. Chce chronić swoje fałszywe tożsamości, czyli zabijał przygodnie poznane dziewczyny, takie jak Skye.

– Zobaczę, co mi się uda znaleźć.

– Ja też poszperam. Muszę już iść, czeka na mnie praca. – Ale została jeszcze chwilę. – To dobre miejsce, prawda? Odnoszę wrażenie, że to dobre miejsce.

– Nie tylko Rochelle zbierało się na łzy, kiedy mnie oprowadzała. Quilli też, chociaż z niej mała twardzielka. To dobre miejsce, Dallas, i już zaczęły się zmieniać losy tych, którzy tu trafili.

– Okej. Dobra. Muszę zmykać. Daj mi znać, jak się czegoś dowiesz o Cobbie.

– Jasne. Och, Dallas? – dodała Nadine, kiedy Eve skierowała się do wyjścia. – Śliczny szal.

– Co? – Eve spojrzała na siebie, zakłęła, ściągnęła go z szyi. – To szal Peabody.

– Dobrze ci w nim.

Eve, nie zatrzymując się, wepchnęła szal do kieszeni. Cieszyła się, że pamiętała, żeby pozbyć się tej głupiej czapki.

Wychodząc, przypomniała sobie czyste i jasne pomieszczenia, zapach smakowitego jedzenia szykowanego w kuchni, błysk w oczach Quilli, kiedy ścisnęły sobie dłonie.

I pojechała do domu w znacznie lepszym nastroju.

Obserwując, czy nikt jej nie śledzi, zastanawiała się nad Regulaminem Małżeńskim.

– Wyślij wiadomość do Roarke'a – poleciła komputerowi samochodowemu. – Jadę do domu.

Dobrze się poczuła, kiedy to powiedziała. Dobrze się poczuła, wiedząc, że ruch uliczny, z którym się zmagą w drodze powrotnej do domu, będzie prawdopodobnie czymś najgorszym, z czym przyjdzie jej się mierzyć do rana.

– Odtworzyć wiadomość – poleciła, kiedy komputer zasygnalizował nową wiadomość głosową.

Rozległ się głos Roarke'a, jeszcze jeden poprawiacz nastroju.

Ja też. Właśnie przejeżdżam przez bramę.

– Odpowiadam: otwórz butelkę, kolego. Zaskoczyliśmy na nią.

Jego odpowiedź przyszła kilka sekund później.

Uważaj za załatwione.

Jak miło, pomyślała. Czasami miło być mężatką. Może szczególnie miło wiedzieć, że mają siebie, kiedy zwala się na nich całe to gówno.

Zabrząca jej komunikator i Eve wypowiedziała w duchu jedno życzenie.

Żeby cokolwiek to jest, nie musiała znów zawrócić samochodu.

– Dallas.

– Santiago z Carmichael i dobrą nowiną.

– Bardzo mi się przyda.

– Słyszeliśmy o drugim zabójstwie. Ale zidentyfikowaliśmy samochód, który wynajął Cobbe.

– Jaką macie pewność?

– Stuprocentową. Właśnie patrzę na dokumenty – w tym na kopię prawa jazdy, którym się posłużył, by wynająć czarną terenówkę Tuscan Regal rocznik 61 ze wszystkimi bajerami. Znamy nawet numer rejestracyjny, pani porucznik. Posłużył się nazwiskiem Liam O'Patrick i kartą kredytową Interstellar na

to samo nazwisko. Oba dokumenty przeszły skanowanie przez agenta firmy wynajmu samochodów. Agent, który go obsługiwał, już skończył pracę, ale znamy jego adres i właśnie jedziemy, żeby z nim porozmawiać.

– Roześlijcie do wszystkich jednostek opis pojazdu – podajcie numer rejestracyjny z zastrzeżeniem, że użytkownik mógł go zmienić. Rozkaz: odszukać pojazd, ale nie zatrzymywać kierowcy, nie rozmawiać z nim.

– Carmichael właśnie to robi.

– Dobra robota, Santiago. Obydwie zasłużyłyście na pochwałę. Uzyskajcie kopie wszelkich nagrań kamer, na których jest Cobbe, prześlijcie je do mnie. I poinformujcie, co powie agent z firmy wynajmującej samochody.

– Tak jest.

Policyjna robota, pomyślała, dobra, solidna, konsekwentna robota policyjna. Tak się pracuje. A ponieważ regulamin policyjny jest bardziej szczegółowy niż małżeński, podyktowała wiadomość dla Abernathy'ego.

I w końcu przejechała przez bramę.

Weszła do domu, Summerset czekał na nią sam. Co oznaczało, że Galahad poszedł na górę z Roarkiem. Ponieważ sama chciała się tam jak najszybciej znaleźć, zrezygnowała z obelgi na powitanie – zawsze będzie jeszcze okazja – i przeszła od razu do rzeczy.

– Jest coś, o czym powinnam wiedzieć?

– Na deser jest tarta cytrynowa.

– Nie najlepsza wiadomość, jaką dziś usłyszałam, ale może być. – Rzuciła płaszcz na słupek poręczy schodów. – Żadnych dziwnych telefonów, przesyłek?

– Nie. Nie zaatakuję Roarke’a tutaj.

– Nie, ale może spróbować dopaść ciebie.

Summerset się uśmiechnął, kiedy ruszyła w górę schodów. Musiała przyznać, że był to uśmiech, od którego włosy stawały na głowie.

– Doznałby sporego zawodu.

– Tak czy owak pilnuj swojego kościstego tyłka. Zawsze możesz wyciągnąć z niego kij i posłużyć się nim jako dodatkową bronią.

Zdobyła punkt! Kto powiedział, że nie potrafi wymyślić na poczekaniu jakiejś zniewagi?

Całkiem zadowolona z siebie, skierowała się prosto do swojego gabinetu.

Otworzył butelkę, właśnie napełniał drugi kieliszek czerwonym winem, które niemal się zarzyło w kryształowym szkle.

Kot przestał się ocierać o nogi Roarke’a, żeby przydreptać do Eve i zacząć się ocierać o jej nogi.

Potem znieruchomiał, obwąchał ją dokładnie. Rzucił złowrogie spojrzenie, nim z godnością odszedł, podniósłszy ogon pionowo w górę.

Wiedziała, że to koci odpowiednik pokazania środkowego palca.

Roarke przechylił głowę i przyjrzał się kotu, który usiadł u jego stóp i patrzył na Eve dwójkiem różnego koloru oczu.

– A cóż to wszystko ma znaczyć?

– Spotkałam kota. Usiadł mi na kolanach, kiedy przesłuchiwałam kocią opiekunkę. Dlatego Galahad jest na mnie wkurzony.

Rzuciła mu równie zabójcze spojrzenie.

– Pogodzi się z tym, gdy sobie przypomni, kto mu daje tuńczyka.

Wcelowała palec w Roarke’a.

– I nie mów, że Summerset.

Tylko pokręcił głową.

– Nie wyglądasz na tak zmęczoną, jak się tego spodziewałem po takim dniu – powiedział, podchodząc do niej, by musnąć ustami jej wargi, nim podał jej kieliszek.

Natomiast on wyglądał na bardziej zmęczonego, niż się spodziewała, bo rzadko kiedy wyglądał na zmęczonego.

– Mam dobre wiadomości.

– Chętnie posłucham.

– Na deser jest tarta cytrynowa.

Lekko skrzywił usta.

– Tarta to zawsze dobra wiadomość.

– Zidentyfikowaliśmy jego wóz: markę, model, kolor, numer rejestracyjny. Poinformowaliśmy wszystkie jednostki.

– No cóż, to jeszcze lepsza wiadomość niż ta o tarcie.

Znała go.

– Myślisz o kobiecie, którą zabił wczoraj w nocy.

– Żyłaby, gdyby opuścił Nowy Jork zgodnie z planem. – Ujął jej dłoń, nim zdążyła się odezwać. – Wiem, że w żaden sposób się do tego nie przyczyniłem. Wiem, że nie mogłem nic zrobić, by temu zapobiec. Ale mimo to tamta kobieta nie żyje, bo on tu jest, mając nadzieję, że mnie załatwi.

– Nie załatwi cię, i już. Tamta kobieta nie zasłużyła sobie na to, co jej zrobił. Rzadko która ofiara mordercy zasłużyła sobie na to.

Położyła dłoń na jego torsie, na jego sercu.

– Gdyby wyjechał z Nowego Jorku, to owszem, żyłaby. Ale zginąłby ktoś inny, jeśli nie teraz, to wkrótce. A potem kolejny i kolejny. Bo nie powstrzymalibyśmy go. Lecz jest tutaj i go powstrzymamy.

Nachylił się, żeby znów ją pocałować.

– Powinienem zostać z tobą zamiast jechać do biura. Uspokajasz mnie w takich chwilach.

– Właśnie sobie myślałam, że nawzajem tak na siebie działamy. Zjedźmy coś, łącznie z tartą. A dla niego nic, póki nie przestanie się dąsać.

W odpowiedzi Galahad wyprostował nogę i zaczął ją myć, jakby jedzenie było mu całkowicie obojętne.

Ale Eve wiedziała swoje.

– Zajmę się posiłkiem. Dzięki temu przestanę rozpamiętywać to, co się wydarzyło. A ty uaktualnij swoją tablicę.

Odstawiła wino, żeby to zrobić.

– Jest też kilka innych nowych faktów poza samochodem, chociaż nie tak istotnych.

– Powiedz mi o nich – zawołał z kuchni.

– Jenkinson i Reineke znaleźli sklep, w którym robił zakupy, sprzedawca okazał się wielce pomocny. Odzież męska o zbyt wygórowanych cenach – domyślałam się, że to w jego stylu. Sklep nazywa się Urbane.

– Znam go.

Na chwilę przestała pracować.

– Nie jesteś jego właścicielem, co?

– Nie, tylko budynek należy do mnie.

– Tylko budynek – mruknęła. – Mniejsza z tym. Wybulił cztery patole za dwie koszulki i coś tam jeszcze, spodobała mu się jedna bluza. Nie było jego rozmiaru, ale sprzedawca obiecał, że spróbuje sprowadzić, więc ma zajrzeć do nich. Jeśli nie dopadniemy go dziś wieczorem, a pojawi się w sklepie, sprzedawca wie, co ma robić. Potem podzieliłiśmy się sklepami, barami i restauracjami, które polecił mu sprzedawca, natrafiliśmy na jeszcze dwa miejsca, gdzie go widziano. I na koniec wstąpiłyśmy z Peabody do baru, w którym poznał swoją ostatnią ofiarę.

Skończyła uaktualniać tablicę akurat, kiedy Roarke wszedł z talerzami. Książkę postanowiła uaktualnić po kolacji.

Powinien w spokoju coś zjeść.

Może dla niektórych rozmowa o morderstwie podczas kolacji nie była czymś normalnym, ale dla nich – tak.

Pasta primavera, stwierdziła. Nie umywa się do dobrego, tradycyjnego spaghetti z klopsikami mięsnymi, ale nie była też najgorsza. Wzięła swój kieliszek i usiadła za stołem, a Roarke otworzył drzwi na mały taras.

Do pokoju wlała się wiosna.

Eve wzięła do ust pierwszy kęs.

Z całą pewnością nie było złe.

– Zajrzałam do szkoły.

Zaskoczony, uniósł kieliszek z winem.

– Naprawdę? Nie skontaktowałaś się ze mną, więc uznałem, że nie miałaś na to czasu.

– Wpadłam na krótko, bo chciałam to zobaczyć. Sama byłam w kiepskim nastroju, dzięki temu poprawił mi się humor. Rochelle wciąż tam była, wprost biła od niej radość. Oprowadziła mnie po niektórych pomieszczeniach... Po wielu pomieszczeniach. Wszystko jest takie...

Starala się znaleźć odpowiednie słowo.

– Możliwe – powiedziała w końcu. – Widać i czuć wszędzie, że wszystko jest możliwe. Szykowali posiłek. Nie wiedziałam, że zatrudniłeś szefa kuchni.

– Mówiłem ci o tym.

– Myślałam, no wiesz, że zatrudnisz kucharzy, a nie prawdziwego szefa kuchni.

– Powinni dobrze jeść, miejmy nadzieję, że niektórzy okażą się lepsi od nas i trochę się nauczą gotować.

– Ci, którzy byli w kuchni, wyglądali na takich. Była też Nadine.

– Naprawdę?

– Quilla nakręciła film i pracowały nad nim razem.

– Ach tak, widziałem wcześniej kilka minut materiału filmowego. Był bardzo dobry. Nadine już zaczęła szlifować wrodzony talent Quilli.

– Ha. Właśnie tego słowa mi brakowało. Szlifować. Bystra z niej dziewczyna. Widzi możliwości, Roarke, ma to wymalowane na twarzy. Dobrze się poczułam, widząc to, rozpoznając to. Nie będzie jedyną, która to zobaczy i wykorzysta.

Zerknęła na Galahada. Kocur rozwałił się na jej rozkładanym fotelu, zwiesił ogon i nim poruszał. Wpatrywał się w nią zmurzonymi ślepiami.

– Spotkałem tam dziś pewnego chłopaka – powiedział Roarke. – Bardzo młodego. Grał na gitarze, jakby się z nią urodził. Quilla nie będzie jedyną, o nie, bo on jest drugi. Przywiódł mi na myśl chłopaka, który śpiewał na ulicy Grafton, i jego psiaka. Ciekaw jestem, jak potoczyły się jego losy.

– Możesz się dowiedzieć.

– Nie pamiętam, jak się nazywa, o ile w ogóle to wiedziałem. Zapomniałem o tamtych czasach. Albo przynajmniej tak mi się wydawało. Nie rozpamiętywałem – zapewnił ją, kiedy jedli. – Tylko rozważałem. Taka szkoła, jaką stworzyliśmy tutaj, przydałaby się i tam.

– To poważne rozważania.

– Czemu poprzestać na małym? – Teraz on się uśmiechnął. – Może kiedy następnym razem odwiedzimy moich krewnych, wpadniemy do Dublinu i się rozejrzymy.

Wyciągnął rękę i ścisnął jej dłoń.

– A teraz powiedz mi, co wiesz.

Zachowywali się jak zwykle, rozmawiali o morderstwie przy makaronie i winie.

– Sklepy, bazar, bar – powiedział Roarke. – Przeszedł kilka kwartałów. Sądzę, że masz rację, że jego kryjówka znajduje się w tamtej okolicy. W bliskiej odległości od miejsc, które odwiedza – a nie tam, dokąd zaprowadził nas dziś.

– Za każdym razem, kiedy coś kupił, wychodził ze sklepu obładowany. Mógł złapać taksówkę, podjechać metrem, ale bardziej rozsądne jest robić zakupy tam, gdzie się mieszka. I Cobbe jeszcze nie ma powodu, by przypuszczać, że zainteresujemy się tą częścią Lower West Side.

– Mogę jakoś zawęzić wyniki poszukiwań. Jeśli mam pokopać głębiej, może będę musiał zwrócić się nie tylko do tych, którym ufam, ale również do tych, którzy go znają, boją się go albo mają wobec niego dług wdzięczności, a to nieuchronnie doprowadzi do jednego z nich albo, co gorsze, Cobbe się o tym dowie.

– Lepiej nie ryzykuj – natychmiast powiedziała Eve. – Mamy spore szanse, że go zatrzymamy w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Poprzestaśmy na tym. Wiemy, gdzie robi zakupy, gdzie szukał kobiety, jakim wozem jeździ. Do diabła, wiemy, w co się ubiera. Bardzo mu się podobała ta kurtka. Wszystko do siebie pasuje. Solidna, policyjna robota, która daje wyniki.

– Czego już wcześniej byłem świadkiem. A co na to Abernathy?

– Zdziwił się, że Cobbe wynajął samochód. Nie, żeby nie robił tak wcześniej, ale nie spodziewał się, że tutaj się na to zdecyduje. Sprawna komunikacja miejska, Cobbe nie zna miasta. Abernathy uważa, że prawdopodobieństwo namierzenia samochodu wynosi jeden na milion.

Roarke skinął głową.

– Albo Cobbe ma garaż tam, gdzie mieszka, albo wynajął jakieś miejsce parkingowe. Nie zostawia się takiego wozu na ulicy i trzeba mieć szczęście, żeby znajdować regularnie miejsce do zaparkowania.

– Zgoda, ale czasem będzie gdzieś nim jeździł. Poza tym będzie mu potrzebny, kiedy, jak to sobie wyobraża, dopadnie cię.

Te oczy, utkwił w niej te szalone, irlandzkie oczy.

– Albo ciebie.

– Albo mnie. I potrzebny mu będzie samochód, jeśli będzie musiał szybko zniknąć. Nie jest głupi, już sprawdził, jak się wydostać z miasta, gdyby zaszła taka konieczność.

– Znow jesteśmy zgodni. O której godzinie rozpoczniemy polowanie?

– Spotykamy się w komendzie o pierwszej zero zero. Może Cobbe wybierze się na poszukiwanie kolejnej kobiety, ale uważam, że jest na tyle cwany, by dziś wieczorem się nie wychylać.

– W takim razie proponuję dokończyć pracę przy kawie i tarcie.

Przeszedł do swojego gabinetu.

Kiedy Eve została sama, weszła do kuchni, nie zaszczycając nadąsanego kota jednym spojrzeniem.

Wróciła z garścią kocich przysmaków i usiadła za swoim biurkiem. Nie minęło trzydzieści sekund, podczas których przeglądała raport od Santiago, a Galahad wskoczył na blat. Wciąż przeglądając raport, wciąż trzymając przysmaki w dłoni, wzięła tuściocha na przeczekanie.

Bezglównie podszedł do niej, trącił ją łebkiem w ramię.

– Chcesz czegoś?

Ponownie ją trącił, a potem się o nią otarł.

– Musisz wiedzieć, że czasami w pracy będę spotykała inne koty. Jeśli dobrze pamiętasz, znalazłam cię, kiedy byłam na służbie.

Odwróciła się do niego, potrząsając dłonią z przysmakami.

– Ale to ciebie zabrałam do domu.

Położyła smakołyki na blacie. Zamiast rzucić się na nie, jak się tego spodziewała, znów się o nią otarł.

Może z miłości, pomyślała, a może żeby zamaskować zapach obcego kota. Prawdopodobnie z obu powodów.

Pogłaskała go, podrapała za uszami.

– Poza tym nic dla mnie nie znaczyła.

Najwyraźniej usatysfakcjonowany, Galahad rzucił się na przysmak.

Równie usatysfakcjonowana, że wszystko zostało jej wybaczone, wróciła do lektury raportu Santiago. Dodała go do książki, którą uaktualniła.

Przeczytała raport Peabody, też go włączyła.

Rozsiała się z tartą w rękę, przyjrzała się uważnie tablicy. A właściwie, co to takiego ta tarta? I dlaczego jest tak cholernie smaczna?

Złapała komunikator, gdy zabrzączał.

– Co masz, Carmichael?

– Okazało się, że facet z agencji wynajmu samochodów dorabia sobie jako tancerz – ma ładny tyłek. Odszukaliśmy go. Pamięta Cobbe'a, który wynajął drogi wóz, mówił z akcentem. Powiedział, że Cobbe wspominał, że przyleciał do Nowego Jorku służbowo na dwa tygodnie, sprawiał wrażenie sympatycznego. Sprawdzanie przebiegło gładko. Z dokumentów wynika, że Cobbe podał mu hotel, w którym się zatrzymał, by zamordować Modesto, jako swój nowojorski adres, a adres w prawie jazdy, kiedy go sprawdziliśmy, okazał się adresem domu towarowego w Dublinie, takie tam dyrdymały, ale to porządne fałszywe dokumenty.

– Dwa tygodnie. Czyli gotów jest poświęcić trochę czasu. Dobra robota. Wracajcie do domu.

– Może zostaniemy na jeszcze jeden taniec. Mają tu bar z jedzeniem. – Spoważniała. – Jesteśmy coraz bliżej, Dallas. Próbowalam założyć się z Santiago, że dorwiemy go w ciągu dwudziestu czterech godzin, ale się nie zgodził. Detektyw Załóż-Się-O-Wszystko nie przyjął zakładu, bo uważa tak samo. Powiedz Roarke'owi, że wkrótce dorwiemy sukinsyna.

– Dobrze, powiem mu.

Wstała, weszła do jego gabinetu, gdzie siedział bez marynarki, z podwiniętymi rękawami, z włosami związanymi na karku.

W trybie pracy.

– Odesłałam Carmichael i Santiago do domu. Carmichael prosi, by ci powtórzyć, że wkrótce go dorwiemy. Santiago nie chce się założyć, bo też w to wierzy. Już się nie mogą doczekać, kiedy dorwą sukinsyna.

– Doceniam to.

– Jakież postępy w zawężaniu?

– Tak. W tej chwili to moje cztery najlepsze typy.

Wyświetlił na ekranie plan miasta z zaznaczonymi czterema lokalizacjami.

– Ta jest na granicy obszaru, który większość osób uznałaby za możliwy do pokonania pieszo do miejsc przez niego uczęszczanych i nie jest to coś, co można by uznać za lokal do wynajęcia dla podejrzanych typków. To mały magazyn, przerobiony na mieszkanie, umeblowany, wynajmowany na tydzień lub miesiąc. Jego plusem w oczach Cobbe może być to, że nadal ma krytą rampę towarową.

– Dla samochodu.

– Tak. I reklamują go jako posiadający pełne, supernowoczesne zabezpieczenia oraz kryty pełnowymiarowy basen w kompletnie wyposażonej siłowni. Po szybkim sprawdzeniu ustaliłem, że został wynajęty nazajutrz rano po zabójstwie Modesto do natychmiastowego zamieszkania na miesiąc.

– Okej. – Skinęła głową. – Bezwzględnie należy sprawdzić.

– Drugi jest, jak widzisz, trochę poza wyznaczonym obszarem, ale też pasuje. Dom z bramą i garażem. Jego właścicielem jest dość nikczemny Rosjanin, którego nazwisko, jak przypuszczam, nie jest obce Abernathy'emu.

– Twój przyjaciel?

– Skądże, nawet w dawnych czasach. Dwa pozostałe adresy są dogodniejsze, jeśli uwzględnić wyprawy Cobbe'a na zakupy, ale nie oferują miejsca garażowego. Lecz oba są dobrze zlokalizowane i według tego, co ustaliłem, oferowane za pieniądze lub w formie przysługi dla pewnych typków.

– Sprawdzimy je wszystkie.
– Mam jeszcze trzy, bardziej oddalone. – Podświetlił je dla niej. – O ile nie jest amatorem długich spacerów, to wybierając się na zakupy, prawdopodobnie skorzysta z komunikacji miejskiej albo samochodu.

– Prześlij cztery pierwsze adresy do mnie i do Feeneya. Zaczniemy od nich.

– Nic prostszego – powiedział i przekazał informacje.

– Może odpoczniesz ze dwie godziny. Zapowiada się długa noc. Zwłaszcza, jeśli go dopadniemy. Spojrzała na nią, a potem złapał ją za rękę. Posadził sobie Eve na kolanach, nim udało jej się uciec.

– Nie sądzę, by któreś z nas mogło usnąć przed akcją.

– Jesteś zmęczony.

– To prawda. – Musnął nosem jej kark. – Są inne sposoby, żeby zregenerować ciało i duszę. – Przesunął zębami po jej brodzie. – Przez cały dzień miałem ochotę na ciebie. Wielką ochotę, by pograć się w tobie. Pozwól mi na to – powiedział, nim jego usta zawładnęły jej ustami. Jak mężczyzna tego spragniony.

Gdzie to ukrywał przy zmęczeniu i stresie?, była ciekawa. Gdzie schował tę potrzebę, która wybuchła w nim i zapłonęła w niej?

Zmieniła pozycję, żeby owinać się wokół niego, dawać siebie, brać. Po chwili gwałtownie się odsunęła.

– Jezu, mam noże sprężynowe w rękawach.

– Więc zachowaj ostrożność. – Wsunął dłonie pod jej koszulę i objął piersi. – I nie dźgnij mnie nimi.

Sprawił, że straciła dech, już straciła dech.

– Mogę je dezaktywować. – Odchyliła głowę do tyłu, kiedy jego usta, ręce brały ją we władanie. – Pozbędę się ich. Mogę...

Posadził ją na biurku, rozpiął jej pasek.

– Wielka ochota – znów powiedział, zsuwając jej spodnie, kiedy podparła się na łokciach.

– Rozumiem, rozumiem, i to zaraźliwe. Potrzebna mi tylko minutka, żeby...

Jego dłonie ślizgały się po jej skórze, jego palce wsunęły się w nią.

– Nieważne, nieważne. – Orgazm rozerwał ją w samym środku. – Jezu, nieważne!

Potrzebował ją widzieć taką, gorącą i bezradną. Skręcającą się, unoszącą się.

I kiedy znalazła się na szczycie, kiedy odrzuciła ręce do tyłu, żeby uchwycić się skraju biurka, osunął się, by zacząć ją pieścić ustami.

Odgłosy, które wydawała, te okrzyki i jęki szalonej przyjemności jak błyskawice rozpały jego krew. Objął jej długie nogi, drżały w jego dloniach.

Lekko ugryzł ją w udo, przesunął językiem po niej, wsunął go w nią, a ona drżała na całym ciele. I znów pofrunęła.

Leżała dygocząc, łączywie łapiąc powietrze, a on chwycił ją za biodra. I wniknął w ten dziki, wilgotny płomień.

– Weź więcej. Weź mnie. Weź mnie całego.

Uniosła ciężkie powieki i zrozumiała jego desperację. Wszystkie tamte wspomnienia, wszystkie tamte okropne chwile, kłębiące się w nim. Potrzebował tego, co teraz, tego, kim jest teraz, kim są razem.

– Zawsze. – Chociaż czuła wszechogarniającą rozkosz, usiadła, objęła go ramionami. – Jesteś mój. Ja jestem twoja. Zawsze.

Zapadło to w niego i była to miłość, ostra jak klinga.

Kiedy puścił Eve, miłość pozostała.

Przycisnął usta do jej szyi.

– Bez ciebie nie byłbym tym, kim jestem.

Chciała zaprzeczyć, ale się rozmyśliła. Zrozumiała tę prostą prawdę.

– Ani ja bez ciebie. Byłeś zawsze przy mnie. Nigdy się nie wycofałeś, nigdy nie odszedłeś.

Odwróciła głowę, musnęła ustami jego usta.

– Jestem tutaj.

– Wiem.

– Dzięki Bogu, że nic ci nie odcięłam podczas tego wszystkiego.

– Jestem ci za to wdzięczny. – Podciągnął spodnie, a potem podniósł ją, spodnie miała zsunięte na wysokości kostek. – Co powiesz na prysznic?

– Że chyba nam się przyda.

Zaniósł ją do windy.

– Seks i prysznic. Lepsze niż nerwowa próba zdrzemnięcia się dla nabrania sił.

– Nie będę ci się sprzeciwiać.

*

Znów się ubrała, sweter, spodnie, botki – wszystko czarne. Ponownie przyczepiła sztylety – po co ryzykować? – włożyła szelki na broń.

Zauważyła, że Roarke też zdecydował się na czerni, ale z jakiegoś powodu wyglądał w niej jak seksowny włamywacz.

No cóż, kiedyś właśnie nim był.

– Masz prawo wziąć paralizator – przypomniała mu.

– Ach, racja. – Ponownie skierował się do swojej szafy, a ona, zaintrygowana, poszła za nim.

Ubrania, cały elegancki ich gąszcz, wisiały równiutko pogrupowane albo leżały idealnie złożone na półkach.

Podszedł do środkowej szafki, nacisnął jakiś mechanizm, którego nie widziała pod wąską listwą. Otworzył się minipanel kontroli. Wstukał kod, przycisnął kciuk do czytnika. Wtedy przesunęła się cała ścianka, ukazując mały, uporządkowany arsenał.

– Co, do cholery! Dlaczego o tym nie wiedziałam?

– Nigdy nie zapytałaś – odparł po prostu i przykucnął, żeby wybrać paralizator i szelki na broń.

– Nie masz pozwolenia na to wszystko.

– Wprost przeciwnie, mam na to wszystko pozwolenie. To broń kolekcjonerska.

– Ale przecież to... – Czemu traciła czas? Są sprawy ważne i ważniejsze, napomniała samą siebie. –

Weź miniparalizator i nóż szturmowy.

Nie mógł się powstrzymać, żeby się nie uśmiechnąć do niej, miłości swego życia.

– Czy mam do tego prawo, pani porucznik?

– Tak, pozwałam ci. Być może czeka nas spotkanie z niebezpiecznym zabójcą na zlecenie, który pragnie twojej śmierci. Chcę, żebyś był w pełni uzbrojony.

Kiedy wyjmował broń, przykucnęła, żeby bliżej się przyjrzeć jego kolekcji.

– Masz pistolet wielostrzałowy dalekiego zasięgu LX-25.

– I?

– Nic. – Trochę mu go zazdrościła. – Jest niezły.

– Chciałabyś mieć taki?

Odwróciła głowę tak, że znaleźli się oko w oko.

– Jeśli mi będzie potrzebny, wiem, gdzie go szukać.

Nachylił się i ją pocałował. Wyprostował się, wsunął nóż do pochwy przy pasku. Włożył szelki, zabezpieczył paralizator.

Miniparalizator wsadził do kieszeni marynarki.

– Chcę, żebyś włożyła płaszcz – magiczny płaszcz, który ci podarowałem na Gwiazdkę.

– Zrozumiałam.

Stała jeszcze chwilę, obserwując jego twarz.

– No dobra, oto moja propozycja. To operacja policji, a ty jesteś cywilem. Dla ciebie to sprawa osobista, a co za tym idzie, dla mnie to też sprawa osobista. To pewna komplikacja, ale nic na to nie poradzimy. Ważne, żebyśmy schwytali go żywego.

– Zrozumiałem. Jeśli chodzi o rozgrywkę personalną, tak samo jak ty chcę go mieć żywego. Chcę z nim porozmawiać, tak czy inaczej z nim porozmawiam. Musi być żywy, by mnie wysłuchać.

– W takim razie w porządku. Ale gdybyś miał okazję zadać mu trochę bólu? Nie przeszkodzę ci.

O tak, miłość jego życia.

– Chętnie skorzystam z okazji.

– Cóż, przekonajmy się, jak to osiągnąć. Po pierwsze, musimy go znaleźć. Więc zaczynajmy.

– Eve, przez całe swoje życie, nim cię poznałem i kiedy los był taki okrutny dla mnie, że sądziłem, iż nigdy cię nie spotkam, nie miałem nic, kompletnie nic, co mogłoby się równać z tą jedną chwilą.

– Znaczący się jak stoimy przed twoją szafą, uzbrojeni po zęby?

Roześmiał się i ujął jej twarz w obie dłonie.

– Tak.

– Chodźmy odszukać tego drania, żeby przeżyć jeszcze lepszą chwilę.

Zeszli na dół. Nie zdziwiła się na widok swojego długiego czarnego płaszcza i płaszcza Roarke'a, przeruconych przez słupek balustrady schodów. Roarke musiał poinformować Summerseta, co im będzie potrzebne.

Jej wóz stał przed domem.

– Ty poprowadź – poprosiła go. – Poinformuję Feeneya i Peabody, że wyjeżdżamy.

Ledwo zdążyła to zrobić, a zabrzęczała jej komórka.

– To Nadine – powiedziała Roarke’owi. – Może natknęła się na coś użytecznego.

– Dallas – rzuciła do słuchawki. – Jesteśmy trochę zajęci, Nadine.

– Zbyt zajęci, by posłuchać, że dziś matka Lorcana Cobbe’a wystawiła na sprzedaż swój dom w Dublinie?

– Skąd o tym wiesz?

– Mam swoje źródła, Dallas. – Nadine odrzuciła blond włosy z pasemkami, przytknęła palec do ust. – Rzecz święta. Ale powiedzmy, że mam przyjaciół, którzy mają przyjaciół, zbierających plotki i śledzących, co się dzieje w sferach towarzyskich Irlandii. Morna Cobbe żyje na wysokiej stopie, więc warta jest kilku kliknięć. Jeszcze się to nie rozniosło, bo reporter chce poznać więcej szczegółów, ale jutro wszyscy się o tym dowiedzą. A właściwie dziś.

– Zaczekaj. – Wyłączyła mikrofon. – Nie ma czegoś takiego, jak zbieg okoliczności.

– Racja, nie ma.

– Okej. Wymień dwa powody, czemu Morna Cobbe nagle postanowiła sprzedać swój dom.

– Drugim może być to, że chce się przeprowadzić do skromniejszego bądź bardziej wystawnego domu, albo zwyczajnie gdzie indziej. Ale to byłby nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

– Zgadzam się.

– Pierwszy powód? Jej syn uznał, że kiedy mnie zabije, zrobi się gorąco. Nie tylko dlatego, że zrobił wszystko z wyjątkiem umieszczenia ogłoszenia na tablicy świetlnej, żeby poinformować o swoich zamiarach, ale również dlatego, że mam znajomych w Dublinie, którzy go zgniotą, a także przypuszczalnie jego matkę. Postanowił więc wyjechać, przenieść siebie i ją tam, gdzie nie będzie tak gorąco.

– Kupuję to. Nadine?

– Tak, tak, jestem tu.

– Dowiedz się, jakie inne nieruchomości, rezydencje, wystawiono dziś w Dublinie na sprzedaż.

– Mówisz poważnie?

– Bo jedna z nich to kryjówka Cobbe’a i byłoby bardzo miło ustalić jej adres.

Lisie czy reporterki zaświeciły się,

– Prawda? Zobaczę, co mi się uda zrobić. Jedziesz samochodem – dotarło do niej. – Dokąd się wybierasz? Czy masz jakiś ślad, który doprowadzi cię do Cobbe’a? Co...

– Policyjna robota – przerwała jej Eve. – Rzecz święta.

I się rozłączyła.

Roarke rzucił jej spojrzenie, lecz wzruszyła ramionami.

– Jak go dopadniemy, dowie się jako pierwsza.

– To uczciwe. Pracuję do późna. A jej źródło w Dublinie najwyraźniej zaczyna pracę skoro świt.

– Miejmy nadzieję, że Cobbe śpi spokojnym snem zabójcy. Jak sądzisz, czy zabójcom coś się śni? Czy śnią o ostatnim zabójstwie, o następnym? Nie wydaje mi się. Uważam, że udają się gdzieś, gdzie jest ciemno i cicho i nigdy nie mają wyrzutów sumienia. Kiedy zakończenie życia coś znaczy – cokolwiek to znaczy, jakiegokolwiek to ma znaczenie – twoje sny nie są mroczne i spokojne.

Otrząsnęła się, ponieważ przywidło jej to na myśl jej własne sny. Zaprogramowała kawę dla nich, resztę drogi poświęciła na przeglądanie notatek, studiowanie planu miasta, przygotowywanie operacji.

Kiedy dotarli na komendę, wjechali windą do wydziału zabójstw. Przynajmniej o tej porze windy na ogół nie były zatłoczone. Jakiś gliniarz z ulicznym bandytą albo ofiarą bandyty, może z prostytutką bez licencji albo dilerem narkotykowym.

Do windy wsiadł mężczyzna z kilkudniowym zarostem, matowymi włosami pod poplamioną czapką z daszkiem, w porwanej koszulce i postrzępionych spodniach. Strasznie od niego cuchnęło.

– Jezu, Rigby, capi od ciebie jak z kanału ściekowego.

– Bo właśnie stamtąd wracam. Złapałem kilka szczurów. – Wyszczerył zęby w uśmiechu. – Jadę wziąć prysznic.

– Potrzebna ci kabina odkażająca.

– Możliwe, ale nienawidzę tego gówna.

Kiedy wysiadł, odetchnęła głębiej.

– Masz niezwykle ciekawych przyjaciół – zauważył Roarke.

– Głina, pracujący pod przykrywką. Głównie w podziemnym mieście.

– Jak powiedziałem.

Wysiedli na piętrze, gdzie się mieścił wydział zabójstw, weszli do sali ogólnej.

Spodziewała się tu zastać Feeneya i McNaba, może Callendar, Peabody, i naturalnie Abernathy'ego. Zamiast tego zastała ich z całą resztą swoich detektywów i pewną liczbą mundurowych. Stali, pili kawę i gadali.

– A co to takiego? Spotkanie po godzinach?

Baxter, ubrany na czarno i niemal równie elegancki jak Roarke, odwrócił się w jej stronę.

– Cześć, pani porucznik, Roarke. Bez względu na porę, jesteśmy gotowi do akcji.

– Nie wyraziłam zgody na...

– Nie chodzi nam o nadgodziny – przerwał jej Jenkinson i zrobił gniewną minę. – Ktoś chce dorwać jednego z nas? – Wskazał palcem Roarke'a. – Będzie miał do czynienia z nami wszystkimi. I załatwimy tego łobuza.

– Wszyscy się pod tym podpisujemy – dodała Carmichael. – Santiago i ja będziemy tu na wypadek, gdyby przyszła wiadomość o jakimś trupie. Jeśli nie, Feeney ma dla nas drugą furgonetkę.

– Będziemy działać jako wasze wsparcie – dorzucił Trueheart.

Spojrzała na Feeneya. Miał na sobie czarny garnitur, równie workowaty i powypychany, jak ten sraczkowaty, który zwykle nosił.

– Wiedziałaś o tym?

– Wiedziałem dość, by załatwić furgonetkę, która ich pomieści.

– W porządku. Wszyscy mają włożyć ciuchy operacyjne, nikt się nigdzie nie ruszy bez kamizelki. Roarke, daj Peabody plan miasta, żeby mogła go wyświetlić na ekranie, a ja zastanowię się, jak wykorzystać tę bandę... Panie komendancie – urwała, zmieniła ton, kiedy wszedł Whitney.

Nie w garniturze i pod krawatem, tylko w czarnym mundurze operacyjnym, z kamizelką kuloodporną w ręku.

– Pani porucznik, nadal pani kieruje tą operacją. Proszę mnie uważać za członka swojego zespołu.

Musiąca to przemyśleć i zmienić strategię. Dysponowała teraz małą armią gliniarzy do zatrzymania – o ile znajdą tego drania – jednego człowieka.

Ale rozumiała sentyment i potrzebę. Chcesz zadrzeć z jednym, zadzieras z wszystkimi.

– Feeney, pierwsza furgonetka, z panem komendantem, inspektorem, jego asystentem, Roarkiem i McNabem, ze mną, Baxterem i Trueheartem. Callendar i cała reszta do drugiej furgonetki. Santiago, masz smykałkę do informatyki, więc możesz pomóc Callendar, jeśli będzie potrzebowała wsparcia. Carmichael, druga furgonetka z pozostałymi mundurowymi.

Odwróciła się w stronę ekranu.

– Sprawdziłam te adresy pod względem prawdopodobieństwa i omówimy je po kolei. Adres pierwszy – zaczęła i przedstawiła im plan operacji.

Kiedy szli przez garaż do furgonetek, Abernathy dotknął ramienia Eve.

– Pani porucznik, jeśli wolno mi powiedzieć, to był inspirujący przykład lojalności i oddania. Ci, którzy służą pod panią, są...

– Gliniarzami – weszła mu w słowo. – Cholemnie dobrymi gliniarzami.

– Niewątpliwie.

Wsiadła do furgonetki, zrobiła miejsce dla pozostałych.

Feeney usiadł za kółkiem, zaczekał, aż Whitney, zajmujący miejsce dla pasażera, zapnie pasy.

– Wie pan, że jeśli coś się panu stanie, pańska żona zabije mnie na śmierć, a potem zabije mnie jeszcze raz.

Whitney, z poważną miną, skinął głową.

– Ale najpierw tak skopie moje zwłoki, aż pogruchoce mi wszystkie kości.

– Będę musiał się tym pocieszyć. – Podsunął Whitneyowi torebkę kandyzowanych migdałów, uruchomił silnik.

Whitney, chrupiąc migdały, uśmiechnął się szeroko.

– Czuję się jak za dawnych czasów, Ryanie.

– I wciąż są tyłki do skopania. – Feeney wyjechał z garażu. – Druga furgonetka, za mną.

– Tak jest – zameldował Jenkinson. – Kto za porannym piwkiem po tym, jak wywężymy tę gnidę i ją zamkniemy?

Nikt się nie sprzeciwił. Jechali ciemnymi ulicami, minęli kilka oświetlonych barów i seksklubów, po czym znaleźli się w bardziej eleganckiej dzielnicy, z licznymi kawiarniami, winiarniami, modnymi loftami i apartamentami.

Magazyn, przebudowany na dom mieszkalny, był cichy, z za opuszczonych żaluzji widać było kilka przyćmionych lamp.

Eve poleciła, żeby druga furgonetka czekała w połowie kwartału.

– Przeskanuj – poleciła McNabowi.

– Przystępuję do skanowania parteru pod kątem źródeł ciepła. Żadnych filtrów ani blokad, więc...
Hola!

– Hola co?

– Spory ruch, mnóstwo ciał, poruszających się ciał. Próbuję policzyć, ale jest ich przynajmniej osiemnaście, dziewiętnaście na parterze. Siedzą, stoją, leżą. Są... Ach, okej.

Siedzący obok niego Roarke uściśnął grzbiet nosa i się roześmiał.

– Przypuszczam, że na innych kondygnacjach stwierdzisz to samo.

– Czyli co? – Eve przysunęła się do ekranu. I zyskała pełny obraz.

– Do diabła, to jakaś cholerna orgia.

– Sekskapada – uściślił McNab, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Grupa ludzi wynajęła ten dom na miesiąc, żeby uprawiać seks?

Roarke spojrział na Eve.

– Raczej jakiś przedsiębiorczy gość lub grupka osób wynajęła to miejsce na miesiąc, żeby organizować tu seksparty. Za pieniądze. Badania seksualności czy coś w tym rodzaju.

– Najprawdopodobniej – dodał – mają warsztaty i seminaria. Może nawet dają nagrody.

Trueheart odwrócił wzrok od ekranu, zarumieniwszy się, a Baxter nachylił się niżej.

– W południowo-zachodnim narożniku trwa orgietka we troje, a w samym środku jest wielka sterta ciał. Ciekaw jestem, ile sobie liczą za wstęp.

– Siadaj na tyłku, erotomanie – rozkazała Eve. – McNab, przeskanuj resztę pomieszczeń w budynku. Musimy mieć pewność. A druga furgonetka, przestańcie chichotać.

Ponieważ skanowanie wykazało obecność ponad pięćdziesięciu osób na różnych kondygnacjach, w grupkach różnej liczebności i w różnych konfiguracjach, Eve zdecydowanie wykreśliła ten adres ze swojej listy.

Złapała komórkę, kiedy zabrzęczała.

– Nadine. – Przeczytała wiadomość, wstukała odpowiedź, a potem przesłała dane Abernathy’emu.

– Właśnie przekazałam panu przypuszczalny adres kryjówki Cobbe’a w Dublinie.

– Co takiego?

– Dostałam niedawno informację, że dom jego matki zostanie wystawiony na sprzedaż jutro... Dziś – poprawiła się. – Wygląda na to, jakby chciał ją przenieść gdzieś, gdzie będzie... spokojniej po tym, jak ukończy tę misję. Co oznacza, że logicznie rzecz biorąc...

– Swoje lokum też wystawi na sprzedaż.

Dostrzegła błysk w oczach Abernathy’ego, który się pojawia, gdy gliniarz wie, że w końcu pokonał ostry zakręt.

– Sprawdzala pani nieruchomości?

– Jako przykrywkę wykorzystał Fundację Padriaca O’Karre’a – z liter nazwiska można ułożyć „Roarke” – i najwyraźniej był skrupulatny, sporządzając dokumenty. Dom jednorodzinny tuż za miastem, cena oferowana, kiedy ogłoszenie pojawi się jutro, wynosi trzy miliony siedemset pięćdziesiąt tysięcy euro. Za te pieniądze to prawdziwa okazja, według ogłoszeniodawcy. Sam może pan o tym wszystkim przeczytać.

– I zrobię to, jak tylko przekażę sprawę komu trzeba.

Wziął się do tego, kiedy ekipa kończyła skanowanie budynku.

– Następnym adres – rozkazała Eve.

– Pied-à-terre Alexiego Godinova – poinformował Abernathy. – Zebrałem dane o właścicielu nieruchomości. Godinov kieruje szemraną organizacją na terenie Rosji, Ukrainy i państw nadbałtyckich. Jako przykrywka służy wytwórnia wódek i innych wyrobów spirytusowych, chociaż trzeba przyznać, że dobrze sobie radzi z produkcją i dystrybucją.

– Pranie pieniędzy, tworzenie fałszywych tożsamości – nawiasem mówiąc, pierwszorzędną robotą – przekręty w Internecie, trochę szmuglu. Trzyma się z dala od przestępstw z wykorzystaniem przemocy, ma liczne powiązania z urzędnikami państwowymi – mówił, zerkając na ekran palmtopa.

– Często odwiedza Nowy Jork – ciągnął. – Czasami z żoną i dziećmi, czasami z kochanką, rzadko z partnerami biznesowymi. Wiemy, że kiedy nie korzysta z nieruchomości, wynajmuje ją za opłatą określonym osobom. Ale na ogół trzyma się z dala od przemocy i ludzi pokroju Cobbe’a.

– Trzymanie się z dala od przemocy oznacza, że stara się, by nie można go było powiązać z żadną przemocą, którą mógł pośrednio zlecić.

Abernathy skinął głową do Roarke’a.

– No właśnie. Znaćcie się?

– Nie, ale dość dobrze znam jego przedstawiciela.

Feeney zaparkowała w pobliżu bramy.

– Niezła miejscówka – zauważył McNab, przystępując do skanowania.

Lampy z czujnikami ruchu i dekoracyjne oświetlały rozległy trawnik, płamy wiosennych kwiatów i kwitnące drzewa. W ich świetle widać było zarys klasycznego trzykondygnacyjnego budynku z dobudowanym garażem.

– Sygnały elektroniczne na parterze – dwa androidy – żadnego ruchu. Przechodzę na kolejne piętro. Dwa sygnały – ludzie w pozycji horyzontalnej. Śpią. I jeszcze dwa, to samo, dwa pokoje. Mniejsze. Dzieciaki.

Abernathy nachylił się, żeby przyjrzeć się ekranowi.

– Najprawdopodobniej sam Godinov, bo ma dwoje dzieci, wiek osiem i dziesięć lat, chłopiec i dziewczynka. Mogę sprawdzić, czy przyleciał do Nowego Jorku.

– Proszę to zrobić. Przeskanuj pozostałe pomieszczenia, McNab. Miejmy pewność.

– Przechodzę dalej. Pojedynczy sygnał, trzecia kondygnacja, też pozycja horyzontalna.

– Zatrudniają nianię – powiedział Abernathy, a potem zaczął rozmawiać przez komórkę.

– Sprawdz garaż – poleciła Eve. – A tam jest jeszcze jakiś budynek gospodarczy. Prawdopodobnie szopa ogrodowa albo na narzędzia, ale przeskanuj ją.

– Godinov razem z rodziną i nianią przyleciał do Nowego Jorku dziś po południu. Staramy się uzyskać nakaz, by móc wejść i przeszukać dom w Dublinie. I zapewniam, że go otrzymamy. – Abernathy schował komórkę do kieszeni.

– Dokończ skanowanie, potem skreślimy ten adres i udamy się pod następny.

Miała dobre przecucia, jeśli chodziło o kolejną lokalizację – chociaż komputer na pierwszym miejscu listy umieścił magazyn. Musiała odłożyć to na bok, skupić się na następnym adresie.

– Wprawdzie dwa kolejne adresy uzyskały prawie prawdopodobieństwo, ale te lokalizacje są dogodniejsze, jeśli chodzi o zakupy, bar, gdzie poderwał kobietę, którą następnie zamordował. Brak garażu na wypożyczony samochód, ale w okolicy są garaże do wynajęcia.

– Przekonajmy się, co my tu mamy.

Abernathy wyciągnął opisy.

– Ach, tuż obok Meatpacking District, słynnej nowojorskiej dzielnicy. Budynek trójkondygnacyjny plus pół kondygnacji piwnice. I rzeczywiście, sądząc z planu, bardzo dogodnie położony względem preferowanych sklepów, nieco oddalony od miejsca, gdzie postarał się o tego biednego kota. Właścicielem jest Amazonian Group, oferują dom na wynajem dla biznesu albo na imprezy.

Zmarszczył brwi i spojrzał na Roarke’a.

– Właścicielem jest Reginald Privet?

– Zgadza się. Amazonian Group to przykrywka. W rzeczywistości to własność Priveta.

– Nie mamy takiej informacji.

– Ale ja mam.

– Chwileczkę. – Znów wyjął komórkę i się odsunął.

– Co to za jeden ten Reginald Privet? – spytała Eve.

– Śmiem twierdzić, że to ktoś, kogo chciałabyś widzieć za kratkami – odparł Roarke. – Zajmuje się bronią i seksem, praniem pieniędzy, hazardem. Hazard to dla niego sprawa osobista, bo nie potrafi się oprzeć, często przegrywa i na ogół jest niezbyt bystry. Jego siostra, Alicia, jest od niego bystrzejsza, o wiele bardziej podstępna i właściwie ona wszystkim kieruje. Ale kocha swojego nieodpowiedzialnego brata i często go kryje.

Eve spojrzała na Abernathy’ego, który wciąż coś mamrotał do telefonu.

– Skanuj.

– Przystępuję do skanowania, poziom piwnic. Jest tu kilka zapór – poinformował McNab. – Całkiem dobrych.

Roarke przysunął się do niego, żeby razem z nim popracować, a Feeney przesiadł się do tylnej części furgonetki, by się im przyglądać.

– Ktoś nie życzy sobie, by ktokolwiek tu weszyl. Pracujcie. Ja przyjrzyć się bliżej alarmom i zabezpieczeniu. Przekonajmy się, co trzeba będzie pokonać, gdyby się okazało, że to nasz cel.

Roarke podał Feeneyowi swój palmtop.

– Mam tu wszystko. Ale ponieważ tych zapór nie było na specyfikacji, przypuszczam, że dokonali kilku ulepszeń bez pozwolenia.

Eve, kierując się przecuciem, zadzwoniła do Reo.

Zastępczyni prokuratora zablokowała wideo i jęknęła do słuchawki.

– Dallas, miej litość!

– Potrzebny mi nakaz, i to natychmiast. Natychmiast. – Podyktowała jej adres. – Uważamy, że w środku jest Lorcan Cobbe.

– Daj mi pięć minut. Specjalnie dla waszej operacji mamy pod telefonem sędziego. Musi jedynie wpisać adres.

– Uporajcie się z tą cholerną zaporą – poleciła Eve, kiedy Peabody zrobiła przejście dla Whitneya, który też chciał się znaleźć z tyłu furgonetki. – Druga furgonetka, bądźcie w pogotowiu. Baxter, Trueheart, jak tylko skończą, obstawcie tyły. Santiago, Carmichael, od południa, Jenkinson, Reineke, od północy. Funkcjonariuszu Carmichael, postaw swój oddział w stan gotowości. Zabezpieczmy każde wyjście, drzwi, okna, mysie dziury. Feeney, Callendar, z chwilą, kiedy otrzymamy nakazy, zajmijcie się zabezpieczeniami. Jeśli się mylimy, umieścimy wszystko z powrotem na swoim miejscu i pojedziemy dalej.

Ale nie mylą się, pomyślała.

– Mamy Priveta – poinformował Abernathy. – Zaczy się namierzaliśmy go jakieś trzy miesiące temu – długi hazardowe, kłopoty z konkurencją. Właśnie rozmawiałem z inspektorem zajmującym się tą sprawą. Privet ani słówkiem nie wspomniał o Amazonian, przynajmniej nic nam o tym nie wiadomo, ani o tym, że chciałyby skorzystać z ich znacznych środków, by wydstość się z kłopotów.

– W rzeczywistości środki mogą wcale nie istnieć – wtrącił Whitney.

– Owszem, istnieją. – Roarke oderwał się od pracy. – To dobra, solidna firma, środki wpływają i wypływają. Właściwie zajmują się przemysłem – ludzi, towarów, broni, substancji zakazanych. Ach, kurde, nie należy do niego, tylko do niej. Do Alicii. Ale umieściła na dokumencie jego imię.

Abernathy skinął głową.

– Może Privet nawet nie zdaje sobie sprawy z istnienia tej firmy. Zapewniono mnie, że straszna z niego papla.

– Jest słaby – powiedział Roarke. – Siostra o tym wie i czy go kocha, czy nie, jest wystarczająco inteligentna, by trzymać go z dala od niektórych interesów. Może znać Cobbe’a. Jest podobny do niej, prawda? Pod względem zawodowym, osobistym.

– Mamy nakaz – zakomunikowała Eve akurat wtedy, kiedy McNab zagwizdał.

– Złamałem zaporę. Skanuję.

– Zaczekaj! – Ale Roarke ostrzegł go sekundę za późno.

W chwili, gdy McNab przystąpił do skanowania, w domu rozbłysły światła. Trzy krótkie impulsy, a potem wszystko spowiła ciemność.

– Ostrzeżenie o złamaniu zapory. Niech to szlag.

– Wkraczamy! – krzyknęła Eve. – Ruchy, ruchy! Zlokalizuj go – rozkazała McNabowi i otworzyła tylne drzwi furgonetki. – Szybko, szybko! Nie chcę, żeby nawet karaluch wydostał się z tego budynku. Ruchy! Dezaktywujcie zabezpieczenia.

Zatrzymała się przed frontowym wejściem, wyciągnęła broń, czekając na Peabody, która wygramoliła się z furgonetki i stanęła obok niej.

– Druga kondygnacja – zawołał McNab. – Pojedyncze źródło ciepła. Porusza się. I to szybko.

– Taran! – rozkazała Eve. – Callendar, przeskanuj drzwi, sprawdź, czy są tam materiały wybuchowe. Roarke! Szybko wpuść nas do środka albo wyłamie drzwi.

Roarke wyskoczył z furgonetki.

– Nie ma materiałów wybuchowych, Dallas, ale skan pokazuje, że to stalowe drzwi w drewnianej okładzinie. Będziemy je musieli wysadzić.

– Daj mi minutę – mruknął Roarke, pracując. – Jedną przekłętą minutę.

– Wciąż się porusza, pani porucznik – zawołał McNab. – Jest teraz na parterze.

– Śledź go.

– Pięć warstw. – Roarke zacisnął zęby. – Pokonałem dwie.

Eve wyciągnęła z kieszeni miniparalizator, zmieniła pozycję, wycelowała w jedno z okien. Szybka jedynie zadzwoniła, ale alarm zaczął wyć, światła znów zamrugaly.

– Pieprzona forteca. Wpuść mnie do środka.

– Trzy pokonane, pracuję nad czwartą. Nie poganiaj mnie.

– Porusza się szybko, jest w suterenie, południowo-zachodni narożnik.

– Dłaczego, u diabła? – Eve bujała się na piętach, gotowa do wkroczenia. – Do jakiegoś zabezpieczonego pomieszczenia? Przecież i tak jest w pułapce. Znalazł się w potrzasku.

– Ostatnia warstwa. – Roarke otworzył drzwi i wszedł przed Eve.

Zamrugaly światła, jasno, ciemno, jasno, ciemno. Alarm wył.

– Sprawdzić – poleciał Eve swojej partnerce i towarzyszącym jej mundurowym. – Zabezpiecz front. Feeney, wyłącz ten cholerny alarm! – Wydawała kolejne rozkazy, biegnąc ku południowo-zachodniemu narożnikowi i następnym zabezpieczonym stalowym drzwiom.

– Skończony drań!

– Przepuść mnie. – Roarke odsunął Eve. – Przepuść mnie.

– Najpierw przeskanuj. Nie chcę wylecieć w powietrze.

Stalowe drzwi do piwnicy, pomyślała. Jakies zabezpieczone pomieszczenie? Ale po co schodzić na dół, zamiast wyjść na zewnątrz? Czemu...

– Przemyt? – spytała Roarke'a.

– Tak, do diabła. Alicia pomyślała o niekrepującym dostępie. Jak wejść, jak wyjść.

– Dallas! – wrzasnął McNab prosto w jej słuchawki. – Zniknął. Zwyczajnie zniknął. Pstryk i już. Nigdzie go nie ma. Przysięgam na Jezusa, zupełnie jakby przeniknął przez cholerną ścianę.

Roarke otworzył drzwi.

Alarm ucichł. Światło znowu zgasło, potem włączyło się i już świeciło bez przerwy.

W połowie schodów na dół zobaczyła kolejne drzwi, które powinny prowadzić donikąd.

– Otworzę je – powiedział Roarke. – Ale już teraz mogę cię zapewnić, że to wyjście na zewnątrz.

Droga, którą wnoszą i wynoszą towary pod ziemią.

Z nerwami ze stali, jak stalowe drzwi, które miał przed sobą, zajął się zamkami.

– Uwzględniając położenie domu i cel, jakiemu służy? Prawdopodobnie można tędy dotrzeć do doków, po drodze jest rozgałęzienie. Do magazynu, innego budynku, na jakiś dworzec.

Wyciągnęła komunikator, żeby zarządzić oblawę.

Whitney zbiegł po schodach, akurat gdy Roarke skończył rozbijać zamki.

Otworzył drzwi do tunelu, otynkowanego i suchego, wystarczająco dużego, by pomieścić małą ciężarówkę. Gdzieś z daleka, już ze znacznej odległości, dobiegł Eve warkot silnika.

– Trzymał tu swój wóz. Kurde, kurde, kurde. Niech czterech mundurowych sprawdzi, dokąd prowadzi tunel. Jeśli się rozgałęzia, dwa trzyosobowe zespoły. Cały czas utrzymywać łączność.

– Zaplombujemy budynek. – Utkwiła wzrok w Abernathym. – Zamkniemy tę dziwkę, która udostępniła Cobbe'owi dom, by mógł się ukryć. Musi pan kazać swoim ludziom zatrzymać ją. Jest współwinną

morderstwa. Udzieliła schronienia ściganemu. Zgarnijcie ją.

Wyciągnęła komunikator.

– Zamknijcie mosty, tunele. Cobbe wie, że musi się stąd wydostać, znaleźć inną kryjówkę, zaczekać na właściwy moment.

– Zajmę się tym – powiedział Whitney. – Burmistrz może mieć pewne zastrzeżenia, więc się tym zajmę.

– Tak jest, panie komendancie. Cobbe musiał mieć spakowaną torbę, gotówkę, dokumenty. Paszport. – Zastanowiła się. – W tym domu są windy, ale z nich nie skorzystał. Złapał to, co mu będzie potrzebne, zbiegając na dół. Potrafi pilotować samolot. Gdzie jest najbliższe lotnisko z wahadłowcami międzykontynentalnymi?

– W Southside. W pobliżu doków – powiedział Roarke.

– Jedźmy tam.

– Też chcemy wziąć w tym udział, Dallas – oświadczył Jenkinson.

– Więc wsiadajcie do furgonetki. Funkcjonariusz Carmichael.

– Zabezpieczymy dom, pani porucznik. I zaczniemy jego przeszukiwanie.

– Dobrze. Jak coś znajdziecie, natychmiast chcę o tym wiedzieć.

Kiedy znalazła się koło furgonetek, wszyscy jej detektywi, ekipa z wydziału informatyki śledczej i Whitney już obok nich stali.

– Wszyscy, kurde?

– Nie spoczniemy, dopóki go nie dopadniemy – oświadczył Baxter.

– Lotnisko Southside. Ruszamy. Peabody, uprzedź ochronę na lotnisku, że kieruje się do nich ścigany. Jak szybko toto jeździ, Feeney?

– Nie jest stworzona do szybkiej jazdy, ale mogą coś z niej wydusić.

Powiedziawszy to, odjechał od krawężnika.

– Cobbe musi znaleźć sposób, jak się dostać na teren lotniska – powiedział jej Roarke. – Będzie próbował w miarę możliwości unikać kamer monitorujących. O tej porze nie ma lotów transatlantyckich, przynajmniej komercyjnych, to znaczy, że będzie musiał zaczekać co najmniej godzinę. Spróbujcie dostać się do czynnego całą dobę sektora dla prywatnych wahadłowców.

– Feeney, do sektora dla prywatnych wahadłowców.

– Będzie musiał kogoś przekupić, i to szybko, żeby wystartować – ciągnął Roarke. – Albo ukrąść wahadłowiec. Lub zwycażnie zabić kogoś, żeby się dostać na pokład.

– Nie jest daleko przed nami. Jeśli dorwie jakiś wahadłowiec, mogą śledzić jego lot.

– Da się tego uniknąć. Wystarczy, jak będzie nisko leciał. I nie będzie się trzymał planu lotu.

– Dokąd się uda?

– Irlandia to jego ojczyzna, tam mieszka jego matka. Ale to by było głupotą.

– Abernathy?

– Już się kontaktuję ze swoim przełożonym – powiedział. – Będziemy mieli swoich ludzi na lotniskach w Dublinie. Ale zgadzam się, że Cobbe to przewidzi. Kłopot w tym... – Złapał się czegoś, kiedy Feeney gwałtownie skręcił. – Kłopot w tym, że może polecieć wszędzie, jeśli porwie wahadłowiec dalekiego zasięgu.

– W takim razie lepiej zatrzymajmy go tutaj. – Wyciągnęła komunikator i zaczęła wydawać rozkazy radiowozom.

Wiedzieli, jak wygląda Cobbe, wiedzieli, jakim jedzie samochodem. Pozostawało jedynie znaleźć go i przyskrzynić.

– Jest mistrzem ucieczek – odezwał się Abernathy, trzymając się jedną ręką uchwytu, a drugą obsługując komórkę. – Wiem, że może się pani wydawać, że przez lata pieprzyliśmy robotę, ale faktem jest, że wyróżnia się w swoim fachu.

– Już wkrótce będzie bezrobotny.

– Wcześniej to sprawdził – dodał Roarke. – Jak dojechać do najbliższego lotniska, obsługującego prywatne wahadłowce, jak się dostać do środka, jak zdobyć maszynę. Na jego miejscu poświęciłbym na to godzinę lub dwie pod pretekstem, że chcę kupić wahadłowiec dla siebie albo swojej firmy.

– Żeby ustalić, jak dojechać, poznać plan lotniska. Kurde. Ochrona lotniska jest uprzedzona. Nie mógł przewidzieć, że będziemy mu deptać po piętach.

Z rykiem syreny przejechali wjazd do głównej części lotniska, skierowali się do terminala dla prywatnych wahadłowców. Jeszcze zanim Feeney całkiem zahamował, Eve wyskoczyła z furgonetki.

Ruszyła w stronę wejścia do terminala, gdy ochroniarz wybiegł jej naprzeciw.

– Handler z ochrony. Wszystkie wejścia są zablokowane. Kamery omiatają teren. Jesteście pierwszym pojazdem, który tu dotarł.

– Ile prywatnych wahadłowców, helikopterów, awionetek znajduje się obecnie na terenie lotniska?
– Czternaście wahadłowców krótkiego i dalekiego zasięgu, trzy helikoptery, kilkanaście awionetek.
– Trzeba sprawdzić wszystkie, ostrzeż ochroniarzy w sektorze komercyjnym. Jeśli nie uda mu się przedostać tutaj, może spróbować tam. Polowanie na szczura – zwróciła się do swoich ludzi. – Dwójkami. Panie komendancie, jak sytuacja z tunelami i mostami?

– Pozamykane. Nasi funkcjonariusze współpracują z ochroną doków na wypadek, gdyby chciał się dostać na jakiś statek.

– Lepiej poinformujemy wszystkie węzły komunikacyjne. Inne lotniska z wahadłowcami, dworce kolejowe i autobusowe. – Mówiąc to, rozejrzała się. – Gdzie Roarke?

– Wszedł do środka – powiedział Fenney.

– Skur...

Urwała, bo do jej uszu dotarł ryk, i to cholernie wyraźny. Ryk startującego wahadłowca.

– Cobbe jest w powietrzu. Sukinsyn. Śledźcie ten wahadłowiec.

Biegnać ku wejściu, usłyszała w słuchawkach głos Baxtera.

– Mamy rannego, pani porucznik, hangar numer pięć. Nieprzytomny, dość mocno poharatany, ale oddycha, Trueheart wezwał ambulans. Potrzebny jest lekarz.

– Potrzebny jest lekarz w hangarze numer pięć – warknęła do Handlera. – Jeden z waszych ludzi jest ranny. Jak, u diabła, się przedostał?

– Dowiem się tego. – Handler, z ponurą twarzą, stalowym wzrokiem, wezwał lekarza. – Możemy się założyć o mój tyłek, że się dowiem. – Stuknął w słuchawkę. – Nieautoryzowany start, pas startowy numer trzy. Kieruje się na północny wschód. Mamy go.

Jak długo jeszcze?, pomyślała, kiedy w terminalu nagle zapanował ruch. I gdzie, u diabła, jest Roarke?

– Upewnijcie się, że stan rannego jest stabilny, a potem wszyscy zameldować się tutaj.

Zwróciła się do Whitneya.

– Rusz za nim. Proszę o pozwolenie, panie komendancie. Roarke szybciej zdobędzie wahadłowiec, nim my uporam się z papierami, by jakiś zarekwirować. Roarke umie pilotować. Inspektor Abernathy, ja, kapitan Feeney, detektyw Peabody. Wystarczające siły i znajomość elektroniki.

– Zezwalam i lecę z wami.

– Panie komendancie...

– Nie ucieknie mi drugi raz.

Odrzucił się, żeby załatwić potrzebne zgody, a ona dostrzegła Roarke'a wychodzącego bocznymi drzwiami.

– Potrzebny nam wahadłowiec – zaczęła. – Polecimy za nim.

– Już załatwione. Przewidziałem to i wszystko już zorganizowałem. Hangar numer jeden.

Jenkinson, chociaż dotarł na samym końcu, od razu zorientował się, co i jak.

– Jeśli lecicie za nim, my też za nim polecimy.

– Detektywie... – zaczęła Eve.

– Wystarczy miejsca dla wszystkich – przerwał jej Roarke. – W takiej chwili nie zostawia się swoich ludzi.

Jenkinson energicznie skinął głową i uśmiechnął się od ucha do ucha. Eve złapała się za głowę.

– Nie mogę zabrać wszystkich swoich detektywów. Ktoś musi dyżurować na miejscu.

– Załatwię zastępstwo. – Whitney spojrział na nią. – Pani ludzie na to zasłużyli.

Do kurwy nędzy, pomyślała, ale rozumiała, że została przegłosowana.

– W takim razie idziemy. Ruszcie tyłki. Feeney, McNab, Callendar, zabierzcie z furgonetki do hangaru numer jeden cały przenośny sprzęt, który może wam się przydać.

– Dokąd się udajemy? – spytał Baxter, kiedy do nich dołączył. Miał krew na dłoniach, na rękawie kurtki.

– W górę – powiedziała Eve bez dalszych wyjaśnień. – Hangar numer jeden. Ruchy. Stan rannego? – spytała Baxtera, nie zwalniając kroku.

– Ratownicy medyczni robią, co mogą. Lekarz jest już na miejscu. Wygląda na to, że Cobbe dwa razy przejechał mu nożem po brzuchu, chciał mu poderznąć gardło, ale głównie ranił go w ramię. Zanim do niego dotarliśmy, stracił dużo krwi. Jak, u diabła, Cobbe się przedostał?

– Dowiemy się tego.

W hangarze numer jeden zobaczyła wahadłowiec – smukły, błyszczący i, według niej, cholernie mały.

– Ale numer! – wykrzyknął Baxter. – Polecimy LR-10. – I po kilku stopniach wbiegł prosto do kabiny.

Pokręciła głową i ruszyła za nim, a ekipa z wydziału informatyki śledczej przystąpiła do ładowania sprzętu przenośnego.

– Żadnej gorzały – powiedziała natychmiast. – To nie jakaś cholerna przejażdżka kradzionym wozem. Pozostajemy na służbie i ścigamy przestępcę. Panie komendancie, jeśli pan sobie życzy, może pan zająć miejsce w kokpicie obok pilota.

– Odstępuję je pani. Mam do załatwienia jeszcze kilka formalności. – Trzymając komórkę w dłoni, przeszedł do tylnej części kabiny.

– Peabody, zanieś panu komendantowi kawę. Reszta niech się obsłuży sama. Nie jesteś stewardesą.

– Jasne. Na służbie, w pogoni za przestępcą, ale i tak to fascynujące. Odbiorę meldunki od ekipy na ziemi. Zaraz zaczną przychodzić.

Roarke, już w kokpicie, wcisnął lampki kontrolne.

– Zapiąć pasy! Już jesteśmy dziesięć minut za nim. Fenney, czy masz coś, by śledzić jego wahadłowiec, gdyby zniknął z radarów? – spytała Eve.

Fenney z pochyłą głową, z rudymi włosami przypominającymi sterczące korkociągi, pokazał zęby w uśmiechu.

– Zabawne, że pytasz. Już nad tym pracujemy.

– To się pospieszcie. – Przeszła do kokpitu, który zdecydowanie nie był jej ulubionym miejscem. Usiadła, zapięła pasy. – Jezu Chryste, to szaleństwo.

– Wcale nie – nie zgodził się z nią Roarke i zaczął wyprowadzać wahadłowiec z hangaru. – Jesteśmy szybsi od Cobbe'a. Jeśli uda nam się ustalić, dokąd zmierza, możemy nie tylko postawić władze w stan gotowości, ale również dotrzeć tam przed nim. Skołował LR-3, który akurat przechodził przegląd techniczny.

– Nie jest bezpieczny?

– Jest bezpieczny, wymaga jedynie konserwacji. My mamy dziesiątkę w idealnym stanie.

– Mogłeś mi powiedzieć, że poszedłeś załatwić wahadłowiec.

– Wszystko działa się tak szybko – próbował się usprawiedliwić, kołując na pas startowy. – A wkrótce jeszcze przyspieszy. – Uśmiechnął się do niej. – Startujemy – zakomunikował.

Zacisnęła zęby, kiedy wahadłowiec nabierał prędkości, i pomyślała, jak bardzo nienawidzi chwili, kiedy zostawia Ziemię w dole.

Kiedy już znaleźli się w powietrzu, a jej żołądek wrócił na swoje zwykłe miejsce, odwróciła się do małego autokucharza w kokpicie i zaprogramowała dla nich dwie kawy.

– Dziękuję.

– Taaa... Nie mamy paszportów, nie mamy prawa, żeby ściągać Cobbe'a, gdziekolwiek, do diabła, zmierz.

– Mogę pomóc przy pierwszym, chociaż musiałbym się uciec do nieoficjalnych metod działania. Proponuję, żeby Abernathy pociągnął za kilka sznurków.

– Też tak pomyślałam. Muszę być w stałym kontakcie ze śledzącymi samolot Cobbe'a.

Roarke wskazał drugą parę słuchawek.

– Chwilowo go stracili, ale przewidzieli to i przygotowali zespoły lokalizacyjne i do odbioru fal odbitych.

– Co to takiego?

Roarke spojrział na nią.

– Naprawdę chcesz, żebym wyjaśnił ci szczegóły techniczne?

– Nie. Tylko w takim zakresie, w jakim muszę wiedzieć.

– Będą go namierzać z przerwami i jeśli otrzymam od nich wystarczająco silny sygnał, do tego trwającego wystarczająco długo, mogę uzyskać coś, co można nazwać echem albo odbiciem. Dzięki temu będę go częściej widział na pokładowym lokalizatorze.

– Feeney powiedział, że popracuje nad urządzeniem do śledzenia.

– Byłoby dobrze mieć coś takiego.

– Sprawdzę, jak sobie radzi. – Ale nim wstała, zabrzączał jej komunikator. Ekipy przeszukujące tunel zameldowały, że jedna odnoga prowadzi prosto do terminala wahadłowców. Znaleźli u jego wylotu samochód Cobbe'a.

– Przemyt – przypomniał jej Roarke, kiedy się rozłączyła. – Korzystając z tuneli, można przewozić to, co chce się odebrać albo wysłać. Drogą wodną, powietrzną, podziemną. Budowa tych tuneli była dość kosztowną inwestycją, ale z pewnością już się zwróciła.

– Niech to szlag. – Wstała, żeby przekazać tę informację ekipie.

– Właśnie tędy dotarł tam wystarczająco wcześniej przed nami, żeby zdobyć wahadłowiec, uniknąć ochroniarzy. Privet się nie wykręci – powiedziała Abernathy'emu.

– Tak, co jest bardzo pokrzepiające.

– Nie mamy paszportów ani prawa do działania na miejscu, gdziekolwiek będzie owo miejsce.

– Zajmuję się tym. – Uśmiechnął się lekko. – Chociaż byłoby mi znacznie łatwiej, gdybym wiedział, gdzie przyjdzie nam działać.

– Poinformuję pana o tym, jak tylko sama się tego dowiem. Jak idzie robota nad urządzeniem śledzącym? – spytała Feeneya.

Ze ściągniętymi brwiami, siedział razem z McNabem i Callendar przy stole z jakimiś narzędziami i elektronicznymi bebechami.

– Zepniemy na krótko skrzynkę lokalizacyjną z układem odbiciowym. Lepiej nie pytaj, co to znaczy.

– Wcale nie zamierzałam. Roarke powiedział, że potrzebuje jedynie mocnego sygnału przez... Nie powiedział, jak długo.

– Taa, taa, jasne.

– Jesteśmy w kontakcie z kontrolą naziemną – wyjaśniła jej Callendar, nie przerywając pracy. –

Kiedy to złożymy do kupy, podłączymy się do ich obserwatorów. – Spojrzała na Eve. – Nigdy nie leciałam prywatnym wahadłowcem. Są takie luksusowe i odjazdowe. Sądziś, że polecimy do Europy?

– Trudno wyczuć.

– Nigdy tam nie byłam. – Krwawoczerwony napis na czarnej koszulce nad czarnymi workowatymi ogrodnickimi głosił: ZAJEBIASZCZA INFOMANIACZKA.

– Byłam w Meksyku i na Jamajce, żeby się zabawić, i w Kanadzie z krewnymi, co wcale nie było zabawne. Ale nigdy nie byłam za wielką wodą. Byłoby megafajnie. Trzeba korzystać z takiej okazji,

kiedy się nadarza. Spina się, kapitanie.

– Dobrze, dobrze, tak trzymać.

Siedzieli i pracowali, Feeney, w wymiętej luźnej koszuli już z plamą po kawie, Callendar, w koszulce z napisem, i McNab, z błyszczącymi kolczykami w uchu.

Reszta zespołu była w czarnych mundurach operacyjnych, chociaż Eve na fotelu Peabody dostrzegła jej różowy płaszcz.

Ciekawa była, czy coś takiego to przykład zbieraniny.

– Możemy iść do kuchni po coś do żarcia? – spytał ją Baxter.

Wyrzuciła ręce w górę.

– Czy ktoś ci zabroni?

– Dallas, nasz zespół poszukiwawczy znalazł w kryjówce Cobbe'a jeszcze jedno zamaskowane i zabezpieczone pomieszczenie. Coś w rodzaju schronu. Wyposażony w pełną łączność ze światem poprzez niezarejestrowany sprzęt. Ustalili, że korzystano z niego w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin – dodała Peabody. – Zwrócili się do wydziału informatyki śledczej, żeby wszystko odszyfrowali.

– Który z naszych się tym zajął? – spytał Feeney.

– Detektyw Waver.

– Może być, ale niech wezwą Yina. Wprawdzie Waver jest dobry, ale Yin jest lepszy.

– Przekażę to.

– Zjedzcie coś, jeśli jesteście głodni, a potem radzę, żebyście uciegli sobie drzemkę – zakomunikowała Eve. – Kiedy ustalimy, dokąd najprawdopodobniej zmierza Cobbe, wszyscy mają być w doskonałej formie. Jeśli macie wspomagacze, akceptowane przez wydział, dobrze. Jeśli nie, pozostaje wam kawa.

Feeney gwizdnął.

– Mamy to, mamy tę sprytną bestię. Powiedz Roarke'owi, że mamy własne urządzenie śledzące.

– Sam mu powiedz. Lepiej cię zrozumie. Jak chcesz, możesz zająć drugi fotel w kokpicie.

Feeney trącił łokciem McNaba.

– Ty idź. Chcesz sobie podnieść trochę poziom cukru w organizmie, Callendar?

– Zawsze i wszędzie, kapitanie.

– Przyniosę ci jakiś napój gazowany. Co powiesz na to, by na wszelki wypadek przygotować podgląd i nasłuch?

Wstał, przeciągnął się, poszedł do kuchni, już pełnej gliniarzy, buszujących w autokucharzu i lodówce.

Eve wróciła do kokpitu, gdzie toczyła się rozmowa w żargonie komputerowców. Wyłączyła się, zaczęła chodzić tam i z powrotem wzdłuż przejścia, rozważając różne scenariusze.

Wszystko zależało od tego, gdzie. W mieście czy na wsi? Na terenie zamieszkanym czy otwartym? Czy ma jakąś metę, czy też będzie musiał znów gdzieś uciekać?

Czy wiedział, że siedzą mu na ogonie?

Wychwyciła fragment rozmowy w kokpicie, prowadzony w zrozumiałym dla niej języku.

– Jeśli utrzymasz sygnał przez dziewięćdziesiąt sekund, namierzę go.

– Sądźmy, że uda nam się go utrzymać przez pełne dwie minuty, o ile gwałtownie nie zmieni kursu. Jesteśmy nad oceanem, tak? Prawdopodobnie zachowa prędkość przelotową. Kiedy ostatni raz otrzymaliśmy echo, był na pięciu tysiącach, czyli leci nisko.

– I wolno w porównaniu z nami na piętnastu tysiącach. Według moich wyliczeń znajdziemy się nad nim za dziesięć minut.

– Wtedy połączymy się z systemem lokalizacyjnym kontroli naziemnej, wzmocnimy odbicie i uzyskamy stały sygnał.

– Może zmienić kurs... To wielce prawdopodobne... – W głosie Roarke'a rozpoznała ton, kiedy jej mąż bardziej mówił do siebie niż do osoby znajdującej się obok niego. – Skręcić na południe, do Włoch, Hiszpanii, Grecji. Albo przelecieć nad zachodnią Europą, Polską, Rosją. Ale bazując na obecnych odczytach, stawiam na Irlandię.

– Nie ma to jak w domu?

– Przypuszczam, że nawet on może tak myśleć.

Eve wróciła do Abernathy'ego, usiadła.

– Skontaktuje się ze swoją matką, jeśli już tego nie zrobił. Może wyznaczy jej swego rodzaju rendez-vous. Musicie ją zatrzymać.

– Nie mamy podstaw.

– Współdziałł w przestępstwie. Daj spokój, Abernathy, wymyślcie coś. W ostateczności kaźcie ją śledzić. Ona sprzedaje swój dom. On sprzedaje swój. Morna Cobbe musi wiedzieć, gdzie ma się spotkać

z synem. Aresztujcie ją.

Wróciła do kokpitu. Peabody weszła za nią.

– Przyniosłam wam coś do jedzenia. McNab, mam dla ciebie mocha latte.

– Moja nierównana dziewczyna.

– Są kanapki z jajkiem, szynką i serem – zwróciła się do Eve. – Chcesz?

– Nie, dziękuję. – Dała znak McNabowi, kiedy zaczął wstawać. – Siedz. Roarke ma teraz większy pożytek z ciebie niż ze mnie.

– Powinniśmy znaleźć się nad nim za niespełna dwie minuty. Zniżę lot, żeby go lepiej namierzyć.

Eve poczuła, jak wahałowiec gwałtownie nurkuje, i zamknęła oczy. Przebywanie tysiące metrów nad oceanem jest czymś zupełnie sprzecznym z naturą.

To wariactwo. Ludzie są totalnymi świrami.

– Jesteśmy na dziesięciu tysiącach. Przekonajmy się, co masz, Ianie.

– Jedną chwilę. Panie kapitanie, Callendar, odpalamy to.

– Zrozumiałam – zameldowała Callendar. – Kapitanie?

– Odliczaj.

Roarke rzucił do mikrofonu: dziewięćdziesiąt sekund, sześćdziesiąt, trzydzieści. McNab nacisnął kilka klawiszy na swoim palmtopie.

– Złapiemy echo za dziesięć, dziewięć, osiem...

– Mamy go – mruknął Roarke. – Ładna robota, naprawdę bez zarzutu. Utrzymajmy to. Tylko to utrzymajmy.

Zrobił coś z przyrządami, co sprawiło, że zaczęły błyskać diody i rozległy się jakieś sygnały. Eve zolałek znów podszedł do gardła.

– Jest! – krzyknął McNab.

Eve nie wiedziała, czego się spodziewać. Może eksplozji. Bo czy jakiś totalny świr, lecący tysiące metrów nad oceanem, nie mógłby się z nimi zderzyć?

Albo te dziury w powietrzu, które sprawiają, że wszystko się chybcze i trzęsie. Mogły coś wytrząsnąć.

Albo...

– Jeszcze dziesięć sekund – mruknął Roarke. – Daj mi jeszcze dziesięć cholernych sekund.

– Mamy go. Utrzymaj to, Roarke. Nie pozwól umknąć sukinyrnym.

– Zrobie to, na rany Chrystusa. Tylko...

Pokręcił jakąś tarczą i z jakiegoś powodu McNab znów zagwizdał.

Feeney i Callendar też.

– Jest. Już nam nie umknie – oznajmił Roarke.

Usłyszała wolny, jednostajny sygnał, a kiedy Roarke stuknął w przyrząd, zobaczyła pulsujący punkt – wolno i równomiernie.

– To on?

– To on. Mamy mocny sygnał. Uwzględniając kurs, długość i szerokość geograficzną, prawdopodobnie kieruje się do Irlandii. Jeśli dodać do tego resztę – matkę, kontakty – to najbardziej sensowne.

– Sądziś, że naprawdę próbuje wylądować w Dublinie?

Roarke pokręcił głową.

– Zna jakieś miejsce poza miastem, prywatne lądowisko, lotnisko dla przemytników. Zmienił kurs raz czy dwa, żebyśmy go zgubili, ale tylko stracił prędkość i paliwo. Dokądkolwiek zmierza, dotrzemy tam przed nim. Muszę to tylko ustalić, w tej chwili najbardziej prawdopodobny jest Dublin w Irlandii.

– Cóż, to lepsze niż cały cholerny świat. Jak długo się tam stąd leci?

– My dotrzemy w pobliże Dublina w ciągu niespełna dwóch godzin. Jeśli wzniosę się wyżej, to szybciej.

– Dlaczego?

Spojrzał na nią.

– To wynika z praw fizyki, kochana Eve. Wyżej powietrze jest rzadsze, więc zwiększy się nasza prędkość. Mogę skrócić nasz lot do około dziewięćdziesięciu minut. A on w swoim wolniejszym wahałdowcu, nawet jeśli maksymalnie zwiększy ciąg i lecąc na niższej wysokości? Potrzebuje trzech godzin, albo i więcej.

– Mamy dużą przewagę.

Ścisnęła jego ramię.

– Poinformuję pozostałych.

Kiedy się odwróciła, Peabody dała jej znak głową, a potem wróciła do kuchni – teraz pustej, bo gli-niarze albo jedli, albo spali.

– Co znowu?

– Informatycy włamali się do komputera, odszyfrowali, co tam miał. Cobbe korzystał z niego, by zbierać informacje o Lanniganach i Brodych, o Tulli.

– O Chryste. – Pobieгла do kokpitu. – Nie leci do Dublina.

– Wszystko wskazuje na to, że...

– Chce dorwać twoich krewnych. Leci na farmę.

Nie zapytał, skąd to wie, tylko zwiększył wysokość i prędkość.

– Obserwuj ten sygnał, Ianie. Muszę się skontaktować z kilkoma osobami.

– Podaj mi przybliżoną godzinę przylotu – warknęła do Roarke'a.

– Do Clare – pięćdziesiąt pięć minut.

– Mnóstwo czasu, żeby wywieźć ich z farmy w bezpieczne miejsce.

– Wszystko przygotowałem – powiedział jej. – Teraz muszę to tylko zorganizować.

Poczuła, jak pod wpływem wzrastającego ciśnienia, jej uszy się zatkały, a żołądek – skręcił. Ale stała w drzwiach kokpitu i powiedziała głośno:

– Słuchajcie, Cobbe kieruje się do zachodniej Irlandii, a dokładnie mówiąc – najbliżej, jak mu się uda dotrzeć do farmy Brodych.

Zaspane oczy Feeneya stały się zimne.

– Krewnych Roarke'a?

– Będziemy mieli dobre dwie godziny przewagi nad Cobbe'em. Przeniesiemy krewnych do innego miejsca. Kiedy ten dupek tam dotrze, zastanie bandę nowojorskich gliniarzy, a nie rodzinę rolników.

– Mamy tam swoich ludzi – wtrącił Abernathy. – Każę im być w pogotowiu.

– Dyskretnie i jeszcze nie teraz. Nie chcemy Cobbe'a spłoszyć, tylko go zatrzymać. Peabody, skontaktuj się z miejscową policją. Mogą pomóc przewieźć krewnych Roarke'a, ale muszą się pospieszyć. Nie chcę, żeby Cobbe natknął się na gliniarzy, kiedy spróbuje wejść do domu.

– Callendar, potrzebna mi mapa okolic Tulli – rodzinna farma leży kilka kilometrów za miasteczkiem czy wioską. Nieważne. Tam są inne kryteria. Wyświetl mapę na ekranie.

Trueheart nieśmiało podniósł rękę, kiedy Callendar przystąpiła do pracy.

– Czy jest tam jakieś lądowisko?

– Nie. Roarke to rozkmini. Cobbe też.

Przypomniała sobie pierwszy raz, kiedy tam wylądowała – odrzutowym helikopterem, na polu z krowami. Z mnóstwem krów.

– Cobbe nie dotrze zbyt blisko, więc zyskamy na czasie. Będzie musiał lądować awaryjnie, ukraść jakiś środek transportu albo pójść piechotą. Będzie się starał poruszać możliwie najszybciej. Nie może ryzykować, że zorientujemy się, gdzie wyląduje, i wszystkiego się domyślimy. W tej chwili sądzi, że ma czas.

– Mam mapę. Mogę uzyskać obraz z satelity, jeśli mi podasz, gdzie znajduje się farma w stosunku do miasta.

– Jakies cztery kilometry na wschód. Są tam wąskie drogi, naprawdę wąskie, kręte drogi, krzaki, żywołoty po obu stronach. Trochę lasów. Dobra kryjówka dla Cobbe'a. Niewielki ruch samochodowy. Mieszkają na uboczu. Nie zamykają drzwi na klucz – mruknęła.

– Abernathy, ludzie z Interpolu będą stanowić jedynie wsparcie, mają się nie pokazywać. Możesz go capnąć – warknęła, kiedy chciał się sprzeciwić. – Możesz sobie przypisać całą zasługę, mieć kolejny powodów do chwały, ale ja tu dowodzę. Tu chodzi o rodzinę, ja stoję za sterem, jasne?

– Tak. Oczywiście. A uznanie guzik mnie obchodzi.

– Dobrze. – Już zaczęła się odwracać do ekranu, kiedy jej wzrok padł na Whitneya. Zupełnie o nim zapomniała. – Panie komendancie...

– Proszę kontynuować, pani porucznik. Stery należą do pani.

– Tak jest.

– Zaraz uzyskam obraz z satelity. Daj mi sekundę – powiedziała Callendar. – To chyba te okolice. Jest tu więcej farm, więc...

– To ta. Zgadza się, powiększ ją trochę. Dom – trzy kondygnacje, kilkanaście pomieszczeń. Frontem do wąskiej drogi. Liczne zabudowania gospodarcze. Stodoła, obora, coś jakby silos, stajnia.

– Stajnia i obora to nie to samo? – zdziwił się Jenkinson.

– Najwyraźniej nie. Szopy, budynek dla kur, dla świń, pola. Dużo krów. Są większe, niż przypuszczacie. Trochę owiec, niskie kamienne murki, kilka drzew. Parę dużych drzew, mały strumyk.

– Ładnie się prezentuje. Lokalna policja powiadomiona, Dallas – dodała Peabody. – I jest w drodze na farmę Brodych.

– Świetnie. Trochę na zachód jest drugi dom, podobnie jak trochę na północ. W głównym domu mieszka Sinead Lannigan i jej mąż Robbie... Robert. Ich najmłodszy syn powinien być w Dublinie na uczelni, w szkole policealnej czy coś w tym guście. Starszy syn z żoną i dziećmi – chyba z trójką dzieci – mieszka w domu na zachód. Jej córka z mężem i dwójką dzieci w tym na północ. Jej rodzice, dwóch braci... Jezus, jest ich tak wielu... Rozrzuceni w okolicy. Ale głównym celem Cobbe'a będzie farma i dom Sinead. To serce, wie o tym.

– Nikt ich nie tknie. – Santiago uważnie przyjrzał się mapie. – Nie zbliży się do nich.

– To mu się nie uda. – Spokojna teraz, zimna i spokojna, wykorzystała obraz i swoje wspomnienia z wizyt na farmie, by wszystko zaplanować. – Oto, jak to rozegramy.

Wróciła do kokpitu i usiadła.

– Nie wiem, ile usłyszałeś. Miejscowa policja przewiezie twoich krewnych do miasta. Abernathy stawia w pogotowiu ludzi z Interpolu jako wsparcie. Wiem, że masz ochroniarzy na farmie, muszą robić to, co im powiem.

– Moi krewni nie opuszczą farmy.

– Muszą to zrobić.

Rzucił jej spojrzenie. Ponure, pełne niepokoju.

– Właśnie przez prawie dwadzieścia minut klóciłem się z Sinead, moimi wujami, niezliczonymi kuzynami. Nie opuszczą farmy.

– Zajmiemy się tym, kiedy dotrzemy na miejsce. Chciałam cię zapewnić, że Cobbe ich nie dopadnie, gdziekolwiek są. Jesteś ważnym, nadzianym facetem, prawda? Mamy wahadłowiec pełen dobrych, cwanych gliniarzy i jeśli to nie zrządzenie losu, pieprz się.

Odetchnął głęboko.

– Jestem wdzięczny za ich obecność.

– W tej chwili jesteś jednym z nich, więc weź się w garść. Gdzie zamierzasz tym wylądować?

– Na północnym pastwisku, najbliżej domu kuzyna Aidana. Właśnie wyprowadzają z niego krowy, bo będą musiały opaść pionowo.

– Pionowo? – Zaszło jej w ustach. – Nie podoba mi się to.

Spojrzał na nią.

– Z pewnością ci się to nie spodoba, ale tak będzie najszybciej.

– Nie podoba mi się „najszybciej” i „pionowo” w połączeniu z „opaść”.

– Zapnijesz pasy. Cobbe może się uciec do lotu ślizgowego, bo ma w nosie inwentarz żywy i całą resztę. Chociaż sądzę, że będzie próbował subtelniejszej metody. Jeśli rzeczywiście zna się na pilotowaniu, wyłączy silniki, przejdzie do lotu ślizgowego, by wylądować, i wykorzysta mały las na południe od farmy jako kryjówkę. Jego wahadłowiec jest mniejszy, może mu się to udać, jeśli jest dobry.

– Podobno jest. Czyli pojawi się od południa. Czy możesz mi pokazać najbardziej prawdopodobną trasę?

– W tej chwili nie, bo zaraz zaczniemy opadać. Pokażę ci, kiedy opadniemy.

– Kiedy wylądujemy. Nie mów „opadać”.

Uśmiechnął się lekko, jak tego chciała.

– Idź do kabiny i zapnij pasy.

– Tu jest mi dobrze. – Z tobą, pomyślała, i złapała pas.

Roarke włączył interkom.

– Lądowanie będzie trochę nieprzyjemne – ogłosił. – Z góry przepraszam. Padał deszcz, ostatecznie to Irlandia, podczas zniżania odczuwamy kilka wstrząsów. Lądowanie będzie twarde, więc proszę zabezpieczyć sprzęt i siebie. Wszystkim wam jestem bardzo wdzięczny. Kiedy załatwimy tego drania, stawiam piwo.

Wstrząsą, pomyślała Eve. Zniżanie. Pionowe. Szybkie.

Jeśli to przetrzyma, schwyta Cobbe'a będzie jak spacerek wzdłuż plaży.

I wtedy nastąpiły turbulencje.

– Kilka? – spytała z trudem, bo zęby jej grzechotały.

– To tylko chmury. Kilka chmur w złym humorze. I boczny wiatr. Bez obaw.

Chmury – szare, siekające przednią szybę deszczem – przerzedziły się na tyle, że dostrzegła w dole ziemię.

Zieleń, zieleń, zieleń i ostro kontrastujący z nią brąz.

Zbliżała się z prędkością, którą Eve uznała za zdecydowanie za szybką.

Doszła do wniosku, że lepiej nie patrzeć.

Usłyszała, jak Callendar roześmiała się jak szalona.

– Ale odlot! Tylko spójrz na to! Rzeczywiście jest zielona.

Można się rozbić o zielony ład, pomyślała Eve, równie skutecznie, jak o beton, albo o powierzchnię oceanu, albo o zbocze góry, albo...

Spadali jak kamień.

Znów otworzyła oczy. Zawsze lepiej spojrzeć śmierci prosto w twarz, niż ukrywać się przed nią, bo i tak kiedyś nadejdzie. Uszy jej zatkało, potem poczuła, że pękają jak balon. A zielen wciąga się przybliżała.

Eve wydawało się, że słyszy trzask łamiących się kości, kiedy wylądowali z głuchym bum, odbili się, znów głucho bum.

– Witamy w Irlandii – powiedział Roarke.

Szybko wysiadła – nogi jej się trochę trzęsły, ale szybko wysiadła.

Rozpoznała większość osób, stojących z rękami na biodrach lub w kieszeni.

– A oto nasza Eve. – Mąż Sinead podszedł prosto do niej, objął ją mocno, serdecznie. – Jak stoją sprawy?

– Wylądowaliśmy. – Krowy przyglądały się wszystkiemu zza niskiego kamiennego murku, obojętne na lekkie deszcz..

Pomyślała sobie, że gdyby zechciały, w każdej chwili mogłyby go przeskoczyć.

– Robbie, byłoby mi o wiele łatwiej, gdybyś zabrał rodzinę, wszystkich, do Tulli, i pozostał tam, nim Cobbe nie znajdzie się w areszcie.

Uśmiechnął się do niej przyjaźnie i klepnął ją w ramię.

– Dzieci pod opieką kilku kobiet wyjechały z funkcjonariuszami Gardy. Jeśli chodzi o pozostałych z nas, cóż, to nasza ziemia, nasz dom. Chyba rozumiesz. Więc zostaniemy tu. A oto i Roarke we własnej osobie.

Zostawił ją i podszedł do Roarke'a, żeby go objąć.

– Podock, ochroniarz. – Czarnoskóry mężczyzna, zbudowany jak posąg na cześć fitnessu, wyciągnął rękę do Eve. – Mamy Trace'a na głównej farmie i Ando w domu babci. – Uśmiechnął się lekko. – Powiedziała, że mamy ją nazywać babcią, jeśli chcemy siedzieć w jej kuchni.

Podszedł do nich Abernathy.

– Inspektor Abernathy z Interpolu. W ciągu kilku minut spodziewam się przybycia czterech agentów.

– Może pan rozmieścić po jednym w oddalonych domach i dwóch w głównym – powiedziała Eve. – Cobbe najprawdopodobniej przybędzie z południa, mamy niespełna dwie godziny, żeby wszystko przygotować. Będziemy w stałym kontakcie. Jeśli mylimy się co do kierunku, jeśli podąży do innych domów, przegrupujemy się. Ponieważ już znasz teren, Podock, możesz skierować agentów tam, gdzie trzeba, jak tylko się pojawią.

Odwrociła się.

– Aidanie.

Kuzyn Roarke'a, potężny mężczyzna z wiechą słomianych włosów pod sfatygowaną czapką, nachylił się, żeby cmoknąć ją w policzek.

– Witam ponownie w domu.

– Taa... Muszę przebrać swoich ludzi. Chcę, żeby wyglądali jak farmerzy. Chcę, żeby wyglądali, jakby zajmowali się tym, czym wyście się zajmowali, gdyby to był zwykły dzień.

– Och, jasne. To dość proste.

– Czy Sinead jest na farmie... W dużym domu?

– Tak, razem z Mary Kate, Kevinem i Rorym, i Seamusem. Nie było łatwo ściągnąć tu babcię, ale jakoś nam się udało. Mojej Rosie razem z niemowlęciem i drugim dzieckiem w drodze kazalem wyjechać do miasteczka. Ale reszta została.

– Posłuchajcie mnie przez minutę, bo tylko tyle mam czasu. Rozumiem, że to wasza farma, wasz dom, ale ten człowiek to zawodowy zabójca. My, w przeciwieństwie do was, jesteśmy glinami. Jesteśmy tutaj, żeby go zatrzymać, aresztować, chronić was i waszą własność. Jak zamierzacie się bronić przed profesjonalnym zabójcą, który ma na swoim koncie setki zabitych? Macie broń?

– No cóż, mamy to – powiedział Aidan i zacisnął dłoń w pięść. – Poza tym mamy siekiery, kilofy, łopaty, noże... Och, i kij baseballowy, który kupił sobie młody Ryan, kiedy ostatni raz odwiedził was w Nowym Jorku. Zrozum, jesteśmy Irlandczykami. Od zawsze walczyliśmy o tę ziemię.

– Siekiery i łopaty – mruknęła. – Musimy się dostać do głównego domu. Baxter, Trueheart, pójdziecie z Aidanem. Callendar, ty będziesz ich informatykiem.

– Ziemia jest jak gąbka – zauważyła Callendar.

– Cóż, trochę padało.

Uśmiechnęła się i wystawiła twarz na deszcz.

– Lubię deszcz.

– Proszę tędy. Eleganckie buty – powiedział Aidan do Baxtera. – Zaraz się ubłocą. Zobaczymy, co uda się dla pana znaleźć.

– Santiago, Carmichael razem z McNabem do drugiego domu. Jenkinson, Reineke, Peabody, Feeney, Roarke ze mną. Abernathy, może pan sam wybrać.

– Zostanę w głównym domu.

– Panie komendancie?

– Też. Komendant Whitney. – Wyciągnął rękę do Robbiego. – Piękne okolice.

– Jak cały kraj. Jest pan pierwszy raz w Irlandii?

– Tak.

– Och, to koniecznie musi pan tu przyjechać na urlop – powiedział, prowadząc go do domu.

– Traktują to jak zabawę – Eve zwróciła się do Roarke'a.

Roarke pokręcił głową.

– Wcale nie. Postępują nie według twoich reguł, tylko swoich. Bóg mi świadkiem, że to komplikuje sprawy, ale możesz na nich liczyć.

– Feeneyowi aż się świecą oczy.

– W głębi serca jest Irlandczykiem, prawda? Wiesz, że w razie potrzeby będzie twardy jak skała.

Szli w lekkim deszczu. Spacer dawał jej możliwość przyjrzenia się okolicy, poszukania potencjalnych miejsc ataku, dróg ucieczki.

I przez cały czas słyszała, jak jeden z kuzynów wypytuje Feeneya, skąd są jego przodkowie, czy ma jakichś krewnych w Clare.

Postanowiła nie przejmować się krowami, kiedy szli przez kolejne pole – jaki miała wybór? Ale na wszelki wypadek nie spuszczała ich z oczu.

W szare niebo unosił się szary dym z kominów dużego kamiennego domu.

Dostrzegła dwa konie.

– Trzeba wprowadzić konie do stajni. Może Cobbe umie jeździć konno albo spróbuje. Albo zwyczajnie je zabije.

– Przypilnuję tego – rzucił Robbie przez ramię. – Nie martw się.

Nie martwić się? Czy to powiedzenie tego przekłętą dnia?

Kury gdały w swojej kurzej zagrodzie; świnię chrząkały w chlewie.

Sinead pojawiła się na progu tylnych drzwi wejściowych.

Włosy, złotorude, związała nad karkiem, miała na sobie czarne spodnie i sweter tak szary i miękki jak dym. W jej zielonych oczach pojawił się uśmiech, kiedy rozpostarła ramiona, żeby powitać najpierw Eve, a potem Roarke'a.

– Wybacz mi – odezwał się. – Wybacz, że ściągnąłem na was ten kłopot.

Przestała się uśmiechać, oczy zmrużyła tak, że przypomniały szparki, i trzepnęła go w głowę.

Eve poczuła, jak opada jej szczęka, ale pomyślała, że to nic w porównaniu z zaskoczoną miną, malującą się na twarzy Roarke'a.

– Nigdy nie przypuszczałam, że jesteś takim palantem, do tego obrażasz mnie. Jesteśmy twoją rodziną?

– Tak, ale...

– Wystarczy tak. Nie pozwól, żebym jeszcze kiedykolwiek usłyszała, jak takie głupoty padają z twoich ust. A teraz... – Ujęła jego twarz w obie dłonie, pocałowała go w oba policzki. – Wchodźcie do środka, nie mknijcie na deszczu. Zastanowimy się, co z tym wszystkim zrobić. Właśnie dotarł twój przyjaciel Brian.

Eve obrzuciła Roarke'a szybkim spojrzeniem.

– Brian?

– Poprosiłem go, żeby przyjechał, załatwiłem mu awionetkę. – Z Eve i całą resztą wszedł do kuchni, gdzie na kominku płonął ogień, a powietrze pachniało świeżym chlebem.

– Czy znów oberwę w ucho, jeśli cię poproszę, kierując się miłością do ciebie, żebyś zabrała Mary Kate i udała się do miasta, gdzie będziecie bezpieczne?

– Ode mnie nie, ale od Mary Kate możesz oberwać. I chociaż wiem, że kierujesz się miłością, nie dam się wypędzić z własnego domu.

– Nikt cię nie zamierza wypędzać – sprzeciwiła się Eve. – Chodzi tylko o parę godzin. Tylko o kilka godzin.

– Ten, kto tu przyjedzie, uważa tego, który zamordował moją siostrę bliźniaczkę, za swego ojca. Zamordowały dziecko, które urodziła temu bezwzględnemu mężczyźnie, dziecko, które teraz uważam za swoje. Więc pytam was, czy wyjechalibyście i siedzielibyście beczynnici? Sądziacie, że tak zrobiliby mój mężczyzna, moi chłopcy, moi bracia?

- Jestem policjantką.
- My nie jesteśmy gliniarzami, ale to mój dom, a Roarke w takim samym stopniu należy do nas, jak do ciebie. Znam tylko niektórych z twoich przyjaciół, ale wszyscy jesteście tu mile widziani. Nastawię wodę, żebyśmy mogli się napić herbaty, a ty powiesz, co ci będzie potrzebne.
- Naprawdę nie mamy czasu na herbatę – odezwała się Eve.
- Ja chętnie się napiję. – Wszedł Brian. Właściciel pubu w Dublinie i najstarszy przyjaciel Roarke'a podszedł prosto do Eve. Podniósł ją w górę i pocałował w usta. – Ach, moja najdroższa pani porucznik, bardzo mi ciebie brakowało.
- Dzięki, że przyjechałeś – powitał go Roarke.
- To oczywiste. – Postawił Eve na ziemi. – Czyli to znów ten cholerny palant Cobbe, tak? Zawsze sprawiał kłopoty, ale teraz położymy temu kres. I mój Boże, spójrzcie tylko na tych wszystkich gliniarzy!
- Uśmiechnął się do Roarke'a.
- Czasy się zmieniają, prawda, chłopcze?
- O tak.
- Najgorsze jest to, że wyglądają na gliniarzy. Muszą wyglądać jak farmerzy. Irlandzcy farmerzy – dodała Eve. – Którzy zajmują się w polu tym, czym zajmują się farmerzy.
- Ach, rozumiem, doskonale rozumiem. – Sinead spojrzała promiennie na nich wszystkich. – Zaraz to naprawimy. Mary Kate! – zawołała. – Kochanie – zwróciła się do swojego męża. – W przedsiönku są gumowce, czapki i temu podobne. Powinny się nadać.
- Skinął głowę, a potem ją pocałował.
- Z każdym dniem jestem z ciebie coraz bardziej dumny.
- Och, daj spokój.
- Reineke, Jenkinson, kiedy już się przebierzecie za farmerów, zajmijcie swoje pozycje. Macie być w stałym kontakcie – dodała. – Feeney, tu jest za dużo okien. Cobbe może mieć lornetkę. Nie chcę, żeby zobaczył, jak korzystasz ze sprzętu komputerowego. Obok pokoju dziennego jest małe pomieszczenie.
- Masz na myśli alkierz. Chętnie cię tam zaprowadzę. Feeney, prawda? Chodziłam do szkoły z Bridgit Feeney – powiedziała Sinead, wprowadzając go z kuchni.

– Zespoły – przypomniała Eve wszystkim, kiedy lekko rozbawiona przyglądała się, jak Whitney wkłada brązową czapkę. – Reineke z Robbiem i jego grupą, Jenkinson z Aidanem i jego grupą. Abernathy, proszę razem z komendantem do stodoły. Jest tam stryszek, skąd rozpościera się widok na południe.

– Wierzy pani, że Cobbe spróbuje skierować się do domu i chce go tam pani dorwać. – Abernathy wbił się w jasnobrązową kurtkę roboczą. – Zamierzam trzymać się blisko domu.

– Po pierwsze, większość krewnych Roarke'a ma białą lub rumianą cerę, typową dla Irlandczyków. Santiago to Latynos, Reineke jest rasy mieszanej, ale mają wystarczająco jasną karnację, żeby nie rzucić się od razu w oczy. Pan, komendant i Podock macie bardzo ciemną skórę, Cobbe może zechcieć się wam bliżej przyjrzeć. I dlatego będziecie wypatrywali Cobbe'a ze stodoły, a Podock będzie w drugim domu.

Przyglądała się, jak Abernathy niechętnie to rozważa.

– Po drugie, wiem, że kiedy dojdzie do walki wręcz, komendant sobie poradzi. Natomiast nie wiem, czy pan da sobie radę. Wszyscy pańscy agenci, których też nie można uznać za członków rodziny, również muszą pozostać w ukryciu, póki nie aresztujemy Cobbe'a. Obierze sobie na cel ten dom, ponieważ przypuszcza, że w środku zostanie ciotkę Roarke'a, może kilkoro dzieci. Łatwe cele. Bardzo możliwe, że podejdzie do któregoś z mężczyzn, pracujących w obejściu, jakby chciał zapytać o drogę, ale bardziej prawdopodobne, że skieruje się prosto do domu. Tak czy owak, zabija z bliska.

– Zabije tego, kogo uda mu się dorwać, a potem przyśle mi nagranie – dokończył Roarke. – Może nie dopadnie mnie, ale każe mi zapłacić.

– To cały Cobbe – przyznał mu rację Brian.

– Nie będę z tym dyskutował, bo się z tym wszystkim zgadzam. Tylko nie podoba mi się, że zostałem wysłany do tej cholernej stodoły.

– Jak go dorwiemy, oddamy go w pańskie ręce.

– Rozumiem. Przepraszam. To jest...

– Na pana miejscu czułabym się identycznie – powiedziała mu Eve.

– Razem z komendantem zajmę miejsce w punkcie obserwacyjnym w stodole. – Wyprostował ramiona. – I w razie czego potrafię się bronić.

– Dobrze wiedzieć. Mamy informatyków w trzech punktach. Będziemy w stałym kontakcie. Rozstawili skanery wrażliwe na ruch, ale... Tutejsi ludzie bardzo lubią się kręcić.

– Wciąż pada. – Jenkinson włożył parę czarnych butów z cholewami.

– Z całą pewnością nie rozpuścimy się na deszczu – zauważyła Mary Kate, podając mu czapkę.

– Jest dużo miejsc, gdzie Cobbe może uciec, gdybyśmy próbowali go dopaść na zewnątrz. Mógłby nam się wymknąć. W pobliżu są też inne domy. Nie chcę ryzykować, by jeszcze kogoś zabił, więc zwabimy go do środka. Tak będzie najlepiej. Gdyby zaatakował kogoś na zewnątrz, macie posłużyć się paralizatorem. Nie pozwólcie mu się zbliżyć na tyle, by mógł użyć majchra. I pamiętajcie, że jest szybki. Dziś wieczorem wszyscy poza Cobbe'em mają wrócić do swoich domów.

– Ile mamy czasu? – spytała Roarke'a.

– Powinniśmy zaczynać.

– W takim razie zaczynamy. Sinead, proszę, żebyś razem z Mary Kate poszła na górę. Zamknijcie drzwi na klucz i nie ruszajcie się stamtąd na krok.

– Nie wyglądasz jak ja czy Mary Kate – zauważyła Sinead. – Jeśli, jak powiedziałaś, ma lornetkę i zajrzy przez okno, będzie wiedział, że nie jesteś jedną z nas.

– Włożę to. – Eve wskazała fartuchy, wiszące na kołkach. – I kapelusz. Stanę tyłem do okna.

– Nie będziesz wyglądała naturalnie w kuchni, bo już cię w niej widziałam. – Sinead uśmiechnęła się do Eve. – Ważne, żebyś go tu zwabiła i zatrzymała. Idź do sieni, tam nie ma okien, a ja będę tu robiła to, co zwykle robię. Masz wszędzie swoich ludzi, więc zorientujesz się, że Cobbe nadchodzi. Będzie musiał wejść drzwiami frontowymi, prawda? W przeciwnym razie natknie się na pracujących w obejściu. Jak tylko wejdziesz, od razu pobiegnę na górę schodami w głębi domu i zamknę się na klucz, jak sobie tego życzysz.

– Kurde.

– Jeśli spróbuję się dostać przez piwnicę, to samo. Zobaczycie go i będzie wiedział, że go zobaczyliście. Musi wejść drzwiami frontowymi. Może nawet zapuka, żeby mi otworzyła, bo wtedy będzie mnie mógł zabić. Ale to ty mu otworzysz i go załatwisz. Jeśli nie założysz przynęty, nie złapiesz ryby.

– Nie chcę, żebyś była przynętą – sprzeciwił się Roarke.

– Jeśli jakimś cudem ucieknie, wróci tu, prawda? Kiedy będziemy bezpieczni?

– Ma rację. Przykro mi.

Roarke spojrział na Eve.

– Wiem, ale nie podoba mi się to.

– Możemy włączyć muzykę – zaproponowała Sinead. – Lubię słuchać muzyki, kiedy pracuję w kuchni.

– To zagłuszy wszelkie hałasy. Zrób tak.

– Ja umiem się krzątać po domu – odezwała się Peabody.

– Pozna swoją twarz. Już wie, jak wyglądasz. – Eve zaczęła chodzić po kuchni, kiedy rozległa się muzyka. – Włóż fartuch, trzymaj się z dala od okien. Kręć się blisko Sinead, ale żeby nie wyglądało to podejrzanie. Upewnij się, że masz dobrze schowaną broń. Zająć pozycje.

Pociągnęła Roarke'a do sieni.

– Nie pozwolę mu jej tknąć. Przysięgam na Boga.

– Razem mu nie pozwolimy. – Włosy schował pod czapkę, włożył pożyczoną kurtkę roboczą. – Czy wyglądam jak farmer?

– Niestety nie, i już.

– No cóż, nic na to nie poradzę.

– Zaobserwowałem jakiś ruch – zameldował Feeney. – Z południowego zachodu. Obiekt wolno się przemieszcza. Zbyt duży, by mógł to być pies albo inne zwierzę.

– Na pozycje. Panie komendancie? – Weszła do sieni. – Widzi go pan?

– Jeszcze nie.

– Zatrzymał się. – Odczytał współrzędne pozostałym ekipom informatyków. – Jest jakieś czterysta metrów stąd, znów ruszył.

– Mamy go, panie kapitanie – powiedziała Callendar.

– My też. Z całą pewnością porusza się pieszo.

– Chce się zorientować – powiedziała Eve. – Nie zna tych okolic, chce znaleźć najlepsze drogi wejścia i wyjścia. Po prostu gość, który spaceruje w deszczu.

– Minął punkt, z którego powinien skrócić tutaj – zameldował Santiago. – Możemy zacząć się przemieszczać do następnego domu.

– Jeszcze nie. Zaczekajcie.

– Widzimy go. Czarna kosciana, spodnie, buty. Nie ma kurtki. Jest niezłe przemoczony. – Eve usłyszała satysfakcję w głosie Whitneya. – Wyciąga lornetkę. Ze swojego miejsca powinien widzieć wschodnią ścianę głównego domu i co się dzieje na zewnątrz w jego pobliżu.

– Zachować spokój. Roarke, nie pozwól, żeby zobaczył twoją twarz.

– Nie zobaczy.

– Peabody, wyjdź frontowymi drzwiami – zrób parę kroków... Tylko po co? Po co?

– Żeby strzepnąć chodnik – zaproponowała Sinead. – Wyjdź i wytrzep chodnik.

– Tak, dobrze. Wyjdź za próg, plecami do wschodu, wytrzep chodnik, wróć do środka. Jak cię zobaczy, przekona się, że drzwi nie są zamknięte na klucz. I wejdzie od frontu.

– Kieruję się do drzwi frontowych. – Peabody wzięła mały, kuchenny dywanik sprzed drzwi w głąb kuchni, przeszła przez pomieszczenie, wyszła, pozwoliła, żeby drzwi się za nią zamknęły.

Strzepnęła dywanik, wróciła do środka.

– Przyspieszył kroku, ale wciąż idzie spacerkiem.

– Zwróciła na siebie jego uwagę. Łatwa zdobycz. Nieuzbrojona kobieta, zajęta pracami domowymi.

– Zatrzymał się.

– Znow się rozgląda – zameldował Whitney po Feeneyu. – Uważnie przygląda się mężczyznom, pracującym na pobliskim polu, temu, który przechodzi przed kojcem dla kur.

Cobbe musi to kupić, pomyślała Eve. Jeszcze za daleko, żeby pobiec i go ująć ze stuprocentową pewnością, nawet posługując się paralizatorami. Musi to kupić i podejść bliżej.

– Znow ruszył.

– Spodobało mu się to, co zobaczył – dodał Whitney. – Schował lornetkę do kieszeni, przyspieszył kroku. Jest na zakręcie drogi. Schodzimy.

– Proszę się jeszcze nie pokazywać. Panie komendancie, proszę jeszcze nie opuszczać swojego posterunku. Musimy go mieć w środku.

– Schodzę, ale pozostanę w stodole. To nie mój pierwszy dzień w pracy, pani porucznik.

– Widzę go stąd. – Jenkinson starał się wyglądać jak człowiek, który jest doskonale obeznany z krowami na pastwisku. – Stamtąd, gdzie jest, ma dobry widok na dom. Zwykły facet, który się zatrzymał, żeby podziwiać kwiaty przed domem. Jeśli odpowiednio się ustawi, powinien móc zajrzeć do środka przez okna kuchenne wychodzące na wschód.

– Sinead, sprawiaj wrażenie zajętej. Spokojnej, ale zajętej. Jak tylko skieruje się do drzwi frontowych, idź na górę. Po cichutku.

– Porusza się teraz szybko. Taak, jest obok furtki od frontu.

– Sinead, idź na górę. Teraz.

– Jeszcze nie podszedł do drzwi.

– Jest wystarczająco blisko. Peabody, na wszelki wypadek bądź widoczna przez okno.

Eve wyszła z sieni na tyłach domu, pochyliła się i przeszła przez kuchnię, aż znalazła się w przedpokoju. Tu, z daleka od okien, wyprostowała się, przebiegła kilka kroków, znów przykucnęła.

– Coś odwróciło jego uwagę. Cofa się.

– Kurde, przecież nie mógł mnie zobaczyć.

– Nie, nie, to przejeżdżający samochód. Cobbe czeka, aż się oddali.

Skorzystała z tej okazji, żeby dopaść drzwi i ukryć się za nimi.

– Jestem koło drzwi.

– Ruszył szybkim krokiem. Minął furtkę.

– Czekajcie, czekajcie, pozwólcie mi wejść do środka. Ruszycie na mój znak.

Feeney zniżył głos do szeptu.

– Jest przed drzwiami.

Eve obserwowała, jak gałka u drzwi wolniutko się obraca. Uniosła w górę lewą rękę, zaciśniętą w pięć, w prawej dłoni trzymała broń, dając znak pozostałym, żeby nie opuszczali swoich pozycji.

Do środka, powtarzała w myślach, wejdź do środka. Zupelnie do środka.

Drzwi uchyliły się lekko.

Z kuchni dobiegała radosna muzyka. Peabody roześmiała się krótko.

Dobrze. Sprytnie. Zwab go.

Szpara zrobiła się większa; Eve czekała.

Wpadł szybko, ale Eve była szybsza. Otoczyła lewą ręką szyję Cobbe'a, przytknęła mu paralizator do gardła.

– Rzuc nóż.

Zamiast tego obrócił się, zamachnął się nim. Nóż odbił się od jej płaszcza, więc Cobbe dźgnął ją łokciem.

Trafił w szczękę. Eve z zadowoleniem powitała ból.

Z przyjemnością przyjęłaby walkę, cieszyła się jej perspektywą – rozpoznała tę mroczną potrzebę i zmusiła się, żeby ją zdusić. Raziła go lekko paralizatorem, aż jego ciałem szarpnęło.

Nim nóż z brzękiem upadł na podłogę, pojawili się Feeney i Peabody z bronią gotową do użycia.

– Na ziemię! – Eve podcięła mu nogi. Cobbe osunął się na kolana. Usłyszała tupot, kiedy pozostali wbiegli do domu od frontu, od tyłu.

– Cobbe zatrzymany – poinformował Feeney resztę ekipy. – Zatrzymany.

Stawiał opór. Dla czystej satysfakcji obróciła rękę w nadgarstku, umieściła czubek sztyletu na wysokości jego oczu.

– Zachowuj się tak dalej, a poczujesz smak własnej krwi.

Wykręciła mu ręce do tyłu, zatrzasnęła na nich kajdanki, a potem kazała mu się położyć. Z jednej kieszeni wyjęła mu noże z obu butów – jest pan aresztowany pod zarzutem licznych morderstw, zabójstw na zlecenie, współudziału w przygotowaniu morderstwa, nielegalnego posiadania broni i jej przewozu, porwania samolotu i tak dalej. Te zarzuty postawiły organy ścigania na całym świecie, w tym stanu Nowy Jork. Ma pan prawo zachować milczenie.

Wyrecytowała przysługujące mu prawa, cały czas dociskając go do podłogi.

– Zostanie pan tymczasowo aresztowany przez Interpol, reprezentowany przez inspektora Abernathy'ego.

– Jebać was wszystkich.

Roarke podszedł, by pomóc Eve postawić Cobbe'a na nogi.

– No cóż, wygląda na to, że ty masz przejebane, no nie?

– A ty jesteś bez jaj. Schowałeś się za kobietą.

Roarke tylko się uśmiechnął.

– Ale to niezwykła kobieta.

Kiedy Cobbe plunął mu w twarz, Roarke ani drgnął, ani mrugnął. Nie odrywając wzroku od Cobbe'a, otarł usta rękawem.

Eve czuła w pomieszczeniu narastającą wściekłość gliniarzy i krewnych Roarke'a. Ale było to nic w porównaniu z tym, co rosło w niej. Każda komórka jej ciała płonęła.

Była spragniona walki, czuła nieprzepartą jej potrzebę.

I знаła mężczyznę, którego poślubiła.

Spojrzała na niego.

– Masz ochotę?

Roarke przeniósł wzrok na nią, odczytał w jej oczach, co Eve ma na myśli.

– O tak, bardziej, niż potrafię to wyrazić.

– To proszę.

– Nic dziwnego, że jesteś miłością mojego życia. Nie tutaj – dodał. – Zbyt szanuję to miejsce, żeby skopać w nim jego żalodne dupsko.

– Za dom. Ruszaj się.

Abernathy jednym susem znalazł się przed Eve, ciągnąc Cobbe'a.

– Co pani robi najlepszego? Nie może pani pozwolić Roarke'owi, żeby pobił aresztowanego. Do tego w kajdankach.

– Za kogo pan mnie uważa? Uwolnię go od nich.

– Z całą pewnością nie zrobi pani tego! Ten człowiek jest pod moją pieczę.

Wściekła, naskoczyła na niego.

– Jeszcze go panu nie przekazałam, więc proszę się cofnąć. Proszę się cofnąć, do cholery. To sprawa rodzinna.

Zwróciła się do Whitneya, nie mając pewności, czy nawet jej komendant mógłby ją powstrzymać.

– To sprawa rodzinna – powtórzyła.

Detektywi zrobili przejście, kiedy Eve ciągnęła Cobbe'a przez dom, a potem wrócili na poprzednie miejsce.

Brian stał obok wejścia na tyłach domu, miał na twarzy szeroki uśmiech. Otworzył drzwi, zrobił zamaszty gest ręką.

– W innych okolicznościach założyłbym się o wynik tego pojedynku. Ale i tak stawiam na ciebie, stary kumplu – powiedział do Roarke'a. – Zawsze stawiałem na ciebie, kiedy walczyłeś, uczciwie czy nie.

– Uczciwie! Z cholernymi gliniarzami, gotowymi potraktować mnie paralizatorem, gdybym zdobył nad nich przewagę?

Eve zaciągnęła Cobbe'a na dwór, na namoknięty jak gąbka zielony trawnik. Wciąż mżyło.

– Tylko ty i Roarke, Cobbe, bo zasłużył sobie na to. Nikt nie sięgnie po broń, póki nie spróbujesz uciec. Taki mają rozkaz. – Nachyliła się bliżej, szepnęła: – Nie potrzebuje nas, ty nędzny popaprańcu.

Poszły się sztyletem, żeby przeciąć plastikowe kajdanki.

– Zróbcie im miejsce – poleciła i sama się cofnęła.

– Tknąłeś moją kobietę – powiedział Roarke swobodnym tonem.

– Rozpruję dziwkę od gardła do cipy, kiedy z tobą skończę.

Cobbe natarł pierwszy – Eve wiedziała, że napędzał go gniew, ślepy i wrzący. Roarke też czuł gniew, ale potrafił nad nim zapanować.

I zaprezentował to teraz, odsuwając się na bok, wdzięcznie jak tancerz, a potem kopnął Cobbe'a w tyłek.

Przeglądający się zarechotali z radości na ten widok.

Na trawie, na deszczu śliskiej jak mydło, Cobbe się poślizgnął i upadł na twarz. Do gniewu doszło upokorzenie. Zerwał się na równe nogi, znów natarł.

Tym razem Roarke się nie odsunął, tylko stanął z nim twarzą w twarz.

Cios pięścią sprawił, że z ust Cobbe'a trysnęła krew, barwiąc mu zęby na czerwono. Kolejny cios w brzuch, a następnie w szczękę.

Eve wystarczająco często odbywała sparingi z Roarkiem, by znać jego styl walki, jego ruchy. Cobbe był bardziej muskularnie zbudowany, niczym awanturnik, ale jego styl to była brutalna siła.

Bawi się z nim, uświadomiła sobie, kiedy Cobbe wymierzył mu cios.

Ten cios zabrzmiał jak dzwony kościelne w niedzielę, Roarke poczuł krew.

Chciał tego, potrzebował tego.

Smak krwi sprawił, że walka nabrała wartości, a długo czekał na ten pojedynek.

Usłyszał krzyki, rozlegające się wkoło, ta mieszanina akcentu z West County i Nowego Jorku trochę przypominała muzykę. Nie wywołał głosu Eve, bo milczała. Ale słyszał ją w swojej głowie.

Rób to, co musisz zrobić.

Zrobi to.

– Nasz chłopak potrafi przyjmować ciosy. – Robbie klepnął Eve w ramię. – I umie je zadawać. Pokaż temu zakrwawionemu frantowi, z czego są zrobieni mężczyźni z Clare! – krzyknął. – Nasz chłopak jest bardziej z Clare niż z Dubliną, zapamiętaj to sobie.

– Ma w sobie też dużo z nowojorczyka – wtrącił Jenkinson. – Kurwa, przywal temu popaprańcowi z dzwona! Przepraszam za język – zwrócił się do Sinead.

Uśmiechnęła się.

– Nic nie szkodzi.

Roarke'owi krew napłynęła do oczu, żebra go bolały. Walnął Cobbe'a pięścią prosto w grdykę, ledwo uchylił się przed kopniakiem w przyrodzenie.

Ta zagrywka wywołała okrzyki niezadowolenia i barwne protesty obecnych.

– A więc tak chcesz walczyć? – Roarke cofnął się tanecznym krokiem, otarł krew z twarzy. – W takim razie bardzo proszę.

Obrócił się, wymierzył Cobbe'owi kopnięcie z półobrotu.

Bardzo ładnie, pomyślała Eve. Bardzo ładnie.

Cobbe wpadł na Briana i Santiago, którzy pchnęli go z powrotem na prowizoryczny ring, gdzie czekał Roarke, przykucnięty w postawie bojowej.

Wyprostował się, przedramieniem zablokował prawy sierpowy Cobbe'a, po czym dźgnął go krótko, aż z nosa przeciwnika trysnęła krew.

Dosięgnął go mocny cios prosto w obolałe żebra, ale nie poczuł tego. Przeszał cokolwiek czuć. Szturchnięcie łokciem, uderzenie pięścią w plecy, zimne, metodyczne. Jedyne, co słyszał, to ciężki oddech Cobbe'a, chrząst knykci, trafiających na kość.

Kiedy Cobbe spróbował wydrapać mu oczy, Roarke podciął mu nogi. Obaj zwalili się na ziemię.

Przetoczył się raz, nie zwracając uwagi na daremne próby Cobbe'a, żeby trafić pięściami w jego żebra.

I zimno, metodycznie, zadał Cobbe'owi trzy mocne ciosy prosto w twarz.

Chciał go uderzyć czwarty raz, chciał go okładać bez końca, wpatrując się w zakrwawioną twarz i szklane oczy przeciwnika.

– Jesteśmy daleko, ty pieprzony draniu, bardzo daleko od ulic i zaułków Dubliną, gdzie dla zabawy zamieniałeś moje pełne cierpienia życie w pasmo udręki.

Znów uderzył go w twarz.

– Załatwiłem cię teraz. Skończyłem z tobą.

Kiedy wstał, rozległy się wiwaty na jego cześć.

– Pański więzień wymaga opieki medycznej, panie inspektorze – stwierdziła Eve.

– Tak się nie załatwia sprawy.

– Tutaj tak się je załatwia – sprzeciwił mu się Aidan. – Zadzwoń po Ailish, siostrę mojej żony. Jest ratownikiem medycznym. Opatrzy to nic niewarte łajno, które dziś chciało zabić moją matkę. Nie mów nam, jak się załatwia sprawy, Angolu.

– Zrób to teraz, Aidanie, dobrze? A dla naszego Roarke'a przyniesiemy trochę whisky i okład z lodu. Czy napije się pan herbaty, panie inspektorze?

Westchnął, podszedł do ledwo przytomnego Cobbe'a, by znowu go skuć.

– Prawdę mówiąc, chętnie napiję się whisky. Jak, do jasnej cholery, wyjaśnię swoim przełożonym stan aresztowanego?

– Próbując uniknąć aresztowania, spowodował obrażenia u ludności cywilnej – powiedział Whitney, wzrok miał spokojny i poważny, kiedy podszedł, żeby spojrzeć na Cobbe'a. – Zatrzymany napadł na Roarke'a, którego przysiągł zabić. Doszło między nimi do walki, podczas której cywilny konsultant, współpracujący z nowojorską policją, obezwładnił przestępcę, którego następnie przekazał pod pańską opiekę.

Abernathy utkwił w nim wzrok, ale Whitney wytrzymał jego spojrzenie.

– Czy zaprzeczy pan oświadczeniu komendanta policji nowojorskiej, pani porucznik, detektywów, wszystkich tych cywilnych świadków, którzy pomogli panu w aresztowaniu płatnego zabójcy, przez

ponad dwadzieścia lat wymykającego się wymiarowi sprawiedliwości?

– Nie. Prawdę mówiąc, całkiem niezłe to brzmi. Potrzebne mi bezpieczne pomieszczenie, gdzie będzie mu można udzielić pomocy lekarskiej. Muszę zorganizować transport.

Whitney skinął głową.

– Długo na to czekałem, Cobbe. Ryanie – zwrócił się do Feeneya. – Ellen Solomen miała siostrę.

– Anję Greenspan. Zawiadomimy ją, Jack. – Położył dłoń na ramieniu Whitneya. – Zamknijemy tamtą sprawę.

Eve zaczekała, by Roarke zdołał się uwolnić od mężczyzn ponownie przeżywających walkę. Czekała, aż do niej podejździe.

– Dziękuję ci za to, że wiedziałś, że tego potrzebuję.

– Zrobiłbyś to samo dla mnie.

– Tak.

– Tak przypuszczam. Jesteś cały obity, zakrwawiony i przemoczony. Jak tam zebra?

– Bolać jak diabli.

– No myślę. Obłożmy je lodem. Kto to jest frant? – spytała, kiedy szli do domu.

– Obrażliwa nazwa dublińczyka.

– Okej. Cóż, najwyraźniej ty nie jesteś frantem, tylko mieszkańcem Clare. Domyślałem się, jaki jest mieszkaniec Clare.

– W tych stronach to wielki komplement.

– Kochają cię. – Otworzyła drzwi. – Ja też.

Sinead czekała z whisky, okładami z lodu, apteczką pierwszej pomocy.

Ailish opatrzy Cobbe'a, bo odniósł poważniejsze obrażenia, ja poradzę sobie z tobą. Mam ogromną praktykę. Ciebie też opatrzę – powiedziała do Eve. – Oberwałaś od niego.

– To nic takiego.

– Usiądźcie oboje. Eve, nie przepadasz za whisky, więc mam dla ciebie bardzo przyjemne wino.

– Jestem na służbie – zaczęła, a potem usiadła i westchnęła. – Pieprzyć to, właściwie nie jestem.

Poproszę kieliszek wina.

– Przyłóż to do siniaka, a ja przyniosę ci wino. – Sinead podała Eve okład z lodu i spojrzała na Roarke'a. – Jaka śliczna buzia – stwierdziła, ujmując go pod brodę. – Nawet teraz jest śliczna. Twoja matka byłaby z ciebie równie dumna, jak ja jestem.

Delikatnie przyciągnęła go do siebie, pocałowała w czubek głowy.

– Z was obojga – powiedziała do Eve. – Trzeba być silną kobietą, żeby się wycofać i pozwolić swojemu mężczyźnie zrobić to, co chce się zrobić samej. Nie myśl, że tego nie widziałam. I rozumiem to. No dobrze. – Odeszła, by nalać jej wina. – Kieliszek wina dla naszej Eve i zajmę się tą śliczną buzią.

Właśnie wtedy Aidan otworzył drzwi na tyłach domu.

– Mówią, że potrzebują jakiegoś bezpiecznego pomieszczenia, gdzie mogą przetrzymać tego sukiny, póki go nie doprowadzą do porządku i nie wywiozą stąd.

– Zabierzcie go do piwnicy. Nie chcę widzieć kogoś takiego w swojej kuchni.

Eve napiła się wina, znów westchnęła.

– Trzeba być silną kobietą, żeby się nie ugiąć, kiedy banda gliniarzy próbuje cię wyrzucić z domu. Jesteś niewzruszona, Sinead. Rozumiem, po kim Roarke to ma.

Uśmiechając się, wyjęła ściereczkę nad miską, stojącą na stole.

– Nic nie sprawiłoby mi teraz większej przyjemności niż to, co właśnie powiedziałaś.

Wszedł Abernathy.

– Najmocniej przepraszam.

– Zapraszam. Na szafce stoi whisky i szklaneczki. Proszę sobie nalać, a ja w tym czasie zajmę się moim chłopcem.

– Bardzo dziękuję. – Nalał sobie hojnie, na trzy palce. I duszkiem wypił połowę. – Aresztowany umieszczony bezpiecznie w piwnicy. Pani bratanica... Kuzynka... Przepraszam, wszystko mi się poplątało. Tak czy owak, właśnie przybyła i zajmie się obrażeniami Cobbe'a. Pilnują go moi agenci i waz detektyw Jenkinson oraz pan Podock, który bardzo na to nalegał.

Znów napił się whisky, ale już nie tak łapczywie.

– Pani porucznik, jestem pani dłużnikiem.

– Zrobiłam tylko to, co do mnie należy.

– Owszem, razem z doskonałymi nowojorskimi policjantami, cywilnym konsultantem oraz szanowną panią i tą rodziną, która przyczyniła się do ujęcia Cobbe'a. W ciągu kilku dni od rozpoczęcia dochodzenia w sprawie zamordowania Galli Modesto.

– Pamiętając o tym – ciągnął – chciałbym zaproponować, żeby pani jako pierwsza przesłuchała teraz aresztowanego.

– Serio?

– Jak najbardziej. Naturalnie wszystko będzie nagrywane i muszę mieć pani słowo, że nie dojdzie do przemocy fizycznej.

Eve usiadła prosto.

– Chce pan, żeby Cobbe się do wszystkiego przyznał?

– To nie jest konieczne, ale jak pani wie, byłyby to wisienka na torcie.

– Mój konsultant będzie obecny podczas przesłuchania.

– Nie widzę takiej mo...

– Chce pan, żeby Cobbe się przyznał do winy? Bez niego to się nie uda. – Wskazała Roarke'a palcem.

Abernathy dopił whisky.

– Jasna cholera. Zaszliśmy tak daleko. Kiedy Cobbe zostanie opatrzony, damy wam trzydzieści minut.

Eve spojrzała na Roarke'a, uśmiechnęła się zawzięcie.

– Wystarczy.

Epilog

Eve zatrzymała się przed piwnicą, wdychając wilgotne powietrze.

– Ja prowadzę przesłuchanie – uprzedziła Roarke’a. – Mogę ci oddać głos, ale pamiętaj, że to ja kieruję przesłuchaniem.

– Wystarczająco często obserwowałem cię przy pracy, żeby wiedzieć, jak to wygląda. – Był już w swoim ubraniu.

Miał podbite oko i sińca na brodzie, żebra bolały go przy każdym oddechu. Ale czerpał jakąś dziwną satysfakcję z tego bólu.

– Chcę podkreślić, że dostałem to, czego chciałem, przed domem, więc jeśli wolisz mieć przy sobie Peabody lub...

– Nie jestem młotkiem. – Peabody, już bez fartucha, pokręciła głową. – Ty owszem. Przypomnij sobie, jak z tobą walczył. Prawdopodobnie stać go na więcej, ale nie panował nad sobą. Tam na dole też nad sobą nie zapanuje.

– No właśnie.

– Wracam do kuchni. Ominie was całe to żarcie. Rany, ci ludzie wiedzą, jak przygotować ucztę, do tego migiem. Idźcie i dobieierzcie się do jego żalostnego dupska.

– No cóż. – Roarke wzruszył ramionami. – Chodźmy i dobieierzmy się do jego żalostnego dupska.

Zeszli do zimnego i wilgotnego pomieszczenia. Światło było słabe, ale wystarczająco mocne, by zobaczyć, że twarz Cobbe’a nie prezentuje się najlepiej.

Złamany nos, odhaczała w myślach Eve. Rozcięta warga, oczy podbite. Siniak Roarke’a wyglądał zupełnie niewinnie w porównaniu z czarnymi, niebieskimi i fioletowymi plackami na twarzy Cobbe’a.

Ratowniczka medyczna zrobiła, co trzeba – zabandażowała mu tors, bo miał trzy złamane żebra, oparzyła liczne skaleczenia.

Podobnie jak Roarke, miał na kłykciach skórę zdartą do krwi, spuchnięte dłonie. Eve stwierdziła z satysfakcją, że Roarke go nieźle sprął.

Zadał mu więcej ciosów.

– Włączam nagrywanie. Reprezentujący nowojorską policję porucznik Eve Dallas i cywilny konsultant Roarke przystępują do przesłuchania Lorcana Cobbe’a, między innymi w związku ze śledztwami numer H-6981, H-6989 i H-32108.

Eve usiadła na porysowanym drewnianym krześle przed porysowanym drewnianym stołem w pozbanionym okien pomieszczeniu, w którym pachniało ziemią i jeszcze czymś, może kartoflami.

I poczuła się w swoim żywiole.

– Obecni: inspektor George Abernathy, reprezentujący Interpol, komendant Jack Whitney i kapitan Ryan Feeney z nowojorskiej policji. Obecny jest również Marshall Podock, licencjonowany ochroniarz.

– Aż tylu was potrzeba, żeby mnie trzymać w tej pieprzonej piwnicy.

– Odczytano panu przysługujące mu prawa. Zrobiłam to najpierw ja, a potem pan inspektor. Czy rozumie pan swoje prawa i obowiązki w tej sprawie?

– Policjantka-pizda.

– Traktuję to jako potwierdzenie. – Eve otworzyła teczkę, przygotowaną przez Peabody.

– Jorge Tween, pański ostatni klient, przyznał się, że wynajął pana, by zabił pan jego żonę, Gallę Modesto, za milion euro plus koszty w wysokości piętnastu tysięcy. Mamy nagrania z kamer monitorujących i zeznania naocznego świadka, potwierdzające pana obecność na miejscu zabójstwa. Czy chce pan złożyć oświadczenie?

Uśmiechnął się z wyższością.

– Pieprzenie.

– To całe pańskie oświadczenie?

Nachylił się.

– Wiesz, dlaczego nie poprosiłem o prawnika?

– Nie, nie wiem. Chcesz mi to wyjaśnić?

– Ponieważ nie potrzebuję go do takich bzdur. Te wasze dowody, wasi naoczni świadkowie i cała reszta. Macie tylko jakiegos dupka, próbującego ratować własną skórę, który twierdzi, że wbiłem nóż jakiejś dziwce.

– Dysponujemy dowodami, że ten dupek ci zapłacił.

– Brednie. Nie znam tego dupka. Przyjechałem do Nowego Jorku, żeby porozmawiać z Roarkiem. Tego nie zabraniają żadne przepisy.

Eve wyjęła z teczki dokument, położyła go na stole.

– Twoje konto w Andorze na jedno z fałszywych nazwisk, którym się posługujesz. Tak czy inaczej to twoje konto, na które wpłynęła płatność od Tweena.

Cobbe wzruszył ramionami. Ale oczy mu błysnęły.

– Nie moje nazwisko, nie moje konto.

– Jeśli to prawda, nie zdenerwujesz się, kiedy powiem, że konto zostało zablokowane, a wszystkie pieniądze na nim zostaną skonfiskowane. – Nachyliła się, jakby znów czytała kwotę. – Rety. Można to nazwać ładną sumką. I nasi biegli księgowi ustalili ponad wszelką wątpliwość, że to twoje konto. Mamy również dwustronną kurtkę. Bardzo pomyslową, tak na marginesie.

– Nie wiem, do czego zmierzasz.

– Mamy nagrania kamer, na których widać ciebie w czarnej bluzie z kapturem, a później w czerwonej, kiedy odwróciłeś ją na drugą stronę. Przy okazji, zostawiłeś ją w Nowym Jorku, w Central Parku, po tym, jak obok bramy do mojego domu podrzuciłeś kota, którego wcześniej zarządziłeś.

– Nic nie wiem o żadnym martwym kocie. – Ale się uśmiechnął. – I to nie moja kurtka.

– Widziałam cię, kretynie. – Z miną i głosem pełnym obrzydzenia rozsiała się na krzesle. – Myślałam, że jesteś zawodowcem. A zachowujesz się jak najpodrzedniejszy z podrzędnych amatorów. Wiesz, że udowodnimy ci zabójstwo Modesto. Oraz Kaylee Skye. I proszę, oszczędź sobie twierdzenia, że nie wiesz, kto to taki. Możesz nie pamiętać, jak się nazywała, ale świadkowie w barze dobrze cię zapamiętali. Na rany Chrystusa, zostawiłeś swoje DNA w jej mieszkaniu.

– Nie macie mojego DNA. – Spojrzała na nią szyderczo. – I nie mam obowiązku go wam dostarczyć.

– Mamy twoją krew – przypomniała mu. – Znalezioną na ciele Kaylee Skye. I dziś, bo Roarke upuścił ci jej wystarczająco dużo, byśmy mogli uzyskać twoje DNA. Byłeś niedbały w przypadku Skye, bo nie zabiłeś jej dla pieniędzy. Zabiłeś ją, bo byłeś wkurzony, może trochę pijany.

– Próbujesz mnie wrobić, bo podbiłem oko twojemu facetowi.

Odchyliła się do tyłu i wybuchnęła śmiechem.

– Jezu, Cobbe, siedzisz tu z dwiema śliwkami, rozkwaszonym nosem, lewą stroną twarzy spuchniętą jak zgniłe mięso i myślisz, że przejmuję się tym, że Roarke pozwolił ci się parę razy trafić? W moim mieście zabito dwie kobiety, pokroiłeś je na kawałki. Zrobiłeś to samo temu cholernemu kotu, co jest typowe dla małostkowego, chorego, pokręconego bachora.

Uśmiechnął się na tyle szeroko, że otworzyła się rana na jego dolnej wardze.

– To oskarż mnie o znęcanie się nad zwierzętami. Tylko podpowiadam.

– Z pewnością znajdziesz się to wśród innych zarzutów. Podobnie jak próba zabójstwa Wayne'a Godarda, strażnika, którego zdłgałeś nożem, kiedy kradłeś wahadłowiec. Nadal jest w stanie krytycznym, więc jeśli umrze, będziesz miał jedno zabójstwo więcej na swoim koncie. Znaleziliśmy wahadłowiec – miałeś twarde lądowanie. I twoją torbę podróżną, a w niej masę fałszywych dokumentów tożsamości i gotówkę. Twój tablet i podręczny komputer. Założę się, że znajduje się na nich dużo ciekawych danych. Plus cały komplet ostrych narzędzi w metalowej walizce. Zostawię to wszystko Interpolowi.

– Aha, i Sal Bellacore zaczęła śpiewać – dodała Eve. – Kolejne powiązanie z Modesto. A nasi przyjaciele z Interpolu zatrzymali rodzeństwo Privetów. Wyobraź sobie, jak wkurzona – i żądna zemsty – będzie Alicja, kiedy się dowie, że zakablowałeś na nią, podałeś nam szczegóły dotyczące jej organizacji.

– To kłamstwo! Nic nie powiedziałem i nic nie powiem.

– Naprawdę? – Eve znów zajrzała do teczki i się uśmiechnęła. – Czasami może dojść do przekłamania w tłumaczeniu, prawda? Pójdzie siedzieć, podobnie jak jej brat i ty. Ciekawa jestem, do jakich wniosków dojdzie Alicja, kiedy pozna treść tego nie do końca wiernego przekładu.

Z jego przeciętej wargi płynęła wąska strużka krwi. Teraz dołączył do niej kropelki potu.

Pora, żeby przekazać pałeczkę Roarke'owi, pomyślała Eve.

Odczytawszy jej znak, Roarke przemówił po raz pierwszy.

– Mają twoją matkę, Cobbe. Przykro mi z tego powodu. Matka to ktoś wyjątkowy.

– Nie mieszaj do tego mojej matki.

– Zrobiłbym to, gdybym mógł, ale to nie ode mnie zależy, no nie? Chociaż z drugiej strony, stary nie zostawił mojej matki w spokoju, tylko stłukł ją, zabił, wrzucił do Liffey. Czy był z siebie dumny, kiedy

się tym przechwalał wiele lat później?

– Dlaczego miałyby mi o niej opowiadać? Była tylko kurwą, która mu wmówiła, że jesteś jego synem. A to ja jestem jego pierworodnym. Ja mam prawo do jego nazwiska.

– Prawie zrezygnowałem z tego nazwiska, ale ktoś, kogo szanuję, poradził mi, żebym je zatrzymał i nadał mu własny sens. Jeśli o mnie chodzi, mogłeś zrobić to samo. Bo chociaż nie jesteś rodzonym synem Patricia Roarke'a, jesteś tak samo jak on okrutny, żądny krwi i całej reszty.

– W moich żyłach płynie jego krew!

– Gdyby tak było, a wiesz, że to wierutna bzdura, wstydziłby się teraz ciebie, prawda? Przyskrzyżniony w taki sposób, do tego przez kobietę, niechlujny w robocie, zostawiłeś za sobą taki trop, że nawet pozabawiony wężu kundel by za nim pobiegł. Nie odczuwasz dumy ze swojej pracy, nie przyznajesz się do niej, boisz się stanąć twarzą w twarz z cholernymi gliniarzami i powiedzieć im, by się pieprzyli, bo potrzebowali ponad dwudziestu lat i ponad czterystu trupów, żeby cię w końcu dorwać.

– To był wyścig – ciągnął Roarke z pewnym podziwem. – Prawdziwie chwalebny wyścig. A to jedyna rzecz w życiu, w której jesteś lepszy od innych, lepszy nawet od samego starego. Tymczasem nie jesteś z niej dumny. Wypierasz się tego, w jaki sposób zyskałeś sławę i pieniądze, jak zapewniłeś swojej matce okazały dom, wygodne życie. Znacznie więcej, niż ja mogłem kiedykolwiek zrobić dla swojej matki, bo nigdy jej nie poznałem. Pod tym względem okazałeś się lepszy ode mnie, nieprawdaż? Bo ja nigdy nie widziałem, jak się mną cieszy, jak jest ze mnie dumna, jak błyszczą jej oczy.

– Była tylko kupą gnoju.

Roarke przez chwilę milczał, a lodowata atmosfera, jaka zapanowała w pomieszczeniu, mogłaby zamrozić ogień.

– Była kobietą z Clare. A ty? Kim ty jesteś, jak nie pochlipującym tchórzem? Tak się boisz gliniarzy, że się wyparałeś jedynego prawdziwego dziedzictwa, jakie ci zostawił człowiek, którego zwiesz swoim ojcem. I okryłeś wstydem jego imię.

– Nie boję się glin. – Cobbe walnął zakutymi rękami w stół. – Przez całe życie wodziłem ich za nos. To ci, którzy mnie znają, trzęsą portkami ze strachu. Dają mi to, czego chcę, płacą mi tyle, ile chcę, mową o mnie szeptem, żebym ich nie usłyszał i nie poczuł się obrażony.

– Tak twierdzisz? Ty? Człowiek, którego pobiliem do krwi, człowiek zamknięty w piwnicy, gdzie przechowuje się rzepę i ziemniaki. Człowiek, który nie chce stanąć w obronie tego, kim jest i jaki jest.

– Jestem synem Patricia Roarke'a. Ty jesteś jedynie jednym z jego bękartów.

– A mimo to nie potrafiłeś otworzyć zamka wytrychem ani buchnąć portfela, nie partacząc roboty. To dlatego mnie wysyłała na ulice i do zaułków. – Roarke poruszył palcami. – Miałem do tego dryg. Ty byłeś najlepszy w zarzynaniu małych pieszków.

– Zaszlachtowałbym też chłopaka, gdybyś nie nasłał gliniarza, który nie znał swojego miejsca.

– Pieski, kotki to ofiary mordercy, chorego chłystka, nie mężczyzny. Nie syna Roarke'a.

Cobbe znów rozciągnął zakrawione usta w szyderczym uśmiechu, w jego podbitych oczach pojawiła się wściekłość.

– Zawsze byłeś za miękki do takiej roboty, brakowało ci jaj, żeby wbić komuś nóż w bebechy, a nie które były miękkie jak poduszki. Dostrzegł we mnie dryg do tego i był dumny.

– I ta jego duma zaprowadziła cię na tę drogę do sławy i bogactwa.

– Bo ojciec wskazuje drogę synowi. Prawdziwemu synowi. Czuję jego dumę za każdym razem, kiedy wbijam w kogoś nóż. Mówisz czterysta ofiar. Och, było ich znacznie więcej. Myślisz, że ich nie liczę? Jest ich dwa razy tyle. Ta zdradzająca męża cipa w nowojorskim parku to było dla pieniędzy. Ale ta kurewka, która śpiewała jak słowik? O, to było dla przyjemności. Zgromadziłem majątek, jakiego pozazdrościłby mi mój ojciec, i stać mnie na to, żeby zabijać dla przyjemności, kiedy przyjdzie mi ochota.

Rozsiadł się, podbite oczy mu błyszcząły.

– Powinien był cię zabić wtedy, w tamtym zaułku, gdy objąłeś się z tą pieprzoną księżką jak jakiś mały lord. Warto było oberwać od starego pięścią po głębie za to, że cię zakablowałem. I przez chwilę cieszyć się nadzieją, że cię zatłucze.

– Mało brakowało – mruknął Roarke.

– Dokończę to za niego. Przysięgłem to sobie i długo czekałem, żeby spełnić przysięgę. Mogę zacząć jeszcze trochę. Myślisz, że się tym przejmuję? Tymi glinami? Mam dość pieniędzy na wszystkich prawników, jakich tylko będę potrzebował. Mam przyjaciół, którzy w razie potrzeby mnie w tym wyręczą. Wyjdę i zgłoszę się po ciebie, po ciebie i tę dziwkę, którą pieprzysz, żeby gliniarze przymykali oczy na to, co robisz.

– Nie masz ani grosza, Cobbe – powiedział mu Roarke. – Nie chodzi tylko o to jedno konto, które zablokowali, a o wszystkie, bo znalazłem je co do jednego. Nie chodzi tylko o dom twojej matki, który

zarekwirowali, więc skończyło się wystawne życie, jakie jej zapewniałeś. Ale również o ten, który zatrzymałeś dla siebie, posługując się nazwiskiem O'Karre, i wystawiłeś na sprzedaż tego samego dnia. Jeśli masz inne, teraz też je znajdują. Bo jesteś skończony.

– Nie liczyłabym też na przyjaciół – wtrąciła Eve. – Albo współników, bo wątpię, czy masz chociaż jednego przyjaciela na całym świecie. Rozejdą się wieści, że pomogłeś zniszczyć imperium Privetów, blagając o ugody. Nazywaj mnie kłamczuchą. – Wzruszyła ramionami. – Nazywaj mnie dziwką i jak tylko chcesz. To nie ja będę gnąć w betonowej klatce tysiące kilometrów od Ziemi, zastanawiając się, czy Alicia Privet ma w pobliżu jakichś współników.

– Zna mnie.

– Wie, że pozwoliła ci skorzystać z domu, z którego uciekłeś. Znaleźliśmy jej tunele i masę ciekawych danych na jej niezarejestrowanym sprzęcie. Liczysz na to, że cię zna? Stoisz na bardzo grząskim gruncie. Z tego, co o niej słyszałam, Alicia nie należy do tych, którzy wybaczą.

Eve znów się nachyliła.

– Pomyśl o tym, myśl o tym często, kiedy już trafisz za kratki. Podbiłeś oko Roarke'owi. Wywalczył sprawiedliwość dla wszystkich, których zabiłeś, i odebrał ci wolność. Wygrał.

Spojrzała na Abernathy'ego.

– Ma pan dosyć?

– O, tak, w zupełności wystarczy.

– W takim razie w porządku. Dallas i Roarke kończą przesłuchanie.

– Dorwę was! – krzyknął Cobbe. – Bądźcie tego pewni. Zabiłem lepszych od was.

– Zabiłeś wielu ludzi – powiedział Feeney, kiedy Eve i Roarke kierowali się do wyjścia. – Ale żaden z nich nie był lepszy od nich. Żaden. – Usiadł, a Whitney razem z nim. – Porozmawiajmy o rodzinie Solomona.

Eve i Roarke poszli na górę do kuchni. Gliniarze i rodzina przenieśli się do jadalni, gdzie było dość jedzenia, by nakarmić pułk wojska.

– Usiądźcie teraz i zjedzcie coś – zwróciła się do nich Sinead.

– Musimy wracać, jak tylko komendant i Feeney skończą na dole. I przypuszczam, że Abernathy możliwie jak najszybciej będzie chciał zabrać stąd Cobbe'a i umieścić go w prawdziwej celi.

– W takim razie przygotujemy wałówki dla tych, którzy nie zdążą zjeść.

– W tej chwili bardziej chcę powietrza niż jedzenia – przyznał się Roarke. – Ale... Ale powiedziałem Cobbe'owi coś, co niezupełnie jest prawdą.

– Psst – syknęła Sinead.

– I co z tego? Nie zasłużył sobie od ciebie na nic więcej poza tym, co od ciebie dostał na dworze.

– Nie, to sprawa osobista. Powiedziałem mu, że nigdy nie widziałem, jak ktoś się cieszy na mój widok, ani jaki jest ze mnie dumny, ani jak błyszczą oczy mojej matki. Ale to niezupełnie prawda, bo widzę to wszystko w twoich oczach.

– No tylko zobacz, do czego doprowadziłeś. Przez ciebie się rozplakałam.

Przyciągnął ją do siebie, szepnął coś po irlandzku. Przycisnęła zapłakaną twarz do jego ramienia i odpowiedziała mu coś cicho.

– No idźcie już, idźcie się przewietrzyć. Zapakujemy dla was jedzenie. Wróć i pocałuj mnie, nim wyjedziesz. Nie, Seanie, na razie zostaw ich w spokoju.

Dzieci wróciły – Eve już wcześniej to zauważyła – i chłopak, którego bardzo dobrze pamiętała, zatrzymał się, wyraźnie rozczarowany.

– Chciałem tylko zapytać, czy...

– Seanie Lanniganie, siadaj i siedź, póki nie pozwolę ci wstać.

Roarke puścił do niego oko i otworzył tylne drzwi, a Eve zwróciła się do chłopca:

– Załatwiliśmy go, do wszystkiego się przyznał. Szczegóły później.

Sean uśmiechnął się do niej i wrócił biegiem do jadalni.

– To było bardzo miłe z twojej strony – zauważył Roarke.

– Dzieciak interesuje się ładem i porządkiem publicznym, dlaczego nie zaspokoić jego ciekawości?

– Jezus, tylko nie zróbmy z niego gliniarza. – Ujął jej dłoń. – Mam ochotę na krótki spacer. Zupełnie zeszytywniałem.

Pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos, że jego irlandzka dusza rozkwita zawsze, kiedy jest tutaj lub w pobliżu swoich krewnych.

– Nie mogę zostać.

– Och, wiem. Prawdopodobnie odlecimy w ciągu godziny, będziemy z powrotem w domu o... – spojrzała na zegarek – wpół do trzeciej.

– To wszystko nie ma sensu, i nic nie mów o zwariowanych strefach czasowych i ruchu obrotowym Ziemi. Dobrze się spisałeś z Cobbe'em. Wiem, że nie lubisz tego słuchać, ale to była dobra, policyjna robota.

– Nie lubię i powtórz to jeszcze raz, a wysłuchasz wszystkiego o ruchu obrotowym Ziemi. – Ale pocałował jej palce. – Powiedziałem ci, że nie musiałem tam schodzić. Myślałem, że wszystko, czego potrzebowałem, i tak jak tego chciałem, dostałem tu na dworze.

Poprowadził ją przez kwitnący ogród kuchenny. Małe skrawki błękitu przebiły się przez szare chmury, światło stało się perłowe od miękkiego blasku słońca, przenikającego przez ich grube warstwy.

– Myliłem się, bo jednak potrzebowałem tego. Tam na dole działałaś po swojemu, jak policjantka, i musiałem być tego częścią. Sprawienie mu łomotu, cóż, to było dobre, pomogło mi zamknąć we mnie coś, o czego istnieniu zapomniałem, póki znów nie zobaczyłem Cobbe'a.

Poprowadził ją w stronę pól i wznoszących się za nimi wzgórz, w zieleń, która rozciągała się pod szarością i skrawkami dającego nadzieję błękitu.

Eve wierzyła, że nie zamierza jej zaprowadzić tam, gdzie pasą się krowy.

– Na górze, na dworze, to była zapłata, która dawno mu się należała, to były dawne porachunki między nami. A w piwnicy? To była sprawiedliwość. Kiedyś, zanim poznałem ciebie, uznałbym, że wystarczy zapłata. Ale sprawiedliwość, kiedy się z nią zetknąłem, znaczy teraz dla mnie więcej.

Zatrzymał się obok dużego drzewa obsypanego różowym kwieciami. Eve wiedziała, dlaczego. Zasadził je dla jego matki. Stawał pod nim i wypatrywał jej, gdy jej potrzebował.

– Zasłużyłeś sobie na wyrównanie z nim porachunków. I odegrałeś ważną rolę w wyegzekwowaniu sprawiedliwości. Nie kłamał, mówiąc, że zabił dwa razy tyle osób. Dużo czasu zajmie zidentyfikowanie jego ofiar, nigdy ich wszystkich nie odnajdą. Ale nawet w przypadku tych, których nazwisk nigdy nie poznamy, pomogłeś oddać im sprawiedliwość.

– Nie kłamałem, kiedy powiedziałem, że stary wstydziliby się go, bo Cobbe boi się przyznać, kim jest naprawdę.

– Powiedziałeś to tak po irlandzku. Tak czy owak, była to prawda i dlatego zapadnie mu to w pamięć.

– Jeśli tylko zdoła... Alicia Privet... Znajdź sposób, żeby pozbawić go życia w więzieniu. I Cobbe to wie.

– To już nie nasz problem.

– Chcę, żeby żył. Żeby żył jeszcze bardzo długo. – Kiedy tak stali, objął ją ramieniem, spojrzał w stronę wzgórz. – To jeszcze jedna rzecz, której mnie nauczyłaś. Kiedyś chciałem, żeby zginął i już. Ale zrozumiałem, że sprawiedliwość wymaga, żeby żył długo. Och, spójrz tam! Tęcza.

Spojrzała nad polami, w stronę wznoszących się wzgórz, i ujrzała połyskujący łuk na tle błękitnego nieba.

– Czy nie ma jakiegoś powiedzenia o torbie pieniędzy i tęczy?

– Na jej końcu jest garniec złota. – Śmiejąc się, wziął ją w ramiona. – Ale tutaj mam coś cenniejszego.

Obejmując ją, czuł rwanie w żebrach, oko go bolało, ale jeszcze nigdy w życiu nie był tak szczęśliwy, jak w tej chwili.